

WYBÓR POEZYJ
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

WYDANIE NOWE

na rzecz wdowy i sierot autora.

Z portretem autora.

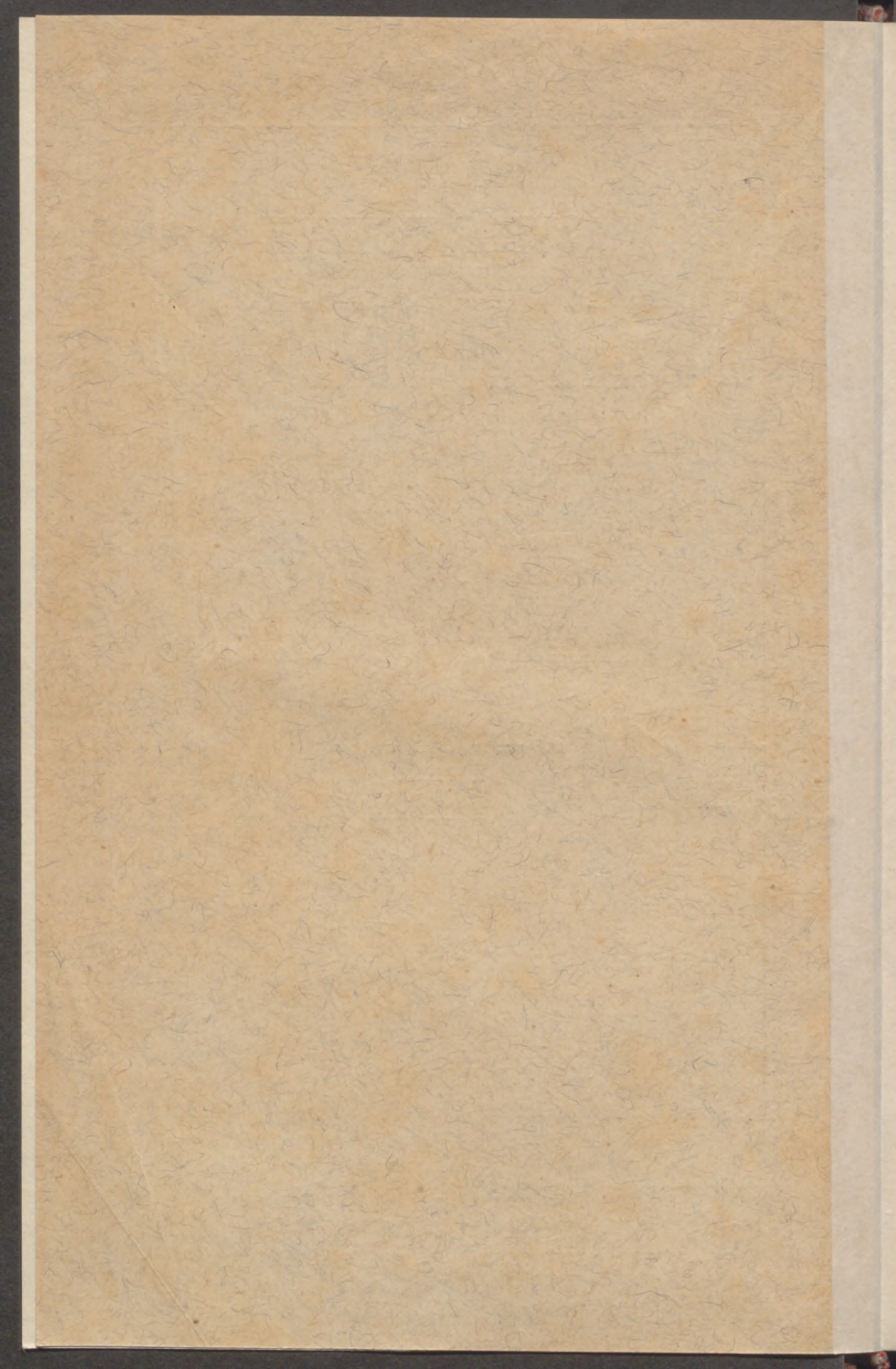
TOM V.



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

1890.



WYBÓR POEZYJ KONDRATOWICZA.

WYBOR POWNY KOMBATOWICZA

WYBÓR POEZYJ
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

WYDANIE NOWE

na rzecz wdowy i sierot autora.

Z portretem autora.

TOM V.



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.
1890.

WYBÓR POEZJI

LEON WYBICKI

(WŁADYSŁAWA WYBICKI)

WYDAWCA

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Октября 1889 года.

WARSZAWA

1889

WARSZAWA

Wydawnictwo Księgarni „Głos” w Warszawie, ul. Miodowa 10.

Warszawa. — Druk St. Niemiery, Plac Warecki Nr 4.

TŁÓMACZENIA.

DZIAŁ I.

PRZEKŁADY POETÓW ŁACIŃSKO-POLSKICH
EPOKI ZYGMUNTOWSKIEJ.

(WYJĄTKI).

TYMAGIENIA

1917

PRZEKŁADY POTÓW ŁACIŃSKO-POLSKICH
POLSKO-ŁACIŃSKIE

72217



W 741/49

ZIEMIE
CZERWONEJ RUSI

(ROXOLANIA).

Poemat

Sebastyana Klonowicza.

Si canimus silvas, silvae sunt consule dignae.
Virgilius.

DEDYKACYA

Uczyniona przez Autora do Senatu miasta Lwowa.

O mihi semper venerande coetus!

Orszaku mężów dostojny i drogi,
Godny w senacie ławicy i togi!
Cały Lwów ludny twoje święte prawa
Chętnie uznawa.

Przyjmij z obliczem jasném a wyniosłém
Pobożną pracę, co dla cię przyniosłem;
Przyjmij życzliwie, chociaż tak niewiele
Dać się ośmiełę.

Oto zostały przedmiotem méj pieśni:
Ludzie, i lasy, i niedźwiedzie leśni,
Mieszkania człeka, i ozdoba miasta,
Wieża kończasta.

Czytam o królach, jak z wdzięcznym obliczem
 Nie chcieli gardzić darem hołdowniczym,
 Lubo ubóstwo, w pobożnej pokorze,
 Święci, co może.

Niezawsze hojne z brylantów i złota
 Wielkiemu Bogu zanosimy wota;
 Dym kadzidlany i serdeczne słowa
 Woli Jehowa.

W świętą karbonę złożyła niewiasta
 Drobną szelążek solimskiego miasta;
 Przy szczupłym darze spodobałeś, Chryste,
 Serce żarzyste.

Podobnym sercem, zacne senatory,
 Przyjmijcie piosnkę, jako hołd pokory:
 Nie gardzi Chrystus, ni królowie ziemi
 Dary szczuplemi!

ZIEMIE CZERWONÉJ RUSI.

(ROXOLANIA).

Si canibus silvas, silvae sunt
 Consule dignae.

Virgilius.

Dicite Russorum feliciã pascua,
 Musae,
 Et fortunati rura beata soli...

I.

Opieście, muzy, halickie pastwiska!
 I szczęsne wioski odwiedzić się godzi,

Gdzie święte pole kłosa mi polyska.
 Gdzie plon rolniczej prace nie zawodzi.
 Nie pomijajcie lasów i dąbrowy,
 Bo z nich bogactwo rozchodzi się wszędzie,
 Tu w piersiach dębów złożon plastr miodowy,
 A na gałęziach rześiste żołądzie.
 Niech wszystkie miasta wasza pieśń wylicza,
 Kędy San rzeka krętym węzem rznie się:
 Piejcie gród Lwowski, zwyczaję Halicza,
 Trzody, co błądzą po łąkach i lesie;
 Opiejcie Zamość, gdzie na wasze imię
 Wysokie mury do nieba się wznoszą;
 Krzepkie świątynie, i baszty olbrzymie,
 I piękne domy opiejcie z rozkoszą.
 Jeśli gdzie zbłądę z pieśniami mojemi,
 Wskażcie mi, proszę, gdzie dostępna droga.
 Słodkoż wam gościć w argolidzkiej ziemi?
 I nasza ziemia w dowcip nieuboga.
 Zdroje ożywe są w naszej ojczyźnie,
 I piękne rzeki posiada Ruś stara,
 Któremi niwy skrapiają się żyźnie,—
 A w rzekach naszych jest ryb co niemiara.
 Może cię Parnas, Pierydo, kusi,
 Gdy czoło wieńcem laurowym opasze?
 Znajdź jeno do nas: są góry na Rusi —
 I my zaiste mamy Alpy nasze!
 Patrz, góra lwowska, czyż zda się korzystnie?
 Bodzie obłoki jój olbrzymia głowa,
 Gdy mgławce niebo chmurami nawiśnie,
 A w chmurach wilgoć zgęści się deszczowa.
 Próżno grom huczy, próżno wiatr szeleszcze,
 O głaz rozdarty obłok się popęka;

Choć biją wichry, pioruny i deszcze,
Góra się gromów Jowisza nie lęka.

II.

Tubyście, muzy, za przyjazną wolą,
Mogły zamieszkać stronę podobloczną,
I tutaj gości słoneczny Apollo,
I swoim biegiem mierzy kolój roczną.
Niezawsze zima na halickiej stronie,
Niezawsze wicher i zawieja grzmoce;
Topnieją śniegi, ciepły wiatr zawionie
I ziemia złote wyradza owoce.
Po wściekłym wichrze, co dał nienawistnie,
Zaszumi wietrzyk i lody rozproszy;
Zaledwie księżyc kwietniowy zabłyśnie,
Nastaje wiosna i chwila rozkoszy.
Gdy zasię czerwiec, kiedy lipiec blisko,
Dojrzałym kłosem kołysze się niwa;
Nastaje wrzesień, pożęte ścierniska,
Spożywaj, kmiotku, plon twojego żniwa!
Niech wieść potwarcza po świecie ogłasza
O naszych mrozach, zimie i jesieni;
Kłamstwo zaiste, że się łąka nasza
Z pod wiecznych śniegów nigdy nie zieleni,
Że nasza socha rozedrzyć nie może
Ziemi zakrzepłej mroźną niepogodą:
Puszczamy strugi, i sarmackie zboże
Rozdajem światu i lądem, i wodą.
Z naszego żniwa karmią się Germany,
I morskim grzbietem rozwozi je nawa;
W zielonych polach nasz wół spracowany
Pożywniej paszy obfito dostawa.

Na zmarzłej ziemi nie rodzi tak łatwo,
 To są promienia łaskawszego dary.
 Więc zacne dziewy, Mnemozyny dziatwo,
 Przyspieszcie polot w tutejsze obszary!

III.

Niebieska Klio! widzę cię z oddali,
 Lecisz k'tej stronie i twój orszak cały,
 Kędy Bystrzyca cichym szmerem fali
 Napęlnia stawy, groble i kanały,
 Kędy się dzieląc w dwoiste ramiona,
 Rzeźwą się wodą przysłuża w Lublinie,
 Podmywa basztę, pryska się spieniona,
 Drugą odnogą do jeziora płynie.
 Miedzianą rurą wpuszczona do miasta,
 Bije na kole fontanna swawolna;
 Jeden brzeg rzeczny wierzbami zarasta,
 Na drugim jodła i sośnina polna.
 Giętkie sitowie wodą się napawa,
 Tu mokra łąka na samym rozkwicie,
 Owdzie brzeg suchy, zielenieje trawa.
 O czyste muzy, tutaj wypocznijcie!
 Przystrojcie harfy, i lutnie, i liry,
 Niech każda bierze właściwe narzędzie;
 Szeleszcze woda, wtórują zefiry,
 Ztąd echo rzeźwiój rozchodzić się będzie.
 A kiedy leśnej lękacie się drogi,
 Tutaj znajdziemy snadno przewodnika.
 Oto wychodzi Satyrus dwurogi,
 Oto was nimfa gajowa spotyka.
 Przyległe bory zwiedzim po kolei,
 Które lud kócha i szanuje tkliwie;

Śpiewak z muzami po nieznanój kniei
 Będzie się błąkał w uroczym podziwie.
 Gdzie się zarośla najcienistsza kręci,
 Leśni bogowie wiodą nas w ubocze.
 Tu nie ma ścieżek, jeno trop zwierzęci,
 Kiedy niekiedy ptaszek zaszcebiocze.
 Może iść nie chcesz? — błąd już niecofniony,
 Bośmy zabrnęli w labirynt Dedala.
 O święte muzy! przebieżmy te strony,
 Przepatrzmy wszystko z poblizka i z dala.
 Bystro ogarnie wasze oko młode
 Lasy, co tulą pod namiot chłodnawy;
 Zapamiętacie ruskich drzew przyrodę
 I leśne gęste a zielone trawy.

IV.

Już długo błądzim na skwarném gorącu,
 Już prędko oddech kołysze nam łono;
 Tu snadno będzie, wykradłszy się słońcu,
 Znaleźć spoczynek pod liści oponą.
 Dęby na górze, a olcha w dolinie
 W stare gałęzie uroczyście szasta.
 Owo krynica, co z pagórka płynie,
 Spada ze szmerem i w strumień urasta.
 A słowik w cierniach strzela pieśń miłosną,
 Mała ptaszyna aż zatrząsa knieje,
 Z piersi drobninuchnej wielkie tony rosna,
 Z drobnego pyszczka tysiąc dźwięków leje.
 Szpak ostrym głosem zakrzyczeć go pragnie,
 Szczygieł z rozgłośnym szcebioce wyrazem,
 Chrapliwy chróściel odzywa się w bagnie,
 Turkawka jęczy i echo z nią razem;

Kwiczoły, stadem przeciągając codzien,
 Kulistą chmurą w powietrze się wznoszą;
 A tyle gwaru, że śpieszny przechodzień
 Wstrzyma się nieraz i słucha z rozkoszą.
 W tysięcznym echu różnobrzmiących pieśni
 Niełatwo zliczyć pojedyncze tony.
 Tam siedzą gronem zawiadowcy leśni:
 Sylwany, Fauny i Satyr schylony.
 Uchodzą muzy, bo też nie przystało
 Czystym dziewicom być w rozpustnym rzedzie;
 Idą pod dębem osłonę wspaniałą,
 I każda bierze właściwe narzędzie.
 Klio najpierwsza na trzciniowym flecie
 Zadzwaniam piosnkę na rozgłośnie echo;
 Piosnka kolejna z ust do ust się plecie,
 Las zagrał dźwiękiem, zaszumiał pocięchą;
 I w każdym dźwięku, i po każdym słowie
 Wtór płynie lasem od drzewa do drzewa:
 Bo huknij w lesie, las hukiem odpowie,
 Poszepnij pieśnią, las cicho odśpiewa.
 Jako zwierciadło, co kształty odznacza,
 Tak echo leśne odbija się słowy.
 Waha się jeszcze gromada śpiewacza,
 Komu poświęcić swój hymn pierwiastkowy:
 Czy starym lasom? czy wyniosłej wieży?
 Lub na cześć Rusi i tutejszych ludzi?
 Apollo, znając, komu dank należy,
 Tak pierwszy zapał uroczyście budzi:

V.

„Cóż tu się marnie waha orszak cały?
 „Święta cześć lasów sięga z tak daleka!

„Wszak dawniej lasy, niż miasta, nastały,
 „Pierwój Bóg stworzył drzewo, niż człowieka.
 „Były tu lasy od najrańszój chwili,
 „Nim imię Rusi dano okolicy;
 „Później do lasu mieszkańcy przybyli,
 „Wnuki Japeta, mężowie wpół-dzicy.
 „Wszelkie imiona tych mężów ogarną,
 „Różnie ich zwano w rozmaite lata.
 „Niechaj mieszkaniac zowie się Bistarną,
 „Niech Illiryjczyk, albo Sauromata.
 „My przedsię Ruskie zostawmy im miano,
 „Wzięte z praojców, wnukom na zaszczyty;
 „Choć indziej naród podobnie nazwano,
 „I nasi godni nazwy rodowitój.
 „W Meockiem morzu łodzie z pod ich wiosła
 „Wicher kołatał i popędzał dalej;
 „Przez mroźną północ fala ich przyniosła,
 „I tu wieczystą siedzibę obrali.
 „I ruskim murem obwiedli swe bramy,
 „I pełnią zwyczaj rodowitój strony.
 „Tędy przez lasy do miast zawitamy
 „Przeznac obyczaj, prawa i zakony.“

VI.

Febowe słowo do serca przystaje,
 Chętnie je spełnia śpiewacza gromada:
 Halickie bory i rozkoszne gaje
 Każda piewczyni do rymu układa,
 I jednodźwięcznie orszak znakomity
 Pozdrowił lasy nad świętém Haliczem.
 Tutaj przodkuje ów bór nieprzebyty,
 Co się z litewskiem łączy pograniczem.

Długimi stepy od moskiewskiej ściany
Kraj ten rozdziela wiekuista władza;
Ocean, lodem wieczystym skowany,
Ruś od północnej pustyni przegradza;
Alpy nas dzielą od Italskiej ziemi,
A morze Czarne od granic Tatarów.
A tu na Rusi wzgórki garbatemi
Nigdzie płaszczyna nie jeży się stara.
Tu piękna knieja, tu puszcza bezdena
Przynosi liczne korzyści i plony;
Tu dąb stuletni, sosna sturamienna,
Tutaj modrzewie, jawory, jesiony;
Na mokrych mszarach widnokrąg zasłania
Olszyna, wierzba, i świerki olbrzymie,
I klon cienisty, łatwy do zrabania,
(Z którego moje wyprowadzam imię),
Wysmukła topól, jeżownik i tarnie,
Twarde derenie, leszczyna powiewna,
Buki i lipy, — oko nie ogarnie
Rozlicznej barwy wszelakiego drewna.
Tu biała brzoza z czerwonymi smugi,
Owdzie z jesionem splata się wiąz młody;
Z nich wieśniak drzewa wyrabia na pługi,
Z nich do swych kolas wygina obwody.
Z nich to skrzypiące telegi, i maże,
I lekkie wozy klecą Haliczanie.
Tu kuta bryka rzadko się ukaże,
Bo twarde drzewo za okucie stanie.
Nigdzie przy wozach żelazo nie brzęczy,
Tu gwoźdź drewniany dotrzyma wytrwałej;
Nie masz kowanych osi, ni obręczy,
Tu hartowniejsze polano od stali.

VII.

Gdy wóz się kleci lub orne narzędzie,
 Tym kształtem nasi pracują wieśniacy:
 Idzie do lasów, wypatruje wszędzie,
 I ścina sztukę, przydatną do pracy.
 Na dyszel bierze pniak lekki a prosty,
 Siedem stop dębu wycina do osi,
 Drzewo schylone w garbate narosty
 Na soszne zęby do domu zanosi.
 Gdy się pniów krzywych napotkać nie zdarza,
 Sztuką i pracą wygina do łęku;
 Zręczny parobczak obok gospodarza
 Nabywa siły i dzielności w ręku.
 Héj! idźcie w góry w upatrzonój chwili
 I młody dębniak uginajcie z wołna,
 Bo gdy go wicher niekształtnie wychyli,
 Trudno się gałąź sprostuje swawolna.
 Gdy zasię wcześniej wychylisz w półkole,
 W nadanej formie gałązka rozrosła,
 Na pniu matczynym i przez własną wolę
 Przybiera postać, zdatną do rzemiosła.
 Tutaj granice i w prawo, i w lewo,
 Każdy ma wręby, każdy swoje smugi,
 Aby gdy młodniak rozrośnie się w drzewo,
 Cudzych owoców nie zabrał kto drugi.
 Ścinają chróśniak, co przy buku pnie się,
 I wszelką zarośl, ile cień ogarnie.
 Tak Rusin pilnie szperając po lesie,
 Żerdź prostą, krzywą zbiera gospodarnie;
 Rąbie jawory i dęby olbrzymie,
 A potem krzesa i do domu koci;

A tam troskliwie zawiesza je w dymie,
 By wolném ciepłem wyschły od wilgoci.
 Drewna wodnistość robocie szkodliwa —
 Dobrze to znają Rusini robotni;
 Przeto nie pierwěj dębiny używa,
 Aż się surowość z jěj wnętrza ulotni.
 Dopieroż suchą do wrzátku zanurzy,
 Mocuje, schyla, nagina sprężyście:
 Tak dąb niezłomny, co nie bał się burzy,
 Gdy go zielone pokrywało liście,
 Co, niżli zegnie, pierwěj się popęka, —
 Rozmiękczon warem, poda się od razu,
 A kiedy silna pochwyci go ręka,
 Przybierze wszelki kształt wedle rozkazu,
 I albo idzie na obwody koła,
 Albo na ciężkie podrózne woziska.
 Wieśniak żelaza nie używa zgoła,
 Lecz drzewo drzewem spaja i naciska.
 On kłodek kolnych tłuszczem nie powleka,
 Ani żywicą napoi swěj osi;
 Ruską *kolasę* posłyszysz z daleka:
 Skrzypi i jęczy, jakby o co prosi.

VIII.

Patrzaj, jak rolnik pocznie nieleniwo
 Ciosać swą sochę, co ma orać łany,
 Z łękiem garbatym, z rękojeścią krzywą,
 Z wielkimi zęby jak potwór drewniany.
 Patrz, jako wierci, rozszerza i węży
 Drewno pługowe, jak osadza pięknie
 Jarzmo i lemiesz ciężki dla uprząży,
 Pod którym kiedyś żwir i glój zastęknie.

I woły stękną, gdy w ugór lub rżysko
 Oracz zatopi swój naróg sękaty,
 Do dnia rozkopie ciemne kretowisko,
 Działwę skowronka rozedrze na szmaty.
 Pług pędzi w nory podziemną gromadę
 Szkodliwych czerwi, co pustoszą niwy;
 Za pługiem leci ptactwo ziarnojade,
 Bo przewiduje zasiew niewątpliwy.
 Nieświadom pluga bywał naród dziki,
 Dziś wszędzie socha z żelaza i stali,
 Sprawiano ziemię drewnnemi motyki,
 A Bóg im szczęścił, iż kruszcu nie znali,
 I ruskie, drewnem urabiane, pole,
 Przy błahych sierpach miało dobre żniwa.
 Owo sąsiednie rodzajne Podole
 Do swoich pługów jaworu używa;
 Tam z dumnych dębów niewielka posługa,
 Tam praca rolna, choć wdzięczna, lecz krwawa:
 Dwanaście byków wjarzmionych do pluga
 Gleistą bryłę zaledwie rozkrawa:
 Wół ledwie dycha zaziajanym pyskiem,
 Zaledwie stąpa, choć na siły bierze;
 Za nim poganiacz, uzbrojon biczyskiem,
 Złorzecząc, smaga pracowite zwierzę,
 A socha pędzi, aż z ostatniej siły,
 Wół się wypręży, nim kroku uczyni.
 Od Podolanów wzór sochy pochyłej
 I maż skrzypiących przejęli Rusini.

IX.

Wróćmy do lasów, gdzie trawa krzewiasta
 Wypieszcza stado — od brzegu do brzegu

Kwiatem aż grzbiety bydłce przerasta,
 Zaledwie pasterz rogi ich postrzega.
 Brodate kozy z podniesioną głową
 Na krzywe drzewa wdzierają się śmiele,
 I ogryzają latorośl wierzbową,
 Korę topoli i szczodrzyniec ziele.
 Kóz ruskich stado, kiedy brodzi knieją,
 Wilków na rogi zaczepnie wyzywa;
 Sowita broda na szczękach się chwieje,
 Na grzbietach twarda kołysze się grzywa.
 Kozieł wnet zwietrzy, gdy które z młodzieży
 W wilczą zasadzkę zbłąka się niebacznie;
 Rogate czoło zmarszczy i najeży,
 I śmiało z wrogiem bój śmiertelny zacznie.
 Pod jego rogów potężną opieką
 Bezpiecznie chodzą dziatwa i małżonka.
 Przez wszystko lato, od domu daleko,
 Rogate stado po kniejach się błąka.
 Lasy, to bydłał stajnie i kolebki,
 Pasterz i trzoda tu pod niebem żywie;
 Namiot chróściany, cienisty a krzepki,
 To dom pasterza, gdzie mieszka szczęśliwie.
 A trzoda chyba do domu powraca
 Ze swoim wiernym całorocznym stróżem;
 Gdy byki wzywa potrzeba lub praca,
 Gdy każą orać lub zginać pod nożem.

X.

I wół się żegna z pasterzem i trzodą,
 Ryk z całych piersi zatrząsa zaciszem,
 Targa się w więzach, na których go wiodą,
 A stado wyje za swym towarzyszem.

Wyjarzmić więźnia starczyłyby rogi,
 Lecz zwierz bezmyślny przestaje na rzucie.
 Jękliwie ryczą na widok złowrogi —
 I w piersi bydląt jest śmierci przecucie:
 Kiedy pod rzeźne żelazo je wloką,
 Zwierzę się cofa, słupi się i stawa,
 Topór, zbryzgany mózgiem i posoką,
 Przecuciem zgonu i cielca napawa.
 Gdy krew poczuje ciołek niespokojny,
 Co w rzeźni biedne wylały bydlęta,
 Targa się z mocą, łeb najeża zbrojny,
 Sili się zerwać powrozy i pęta.
 Jak zbrodzień, sądzon na ucięcie głowy,
 Zaczem uchyli potępioną szyję,
 Patrzy ze zgrozą na topór stalowy,
 Którym oprawca piersi mu rozbije,
 Twarz mu poblednie, kolana dygocą,
 Gdy rusztowanie postrzeże z daleka;
 Tak biedne bydlę, rzezane przemocą,
 W dreszczu śmiertelnym na mordercę czeka.
 Gdy byk żylasty i z okrągłym czołem
 Pracą okupi żywota rozkosze,
 A zapomniawszy o stadzie weśolém
 I harcach leśnych, złagodnieje w sosze.
 O! co za jęki na wiosennej niwie,
 Gdy po raz pierwszy chcą ujarzmić byka!
 Rogiem swój ciężar strąca niecierpliwie,
 Tarza się, grzebie, z wiatrem się potyka.
 Gdy cielec nosi podgardziel szeroki,
 Leniwym krokiem nie postąpi hożo,
 Gdy brzuch ma tuczny i wydęte boki,
 Które mu ciężar bezpotrzebny mnożą;

Taki się lepijć do rzezi zachowa,
 Wiććej da tŁuszczu, niŹ chleba zdobędzie,
 Bo w tucznićm cielsku nie tak zmyślna gŁowa,
 A mniej mićsisty pracowitszym bćdzie.
 Gdy wół wydęty, gdy kroczy powoli,
 Jak koń trojański z postawą brzuchatą,
 Niewiele chleba przysporzy na roli,
 SądŹ go na gardŁo, bo zasłuŹył na to.
 Tak czyni Rusin, bije lub przedawa,
 Tylko pojćtne zachowuje dla sić.
 A w lasach ruskich, gdzie pastćwna trawa,
 Nie liczy trzody i ten, co ją pasie.

XI.

Tak ryk mŁodzieŹy rozlega sić echem,
 PrzypŁodek rośnie, kiedy starsi giną;
 Bo Rusin wierzy, Źe cićŹkim jest grzechem
 Zabijać ciółka, co ssie pićrś matczyną.
 A matka, bacząc, jak podrasta codzićn,
 Szorstkim jćzykiem wygŁaska swe dziecko.
 Kto zabił ciółka, jest szkodliwy zbrodzień,
 Zawiązek trzody wyniszczył zbójcecko.
 Wieczorkiem letnim, po wioskach zwyczajnie
 Wesół dobytek i ryczy, i hasa.
 Tu w wioskach gŁucho, bo do nocnej stajnie
 Trzoda z udojem nie przychodzi z lasa.
 Pasterz we zwykŁą zagrodę ją wpuści,
 Tam wszystko na noc kupi sić i garnie,
 Szopę ze ścićtych dębniaków uchróci,
 Kędy zagania stada i owczarnię.
 Kolcami jodeł swój namiot najeŹy,
 Jak murem twierdzy; a jeŹeli nocą

Kondratowicz. Wybór. T. V.

2



Wilk, przyńcony nadzieją łupieży,
 Zechce się wdrzeć gwałtowną przemocą, —
 Przez mur iglasty przebić się nie może,
 Skrwawion kolcami zdobywszy zaniecha.
 Pasterz bezpieczen zasypia na dworze,
 Jakby go doma pokrywała strzecha.
 Gdy przyjdzie zima, kiedy kwiat pospada,
 A trawa polna pod śniegiem się zetnie,
 Pasterz do domu odprowadza stada, —
 Zima pożera plony całoletnie.
 Zalotna jodła, nie dbając, że zima,
 Swój ciemny warkocz rozpuszcza ku ziemi;
 Na jój gałęziach wszystek śnieg się trzyma,
 A żółta trawa świeci się pod niemi.
 Tu nieraz pasterz, chcąc dla swój obory
 Skrócić zimowe niewolnicze chwile,
 Na starą trawę wypędza je w bory,
 A trzoda gryzie wrzosy i badyle.

XII.

Rzekliśmy dosyć: a teraz koleję
 Rozpowiem mleczone obfite udoje.
 Pomóż mój pieśni, jasna Galateo!
 Przybądź łaskawa na żądanie moje!
 Dwojga zakłębem wzywam cię z daleka,
 Plemię Nereid! przyjdź natchnąć me baśnie!
 Na twe oblicze, co bielsze od mleka,
 Przy którém białość śniegowa zagaśnie,
 Na pamięć o twym wiernym Polifemie,
 Co śnieżne mleko przynosił ci w darze,
 A opuściwszy rodowitą ziemię,
 Wabił cię pieśnią, grając na fujarze.

Na znanych brzegach on za ledwie żywo
 Nie wpadł za tobą, gdzie morska głębina.
 Pieśniami cieszy miłość nieszczęśliwą,
 Morskie potwory i skały zaklina:

- „Twarde granity i sploty koralu,
 „Delfiny morskie! poświadczam się wami!
 „Neptunie, ojcze i uśmierzco fali!
 „Bądźcie niewinnéj miłości świadkami!
 „Ginę—grot ślepy moje piersi bodzie,
 „Ostre się ciernie w moje serce wbiły.
 „Ta, którą kocham, przemieszkiwa w wodzie,
 „Czemuż mię rybka losy nie stworzyły?
 „Pływałbym wiecznie i patrzył z pobliska
 „Na mą pieszczotę, mój urok jedyny.
 „O Galateo! wyjdź z pod topieliska,
 „Zaniechaj mieszkać z morskimi delfiny!
 „Choć moim ojcem liczę wodowładcę,
 „Na widok fali przejmuję mię zgroza;
 „Mój ojciec Neptun, a imię méj matce
 „Córka Foreja, nadobna Tooza.
 „Rodzic dla syna łącno coś uczyni
 „I chętnie morskie uhamuje wody.
 „Mieszkam przy Etnie, w wykutój jaskini,
 „Nie ręką ludzką, lecz dziełem przyrody.
 „Świstem donośnym i pełnym wyrazu
 „Wicher przebiega po lochach méj groty;
 „Pieczary mojej, wykowanój z głazu,
 „Nie zburzą wieki, ni wichry, ni sloty.
 „Jestem z olbrzymów—zacne plemię boże,
 „Inne od ziemi, ja z nieba ród wiode.
 „Przyjdź, jasna dziewo! podarek ci złożę,
 „Płód niedźwiedzice, dwa piastuny młode.

„Nie piję wody, co w ruczaju bieży,
 „Lecz białem mlekiem i pragnienie gaszę,
 „I głód nasycam,—a udój nieświeży
 „Nigdy się w konwie nie nalewa nasze.“
 Dziewę rozkoszna obietnica nęci,
 Lecz ją odstrasza brew zwisła i czarna,
 Włos, co kudłato na głowie się kręci,
 Ogromna postać i twarz muskularna.
 Drży przed niekształtną olbrzyma budową,
 Straszą ją ręce w kędzierzawej szczeci;
 Niesfornój piosnki przerywane słowo
 W pieszczonym słuchu miłości nie wznieci.
 Dziewica, w hożej zakochana krasie,
 Żadnym się darem do uczuć nie skłoni;
 Dar, by największy nienawistnym zda się,
 Gdy go ze szpetnej ofiarują dłoni.
 Jęczy Polifem, bole pierś mu gniotą,
 Bogaty w skarby, we wdzięki ubogi,
 Dziewica gardzi skarbem i brzydota,
 W jej myślach Acis nadobny i drogi.
 Lecz chętce mleka posilnego gwoli,
 Dziewica morska, szydercza i płocha,
 Pocznie się zbliżać powoli, powoli,
 I potwornego cyklopa ukocha.
 Tak przynęcona, przychodzi do groty
 Na świeże mleko od jego owczarnie;
 Męża, co służył za przedmiot pustoty,
 Poczęła kochać i żal ją ogarnie,
 I znowu szydzi z nieszczęsnej miłości.
 Rzuć sykulskiego, dziewico, olbrzymal
 Tutejszy pasterz hojnie cię ugości
 I smakowitszym nabiałem zatrzyma.

Rzuć sycylijskie pagórki i wody,
 I sycylijskiej ziemie dziwowiska:
 Obacz na Rusi nasz taniec swobody,
 I naszym krajom przypatrz się z poblizka.
 Tu wszystko snadniej, nasza ziemia święta,
 I zdrowsze mleko, i miłsi pasterze!
 Morska bogini, w te słowa zaklęta,
 Widzę, jak polot ku Haliczu bierze.

XIII.

Zamieszka tutaj i z życzliwej chęci
 Da nam w mleczarni plon błogosławiony,
 Gdzie brodzi w lasach dobytek bydłęci,
 Chodzą cielice z pełnemi wymiony,
 I głośno ryczą, że im pierś nabrzmiała,
 Wołają dziatwy, lub dojnój posługi.
 Gdy zasię czeladź nie przyjdzie niedbała
 Lub zginie ciołek, co wysysał strugi,
 Wtedy dozwała, potrzebą nagłona,
 Ssać swoje piersi borowej gadzinie;
 Wąż spija życie z karmicielki łona,
 Ztąd idzie niemoc i dobytek ginie.
 Wąż, kręgiem zwity, czatuje z pod ziela,
 Gdzie się cielica pasie na ustroni;
 Gdy ta nie dojrzy zdrad nieprzyjaciela,
 Chytry się czołgnie i uczepia do niéj.
 Zżyma się w kręgi, i w ostrożnym chodzie
 Pnie się po sierści, i wyciąga szyję,
 I w gęste zielsko patrzy na odwodzie,
 Gdzieby się ukryć, gdy obaczą żmiję.
 Potém się szybko okręca na nodze;
 Uczuwszy zimno i dotknięcie węże,

Biedna cielica, przerażona srodze,
Chce rogiem strącić, ale nie dosięże.
Chłodne ją mrowie odrętwia od razu,
Tarza się, biega, staje zniemożona.
Cóż pocznie? nogą nie odwierzgnie płazu,
Więc mu pozwala karmić się u łona.
A wąż pierścieniami jój łono okręci,
Ukrywa pyszczek i do piersi wkleszcza,
A tak odbiera jój pokarm dziecięci
I spija życie, jak zmora złowieszcza.
Gdy ciepłym mlekiem nażłopie się dosyć,
Odpada z wymion gadzina leniwa.
Już karmicielka poczyną to znosić,
Codzień przywyka i sama go wzywa.
Po znanych miejscach błąka się i ryczy,
Aż ją opasze lodowata pręga;
A wąż tymczasem w norze tajemniczej
Albo się w chwastach i łomie wylega.
Kiedy tęsknotę bydłęcą postrzeże
Starowny pasterz, wnet pilnuje blisko,
Dokąd to chadza nierozumne zwierzę,
I gdzie jest skryte węża legowisko?
Więc gdy złoczyńcę złowi na łupieży,
Gotuje oręż na zbójckie plemię.
Wąż pada z wymion i żądło najeży,
Wije się w zielsko i czołgnie w podziemie.
Syczy, ucieka, wypręża się, wspina;
Lecz mściwy pasterz bierze się do kija,
Kijem z orzecha drogę mu przecina,
Zionie przekleństwa i głowę rozbija.
Gadzina jeszcze czołga się pod zielem
I chytrą głowę utula pod skręty,

Aby, zwiedziony obrotnym fortelem,
 Mniemał, że zabił morderca zawzięty.
 Lecz pasterz grzmoce, aż zielsko szeleszcze,
 Rozbija węża, aż trzewy się wleką;
 Głowa odbita, ale syczy jeszcze,
 Leje posokę, truciznę i mleko.
 Każdy ma wroga, co go zawsze gnębi:
 Żółna się miodem i pszczołami żywi,
 Ptaszek się lęka drapieżnych jastrzębi,
 Owieczkom szkodzą wilkowie łapczywi;
 Szczep młodociany ogryzają sarny,
 Mól i szarańcza napastuje zboże,
 A wąż zdradziecki i często bezkarny
 Robi nam szkodę na dojrnej oborze.

XIV.

Ruskie niewiasty nie chcą gospodarnie
 Doić swe trzody—to czynią pasterze;
 Pasterz odnosi nabiół do mleczarnie,
 A resztę mleka na posilek bierze.
 Tam, w leśnym cieniu wiąziny pochyłój,
 Płynne się mleko bryłami zageści,
 Potém topnieje, i od każdój bryły
 Tworzą się serne niezliczone części.
 Gdy będę bajał o halickim serze,
 Przebacz prostocie, bo to rzecz *ojczysta*:
 Wprzód skórę kozłą zewłóczą pasterze,
 Zmywają wodą i płócią do czysta,
 I zsiadłe mleko, zatkawszy upusty,
 W szerściany worek zlewają pomału,—
 Tu się nazbiera płyn gęsty a tłusty,
 Co się w mleczarni zwie kwiatem nabiału.

Tak w skórnym worze na pozór opacznie
 Stawią swój udój pasterzowie nasi.
 A kiedy zsiadać i maślnieć już zacznie,
 Jeszcze go solą smakowną przykrasi.
 W zawartém mleku, po niedługiej przerwie,
 Trzoda robaczków lęgnie się i zbiera.
 Rusin bez wstępu pożywa te czerwie,
 Bo wie, że od nich cała dzielność sera.
 Mlecznych żyjatek drużyna tak mnoga
 Idzie na pastwę człowieka gardła.
 Tak nieraz paszcza oszczercy i wroga
 Całą krainę zgryzła i pożarła!
 To zowią *bryndzą* tutejsze narody,
 Pokarm to u mnie wielkiego imienia.
 Tym kształtem udój haliczańskiej trzody
 Na smakowite jadło się zamienia.

XV.

Nie myśl, że dola pasterzów wesola:
 Czarna ich dola i dotkliwa nędza.
 Tu małe dziecię nie wie, co to szkoła,
 Błąka się w lesie i trzodę zapędza.
 Żyjąc z bydłętą, staje się, jak zwierzę,
 W służebnej nędzy rodzi się i roście;
 A zresztą, wierzaj, że nasi pasterze
 Mają po lasach mnogie przyjemności.
 Na brzegach rzeki rosą wierzby stare,
 Są oczerety i bagniste ziele,
 Jest z czego strugać pasterską fujarę,
 Jest na czém śpiewać żałościwe trele.
 Tak w długich nudach pastuszkowie leśni
 Przeciagle gwizdzą, zasiadłszy pod drzewem,

To stare baje, to miłosne pieśni,
 Żal przeplatają weselszym napiewem.
 Widziałem płocze pasterskie chłopięta,
 Jak wyprawiają skoki a igrzyska:
 W tanku prawica z nożem wyciągnięta,
 W swawolnym wirze żelazo połyska;
 Nieraz swawolna młodzież się poważni,
 I w pośród tańca krew bryzga pod nożem.
 Jeżeli wierzyć starożytnéj baśni,
 Jak Ikar leciał nad szerokiém morzem,
 Wzniesiony sterem niedołącznych piórek,
 Spadł i utonął w zdradliwym żywiole;
 Tak, obyczajem swawolnych wiewiórek,
 Z dębów na dęby czepia się pachole,
 I skacząc wierzchem cienistych konarów,
 Nieraz rozbite upada przy drzewie.
 Spytasz: z kąd idzie ten niebaczny narów,
 Co składa życie na wiatrów powiewie?

XVI.

Jest leśny ptaszek, nazwany kwiczołem,
 Co w naszych ucztach ma rolę niemarną.
 Ten, na gałęziach zasiadając społem,
 Sam sobie sieje niefortunne ziarno.
 Ziarnko nasienne za korę się wlepia,
 Ssie cudze soki, karmi się do syta;
 Potém, gdy głębiej swe włókna zaszczepia,
 Gaj pasorzytny na drzewie wykwita.
 Zwie się jemiola—roślina kleista,
 Z żółtą łodygą i jagódką bladą.
 Wieśniak z jój lepu i jagód korzysta,
 Bo tam ugrzęza całe ptasząt stado.

Kiedy jemiola znęci skotopasa,
 Z drzewa na drzewo skacze po mistrzowsku,
 Czepia się, chwyta, po gałęziach hasa,
 Igrając z życiem, co wisi na włosku.
 Nic się nie dziwię, że za ryże złoto
 Człek w matki-ziemi wnętrzu zatopiony.
 Rusin pogardza kretową robotą,
 On, jako ptaszek, w powietrzu ma plony.
 Rusin, nim blahą jemiolę wychyli,
 Lata w powietrzu choćby strzaskać głowę,
 Odziera korę z kleistych badyli,
 I biada ptaszkom! już sidło gotowe.
 A zacząjony kędys z potajemna,
 Zastawia matnię w sposób wieloraki.
 Zachodzi słońce, nastaje noc ciemna,
 Jastrząb już zasnął— swobodniejsze ptaki.
 Szpak wyskakiwa, drozd w stadzie swawoli,
 Jak gdyby przebył frasunki ostatnie,
 Lecą na drzewa wypoczynku gwoli,
 Gdzie ich pasterskie zachwytyją matnie.
 Część ich z zapadni wyrwie się, uleci,
 Część zagmatwana zaginie już marnie.
 Pasterz wesoly, że ma pełne sieci,
 Idzie z kryjówki i jeńce zagarnie.

XVII.

Jesień borowe oblicze zachmurzy,
 I dąb z warkocza ogołoci czoło;
 Pasterz, na mrozy nie ufając dłużej,
 Ucina gałąź z poźółką jemiolą,
 Zrzuca ją na dół—gdy stuknie siekiera,
 Tłumią się kozy i bydlęce rzesze,

I każde swoją gałązkę odbiera,
 Póki się całe drzewo nie okrzese.
 Na wierzchu jodły lub dębowej kłody
 Rusin zaiste strachać się nie pocznie;
 Wierzym w podstopnej ziemi antypody,
 Ów śmiały pasterz widzi je naocznie.
 Głowę ma w chmurach, a przepaść pod nogą,
 A sam, bezpieczen bohaterskim wzorem,
 Na kruchych sękach, co wnet pęknąć mogą,
 Stoi odważnie i rąbie toporem.

XVIII.

Po ruskich lasach—niedźwiedzi bez liku,
 W polarniej ziemi zwyczajne ich życie.
 Ruś—mało głosek przemieniając w szyku,
 Krajem niedźwiedzi zwaćby przyzwoicie.
 Bo jak tu puszcze ciągną się niebliko,
 Tak z końca w koniec niemało ich baczę;
 Tutaj wygodne mają legowisko,
 Tutaj się lęgną pustelni kudłacze,
 Tutaj ich nęcą miodowe słodycze,
 Tu w każdym drzewie jest przynęta słodka.
 O! ileż razy szpony rozbójnicze
 Wydarły pszczelnik ubogiego kmiotka!
 Zwierz dłonio-nogi chętnie tu siedzi,
 Czuwa nad kłody i barćmi leśnemi.
 Mówią, że dziwny jest poród niedźwiedzi,
 Niezwykłym kształtem ich rodzaj się plemi.
 Matka swych dzieci nie poznaje prawie,
 Bo małe szczenię jako potwór sterczy,
 Tyle brzydoty na całej postawie,
 Jakby kto przeklął cały plód krwiożerczy.

Dopieroż z laty, kiedy się wychowa,
 Niedźwiedź niedźwiedziem zostaje nieznacznie.
 Skoro się gwiazda zaiskrzy grudniowa,
 A zima mrozić i śnieżyć się zacznie,
 Niedźwiedź się w lasy głębokie zawleka,
 Śpi całą zimę i jadła nie bierze;
 Tak czynią wszystkie, krom tych, co u człeka
 Służą dla zbytku, jak domowe zwierzę.
 Rusin z nienacką czai się do łomu,
 A gdy samica odbieży na chwilę,
 Bierze piastuny i hoduje w domu,
 Aż się umocnią na potężnej sile.
 Wtedy niedźwiadek uczy się w pokorze,
 Siła i dowcip rosną w nim co chwila;
 Człowiek kudłacza ujarzmi i zmoże,
 Przed panem ziemi twór głowę uchyla.
 Kiedy mu trąbka zagrzmoce do ucha,
 Zwierz się wypręża i skokiem się chwali;
 Mruczy niechętny, ale przedsię słucha
 I ryczy taktem, jako mu zagrali.
 Wzrok mu się iskrzy, bo muzyka święta
 Wszędy króluje, potężna jój władza!
 Nieugłaskane hamuje zwierzęta
 I obyczaje leśne ułagadza.
 Gdzie jego dzikość silna, uporczywa?
 Posłuszny trąbie i skinieniom pana,
 Już jako człowiek niby twarz umywa,
 Już dziko płąsa, jak gawiedź pijana.
 Ach, omijajcie igraszkę takową,
 Czyste dziewice! idźcie do ustroni;
 Nie przychodź tutaj, skromna białogłowo,
 Wstyd ci rumieńcem oblicze zapłoni....

Tak po ulicach na pręcie łańcucha
 Wiodą niedźwiedzia Rusinom na dziwo;
 Tu fletnia jęczy, tu grzechotka grucha,
 Trąbka uderza silnie a grzmotliwo.

XIX.

Jest w Rusi zając, i biały, i szary,
 Jest biały niedźwiedź i wszelki zwierz gruby,
 I miętko-welnych lisów tu bez miary,
 Tu wiodą handel bogatemi szuby.
 Tak wiele złota nawet i w Kolchidzie
 Nie miewał żeglarz za swój plon zupełny,
 Choć Argonauta pod żaglami idzie
 Po złote runo i bogactwa welny.
 Runem tutejsze wslawiły się kraje,
 Welna tutejsza ma cenę ze złotem;
 Takie bogactwa ziemica wydaje,
 Pokryta lodem i wiecznym sumiotem,
 Gdzie mroźne gwiazdy iskrzą po kolei,
 Kędy nie znają wiosennej zaciszy,
 Gdzie jest ojczyzna chłodów i zawiei,
 Co wściekłym rykiem wiekuiście dyszy.
 Gdy ostry wicher nad Rusią zaśwista,
 Zamiera ziemia, kamienieje rzeka,
 Ucieka przed nim wszelka chmura mglista,
 A przy pogodzie mróz silniej dopieka.
 Nawet grzbiet morski, pienisty a czarny,
 Więzami skuje kra gęsta i tęga.
 W hyperborejskiej jaskini polarnéj
 Mróz się i wicher rodzi i wylęga.
 Tam wieczna ciemność, mróz pali ogniście,
 Dwa razy na rok jutrzienka zabłyśka,

Z drzewa spadają obumarłe liście,
 Zamiera w śniegu zieloność pastwiska.
 Boreasz westchnie—a z ust jego lecą
 Szalone wichry, jak złowrogie słowa;
 Próżno oddechem chciałby zagrzać nieco,
 Wieje mu z piersi szaruga grobowa.
 On tchnieniem życie przyrody wyziębi,
 Fala zastygnie i stanie. pomału.
 Nie płynąć nawie,—oto już na głębi
 Zmurował grube sklepienie kryształu!
 A wiatr po lodzie prześlizga się jeszcze,
 I pyły śniegu z szelestem zamiata,
 I huczy piosnki ponure, złowieszcze,
 Jak gdyby tryumf na pogrzebie świata.
 Tam kupa śniegu, szronem potrząśnięta,
 Płonie iskrami, jak gdyby żar świeży;
 Z tych iskier sierścią odziane zwierzęta
 Biorą swój połysk i cenność odzieży.
 Tam całe hordy krainy jałowej,
 Gdzie nie ma wiary, ni miasta, ni prawa,
 Z łukiem i strzałą wychodzą na łowy,
 Ztąd ich pożycie, ztąd cała zabawa.

XX.

Litwa, co z Rusią na ościennój roli,
 Nabywa od niój futrzane towary,
 Kupuje miechy puszystych soboli,
 I kożuch wileczy srebrzysty i szary,
 Kuny, króliki i zajęcze łona,
 I ciepłe lisy, i wiewiórcze kity,

Łasice miękkie, jak woda lecona:
 Tak niewieścieje Litwin znakomity!
 Moskwa i Litwa, co dadzą ich kraje,
 Wnet do Lublina przywożą gromadnie;
 Co tylko w świecie przedawać się daje,
 Tutaj wszystkiego dopytasz się snadnie.
 Czém są bogaci Turkowie, Arabi,
 Czém Indyanie, wszystko się odsoni:
 Tu pełno wschodnich bogatych jedwabi,
 Pełno sabejskich kadzideł i woni.
 Brytański kupiec, co w podróży długiéj
 Obiegł krąg ziemski na korabli kruchéj,
 Łakomy plonów północnéj żeglugi,
 Tutaj kupuje moskiewskie kozuchy.
 W Lublińskiem mieście zgromadza się wiernie
 Płód całej ziemi z blizka i z daleka;
 Tutaj nie braknie na starym Falernie,
 Jest sok z winnicy Węgrzyna i Greka.

XXI.

I z dróg lądowych, i z morskiej topieli,
 Bachu! do Polski twoje dary płyną;
 Z ojczyzny twojej, o synu Semeli!
 Oto Kreteńczyk przywozi nam wino!
 Wszak mamy doma upijać się o czém,
 O Bachu! cofnij szczodroblive dary!
 Choć my na Rusi winogron nie tłoczmy,
 Tworzym pieniste ze chmielu wywary.
 Widać dwóch Bachów było panowanie,
 Którzy się państwem dzielili na poły,
 Jak Pluton w piekle, Neptun w oceanie,
 A Jowisz sprawiał powietrzne żywioły, —

I że dwaj Bachy w jednostajnej mierze
 Wzięli dwa państwa, dzieląc nieobłudnie:
 Jeden wziął w podział tutejsze półsferę,
 A drugi zasię gorące południe.
 I tak we dwoje zawładali światem,
 Który najmiliej ich poddaństwo dźwiga:
 Bachus południa był bardziej bogatym,
 Pierwój mu wzrosła bluszczowa łodyga,
 Bo tam, gdzie słońce płomieniściej grzeje,
 Winniczne wzgórki zarodziły skoro;
 A u nas zimno, daremne nadzieje,
 Tu kłosa zboża ledwie się wybiorą.
 Sarmacki Bachus próżno się mozoli,
 Ziemia nie plęży latorośli wina,
 Szczepy wymarżyły, — on mimo złej doli
 Na nowo sadzić i szczepić zaczyna.
 Z winnej gałązki wyrasta chwast duży,
 Zdziczały zimnem — nazwano go chmielem;
 Lecz i ten głowę zmroczy a odurzy,
 I wiejskie troski zamienia weselem.
 Przerasta trawę i pod siebie chyli,
 Już jej swobodnie nie doczekać lata;
 Czy tam krzak wierzby, czy kupa badyli,
 Chmiel się uczepia i krzepko oplata.
 A jego owoc, kiedy się wywarzy
 Ze złotem zbożem w zdrojowym ukropie,
 Uczyni napój zdrowy dla żniwiarzy,
 Co go Sarmata puharami żłopie.
 Gdy się opilec nasycił do woli,
 Usypia drzemką na poły śmiertelną;
 Budzi się, czuje, że go głowa boli,
 I woła znowu o truciznę chmielną.

Rusin przy kufiu, jak Ikar, nie zginie,
 Lecz chwali Bacha, pijąc nieleniwo.
 Imię Cerery dał swój mieszaninie,
 Bo troje bożyszcz wynalazło piwo:
 Bachus wesoły, co sady rozchmiela,
 Neptun, co wodą kryształową służy,
 A trzecia Ceres, co zboża udziela;
 Tak piwo karmi, upaja i durzy.
 A Bachus, widząc, że Rusini radzi,
 Że w smak śmiertelnym jego dobre dzieła,
 Wszędzie chmielowe latorośle sadi,
 By pamięć daru wieczyście słyneła.
 Więc chmiel się wije na krzepkiej podporze,
 Niekiedy drzewo przerasta o głowę;
 Bachus go pieści, rosnąć dopomoże,
 I sadi przy nim tyczki leszczynowe.
 Na niej szczepione okręca się ziele,
 Gałąź z gałęzią jednoczy się snadnie,
 Jak mąż i żona, jak dwaj przyjaciele, —
 Kto nie ma pary, na ziemię upadnie.
 Kiedy leszczyna, rosnąc na uboczu,
 Lub młoda wierzba swoje ramię poda,
 Chmiel ją swawolnym uściskiem otoczy,
 Rosną we dwoje, jako para młoda.
 Krzew Bachusowy nietylko w gęstwinie
 Nad nieczułemi drzewami się zneca:
 W człowieczej głowie czepia się i winie,
 W pijaném oku cały świat okręca,
 Wyczy skoków, ozuchwali rękę,
 Ognistą śmiałość wywoła do głowy,
 Szepnie do ucha wesołą piosenkę,
 Którą wyspiewa biesiadnik kufiowy.

XXII.

Bachus sarmacki rad, że się przyjęło
Chmielowe zielsko, po niedługim czasie,
Uczy przychodnie uprawiać swe dzieło,
Gdzie jeno łąka do uprawy zda się.
A w téj uprawie biegli Haliczanie
Ciągną ze chmielu korzyści nielada:
Ich towar głośny, póki świata stanie,
Kupią go wszędzie, kędy Bachus włada.
Chmiel i winograd, dwaj bracia rodzeni,
Z nich jednakowa i cześć, i ozdoba;
Jednakim kształtem każdy się zieleni,
Zarówno podpór potrzebują oba.
Winograd liście na wiązce obwija,
Do chmielu służy leszczyna, co w borze;
Winograd wicią mocują do kija,
I chmiel bez tyczki ostać się nie może.
Chmiel i winograd jednako się plenią,
Każdy z korzonków rozmnażany bywa;
Zbiór winogradu przychodzi jesienią,
I chmielna szyszka wtedy się obrywa.
Wino umysły napawa weselem,
I krąży głowę Bachowój czeladzi;
Nie gorzej z naszym powodzi się chmielem,
Sarmackie zielsko zarówno oczadzi.
Pijaństwo, zjęte węzły braterskiemi,
Panuje krajom i dodawa chluby;
Każdy wychwala owoce swój ziemi:
My nasze piwo, Grek swoje Cekuby.
Z winnego kraju śpiewak Iliady
Opiał swe wino pod niebieskie sfery;

A chmielny kufel halickiej biesiady
 Bierze początek z Bacha i Cerery.
 Na cześć Neptuna wlej wodę z potoku,
 A będzie napój wdzięczy dla żniwiarzy;
 Lecz jakieś bóstwo w złośliwym widoku
 Z darów Cerery truciznę nam warzy.

XXIII.

Nie wiem zaiste, kto w pierwszej osnowie
 Ognisty napój wymyślił z gorzelnie?
 Kto jest ów zbrodniarz i jako się zowie?—
 By go przeklęctwu oddać nieśmiertelnie.
 Przebóg! nie z Rusi ta zaraza roście,
 Nie znano w wioskach takowej niedoli;
 Chyba bogaty w chorobie lub poście
 Zażył kropelkę orzeźwieniu gwoli.
 Ktoś nieprzyjazny—Szatan mu na imię—
 Styksowym jadem chciał zatruć nam zmysły:
 Wynalazł napój, wywarzony w dymie
 I z czarnej sadzy gorzelniej wytrysły.
 Skażone przezeń usta pijanicy
 Zabójczy oddech wyziewają z dala;
 Ktoś bierze dochód, a wieśniacy dzicy
 Piją, choć cierpią, choć pierś się przepala.
 Pijąc, przeklina truciznę paloną,
 A traci na nią wszystko do szeląga;
 A choć gorączka przejada mu łono,
 Na nowo rękę do czary wyciąga.
 Gdy czadna para w mózgu się zakręci,
 Trucizna członki ogarnia co chwila,
 Wtedy opilec pragnie tém goręcej
 I pożądlivięj kielichy wychyla.

Wnet się zawściekla, w oczach mu się dwoi,
 Kłamliwa kraska na twarzy zakwitnie,
 Wola samopas bezrozumnie broi,
 Na czole bezwstyd osiada dobitnie.
 Krzyk zamiast mowy i przeklęstwa krocie,
 Gniew zamiast słowa i pochop do wojny,
 Zamiast wesołych gwarów przy ochocie,
 Żart obelżywy, lub śmiech nieprzystojny.
 Szatan się cieszy, że zdołał bezwładnie
 Zakować rozum i uwikłać w pęta.
 Jeniec upada, na ziemię się kładnie,
 Istoty ludzkie leżą jak zwierzęta.
 O! żaden napój, ani żadna praca,
 Tyle ni ognia, ni waśni na świecie!
 Tak słabną siły, dzielność się utraca,
 I marnie idą najpiękniejsze lecie.

XXIV.

Choć ruska ziemia nie ma winogradu,
 Za to nam pszczoły miód obficie wloką;
 Dość jeno zajrzeć do lasu lub sadu,
 Tam pełno plastrów z klarowną patoką.
 Rosa niebieska upada na kwiatek,
 Ztamtąd ją pszczoła pracowicie zgarnie,
 W spróchniałych drzewach zamożny dostatek
 Drobne owady lepią gospodarnie.
 Podkurzą ule kmiecie pracowici
 I biorą plastry ze pszczelnój budowy.
 Miód z chmielną wodą kiedy się rozsyci,
 Tworzy się napój posilny i zdrowy.
 Włoski mieszkańcze! cóż twoje nektary?
 Co twoje wina przed nektarem Rusi?

Wino jest z ziemi błotnistej i szarój,
 Miód prosto z niebios spuszczone być musi.
 Miód rosa niebios i manna jedyna—
 Pszczółka ją zbiera do swego zacisza;
 Miody sycone lepsze są od wina,
 O ile Bachus niższy od Jowisza,
 Jak wyższe niebo nad poziom ubogi,
 Zkąd się wyradza winogronna trawa.
 Miodem zaiste nieśmiertelne bogi
 Kwitnąca Hebe w Olimpie napawa.
 Bo żniwem bogów są górne obłoki,
 Człek żyje z tego, co ziemia przysporzy.
 Niech inszy w winie piją ziemne soki,
 My Haliczanie mamy nektar boży.
 Szczęsny Rusinie! od niebios masz wsparcie:
 Krople jutrzeńki i wieczornej tęczy,
 Szczęsna twa ziemia, obfite twe barcie,
 Starowna pszczółka wesoło ci brzęczy;
 Gęstemi rojmi w wypróchniałém drzewie
 Mnożą się pszczoły zatrudnione pracą;
 Często ukryte, że i człowiek nie wie,
 Nikomu miodnej daniny nie płacą.

XXV.

Chcesz, czytelniku? mam powieść do rzeczy,
 Wszak starych żarty wesołe bawiły;
 Wielki mąż nigdy powieściom nie przeczy,
 Przyjm to za prawdę, czytelniku miły;
 I królom nieraz baśnie spodobały,
 Więc przebac, żeśmy łatwowierne żaki.
 Stał sobie w lesie pień stary, spróchniały,
 Zbiły go żółny, podgryzły robaki.

Tam, kiedy światło słoneczne postraszy,
Do pustej rdzeni chowała się sowa,
Snadź, kiedy sejmik zgromadzi się ptaszy,
Wypaść z nienacka na zdobycz gotowa.
W końcu i mieszkać sprzykrzyło się sowie;
Pień stanął pustką stoczony i zgniły.
Robocze pszczoły dostrzegły pustkowie,
I tutaj, brzęcząc obóz założyły.
Swego monarchę przywiodły do ula,
Ten zajął państwo szerokie z rozkoszą,
Zasnuły plastry i chatkę dla króla,
I z wolna miodem kryjówki zanoszą.
Zbierają plony, co niebo dać raczy,
Gdzie żadna w ciszy nie zastraszy burza,
Nie płacą ludziom corocznych haraczy,
Nikt nie podrzyna, nikt ich nie podkurza.
Rzeczpospolita, gdy tyrana złoży,
Zwykle silnieje i wzrasta zamożnie:
Chciwy poborca czynszem nie zuboży,
Wieśniak dla siebie swoje plony później,
Sterczy do niebios obfita stodoła,
Szerzą się trzody, mnożą się owczarnie;
Tak pszczołki, człeka nieznające zgoła,
Pracują chętnie, bo nikt nie zagarnie.
Przez mnogie lata do kryjomych składów
Coraz bogatsze gromadzi się mienie,
To praca wnuków, tam praca naddziadów,
Plon z pokolenia idzie w pokolenie.
Cała rdzeń dębu plastrami zakryta,
Aż do wierzchołka stos miodu urasta:
Tak kiedy króla pozbył się Kwiryta,
Wnet uzamożnił mury swego miasta.

Zgłodniały niedźwiedź dopatrzyl zdobyczy
 I w starych plastrach pożywiał się dosyć;
 Wkładał się często w otwór tajemniczy,
 Głód go nauczył przeciwności znosić.
 Nic mu sękata gałąź nad otworem,
 Nic, że od żadeł paszczęka opuchnie.
 Tymczasem Rusin, wędrujący borem,
 Obaczył pszczoły, że lęgną się w próchnie.
 Nielacny przystęp, lecz warto zachodu
 Drzeć się przez chrósty i widlate sęki.
 Włazi na drzewo, widzi pełno miodu,
 Ale nie sposób ująć go do ręki.
 Więc myśli w duchu: „Wnijdę do czeluści,
 „Tu mi nie będzie głębiej, jak po ramię!“
 I w środek dębu odważnie się spuści,
 Ciężarem woski ugniata i łamie.
 Ale niestety! to zamiar niewczesny,
 Pierś dębu była próżna aż do ziemi:
 Ugrzęza w miodzie, jako ptaszek leśny,
 Schwytan na lepie sidły ptaszniczemi.
 Jak owad w smole, tak Rusin w patoce,
 Tém głębiej grzęźnie, im w górę się bierze;
 Więc się szlochaniem rozwodzi szeroco,
 I wzywa Boga, i mówi pacierze:
 — „Jak się wydostać z téj dębowej ściany,
 „Gdzie się nie ruszyć ni ręką, ni nogą?
 „Jak skruszyć żółte woskowe kajdany?
 „Zbawilby powróż—tu nie masz nikogo!
 „Nikt mię powrozem w górę nie wywierci,
 „Tu mię zamorzy miodowa niewola.
 „Lecz mniejsza umrzeć, ale czekać śmierci
 „W słodkiem bagnisku! biednaż moja dolal

„Widzieć za życia, że już po pogrzebie,
 „Na śmierć powolną patrzeć licem w lice...
 „Jeśli jest jakie miłosierdzie w niebie,
 „Wybaw mię, Boże, z miodnej grzędawice!
 „O dolo moja! wzywam cię nieśmieie,
 „O dolo moja! wyratuj mię z matni!
 „Słodkie są miody, lecz ich tu za wiele,
 „Kleją mi usta i oddech ostatni!
 „Tu samo płynie, za usta się bierze,
 „Nie trzeba zgoła trudzić się rękoma;
 „Tutaj mój obiad, tu moje wieczerze,
 „Już mi, niestety, nie wieczerzać domal
 „Złodziej się dowie, że gospodarz w kniei,
 „Do mojej chaty wnijdzie pokryjomu,
 „Ja tutaj w siłach—któż pojma złodziei?
 „Już mi, niestety, nie wrócić do domu!
 „Nie śmiem się spodzisać, lecz jeśli z tych jarzem
 „Raczysz mię wyrwać, Miłosierny Panie,
 „Ślubuję złożyć przed Twoim ołtarzem
 „Dary bogate, na jakie mię stanie:
 „Ślubuję przynieść woskową gromnicę,
 „Grubszą i większą, niż ten dąb na trawie,
 „I tysiąc kadzi miodowych nasycę,
 „I na tém miejscu świątynię postawię!“

Jedno się sądy uśmiechnęły boże
 Z kłamliwych ślubów w ocaleniu zdrowia.
 Oto... coś ciemno w dębowym otworze,
 I ryk straszliwy drgnął echem pustkowie;
 Człowiek oniemiał, we dwoje się skula,
 Bo zwierz kudłaty wpełza do zacisza;
 Niedźwiedź, przywykły wkradać się do ula,
 Przyszedł, nie sądząc znaleźć towarzysza.

Wyciąga szyję po plastr upatrzony,
 Jako zwykł czynić borowy bandyta;
 W złamanym wosku zatapia swe szpony,
 Gdy człek z nienacka za łapę go chwyta.
 Cofa się z ciemna, przerażony srodze,
 A Rusin, widząc, że mu szczęście płuży,
 Krzepko uczepion na kudłatęj nodze,
 Pomknął się w górę z gleistęj kałuży;
 Człek łapę zwierza schwycił jak żelazem,
 Zwierz, by ją wyrwać, wysilenie czyni,
 Tak, przerażeni, wspinając się razem,
 Wyszli łupieżcy ze pszczelnęj jaskini.
 Niedźwiedź, ze strachu umarły na poły,
 Upadł na ziemię—Rusin go dogrzmotą.
 A ów, co stawił świece i kościoły,
 Zapomniał Bogu poślubione wota.
 Ubryzgan w miodzie i we krwi niedźwiedzięj,
 Wymknął się z lasu, jako mara blada;
 Przyszedł do domu—zeszli się sąsiedzi,
 A on im swoje dziwy opowiada.

XXVI.

Dotąd wam lasy snulem przed oczyma,
 Teraz do miasta zabłądzić się musi.
 Tutaj Lwów święty przodkowanie trzyma,
 A wieże jego—to ojcowie Rusi.
 Witaj nam, grodzie poważny a stary!
 Miła w twych murach wypocznienia chwilka.
 Od ciebie wieje namaszczenie wiary,
 A bramy twoje zaparte od wilka.
 Nigdy łupieżca haraczu nie bierze
 Ze krwi i runa owczarnie téj ziemi;

Bo tutaj mają tron arcypasterze,
Ich czujne oko niełacno zadrzemie.
Oni, starowni w służbach Zbawiciela,
Pilnują wiary i pokory serca;
Senat starunek pasterski podziela,
By nie siał jadu żaden nowowierca.
Lwowie kamienny! nowość cię nie mamy,
Nie daj się zachwiać jako wąż zieleń!
Wiekować tobie z twojemi basztami,
Z twemi kościoły i krzyżem na czele,
I z twoją górą, co ku niebu idzie,—
Łacno ją dojrzeć i w najdalszej stronie.
Tuśmy gościnę dali Pierydzie,
Tu mieszka chętniej, niż na Helikonie,
Jak gość odwiedza świątynie i bramy,
I woła głosem z płomienistą twarzą:
Lwowie! my ciebie z cześcią pozdrawiamy,
Bo losy świata w twych murach się wazą.
Inny kraj skarby pojedyncze liczy,
Tu wszystkie skarby gromadzą się cudnie;
Bo tu jest ziemia, którą graniczy
Lodowa północ i wrzące południe.
Co rodzi ziemia na północnej osi,
Wiozą moskiewskie telegi i sanie;
Co pod równikiem natura przynosi,
Tu idzie lądem i po oceanie.
Nad temi dachy złoty obłok płynie,
Wieżyce mglistą owionione szatą;
Zda się w niebiosach te wszystkie świątynie,
Co tak ozdobne świetnie i bogato.
Tutaj krom innych w cichym monasterze
Są pracownicy Chrystusowej niwy;

Prawo Bernarda wypełniając szczerze,
 Wiodą ojcowie żywot wstrzemięźliwy.
 Dalecy świata, zapomniawszy siebie,
 W szarzej sukmanie, jak ustawa każe,
 Żyjąc o kupnym lub żebranym chlebie,
 Dienne i nocne wymodlają strażę.
 Za nic im cisza, czuwanie i posty,
 Niestraszna duszy bezsenna fatyga;
 Każdy z nich ciała nie oszczędza chłosty
 I krzyż ubóstwa z dostojnością dźwiga.

Owo włosaci handlowni Ormianie
 Przywożą towar ze Wschodu bogaty;
 U nich tureckich kobierców dostanie,
 U nich złotogłów i jedwab na szaty;
 Wonny cynamon, co lubimy tyle,
 Do ich towarów przywoźnych się liczy;
 Pieprz, trzcina, imbir i słodkie daktyle,
 Kwiat muszkatowy i szafran dziewiczy.
 Tu porzuciwszy macierzyste progi,
 Domem osiedli armeńscy mężowie,
 Wznieśli swój kościół obszerny i drogi,
 I swym obrządkiem modlą się Jehowie.
 Tu, grecki Rusin i domami żywie,
 I grecką wiarę swobodnie wyznaje,
 I swoje cerkwie buduje szczęśliwie,
 I swojej cerkwie pełni obyczaje.

Tu na przedmiejskich kałużach się wiodą
 Chałupy Żydów, odartych nędzarzy;
 Każdy jak kozieł oszpecony brodą,
 Z wieczną bladością na usciech i twarzy.
 Niesfornym krzykiem wre ich synagoga,
 Wrzeszczą w sto głosów modlitwę sabatu,

Ich ślepa ciżba urąga się z Boga,
 I prosi o to, co już dano światu.
 Spytasz: przecz wilka wpuszczać do owczarnie?
 Co tutaj robi ów chytry ród węży?
 Nieprawe zyski najłapczywiéj garnie
 I srogą lichwą ubogich ciemiéży.
 Wszak robak dębu nie wyniszcza razem,
 Lecz go na próchno przegryza pomału.
 Jak rdza się pastwi nad twardém żelazem,
 Mól szkodzi sukniom, a pijawka ciału,
 Tak Żyd—włóczęga przez sztukę bezprawi
 W ciało społeczne wpije się i wroście,
 Nasze bogactwa pozrze i przetrawi,
 Pochłonie wszystkie kraju posiadłośćcie.
 Obaczą króle, z kąd szkodliwa rana,
 Rzeczpospolita jęknie po niewczasie,
 Gdy krew z jéj ciała będzie już wyszana,
 I wszelkie życie obumarlém zda się.
 Zwróćmy oblicze od tego narodu,
 Kląć się nie godzi,—żegnajcie, niewierni!
 Wracajmy raczéj do pięknego grodu,
 Co się z daleka bieleje i czerni.
 Pamiętne miasto, urzędy i prawo,
 Wyniosłe wieże i wysokie bramy,
 Sarmackich królów gościnna zabawo,
 O święty Lwowie, gdzie chętni bywamy!
 Od twoich murów aż się mży powietrze,
 Twe szyby błyszczą, jak gdyby ogniska,
 Z twojemi baszty aż chmura się zetrze,
 A stopa twoja podziemie naciska.
 A zegar, wdzięcznie bijący na wieży,
 Ciche godziny rozwlekle ogłasza;

Czas wzięty w kluby wskazówką się mierzy,
 W koło go wprzęgła umiejętność nasza.
 Młotek uderza po dźwięcznym metalu,
 Echo powtarza za każdą godziną:
 Mineła chwila!... o warta jest żalu,
 Bo czas szacowny bez powrotu płynie!

XXVII.

Pora zanócić o Zamościu pienie.
 Sam Bóg do murów powołał te cegły,
 Oto rzucono węgielne kamienie,
 W gwieździe Saturna cne czasy się zbiegły;
 Wertumnus w jasnej przyświeca kolei,
 Merkury wdzięczne wyjaśnił oblicze,
 Gwiazda Jowisza i miłej Astrei
 Świeci na nowe mury sądownicze,
 Gdzie zbrojna w zakon zasiądzie na nowo
 Z radnemi pany Temis sprawiedliwa.
 Tam kują mury wieżycą śpiżową,
 To postrach wrogów, to twierdza Gradywa.
 I Mars zawołał:—„To moje Zamoście,
 „Tutaj stolica wojennego boga;
 „Prędzój tu działa śpiżowe zanoście,
 „Tu sarmackiemu rycerstwu załoga!
 „Siła turecka w tych murach się złamie,
 „Tych baszt spłoszony Tatar nie zdobędzie,
 „Nie stać na rozcież Janusowej bramie,
 „Gdzie Mars żelazny na stolicy siedzie!“

XXVIII.

Stary Kijowie, starych kniaziów dworze,
 Co masz pamiątek z upłynionej chwili!

Wieśniak je chyba na stepie wyorze,
 Lub ktoś wykopie z gruzów i badyli.
 Mówią o szczątkach starożytnéj Troi,
 Ale ja basień kłamliwych nie chwale.
 Powiedz mi, Poncie, o przeszłości swojéj,
 Gdzie owe łodzie, coé barwiły fale?
 Gdzie źródła Idy, albo Samoenty,
 Przy których stała Pergamu ruina?
 Stary Kijowie! ja wierzę w tve szczęty,
 To mi tatarską klęskę przypomina.
 O! często wroga widziały tve wieże,
 Niszczyli wioski łupieżcy dalecy;
 Niedarmo oracz i na pole bierze
 Pałasz do boku a kołczan przez plecy.
 Krwią już przesiąkła skiba na poparze,
 Krew się rumieni na kłosach ze żniwa.
 Nieraz, gdy siądą południać żniwiarze,
 Wróg uzbrojony obiad im przerywa.
 Przebrzydły Tatar, we zbójeckim tłumie,
 I nasze wioski niszczy i zapala,
 I Dnieprem przebrnąć i przepłynąć umie,
 Choć fala Dniepru jako morska fala.
 Wiąże na trzcinę, krępuje do łyka
 Bezbronnych jeńców, a strzegąc swéj głowy,
 Przed zbrojnym mężem na koniu umyka.
 Gdzie niesie noga i wicher stepowy.
 Goloną głowę kosmykiem oszpeca,
 Goloną szyją czerwienieje sprośnie,
 Okrom czupryny wygolonej nieco,
 Na całej twarzy żaden włos nie rośnie.
 Niekiedy broda na ich twarzy dzikiéj
 Sterczy obrzydłe, lecz częściej twarz naga;

Jeno się z głowy wiją dwa kosmyki,
To jeszcze bardziej straszyć dopomaga.
Na czarnej Rusi Kijów dla pielgrzyma,
Jako Rzym dla nas, bo świętym się zowie.
Myślisz, na Rusi swoich cudów niema?
O! są tu cuda we starym Kijowie.
Są tu pod miastem głębokie pieczary,
Gdzie dawnych książąt drużyna spoczywa,
Proch wielkich mężów szacowny i stary
Liczy za świętość wiara niewątpliwa.
Nic ich zgnilizna, ni czas nie odmieni,
Pod szkłem wiekują nieskażone prochy.
Takie są cuda pieczarnych sklepieni!
Kto je wykopał? kto wyrył te lochy?
A tak daleko ich pasmo się znaczy,
Że królom kować nie stałoby złota;
Ja zaś wierzę twierdzeniu badaczy,
Że to krom dziwów natury robota.
W ziemi są rzeki, jako pulsa w ciele,
Płyną w jej piersiach pieczarą ukrytą;
Jak rzeka u nas ma kierunków wiele,
Tak i podziemna zmienia swe koryto.
Tymczasem przejdzie wiek jeden i drugi,
Łożysko wyschnie i stęży się w ścianę;
Tak wiekuiste utworzą się cugi,
Jak gdyby lufty młotem wykowane.
Ruskie pieczary takiego są dzieła,
Które lud cześci poważnym obrzędem.
Niegdyś tu rzeka podziemna płynęła,
Dziś jeno lochy, wyrwane jej pędem.

XXIX.

A ty, Kamieńcu, słynny znakomicie!
 Kto godnie twoją wyśpiewa pochwałę?
 Kto cię osadził na twardym granicie?
 Człowiek nie zdołał wrzucić cię na skałę.
 Nie z ręki ludzkiej, nie z uczonej karty,
 Lecz na skinienie wszechmocnego oka,
 Na jednéj skale cały gród oparty,
 A całe miasto to jedna opoka.
 Bóg, nie zaś człowiek, wykował cię z głazu,
 Bóg, nie zaś człowiek, zdobędzie cię siłą;
 Człek jest zrodzony, tyś stworzon do razu,
 A stworzon pierwěj, gdy czleka nie było.
 Gdy przyjdzie skonać zastarzałej ziemi,
 Ty musisz skonać, jěj urodzin świadku;
 Lecz jakeś stanął przed miasty inszemi,
 Tak i zaginiesz chyba na ostatku.
 Nie bój się, czleku, bo cię Niebo trzyma,
 Lecz gdy powstaniesz na Ojca, co w Niebie,
 Znajdzie się mściciel na miasto olbrzyma,
 Ten, co cię stworzył, i w prochu zagrzebie.
 Módl się do Pana—masz znaczne kościoły,
 Masz tron pasterski, zkąd żegnanie bierzem;
 Kiedy Łuck musi dzielić się na poły,
 Ty sam, Kamieńcu, chlubnys twym pasterzem.

XXX.

Owo Busk, który swojemi zakręty
 Dwakroć Bugowa otoczyła fala.
 Tu Sokal—pamięć potrzeby zawziętej,
 Któżby zapomniał wymienić Sokala?

Gdzie wywyższany dom Bogarodzicy
 Wylewa światu miłosierdzia wiele?
 Owo Horodel—w mokrój grzęzawicy
 Chowa zórawie i błotne chróściele.
 Belz, co z bagniska wydzwiga swe głazy,
 Gród wojewódzki na całą krainę.
 A ty, Przemyślu, szczęśliwy dwa razy,
 I ciebie w pieśni mojej nie pominę.
 Godzienesz wzmianki, bo San słodkowody
 Twe mury swemi opasuje kręgi,
 I dwaj pasterze Chrystusowej trzody
 Złożyli tutaj trony swój potęgi.
 Niemal u nas i źródeł się liczy,
 Bogatych solą, jako łaską bożą;
 Tu pierwsze miejsce źródłom Drohobyczy,
 Zkąd sól ojczystą w całą Ruś rozwożą.
 Miasto Chełmińskie z okolicznym krajem
 Jasno bieleje, bo tu kredy dosyć.
 Pasterz tutejszy, starym obyczajem,
 Winien nazwisko chełmińskiego nosić,
 Lubo Krasnystaw przez różne koleje
 Odjął świątynię zacnej metropoli.
 Tu, mówią, sosna ścięta kamienieje;
 Nigdy nie widział, słyshałem do woli.
 Pod Krasnostawem szerokie jezioro
 Nadało miastu imię od swój fali;
 Rzeka Wieprz, płynąc ogniście i skoro,
 Zatopi łąki i lasy obali.
 Wieprzowa woda rozlana w jezioro,
 Tworzy zatokę, albo przesmyk rybny;
 W pienistych wirach rybołowy biorą
 Do swoich sieci połów nieochybny.

Widziałem w rzekach ryb wszelkie rodzaje
 I w przepaścistój jeziora czeluści;
 Przepławna rzeka wolny połów daje
 Każdemu z ludzi, co siatkę zapuści.
 Nie biorą plonów właściciele sami,
 Lecz wszelki ziomek Pospolitój rzeczy:
 Wolno mi ptaszki łowić pod chmurami,
 A któż mi w rzece poławiać zaprzeczy?
 Jezioro w karbach wiekuistój haci
 I rzeka rybna, to są dary boże:
 Nie kopał rzeki żaden z moich braci,
 Żaden wyłącznie korzystać nie może.

XXXI.

Nie będę w dłuższym rozszerzał się liku,
 Choć godne piesień nasze miasta skromne;
 Poczynasz tęsknić, śpieszny czytelniku,
 Więc grodów ruskich ostatek przepomnę.
 Rozpowiem zwyczaj i obyczaj wszelki,
 Jakowym ludzie rządzą się na Rusi.
 Gdy dziecię wyjdzie z łona karmicielki,
 W leconój wodzie omywać się musi.
 Zaledwie pierwszym wołaniem zawoła,
 Jako natura uczyła niemowę,
 Wnet się dziecina niesie do kościoła,
 Gdzie chrzestny strumień leją jój na głowę.
 Wioskowe dziecko zaledwie w powiciu,
 Zaledwie boży świat ujrzy z oddali,
 Słuszna mu płakać, bo przy dalszém życiu
 Niemalży ciężar na barki się zwali.
 Słuchaj, jak matka nad małą kolebką
 Śpiewa jękliwie i w nocy, i we dnie:

— „Nie płacz, malutki! a hodu j się krzepko,
 „Te łzy, to twojój doli przepowiednie.
 „Poczynasz płakać i tak aż do końca
 „Płaczliwa będzie piosenka twój dole!“
 Rzekła, i usty spiekłemi od słońca
 Kładzie całunek na drobne pacholę.
 A dziecię słucha, i klaskając w usta,
 Ssie pierś matczyną z zapalem słodyczy;
 Ale pierś matki znędzniała i pusta,
 Pokarmu nie masz, a niemowlę krzyczy.
 Matka z niem cierpi we dwójnasób tyle,
 Idzie nad strumień lub staw niedaleki,
 I niby grozi:— „Poprzestań na chwilę!
 „Poprzestań płakać, bo wrzucę do rzeki.
 „Zjedzą cię ryby, co na wodzie płyną.
 „Ej przestań, mały, ostrzegam za wczasu:
 „Ot idą wilki! a cichoż, dziecino,
 „Bo cię wyrzucę wilkowi, co z lasu.
 „Cicho, mój kwiatku! coś boli dziecinie,
 „Albo wróżbitka złém okiem urzekła.
 „Nieszczęsne oko niech marnie wypłynie!
 „Bogdaj wróżbitkę wleczono do piekła!
 „Są u mnie wnuczki malutkie i hoże,
 „Główki kraskami i wstążkami kwieć:
 „Oddam ci wszystko, ucichnij nieboże...
 „Ha! ha! ucichło i zasypia nieco.“

XXXII.

Więc chrzestne baby do cerkwi je wioda,
 A cerkiew ruska o dwoistój bani,
 A w cerkwi pieją z niegoloną broda
 I z długim włosem tutejsi kapłani...

Kuma przychodzi i o chrzest się kłania,
Ksiądz albo prośby, lub datku posłucha.
Często na Rusi z chrzestnego nazwania
Bywa wróżbiarska na przyszłość otucha.
Ileż tu głosów zabobonnych tleje
I ludzkich podań zastarzałych zwłaszcza!
Wtém kapłan wodą dziecinę poleje,
Chryzmatem czoło, pierś, usta namaszcza,
A kiedy święte odmówił wyrazy,
Już się zbawienna dokonała praca;
I tak omyte z pierworodnej zmaży,
Dziecię z imieniem do domu powraca.
W drżącój kolebce, uwinione w szmaty,
Ma pokarm gruby i niewiele warty;
Nieczęsto matka przychodzi do chaty,
A dziecko rośnie, jako dziecię Sparty.
W pierwszej igraszce niedorośle dziecię
Ocugła kostur powrozami z łyka,
I niby jedzie na żartkim dzianecie,
Harcuje, skacze, w kółko się pomyka,
I chłosta różdżką nieżyjące drewno,
Jak gdyby rycerz sprawia się z rumakiem.
Ruś, wzięwszy drogę od pradziadów pewną,
Idzie do końca staroświeckim szlakiem.
Pełni przyjęte obyczaje wschodnie
I wschodnią wiarę nieodstępnie trzyma...
Rzymskiego prawa majestat monarszy,
Swojemi gromy téj wiary nie skruszy.
Jako z podania nauczylu starszy,
Tak Rusin wierzy w uległości duszy.
Długie i mnogie zachowuje posty,
We dni przedświątne jada wstrzemięźliwie,

A jego pokarm roślinny i prosty,
 Co jeno rośnie w ogrodach lub niwie.
 Woda za napój służy dla człowieka,
 Za pokarm bierze zieleninę polną,
 A zasię mięsa lub udoju mleka
 W dni umartwienia zażywać niewolno.
 W post się cielcowi mleko nie odbierze,
 Od piersi matki nie odłączy jagnię;
 Rusin nie czyni, jak owi kacerze,
 Postnych wędzideł przełamać nie pragnie.
 W dniach łez bolesnych, świętego zapału,
 W dniach Twojej śmierci i pogrzebu, Chryste,
 Kiedyby słuszna człowieczemu ciału
 Odjąć wygody i żądze nieczyste,
 Gdy wszyscy płaczą, heretyk się cieszy;
 U niego mięsna zbytówna biesiada,
 Kiedy u wiernej chrześcijańskiej rzeszy
 I ognia w domu niecić nie wypada.

XXXIII.

U nas na Rusi czasem przyjaźń święta
 Mocniej niż związek krwie powinowaci;
 Gdy dane słowo, prawica ściśnięta,
 Obcy się zwiążą stateczniej od braci.
 Przyjaźń wieczystą u stopni ołtarza,
 Biorąc Sakrament, przysięgają mężę;
 A rzadko rozbrat przyjaźni nadarza,
 Kto pobratymstwo w cerkwi zaprzysięże.
 Kradzież jest jako przemyślu gatunek,
 Kto zasię odkradł, z odwetu się szczyci.
 Umieją warzyć czarodziejski trunek
 Tutejsze wróżki i starzy wróżbici.

Widziałem nieraz o wieczornym mroku
 Leczące baby i wróżki złowieszcze;
 Widziałem, jako w bezchmurnym obłoku
 Swemi zaklęćmi sprowadzały deszczę.
 Potrafią wodę zaburzyć wyrazem,
 Szkodzić usiewom, załamywać żyto,
 I doić powróż, a za każdym razem
 Mleko z powroza wytryska obfito.
 Nieraz kochanek, posłuszny ich woli,
 Choćby z za morza do kochanki przyjdzie;
 Nie pióra orle, nie polot sokoli,
 Nie twoje skrzydła służą mu, Kupidzie!

XXXIV.

Tęskną miłością po swoim Fedorze
 Pałała młoda Rusinka Fedora.
 Ognistych uczuć zataić nie może,
 Miłość jak iskra do wybuchu skora.
 Idzie z darami do wróżbiarki wiernój,
 I tak wynurza boleść swego ducha:
 — „Władczyni piekieł, o córko Awerny,
 „Coć czarna fala Acherontu słucha!
 „Powiedz mi, powiedz, gdzie bawi mój miły?
 „Przywiedź go rychło do mojego łona:
 „Choćby nas kraje zamorskie dzielily,
 „Zaklnij, niech przyjdzie, bo umrę strapiona.
 „Przez ostre głązy, przez morskie rozdoły
 „Wnet niech pośpieszy i rękę mi poda.
 „Niech mi go wróćą przyjazne żywioły,
 „Czy to powietrze, czy ziemia, czy woda.
 „Jeśli mię radą wesprzeć nie zechcecie,
 „Nie zdołam przenieść mego serca burzel!“

Rzekła wróżbiarka:—„Uspokój się, dziecię,
 „Co może sztuka we wszystkiém usłużyć.
 „Przyjdzie kochanek z uściski czulemi,
 „Choćby go otchłań ukryła od świata,
 „Utopion w wodzie, zakopany w ziemi,
 „Albo z duchami po powietrzu lata.
 „Gdy nów niebieski promieniem wystrzela,
 „Wynijdź wieczorem w wesolej otusze;
 „Ja warząc proso i czarowne ziela,
 „Mieszać je będę i zaklinać duszę.
 „Z pośrodku mroku widziadło człowiecze
 „Zdołam wywołać dobitnie a rzeźwo.
 „Duch nadpowietrzny odpowiedź wyrzeczę,
 „Echa ciemności głosem się odezwą.
 „Zawyje puhacz, zastękną otchłanie,
 „A ziemia zadrży i hukiem wystrzeli,
 „Otworzy przepaść—a przed tobą stanie
 „Widmo po widmie, to w czerni, to w bieli.
 „Gdy się w widziadłach ciemność zawieruszy,
 „Pomnij, Fedoro! nie trwóż się w téj porze.
 „Twego kochanka miej obecnym w duszy,
 „A wara imię przypominać boże!
 „Z Bogiem nie zdobyć piekielnych podwoi,
 „Niebios i piekiel rozliczna jest władza:
 „Kogo Bóg wspiera, to szatan się boi;
 „Kto trzyma z piekłem, Bóg mu nie przeszkadza.
 „Siądziesz na ziemi odważnie i śmieie,
 „Wywrócisz suknię bramowaną w szlaki;
 „Ja ci uszpilę czarodziejskie ziele,
 „Co cię ochroni od klęski wszelakięj.
 „Sam ogień zstąpi żarzysty i nagły,
 „War czarodziejski ogrzeje widocznie,

„Kipiąc w ukropie nasienie od jagły
 „Takiemi słowy naszeptywać pocznie:
 „Przybądź, Fedorze! pośpieszaj, mój drogi!
 „Kochanka trunek czarodziejski warzy.
 „Jeśli przybędziesz, unikniesz pożogi;
 „Jeśli omieszkasz, ogień ci doskwarzy!“

Tak czarownica na Fedorę godzi,
 A ta z nadzieją oddała się od niej.
 Tymczasem słońce wieczorne zachodzi,
 Płoni się zorza na stronie zachodniej,
 I fale wodne zabłyły jaskrawo.
 Ziemia się czarnym całunem powleka,
 I sen, brat śmierci, nałożył swe prawo
 Na ciężką głowę strudzonego człeka.
 Wszystko ucichło, aż pies gospodarczy
 Ozwie się czasem, strzegąc domowiska,
 Grzmotliwie, gniewnie zaszczeka, zawarczy,
 Echo powtarza odgłos jego pyska.
 Albo gdzie puhacz, siedzący na strzesie,
 Złowrogim jękiem aż w serce zagrzmotnie;
 Głos jego smutne przepowiednie niesie
 Czułym kochankom, co tęsknią samotnie.
 Fedora, wzięwszy otuchę do łona,
 Tęskni po lubym soplakana i blada;
 Jako turkawka w locie postrzelona,
 Błąka się w ciemnie i na ziemię pada.
 Daremnie jęczy, tarza się po ziemi,
 Lecz serce wszędzie jednako płonęło.
 Przychodzi wróżka z zioły zatrutemi
 I czarodziejskie rozpoczyna dzieło.
 Czartom i widmom daje hołd ofiarny:
 Lecą maskary na głos czarownice,

Stawi się kozieł kudłaty i czarny,
Włos jego gęsty, a oczy jak świece,
Pyskiem i nozdrzmi płomieniście bucha,
Strasliwie rogi na głowie mu sterczą.
Idzie doń wróżka i zaklina ducha;
Duch jeno okiem migoce morderczo,
I pyta wróżki, co uczynić może?
Ona mu każe w strasliwym napiewie:
— „Idź, kozieroźcu, na ląd i na morze,
„Przynieś na grzbiecie kochanka téj dziewiel
„Rychło go znajdziesz, gdy przyspieszysz kroku,
„Wnet go wyszukaj choć w ciemnej pieczarze,
„Nieś go przez morza, nieś go przez opoki,
„Czy śpi, czy czuwa, dopełnij coć każe.“
Posłuszny kozieł zajęknął i zniknął.
A Fedor słodził swe wieczorne chwile,
Już od dawniejszej miłości odwyknął,
Już drugiej dziewie dał serce motyle.
Upojon winem i szczęściem pieśczęoty,
Chłodził po uczcie rozegrzane płuca.
Stróż go piekielny czekał po za wroty,
I rogiem bodzie, i na krzyż zarzuca;
Strwożony Fedor nie wie, co się święci,
Mniema, że trafem zawadził o kozła.
Postać go chwytą, po nad lasem kręci,
Kręci nad wodą i bystro powiozła.
Baszty i wieże pod stopami lecą,
Góry i wzgórkki mżą się przed oczyma.
Fedor, od strachu wytrzeźwiony nieco,
Chciałby zeskoczyć, lecz odwagi niema.
Poznaje w ciemnie znajome budowy,
Poznaje wioskę, gdzie Fedora żywie;

Stare uczucia przyszyły mu do głowy,
 I wnet na ziemię spuścił się szczęśliwie.
 Reszty nie powiem, bo to reszta łatwa,
 Niech ją kto zechce skończy wedle siebie;
 Nasza się pieśnia kolejno dogmatwa,
 Jak ruscy ludzie płaczą na pogrzebie.

XXXV.

Gdy już u trupa przestaje bić tętno,
 Stężale ciało żółcią się powleka,
 Wołają płaczkę, obrzędów pamiętną,
 Ta umie płakać i cudzego człeka.
 Jej łza przedaźna jako grad się sypie,
 Najemne zmarszczki wykrzywiają lice,
 I tak donośnie, przeraźliwie chlipie,
 Jakby jój wzięto życia połowicę:
 — „Poszedłeś, mężu, na wieczne pokoje,
 „Już nam nie przyjdiesz osładzać niedole!'
 „Komu twą chatę? komu dzieci twoje?
 „Kogo zostawisz, by orał tve pole?
 „Kto pójdzie ule podbierać z naczyniem?
 „Ty nam umarłeś—a my w tymże czasie
 „Głodem pomrzemy, tęsknotą zaginiem....
 „Po co umierać? wszak miałeś i zboże,
 „Miałeś i ogród—nędza nie ciemięży.
 „Siedem par cielic na twojej oborze,
 „Siedem par byków godnych do upręży,
 „Piętnaście krówek, przychodzących z lasa,
 „Do twego chlewa wieczorem się garnie,
 „Trzoda owieczek na pastwisku hasa,
 „Jest pełno mleka na naszej mleczarnie.

„Starowna kokosz na podwórzu grzebie,
 „Pobiera ziarno, co w prochu zostawa,
 „Gęś kapitolska na około siebie
 „Ma trzodkę piskląt, zielonych jak trawa.
 „W pasiekach twoich, co kłoda, to roje,
 „Tysiące pszczółek pracuje nam gwoli....
 „Poszedłeś, mężu, na wieczne pokoje,
 „Już nas nie przyjdiesz pocieszyć w niedoli.
 „Kogo ja czule do serca przycisnę?
 „Na kogo spojrzę słodkimi oczyma?
 „Wszystko na świecie, wszystko nienawistne,
 „Gdy ciebie niéma, i szczęścia mi niéma.
 „Już sen żelazny zakował twe oczy,
 „Nie słyszysz jęków z wieczności dalekiej;
 „Niechże cię światłość wieczysta otoczy,
 „Bądź zdrów, mój luby! na wieki, na wieki!“

Tak płaczka płacze, i krzyżem się ściele,
 I długim jękiem oplakuje straty.
 A tu przytomni idą przyjaciele,
 Zwłaszcza gdy zmarły był człowiek bogaty.
 Nad jego grobem, jako cerkiew uczy,
 Ksiądz śpiewa pieśnię, albo pisze kartę:
 — „Pietrze, któremu dał Chrystus swych kluczy,
 „Co masz dla dobrych niebiosa otwarte,
 „Otwierasz wnętrze niebieskich podwoi
 „I pełnisz strażę, kto do nich przybywał
 „Oto nasz Iwan u wieczności stoi,
 „Niechże mu będzie droga niebłędliva!
 „Pełnił, co każe cerkiewna nauka,
 „Był greckiej wiary zwolennikiem wiernym;
 „Kiedy więc we drzwi niebieskie zapuka,
 „Racz mu być, Pietrze, łaskawym odźwiernym.

„Kiedy żegluję po górnym zakresie,
 „Niechaj go wichry nie zbiją daleko,
 „Niechaj wiatr święty do portu zanieś,
 „Wesprzyj go, Pietrze, życzliwą opieką.
 „Skarbił twą łaskę po wszystkie swe czasy,
 „Byś mu rozjaśnił opiekuńcze lice;
 „Przed twojém świętem bez mięsnój przykrasy
 „Postem obchodził świętą piotrowicę.
 „Człek sprawiedliwy, a służebnik boży,
 „Przed wasze bramy gdy zawita w gości,
 „Niech dobry klucznik bramę mu otworzy,
 „Niechaj go wpuści w krainę światłości.
 „Gdy będzie niebios dopraszał się z płaczem,
 „Jego prostotę miěj w życzliwym względzie;
 „On nie był mówcą, lecz jeno oraczem,
 „Może nieskładnie tłómaczyć się będzie.
 „Niech cię nie gniewa jego postać dzika,
 „Połóż duch jego na przychylněj szali;
 „Święty Rybak! pokochaj rolnika,
 „Wyście po prostu Chrystusa kochali.
 „Gdy Ci to pismo dostanie się w ręce,
 „Racz niech ustąpi wszelaka przeszkoda.
 „Znasz ducha, z jakim moją prośbę święcę,
 „Znasz ducha tego, co to pismo poda.“
 Potém trupowi ksiądz kładzie do ręki
 Miedziany szeląg dla łatwiejszėj drogi,
 Aby w krainie wieczystėj jutrzeńki
 Zdołał usunąć wszelki traf złowrogi.
 Często na Rusi obyczaj się spotka:
 Na grobie ojców ciepły pokarm stoi, —
 Śmieszny obyczaj! jakby dusza przodka
 Miała potrzebę jadła lub napoi.

Gdy niekażdemu na biesiadę stało,
 Niekażdy w niebo bez przeszkody wstąpi;
 Kto zasię z uczcią pogrzebion wspaniałą,
 Temu Piotr święty kluczków nie poskąpi...
 Lecz już o Rusi bajałem bez liku,
 Pora zakończyć — bądź zdrów, czytelniku!

PIENIA LIRYCZNE
 MIKOŁAJA SMOGULECKIEGO

na cześć ZYGMUNTA III kr. pol.

przypisywane

SARBIEWSKIEMU.

ODA I.

Zastęp cnot walczy pod sztandarami Zygmunta.

*Diva subjectas domina coronas
 Quae manu spargis...*

Bóztwo! którego prawica łaskawa
 Sieje korony i berła rozdawa,
 Co z tronów świata uchylonych nizko
 Czynisz igrzysko!

Bóztwo, przed którym potężni mocarze,
 Drżący przestraczem, padają na twarze,
 I zawścieklonych żołnierzy gromada
 Na twarz upada!

Co ulatując nad naszemi głowy,
 Łaskawie czynisz przegląd obozowy,
 Liczysz szeregi i z pełnego łona
 Żegnasz znamiona!

Oto wrogowie pierzchają w tój chwili!
 Jeno tarczami głowy zasłonili;
 Z naszych proporców ku pohańczęj stronie
 Postrachem wionie.

Duch nowy wstąpił i w duszę, i w ciało,
 Czujemy w piersiach siłę niebywałą,
 Pogarda śmierci i rycerska sława
 W oczach nam stawa.

Niechże znów serce umocni drużyna!
 Wszakże Sarmatom obóz nie nowina,
 Nie po raz pierwszy idą nasze roty
 Pod sztandar cnoty.

Niechaj zwycięztwo na tureckiej dziczy
 I znowu chwała Sarmatom zaliczy,
 Niech piękny wawrzyn za tryumfy nasze
 Skronie przepasz!

Gdy wróg Zygmunatów zbrojnemi szeregi
 Donu obadwa opanował brzegi,
 A broń zelżywą czereda bydłęca
 We krwi poświęca;

Przy boku króla rycerze jak ściana,
 Drga na ich hełmach kita rozczochrana,
 Znak świetnych trudów, a na całej twarzy
 Przyszłość się żarzy.

Od porankowej do wieczorniej chwili
 Patrzyło słońce, jako bój toczyli;
 I słońce zaszło—rzeż jeszcze się sroży
 Przy blasku zorzy.

Gdy zgasły zorzy promienie ostatnie,
 Księżyc po słońcu zajął miejsce bratnie,
 Huf bohaterski jeszcze nie przerywa
 Swojego żniwa.

A Zygmunt czuwa, bo dusza ojcowska
 W bojowym gwarze zwycięstwem się troska;
 Snem wypoczynku, jak sternik wśród burzy,
 Oka nie zmruży.

Krwie bohaterskiej rodowitość stara,
 Słuszność i pomsta, pobożność i wiara,
 To jego orszak, to straż jego głowy,
 Huf obozowy.

Szyki sarmackie! gdy na waszém czele
 Stoi odwaga i cnoty tak wiele,
 Wróg Europy przed wami bezwładnie
 Na twarz upadnie.

Już wam nie straszny miecz Tatara krzywy,
 Ni strzała, pchnięta z tatarskiej cięciwy;
 Gnusny morderca, co się błąka w lesie,
 Klęsk nie przyniesie.

Przeszła jak zamieć, stopniała jak piana
 Siła zwycięzka trackiego tyrana,
 Pohańbion wraca z orężnego sporu
 Na brzeg Bosforu.

Na wiosnę Dunaj rozlany, szeroki,
 Z takim łoskotem uderza w opoki,
 Z jakim szedł Turczyn i zagrażał z dali,
 Że świat rozwali.

Lecz Zygmunt, silny mężstwem znakomitým,
 Zatrzymał powódź olbrzymim granitem,
 Ugiął i złamał pod swojemi stopy
 Strach Europy.

Gdzie siła idzie przeciw równój sile,
 Mniejsza obawa i chwały nietyłe;
 Godniejszy laurów, kto z sercem rycerza
 W ciżbę uderza.

Królu! ów tryumf pod twą pańską wodzą
 W dolinach Dniestru radośnie obchodzą,
 Na brzegach Bugu i w sławnej Kolchidzie
 Rozgłos twój idzie.

Zwycięzco Turka! gdy z dalekiej strony
 Wracasz, chwalebny łupem obciążony,
 W radosnym kraju jakaż wdzięczność słodka
 Ciebie napotka!

Czy pomnik dla cię wydzwignąć do nieba?
 Czy na to greckich marmurów potrzeba?
 Czy chcesz na Scytów granitowej skale
 Wiekować trwale?

Twe imię, w naszej obecne pamięci,
 Uroczystymi hymny się uświęci,
 A twoje cnoty na wieczność potomną
 Prawniki wspomną.

Ta twojej pracy niech będzie nagroda,
 Że grób twój sławny prochom się nie poda;
 Wdzięczen wiek przyszły, stawiać go przed oczy,
 Cześcią otoczy.

Książę Władysław wśród gromu i burzy
 Niemniej od ojca na chwałę zasłuży;
 On ściśle spełniał, narażając głowę,
 Myśli ojcowe.

Tak gdy na niebie Oryon zabłyska,
 Drobne się gwiazdki złęką dziwowiska,
 A on, obleczon jasnością, w oddali
 Ogniem się pali.

Na obchód mężnych swoją dziatwę woła
 Pod szczęsném berłem kraina wesola;
 Rusińscy męże rzucili na stronę
 Groty stalone.

Świetnie twa, książę, młodość zasłynęła!
 Na wzorach ojca gotuj się do dzieła,
 Od przodków ucz się w enocie i odwadze
 Piastować władzę.

O D A II.

Zwycięstwo wieńczy Zygmunta.

Ad arma, ad arma, milites, ad arma,
 Pavidis seges horreat aerea campis.

Do broni, do broni, rycerstwo, do broni!
 Las ostrzów stalowych jeży się na błoni,
 Połyska żelazo, nim z wrogiem się zetrze,
 I kity hełmowe igrają na wietrze.
 Strach obcym zastępom—a trąba miedziana
 Rozdziera powietrze i hasło swe szerzy,
 I dobra otucha, i siła nieznaną
 Kołata do serca bojowych szermierzy.

Rycerstwo do szyku! z daleka już baczę,
 Jak wielki bojowy proporzec rozpięty!
 I Osman odważne zastępy kozacze
 Trackiem i zdradami chce skruszyć na szczęty.
 Pobożna waleczność niech błysnie wam z czoła,
 Niech dusze waleczne do cudu powoła,
 Niech pomstą ojczystą umocni się ramię
 I hufce niezbożnych przełamie!

Do broni, do broni, rycerstwo, do broni!
 Już trąba zgrzytnęła i sygnał wam dzwoni,
 Zadrzało powietrze w Marsowym okrzyku,
 Rycerze Sarmacy, stawajcie do szyku!
 Ciemnieje, ciemnieje, i noc już zapada,
 A w nocy dla zdrajców ratunek ostatni,
 W obozie tureckim łęki i zdrada,
 Gotują wam pasmo podstępów i matni;
 Zdradnemi siłkami zasnuli was wszędzie,
 A słońce poranne ich świadkiem nie będzie.
 Lecz walkę, gdy przyjdą siepacze chydni,
 I gwiazda północna rozwidni.

Do broni, do broni, rycerstwo, do broni!
 Już trąba zgrzytnęła i sygnał wam dzwoni,
 Zadrzało powietrze w marsowym okrzyku,
 Rycerze sarmacy, stawajcie do szyku!
 Lecz oto już pierzcha zdradziecka czereda,
 Z rozpaczy, że złości żre piasek mogiły,
 Że dawna fortuna zwycięstwa im nie da,
 Że dawne tryumfy ich broń opuściły.
 Władysław się zgonu i klęski nie lęka,
 Na dziczy rycerska zaprawia się ręka,

Na polskich proporcach z jasnością na głowie
Noszą się mściciele, orłowie.

W rozsypkę, w rozsypkę puszczajcie się drogą,
I konia do lotu spinajcie ostrogą,
Zmykajcie, Turkowie, od pomsty i kary!
W rozsypkę, Araby, w rozsypkę, Tatary!
Gwałtowny jak piorun, rycerski Sarmata
Potrząsa oszczepem i tarczą szeleszcze;
A krew niecierpliwa w piersi mu kołata,
Że chwila bojowa nie zbliża się jeszcze.
Jak rumak na trackiej dolinie obfitój,
Harcuje i ziemię rozbija kopyty,
Tak jazda sarmacka w bojowym zakresie
Do harców pośpiesza i rwie się.

W rozsypkę, w rozsypkę puszczajcie się drogą,
I konia do lotu spinajcie ostrogą,
Zmykajcie, Turkowie, od pomsty i kary!
W rozsypkę, Araby, w rozsypkę, Tatary!
Niewiele, niewiele otuchy wam doda,
Że garstka Sarmatów, a orszak wasz mnogi:
O sarny pierzchliwie! tłóczcie się jak trzoda,
Odważcie się hurmem lwa porwać na rogi!
Źle wróży wasz sztandar, choć hardo tak pływa,
Broń wasza lekliwa, odwaga kłamliwa;
Nie krew bohaterska, lecz jeno wam znana
Zawziętość szalona, pijana.

W rozsypkę, w rozsypkę puszczajcie się drogą,
I konia do lotu spinajcie ostrogą,
Zmykajcie, Turkowie, od pomsty i kary!
W rozsypkę, Araby, w rozsypkę, Tatary!

Lecz późno, już późno, o biada wam, biada!
 I ciemna pieczara nie służy wam gwoli,
 Noc pierzchać poczyna, i nic się nie nada
 Zdradnemi wykręty probować swój doli.
 Od jasnych promieni jutrzeńki iskrzatěj
 Kir czarnej północy już drze się na szmaty;
 Nie zbawi was księżyc, nie świecić mu we dnie:
 Patrzajcie! płowieje i blednie.

W rozsypkę, w rozsypkę puszczajcie się drogą!
 I konia do lotu spinajcie ostrogą,
 Zmykajcie, Turkowie od pomsty i kary!
 W rozsypkę, Arabcy, w rozsypkę, Tatarcy!
 Hej dwakroć, i trzykroć, do chóru! do pienia!
 Cne dzieci sarmackie, do boju zrodzeni,
 Zwycięztwo pod stopy uściela się wasze,
 I skronie emackim wawrzynem przepasze.
 Hej dwakroć, i trzykroć do chóru! do pienia!
 Pobite Tatary, Turkowie zgromieni!
 Złamaliście jarzmo, co na nas już kładli
 Mordercze Arabcy, Maurowie zajadli!
 Złamaliście Księżyc, ów znak Muzułmana,
 I rogi na głowie Osmana.

Hej dwakroć, i trzykroć, do chóru! do pienia!
 Po całej Grecyzny szerokiej przestrzeni,
 Gdzie dawna Rodopa, Izmara, Kolchida,
 Gdzie Wisła sarmacka, litewska Wilia,
 Z imieniem Zygmunta niech okrzyk się wyda
 I niech się u ludów najdalszych odbija!
 Hej dwakroć, i trzykroć, do chóru! do pienia!
 Zwycięzca Władysław! Wołajmy zdumieni:

Niech sława ojcowska i syna zaszczyci!
 Wołajmy radośni, wołajmy, Lechici!
 Hej, trzykroć do chóru! do pienia!

.....

O D A III.

Wiara wystawia pomnik Zygmunтови.

Quem bellicosi prodiga sanguinis...

Kogokolwiek wyrok boży
 Bohaterem wojny stworzy,
 Tego przykład i nauka
 Pójdzie z dziada na prawnuka;
 Na marmurze i na stali
 Jego obraz się utrwali,
 Jego głowę z każdej strony
 Opromieni laur zielony.
 O Zygmuncie! w tej postaci
 Czas twych śladów nie zatraci,
 Zaświetniejesz blaskiem słońca,
 Ojciec kraju i obrońca.
 Już tureckich mężów zdradzie
 Twoje ramię koniec kładzie,
 Bystry Tatar wstydem płonie
 I umyka k'swojej stronie.
 Żywszy lata Nestorowe,
 Gdy do zgonu schylisz głowę,
 Twoje imię jaśnieć będzie
 W bohaterów polskich rzędzie,
 I twój pomnik się umieści
 Jako ołtarz polskiej cześci,

Szczep Jagiełłów starożytnie
I ożyje, i zakwitnie.
Nad Bosforem, gdzie niewierni,
Przed obliczem trackiej czerni,
Cnota, dzielność szły z weselem,
Zostać naszych krzywd mścicielem.
Ryczy, grozi wściekła tłuszcza,
Gęste strzały na nas puszcza,
Lecz przed murem naszych zbroi
Przedsię kroku nie dostoi.
Owdzie obóz skrył się prawie
W czarnym dymie i kurzawie,
A Władysław, pewien żniwa,
Trackie półki w proch rozrywa.
Kula z ogniem drga i skaćże,
Miejskie ściany rwą kartaćże;
To Marsowe krwawe posły
W okolicy strach rozniosły.
Ich poselstwo, trzykroć biada!
Krew i ogień zapowiada;
Biada wioskom! w pośród zgliszczy
Głód i wojna pole zniszczy.
Lecz Władysław trzaska głowy,
Jakby mściwy grom Jehowy;
Leci w tłumy, a z nim wiara,
Nie na niego łuk Tatarów!
Nie na twardo kutój zbroi
Bezpieczeństwo jego stoi;
Bohatera grot ze stali
Ani oszczep nie obali,
Bo go wspiera Pańska ręka,
Bo się cnota nic nie lęka;

Bóg jest mściciel złych bezprawi,
 Bóg tę garstkę błogosławi.
 Tłocz i spieraj w imię Boga
 Zatracony zastęp wroga!
 Z tobą ojca myśl pobożna,
 Z tobą cuda tworzyć można.
 Nów rogaty, to ich godło,
 Lecz nas rogiem nie ubodło:
 Księżyc schodzi z bojowiska,
 I złośliwém światłem błyska.
 Turczyn gwiazdy miał w rachubie,
 Że przyświecą naszej zgubie,
 Lecz złe gwiazdy już bez siły
 Za górami wstyd swój skryły.
 Już czereda ledwie żywa
 W zimnych rzekach krew omywa,
 Miecz złamany, grot swój rdzawy
 I twarz czarną od kurzawy.
 Na Dunaju lub na Dnieprze
 Już się Turczyn nie rozepcze,
 Lecz się pójdzie skryć pokornie,
 W drżącym Cydnie i Lykornie.

O D A IV.

Chwała zapowiada Zygmuntovi nieśmiertelność.

Age, praepeti volatu,

Age, fama, scinde nubes.

Lataj, sławo! lataj chyża!
 Mgły rozbijaj, płyn od ziemi,
 Niech się obłok czarny zniża,
 Płyn zefiry skrzydlatemi!

Oto niebo się rozchmurza,
 Wytrysnęły ciepłe deszcze,
 Leć jak wichur, leć jak burza,
 Chyżej jeszcze!

Niech twój polot mgły przebodzie,
 Leć za słońcem, sławo skora!
 Na zachodzie i na wschodzie,
 W krajach ranka i wieczora,
 Ku obojój świata osi
 Niech cię wiedzie droga kręta,
 Niech cię bystry lot unosi,
 Chwało święta!

Rozwiń skrzydła, święta chwało!
 Daj się słyszeć z pod niebiosów,
 Zbierz potęgę twoją całą,
 Graj i śpiewaj we sto głosów.
 Twoje oko, twoje ucho
 Wytężone k'światu bacznie;
 Niechże piosnka ziemię głuchą
 Budzić zacznie.

Jak turecka starta pycha,
 Jak królewskie sławne dzieje,
 Niechaj trąba nie ucicha,
 Niechaj sława nie starzeje.
 Bez powrotu już zginiony
 Tryumf Scyty i Tatara,
 Uschnął wawrzyn ich zielony,
 Uschła wiara!

Jakeś śpiewać już poczęła,
 Nie ustawaj, święta wieści!
 Póki nowe, świetne dzieła
 Nie dodadzą nowój treści.
 Chwała leci... i z poblizka
 Tu jój wszystko cudem zda się,
 Sarmackimi dziwowiska
 Oczy pasie.

Śpiewaj, chwało, jak w Bosforze
 Zamiast wody krew wytrysła!
 Jak we strachu i w pokorze
 W lód zakrzepła nasza Wisła!
 Jak pierzchnęli wstecz niewierni,
 Jak ich nasze ściga ramię!
 Jak się księżyc wstydem czerni,
 Rogi łamie!

JOACHIMA BIELSKIEGO

Satyra na pewnego Gdańszczanina, który pewnemi lekkimi rymy
 po niemiecku siła niegodnych rzeczy o królu i Królestwie Polskiem
 odważył się pisać i po całych Niemczech rozsiewać R. P. 1577.

Lustris tempus ad hoc actis jam pene duobus...

Oto już rok dziewiąty od tój pory minie,
 Jakem się słodkiej pieśni poświęcił jedynie;
 A nie miałem na myśli choćby jedną chwilę,
 Aby pisać szyderskie lub gorzkie paszkwile.
 Tyś pierwszy ze spokoju wyrwał moją duszę,
 Że do walki niechętnój uzbrajać się muszę!

Ktośkolwiek, ja cię gdańskim nazwę pacholikiem,
 Żeś się targnął na króla potwarczym językiem.
 Król nasz chrobry, okrutnym przez ciebie nazwany,
 Nad którego nie powstał między chrześciany
 Monarcha większy w boju, ni w obradnej todze.
 Warteś, kłamco, by potwarz pokarano srodze,
 Aby topór oprawcy spoczął na twój głowie,
 By cię na rusztowaniu szarpali krukowie,
 Żeś po ziemi niemieckiej, od grodu do grodu,
 Puścił kłamstwa o ludziach naszego narodu,
 Że się z Turkiem zmawiamy, że sarmacka zdrada,
 Ku zgubie chrześcijaństwa zasadzkę układa.

O! straszliwie, straszliwie o pomstę już woła
 Zbrodnia gdańskiego ludu, co, niepomny zgoła
 Na swą wierność, prawemu panu się wydziera
 I nie waha się czernić imię bohatera,
 Przed obcemi narody wymyśla potwarze.
 Ty ich wszakże pochwalasz, a gdy prawda każe
 Wyznać, że wiarołomni i chętni do zmiany,
 Usprawiedliwiasz zbrodnię, wielbisz rokoszany:
 Że się rokosz we Gdańsku sprawiedliwie szerzy,
 Że gdańskich buntowników pochwalić należy,
 Iż złamali przysięgę, stargali okowy,
 Którymi ich ujarzmił jakiś król surowy,
 Że ich woła ojczyzna, wiara i swoboda,
 Że każdy zniesie męki, nawet życie poda,
 Że Gdańszczanie swobodni w całych Prussiech jedni...
 Przecież są inne miasta, cały kraj sąsiedni,
 Wszak w Elblągu, w Toruniu bez żadnej odmiany
 Skarbiec swobód dawniejszych święcie zachowany,
 Owszem król je pomnaża i w swój łasce żywi.

O ślepoto! bogowie, jakżeście cierpliwi!
 Czemu gromów niebieskich i piorunów niema,
 Aby strzaskać i strącić do piekieł olbrzyma?
 Oto góry na góry harda ręka wali,
 Chcą się dostać do Nieba bluźniercy zuchwali.
 Czyż ziemia świętokradców nie pozrze, jak warci?
 Jeszczeż łaskawe słońce ich zbrodni nie skarci
 I udziela im blasku swój świętój pochodni?
 Czyż zbrodnia Gdańszczan mniejsza od Thyesta
 [zbrodni?

Zapraszasz—chcesz nas gościć na swoim bankiecie:
 O! przyjdziemy, przyjdziemy,—czekać nie będziecie;
 Jeno gdy się, Gdańszczanie, w wasze mury wtoczym,
 Przyjmcie nas twarzą chętną i sercem ochoczym,
 A co z sobą przyniesiem na biesiadę ona,
 Smakujcie—choć będzie i twardo, i słono!
 I na chrapliwych trąbach posłyszycie granie,
 Rozpocznem wielki taniec—ujrzycie, Gdańszczanie!
 Okupicie wasz spokój, lecz za drogo nieco,
 Kiedy polscy harcerze na gody przylecą:
 Ile taktów tanecznych muzyka odbije,
 Tyle spadnie głów waszych, odrąbanych z szyje.
 Mówisz, że starém winem powitacie gości,—
 Dobrze! Polak rad zawsze takiej gościnności;
 Lecz gdy Polak podchmielon, miejcie to na wzglę-
 Że i doma gospodarz bezpieczen nie będzie. [dzie,
 U waszych granic czaty—o! wierzcie mi szczerze,
 Od rycerstwa polskiego Cerber nie ustrzeże;
 Cerber, co z krwawą paszczą straż odbywa w piekle,
 Choćby wył przeraźliwie i rzucał się wściekle,
 Znajdzie się dzielny Herkul, kiedy przyjdzie pora,
 Ściśnie żelazną ręką i zdławi potwora.

Pytasz, z kąd ta muzyka wśród naszej zaciszy?
 Wierzaj mi:—Polak wesół, kiedy gęźbę słyży;
 Wśród grzmotu trąb i kotłów bywamy ochoczy,
 To nam bitwę wspomina i stawi przed oczy.

Twierdzisz, że Gdańsk bogaty, o potwarco głupi!
 Że się Kostka złotemi darami przekupi?
 Dar za dar, gotuj złoto i bądź gotów razem,
 Że cię Kostka wspaniale obdarzy żelazem.
 Przechwalasz się, że przy was dobry wódz zostawa?
 O! wódz byłby szczęśliwy, gdyby lepsza sprawa,
 Lecz nie będą zwyciężkie buntownych pałasze:
 Chrystus jest hasłem dobrych, Chrystus hasło nasze,
 W nim jednym nasza ufność.

Niepotrzebna rada,

Że nam w szaty złociste przybrać się wypada,
 Boć to polski obyczaj, znajomy przed światem:
 Opończe tkane złotem, kraszone szkarłatem.
 Smakują wam te lupy — lecz nie bądźcie chciwi,
 Bo niełacno się na nas zwycięzca pożywi:
 Zaczém niedźwiedź potrafi gospodarzyć w miodzie,
 Wprzód go dobrze rój pszczelny żądlami nabodzie.
 Nie trzeba waszych łaźni, chowajcie je dla się,
 Polak przywykł do znoju—i we skwarnym czasie
 Ręka mu nie osłabnie, bo kuta ze stali.
 Daremnieście potrawy dla nas gotowali,
 Gdańszczanie! kto nawarzył, ten sam i spożyje.
 Daremnie nam żelaza skuliście na szyje,
 Marnie się przechwalacie w zuchwałym zapędzie:
 Kto wykował kajdany, sam dźwigać je będzie.
 Mimo hardą otuchę, mimo pychę całą,
 Miecz odeśle do piekieł dusz waszych niemało.

Łkanie waszój rozpaczy, jęk waszego łona
 Będzie słyszany w niebiosach i w kraju Plutona;
 I piekła się wyteżą na torturę waszą,
 Zbrodniarzów krew obryzgnie, gadziny opaszą.

Niebezpieczno się miotać z kryjomój zasadzki,
 Drażnić gniewnego króla i naród sarmacki,
 Aby snadź zwyciężonych nie nękano srożej.
 Jest kara na bezbożnych, jest w prawicy bożej
 Miecz, co dotąd z litości spoczywał bezwładnie,
 A który (niewątpliwie) na ich karki spadnie.
 Nie masz Troje, choć Neptun sam wznosił jój cegły,
 Pergam, Teby, Kartago w ruinach poległy:
 I wasze pyszne miasto, Gdańszczanie zuchwali,
 Pan w popioły rozsypie i w gruzy rozwali.
 Chyba ze skruczą w sercu, w pokutniczej szacie,
 U stop króla polskiego swą zbrodnię wyznacie.
 Król łaskaw, z przebaczeniem odpuści nędzarze,
 Jeno sprawców straszliwie a słusznie pokarze.
 I ty, ktokolwiek jesteś, ciebie się dopyta:
 Za twe potwarcze pisma nagroda sowita
 Będzie ci wyplacona. Już za dni niewiele
 Kres świętokradzkim słowom, źli obywatele!

1852. *Załącze.*

Z POEZYJ WOJCIECHA INESA.

O D A

Do chępliwych tegoczesnych junaków.

Inter calentis poculã Cecubi,
 Odi disertos...

W pośród puharów pianistój cekuby
 Nie ściępię szumnój samochwalstwa mowy.

Gawiedz Marsową, szukającą chluby,
Pędźcie od szklanej armaty Bachowój!
Jeśli tak tęskno piersiom za pogonią,
Jeśli miecz ręce przypada do miary,
Kiedyśmy zdolni umierać pod bronią,
Idźmy na Turki, idźmy na Tatary.
Wielki jest zawód przed rycerstwem naszym,
Trzeba się pomścić nad bisłońską zgrają,
Księżyc dwurogi rozkroić pałaszem,
Złamać pociski, co na nas miotają.
A na cóż zda się, rozlewając wino,
Słyszane boje powtarzać inaczej,
I zamiast walki mieć chlubę jedyną
Grzmiącemi słowy strzelać do słuchaczy?
Zionąc pogróżki chełpliwemi usty,
Któż z nieprzyjaciół tryumfy odbierze?
Gdy ręka słaba, gdy zapał twój pusty,
Po co się jeżysz, straszny bohaterze?
Obfity mówca już złamał na szczęty
Ostre słowa nieprzyjaciół noże;
Ale na pole, gdzie huf rozwinięty,
Snadź ów bohater i spojrzeć nie może.
Z dala od niwy, gdzie bije armata,
Z dala od mieczów, pocisków i grotów!
Nawet blask słońca, co po ostrzach lata,
Swemi promieniami zaranić nas gotów.
O! gdy brzemienne śmiertelnym nabojem
Zamruczy działa, i ziemię, i niebo
Wstrząśnie łoskotem, kiedy echem swoim
Da znak, że w pole wystąpić potrzeba:
Wtedy, rycerzu, dowiedziesz mi szczerze,
Że dusza twoja do bitew ognista;

Wtenczas cię uznam, wielki bohaterze,
 Gdy szczękną włócznie, gdy olów zaświstał
 Gdy, zamiast słyszeć twego męztwa dziwy,
 Rzymianie dzieła twój ręki postrzegą,
 Uznam, rycerzu, że miecz twój straszliwy,
 Że nosisz w piersi Marsa bojowego.
 Przestańmyż miotać wyrazy strzeliste,
 Niech rozprawiają do czynu niegodni!
 To u mnie rycerz wymowny zaiste,
 Kto swoje słowa mieczem udowodni.

Załącze.

P O E Z Y E

KS. MACIEJA KAZIMIERZA

SARBIEWSKIEGO.

KSIEGA PIERWSZA.

OD A I.

Do Urbana VIII papieża, gdy niezmierne siły tureckie ustąpiły
 z Węgier.

Jam minæ sævi cecidere belli.

Przegrzmiały wojny — po długiej ruinie,
 Rzuciwszy swoje wygnanie,
 Cnota i wiara po nad ziemią płynię
 Na pozłocistym rydwanie.

Za niemi idą, jak orszak wspaniały,
 Wiara, spokojność i praca;

Oto wiek złoty, z dawien niebywały,
Powraca do nas, powraca!

Jaśniejsze słońca łaskawięj migoezą,
Wróżąc lat przyszłych koleje;
Już dzisiaj z gradem perły nam się toczą,
A z deszczem złoto się leje.

Świat, jako wróżę, wdzięczen mi zostanie,
Zawdzięczą lata potomne,
Gdy w październiku, w twe święto, Urbanie!
Czasy Saturna przypomnę;

Kiedy wywróżę: że ojców zwyczajem
Dają nam rękę przymierza,
Że stara cnota k'nam zbliżać się zdaje
I mieszkać z nami zamierza;

Że wrzące zdroje, płynąc gdzieś z daleka
Przez nasz grunt żyzny i czarny,
Niosą daninę i wina, i mleka,
A rzeki — ulep nektarny.

Kłosiste zboże tak pięknie wypływa,
Że rośnie serce żniwiarzy;
Ni mróz, ni wiatry, ni susza szkodliwa
Naszych zasiewów nie warzy.

Spokojny pasterz gra w dudę trzcinianą,
Strzekoce świerszczyk na łące,
W górach, po lasach, gdy nastanie rano,
Ryczą trzód pięknych tysiące.

Nawet wesoło w tetryckich pieczarach,
Gdy spokój zamieszkać raczy,

Bezpieczno sypiać w przepaścistych jarach
I w niskiej chacie wieśniaczej.

Wielki uśmierzco ściszonego świata!
Tobie Cerera z rozkoszą
Niesie swe kłosy — dni wiosny i lata
Kwiecie i owoc przynoszą.

Mirty dla ciebie wyrosły w tej chwili,
I wawrzyn dla ciebie rośnie,
Dąb na cześć twoją swe konary chyli,
I jodła szumi radośnie.

Bogdaj w niebiesiech, u stop Majestatu,
Głos ludów został przyjęty!
Bogdajbyś długo, o pasterzu święty,
Panował miastu i światu!

Panna niebieska, Gromicielka piekła,
W zorzową szatę odziana,
Bogdajby prośbę za Rzymem wyrzekła,
Prośbę o życie Urbana!

O to dziewica, młodzian i pacholę,
O to i z grobów przodkowie,
W rzymskim narodzie i w senatu kole
O to się modlą Jehowie.

O D A II.

Do Aureliusza Lyka, aby nie narzekał na niestałość losów.

Indignas, Lyce, nēnias...

Porzuć, o Lyku! skargi niewolnicze,
Daj folgę sercu, wytchnij od rozpaczy.

Kondratowicz. Wybór. T. V.

Masz-li chmurami zaciągać oblicze,
Że ci się słońce uśmiechnąć nie raczy?
Lub, że fortuna dla twego żywota
Złowrogie losy w swojej księdze pisze?
Wierz mi, co dzisiaj sroga burza miota,
Jutro pieściwy wietrzyk ukołysze.
Słońce, co dzisiaj pali głowy ziemian,
Jutro zachwyci promieniami jutrzeńki;
Bo w ślad za sobą przychodzą na przemian
Łzy, krotchwile, radości i jęki.
Tu rozpaczamy, tu łzy ronim, zda się,
Aż oto szczęście zabłyśka nam razem,
Mijają klęski, każda w swoim czasie,
Za niezłamanym wyroków rozkazem.
Ten, co dziś orze, zajmie miejsce święte,
Jak prawodawca nad rzymskimi męże,
I w jarzmo, z karku wołowego zdjęte,
Nieprzyjaciół ojczyzny zaprzęże.
Tego, co wczora wieczerał nędzarzem,
Poranek wita w bogactwie, powadze;
Wczora on byki zaprzęgał do jarzem,
Dzisiaj piastuje dyktatorską władzę.
Gdy zaś los zmienny jego świetność zatrze,
On wróci nazad do domowej strzechy,
Spocznie wesoło w swoim biednym szatrze,
Wyższy nad gminne szyderstwa i śmiechy;
I swą siekierą, w wawrzyny ubraną,
Będzie drwa rąbał pod domową strawę,
A gdy się zdatne nie zdarzy polano,
Wrzuci na ogień hetmańską buławę.

O D A III.

Do Kryspa Lewińskiego, iżby za nadto nie dowierzał młodości.

Vive jucundæ metuens iuventæ,
Crispe Lævini!...

Z piękną młodością ostrożnie potrzeba,
Kryspie Lewiński! to pora pierzchliwa:
Księżyc pośpiesza w inny kraniec nieba,
I chmury lecą, i młodość upływa.

Choć pas bogaty dobrze cię owije,
Z perlastym wątkiem a złotój osnowy,
Choć na ramionach zaciśniesz pod szyję
Na złotą klamrę twój płaszcz purpurowy;

Jednak czubata kita, co się jeży
Na twoim hełmie, chwieje się, dygota;
Na twojej zbroi, na twojej odzieży
Zblednieje połysk brylantów i złota.

Los ci prawicą dar jaki nawinie,
Lewicą wydrze, co dał tak uprzejmie,
Niby jak matka, co małej dziecinie
To poda cacko, to znowu odejmie.

Stalość niezmienna nie jest losów rzeczą:
Zmiany wątpliwe ustawicznie biega,
Burze się chwieją nad głową człowieczą...
O! szparkie chwile żywota naszego.

Ani tak rączo, polotnie i nagle
Adryatycka rozpędza się nawa,
Kiedy wiatr bije w rozpostarte żagle,
I pchnie ją naprzód, i fale rozkrawa.

Chwilom dał skrzydła wysoki Jehowa,
 Któremi rączo latają po świecie;
 Lecz część ich dotąd w swém gnieździe się chowa
 I tam na przyszłe hoduje się lecie.

O D A I V.

Do książąt Europy—o potrzebie wyjarzmienia Wschodniego Państwa.

Nondum minaci cornua Bosphoro...

Rogaty księżyc błyszczyc na Bosforze, —
 Zły los przyświeca nadpontyjskim stronom,
 Pieni się, ryczy, jęczy Czarne morze,
 Że musi służyć niegodnym Gelonom,

I w dzikim gniewie brzeg Bosforu ryje.
 Hańba Tessalcom żuć trzęzłą niewoli!
 Hańba Pelasgom kornie znizać szyję,
 Aby służyła siepaczowi gwoli!

Tu na Cykladach słyhać jęk boleści,
 Tu łzy zalały morejską krainę,
 I tracki Hebrus wodami szeleści,
 Żałośnie bieząc z pagórka w dolinę.

Czyliż na zawsze Stambuł się weseli,
 Że pyszny Ganges, że Afryka skwarna,
 Że mocne niegdyś baszty Dardaneli
 Korzą się przed nim, jak pastwa ofiarna?

Czyż to na zawsze czarnomorska fala,
 Czyż to na zawsze Arabska odnoga
 I morze Jońskie smutnie się użala,
 Smutnie złorzeczy, przeklinając wroga?!

O! my fałszywi przyszłości wróżbici,
 Którzy się z dziejów prorokować ważym
 I wróżym szczęście — klęska nas pochwyci,
 Jeżeli miecza z pochew nie obnażym.

Gdy nie umiemy silnie ująć tarczy,
 Naciągać luków i wyostrzać włócznie,
 Chociaśmy mądrzy, mądrość nie wystarczy,
 Choć piękném słówkiem szermować rozpocznie.

Napróżno zimą, siadłszy przy kominie,
 Cieszyć się będziem uczonemi gwary,
 Że Turczyn padnie, że marnie zaginie,
 Że zniży k'ziemi swe harde sztandary.

Pójdziemyż walczyć! ale z jakim mieczem?
 Broń nasza — cacko, jeno oko pieści.
 Zaiste! karku wrogom nie rozsieczem,
 Gdy miecz złożony, złoto w rękojeści!

Odzież nam błyszczczy za najmniejszym ruchem,
 Miasto rzemienia nosim pas ze złota,
 Pierś zawieszona bogatym łańcuchem,
 A rząd na koniu błyszczczy i migota.

Ozdobny oręż znak to jest złowrogi,
 On nic nie działa, nic nie zabezpiecza,
 Nawet gdy chmurą następują wrogi,
 Rycerz się cofnie — bo mu szkoda miecza.

Kto złotą zbroją piękrzy słabe cielsko,
 Niech się już nigdy Kwirytą nie zowie!
 Bo świętą cechę, cześć obywatelską,
 Pohańbią na nim zwycięzcy — wrogowie.

Ktokolwiek włosy pierścienię zaczyna,
 Kto przywdział szatę od wymyślnych tkanin,
 Wara mu nosić imię Rzymianina!
 Bo gardzi zbytkiem prawdziwy Rzymianin.

Pieszczoch nie zwalczy, nie odpędzi z dala,
 Jako Rzymianin przez męstwo ochocze,
 Wojsk Antyocho, albo Hannibala,
 Szyków nie złamie, murów nie zgruchocze.

Pan silnym ruchem wskrzesić ziemię życzy,
 Widać w tém celu, widać myśl wyniosłą.
 Tu wiek pasterski, tu wiek wojowniczy
 Oparł na sztuce rycerskie rzemiosło.

Tu w pośród forum krasomówcze słowo
 Walczy za cnotę, prześladowuje zbrodnie;
 Tu wiek wyradza i wskrzesza na nowo
 Traków, Cylicyan i narody wschodnie.

Świat ten już stary, i my postarzeli,
 Niedoleżniejem, nic już nas nie bodzie;
 Radziśmy gnuśnieć w leniwěj pościeli,
 Jak na sromotę, na hańbę przyrodzie.

Grzeszne-śmy dzieci bez końca, bez tamy!
 Mało gdzie cnotę na świecie już widzę,
 Ducha nie wznosim, myśli zabijamy,
 Cali się płaczem w zdradzieckiej intrydze.

Chlubmy się z tego (wszak nie wstyd nam zbrodni),
 Żeśmy wzgardzili przykazaniem bożem!
 Wołajmy głośno, wołajmy wyrodni,
 Żeśmy dowcipni i cnotę przemożem!

Na co nam serca? i na co nam miecze?
 Więc je sprzedajmy, ustroim się pięknie,

I weźmiem złoto, gmin cześć nam wyrzeczę,
Bo gmin ma uszy, gdzie złoto zabręknie,

I umie uczyć holdem coraz świeżym,
Kogo fortuna pod swe skrzydła bierze.
Miłoś brać hołdy! jeśli tylko wierzym,
Że je przynoszą serdecznie i szczerze.

Szczerze, serdecznie gmin się nam pokłoni,
Padnie na klęczki, kiedy złoto widzi,
Lecz zniknie złoto ze spodlonój dłoni,
A gmin nas popchnie, zelży i zawstydzi.

O D A V.

Gromi gnuśność wieku.

Aut nos avaræ vendidimus Tyro.

Czyśmy już cześć przodków Tyryjcom przedali?
Czyśmy ją posłali w dalekie wygnanie?
Gdzie silni rycerze? gdzie męże wspaniali?
Gdzie cnota? gdzie dzielność? Nie pomnim już na nie!

Czy godzi się dzisiaj mieć łańcuch na karku?
Przedawać tron Pyrrów i Agamemnonów?
Czy godzi się dzisiaj w bezecnym frymarku
Brać Weje w zamianę persyjskich zagonów?

Nowotny nasz żołnierz pieszczona dziecina!
Nie umie wrogowi wbić włóczni do łona,
Krnąbrnego rumaka munsztukiem nie spina,
Bo ręka niezręczna i słabe ramiona.

Gdy śniegi topnieją w górzystej czeluści,
I Tyber zaszumi w łożysku rodzimém,

Nasz rycerz struchleje i wplaw się nie puści,
Nie dojdzie do Rzymu—bo woda pod Rzymem.

Gdy rumak pod jeźdźcem w podkowę uderza
I pocznie się zżymać—już jeździec bez duszy!
Drżą strachem kolana mężnego rycerza:—
Cóż będzie, gdy w harce wojenne wyruszy?

A jednak też stopy, jak lekkie zefiry,
Uczenie płasają wśród tanka, gdzie dziewczki!
O! złammy, strzaskajmy i lutnie, i liry,
Zostawmy niewiastom płasania i śpiewki!

Słyszycie? jęczenie nad Istrem zawrzasło:
To dziki Muzułman zatrąbił na rogu,
Aż Alpy z westchnieniem odbiły to hasło;
To wzywał do walki i ludom, i Bogu!

Pójdziemyż? czy chcecie? O! wcale nie wierzę.
Wprzód pozbyć się trzeba pragnienia i głodu;
Tu wina kaleńskie, tu drogie wieczerze,
Kupione za pieniądź czynszowy narodu.

Biesiada wciąż szumi, kielichy wciąż sterczą
I trunek smakowny przechodzi z rąk w ręce;
A księżyc, co uczcie przyświecał szyderczo,
Zdał teraz straż naszą porannęj jutrzence.

I cóż nam do wojen? my znamy je wiernie,
Nam dobrze świadome stosunki Europy,
My tutaj na stole, przy dobrym falernie,
Zrysujem zastępy, wieżyce, okopy.

Powstańmy nakoniec! już jasno na dworze,
Już światłość poranna widoku udziela,

Już tarcza słoneczna wypływa nad morze,
I świetnym promieniem połyska i strzela.

Powstańmy nakoniec! niech ranek nas cieszy;
Powstańmy, Latyni! niech baczność się wznowi.
Nie dla nas to słońce: do Indyi śpieszy,
Stańło na wschodzie, więc sprzyja Wschodowi.

Więc wschód i poranek posiędą niegodni.
Odzyszczmy go nazad, lub hańba nas czeka.
Nam jeno pozostał kraj mały, zachodni,
I zachód, i wieczór, i noc niedaleka.

Powstańmy, uderzmy, niech ginie wróg Pański!
Daleko go spędzim we wspólnym zamachu!
Niech Ganges, niech Tyber, niech kraj Luzytański,
Niech Grecya wytchnie od kajdan i strachu.

O D A VI.

Do Stefana Paca, podskarbiego litewskiego.

Wyrzuca rycerstwu przepych rynsztunków.

Non auro neque tinnulis...

Złota brzękotka, płaszcz z purpury
Nie doda hartu waszój zbroi;
Wdziewać brylanty, sute sznury,
Wojackim piersiom nie przystoi.
Głowa żelazem przyodziana
Po co piórami jeszcze mży się?
Po co ta kita rozczochrana
Na niedoleżnym drga kirysie?
Nie będą straszne dla nikogo
Przyłbice ptasiém pierzem wzdęte;

Na jedno tylko służyć mogą:
Żarłocznym sępom za przynętę.
Kule z warkotem świszczą w dali,
Grzmocą rusznice, oto słyszę,
Gromem, piorunem działo pali,
Błyszczą się włócznie i bardysze.
Na nic tu kita nie wystarczy,
Na nic grzechotka brząkająca,
Na nic ten polor, lustr na tarczy,
Po której biega połysk słońca.
Kołczanem wrogi się nie zgniotą,
Gdy tępą strzałą, zła cięciwa.
Porzuć błyskotki, porzuć złoto,
Niechaj ci ramion nie skowywa.
Ucz się, jak władać twojém łonem,
Jak użyć serca, ręki, stali;
Będziesz trójcielnym Geryonem,
Że i sam Herkul cię nie zwali,
Ni Mimas groźny i pochmurny,
Ni Stratenelus, olbrzym duży.
Strój zaniedbany, hełm bezpieczny
Twarzy rycerskiej pięknie służy.
Gdy twarz wyźółkłą przez swawole
Barwi rozkoszy wychowanek,
Piękniejsza kresa, co na czole,
Bo to wczorajszej bitwy wianek.
Kita rycerzem nie uczyni,
Nie wzmocni szyi sznur koralu.
Bojaźń i Przestrach gdzieś w jaskini
Najpierwszą zbroję wykowali,
Najpierwszą tarczę młot ten samy
Na gór Cydońskich wykuł szczycie;

My głupio głowę przykrywamy,
By choć na chwilę przewlec życie.
Lecz śmierć, co zda się na uboczu,
Pilnuje czleka okiem żmije,
I promieniami chciwych oczu
Zatrute żądło w pierś mu wbije,—
Wbije powoli i nieznacznie,
Bo słabe miejsce okiem strzyże.
Kiedy się człowiek zbroić zacznie,
Kiedy chowamy twarz w wizyrze,
Kiedy drży tarcza niespokojna,
Najprędzej pod pociskiem pęknie.
Dzielnego męża sama wojna,
Sama przygoda się ulęknie.
Gdy Hektor pod murami Troi
Żelazne greckie łamał siły,
Gdy cisnął grot żrenicy swojej,
Same się losy ukorzyły.
Mąż od złych losów nie umiera,
A jeśli padnie od boleści,
Śmierć wyprowadzi bohatera
Na złotą drogę świętej cześci.
Gdy zejdziesz z wojowniczej bloni,
Los w ciebie grzotnie najdogodniej,
A śmierci droga się odsłoni,
Którędy chciałeś umknąć od niej.

O D A VII.

Do ksząząt państwa rzymskiego.

O wyjarzmienu prowincyj greckich.

At non supino semper in otio
Perdemus aevum.

Przecież niezawsze gnuśne próznowanie
Trzymać nas będzie od wieka do wieka;
Pora już powstać — powstańcie, Rzymianie!
Wyjarzmić państwo okutego Greka.
Siądźcie w okręty i uderzcie w wiosła
I płyńcie z Bogiem gdzie stara Hellada.
Woda życzliwie będzie nawy niosła,
A wiatr życzliwy kierunek im nada.
Jeden drugiemu ochoty udzielcie,
A jeśli żołdak myśli o jurgielcie,
Niech idzie śmiało, żołd się nie wyśliźnie,
Niech idzie śmiało, nie zwiedziem go chytrze.

Bo gdzież pieniądze? gdzie złoto obfitsze,
Niżli na starój bogatěj Greczyźnie?
Byle żelazo i ręka z zapalem,
A złoto łacno znajdziemy nareszcie.
Kto będzie umiał rusznicznym wystrzałem
Zdobywać skarby na bogatém mieście,
Nagrodzi pracę, skoro wejdzie w mury,
Bo weźmie łupem bogactwa i dziwy,
Nie będzie łaknął tyryjskiej purpury,
Ni cypryjskiego wina i oliwy.
Tylko w szeregi Turków i Mongołów
Sypnijmy gradem śmiercionośny ołów,
Tylko podstąpić pod ich twierdzy wrota,
I w cztery ognie armatnie uderzym,

Aż krzepka cegła na pył się zgruchota.
 Tam, rozgrzebując zwaliska popsute,
 Znajdzie bogactwa, kto się brać nie leni;
 Znajdziemy skrzynie łańcuchami skute,
 W nich pełno złota i drogich kamieni.

Daleka Baktra o swe skarby trwożna;
 W Aulach, na Hemie, łupu dostać można;
 Jeszcze w Mycenach dość złota znajdziecie,
 I na Cyterze nie braknie go wcale;
 Jeszcze na dawnój Jowiszowój Krecie
 Obfity znajdziesz kosztowne korale.

Jestże gdziekolwiek obojętne serce
 Na cienie drzewa, na opoki duże,
 Na kraskę kwiatów, na trawne kobierce,
 Na zdrój, co warcząc toczy się po górze?...

Choć krew nam świszczy, choć ranią boleśnie,
 Nie żal nam tego, jeśli Tempe wskrześnie,
 Jeżeli Olimp z zachmurzoną głową,
 Samos, zniszczony przez wojenne klęski,
 I lasy Kragu zakwitną na nowo,
 I zazieleni stary dąb pangeński.

Jest woda w Cydnie zdrowa i przejrzysta,
 Jest i w Paktolu, co rozkosznie płynie,
 Jest i ciepława woda w Eryzynie,
 Jest i w Likornie jako kryształ czysta.
 Tu każda rzeka, o rycerze nasi!
 Kurz z was omyje, pragnienie ugasi!
 Jest tu i wino!—gdy się Turek wyprze,
 Znajdziesz gdzie puhar wychylić z rozkoszą,
 I w żyznej Krecie, i w Lesbie, i w Cyprze
 Winnice k'sobie wojowników proszą...

Kto pragnie sprzętów do swego zapiecka,
 Lub komu bardziej do serca przypada
 Baran ze trzody, lub rumak ze stada,
 Niech idzie walczyć,—a kraina grecka
 Wszystko dostarczy, gdy wybawca przyjdzie.
 Pleuron wyciąga swe ramiona bratnie,
 Wzgórza kleońskie, pola w Argolidzie
 Obfite w trawę i w trzody dostatnie.
 W lasach Dumetu, na cejskiej dolinie,
 Wszelakie stada błakają się zgrają;
 W tucznej na paszę i płodnej Gortynie
 Obok macierzy koźłeta płasają.

Kto chce z marmurów mieć progi salonu
 I marmurowe ozdoby na stropie,
 Niechaj wypędzi Turków z Karystonu,
 A tam się marmur najprzedniejszy kopie.
 Jeno wybawca niech przyjdzie z pociechą,
 Znajdzie i wawrzyn na swe skronie mężkie,
 I wdzięczne zleją pagórki ateńskie
 Błogosławieństwo po nad jego strzechą.

O D A VIII.

Do rycerstwa polskiego.

Gdy Władysław, król wicz polski, po pokonaniu Osmana pod Choci-
 mem dnia 10 października 1621 roku, zwyciężkie wojsko na zimowe
 leże odprowadzał.

Creditis? io! credite, posteri.

Czy uwierzycie? ho! wierzcie, potomni,
 Że złaman Turek przez nasz miecz zwyciężki!

I że nakoniec męże wiekopomni
Mir zaszczepili na polu ich kłęski!

Jakiż to przepłoch siadł na Turka czołe!
Jakże to z placu unosił się szczyrze,
Kiedy Władysław swe dzielne rycerze
W kształtnój falandze rozwinął na pole!

O! struchlał Turek i drżał gdyby listek,
Pocił się Arab, kiedy zwrócił oko,
Jak Dunaj, krwią ich zafarbowan wszystek,
Szedł krasieć Bosfor nieczystą posoką.

Gdy nasze wojsko uderzy na wroga,
Kiedy bardysze po tarczach mu zgrzytną,
Z piersi tureckich uderzyła trwoga
Aż pod Stambułu basztę starożytną.

Zbraczając we krwi piersi i pałasze,
Wzięliśmy sławę, czy w zysku? czy w stracie?
Czy wy, potomni, te przykłady nasze
Weźmiecie z dziadów i wnukom podacie?

Bo ileż razy haniebnie się zdarza,
Że nędzne wnuki, choć szlachetne przodki,
Że bohaterkie plemię się przetwarza
I płodzi tylko karły i wyrodki!

Ach! jeśli na nas idzie taka kolój,
Więc stare herby, orężę i dzieje
Wrzućmy do ognia, niech zgorzeją wolój,
A z niemi nasze dzisiejsze trofeje!

I marmurowe praójców pamiątki,
I historyczne ich sławy odbłaski,

I ich obrazy, ich trumny, ich szczątki
W proch rozetrzjmy, zrąbajmy na trzaski.

Lub gdy nas gniewa spoczynek niedbały,
Dajmy przysięgę w jednostajne słowo:
Że sami dla się i zwycięstw, i chwały,
Pójdziem się z trudem dobijać na nowo!

O królewiczu! niech cześć twoja wzrasta,
Jako już teraz obleciała skoro
Ziemię, i ludy, i wioski, i miasta...
Słabego świata dostojna podpora!

Miecz polski znowu krwi tureckiej woła,
Niechże już dłużej nie wisi na ścianie.
Daj jeno hasło — postawimy czoła
Przeciw zastępom, co stroją poganie.

O D A IX.

Poeta wzdycha do Niebieskiej Ojczyzny.

Urit me patriae decor...

Ojczyzna niebios wzrok mój zachwyca,
Tło firmamentu bogate,
I młodociany promień księżyca,
I gwiazdek światło iskrzate.
Światło za światłem miga wesoło,
Kręgiem tanecznym się waży,
Lampa przy lampie stoi w około
U świętych niebios na straży.
Przykute oczy moje do nieba
Błądzą jak goście w tém kole;

Długoż mi jeszcze, długo potrzeba
 Tulać się w ziemskim padole?
 Otwórz się, grobie! otwórz się, głuchy!
 Legnę w tobie bez popłochu.
 Zrzucę cielesnych kajdan łańcuchy,
 Strząsnę proch mego prochu,
 Zbędę się mego brzemienia w ciełe,
 Zbędę się bólu, zgnilizny,
 I ducha mego lotem wystrzelę
 Do niebios, do swój ojczyzny.

O D A X.

Do książąt włoskich o konieczności odzyskania
 Wschodniego Państwa.

Pulchro, Quirites, pulvere gaudeat
 Impubis aetas...

Pięknie, Rzymianie, gdy młodzieńce zwawe
 Do wojennego kształcą się zawodu,
 I proch, i sygnał, i wojenną wrzawę
 Poczną poznawać za młodu.

Gdzie wionie sztandar, gdzie trąby zagrzimocą,
 Na pierwszy ogień kupią się gromadnie,
 Ani się troszcząc, gdzie następną nocą
 Po trudach spocząć wypadnie?

Czy na murawie, mokréj od wilgoci,
 Czy po rycersku na rębie pawęzy,
 Rzeźki młodzieniec mało się kłopoci,
 On myśli, jak to zwycięży?

W takim rycerstwie ufny, jak w żelazie,
 Gruchotał w twierdzach i mury, i śpiże
 Ów znakomity wódz w Peloponezie,
 Ów dzielny rządcą w Epirze.

Ha! jaki zamtuz nastąpił dni owych,
 Jaki padł przepłoch na tureckie plemię,
 Gdy głos i szczękot zastępów Marsowych
 Odbił się echem na Hemie!

Kiedy Władysław ze święconą bronią
 W święcone surmy uderzył na trwogę,
 Cisnąc niewiernych waleczną pogonią,
 Otworzył do Hebru drogę;

Gdy w rzekę Strymon wiodąc swe orszaki,
 Mścicielską włócznią zamącił jój wały,
 Po których dotąd tarcze a szyszaki
 Zbitych wojsk naszych pływały:

Truchlały zbójców czeredy olbrzymie,
 Twarz im pobladła, ich ręce się trzęsły,
 Zbroczone we krwi, okopcone w dymie,
 Gdy nasze włócznie zachrzęsły.

Lecz my, niestety! ze zbytniego męztwa
 Chcieliśmy płynąć jako łódź bez wiosła;
 Szlachetna żądza pięknego zwycięstwa
 Nas za daleko uniosła!

O cienie przodków! nasz oręż za słaby,
 A któż po waszój będzie mścił się głowie?
 Kto na tém polu pobije Arabi,
 Gdzie legli nasi ojcowie?

Przebóg! ich kościom niecześci tak wiele,
 Turek wyszydza ich kurhan cmentarny,

Po którym pnać się, ogryzają ziele
 Łęklive kozy i sarny.

O ludy! hańba niech oczy nam zaćmi!
 Wstyd nam chwil marnych, straconych napróżno,
 Wstyd nam toczonych wojen między braćmi,
 Gdy z wrogiem walczyćby można!

O potomności! niech dzisiejsi męże
 Wspomną o zemście, Rzymie i Rzymianach!
 Nie — lepijź zróbcie: zawieście oręże,
 Niech je rdza zgryzie na ścianach.

Lub, co korzystniej, pewno już w téj porze
 Dobry miecz rzymski na sochę skowano,
 Pewno Latyni żną mieczami zboże,
 Lub rąbią kłodę drewnianą.

Lecz młodzież rzymska, ufajmy jój jeszcze,
 Rycersko mieczem poświęconym płatnie.
 Słyszę: grzmi działo, fal morska szeleszcze,
 I syczą kule armatnie.

Wszystkiemi wiosły nasza flota bieży,
 We wszystkie miecze bojownicy sieką;
 Tu krew, tu oręż, tu szczątki odzieży
 Pluskają w morze daleko.

Tryton, pływając, na swój trąbie grzmota,
 Widzę posiłki szlachetnych sąsiadów,
 W pomoc nam płynie niezliczona flota.
 Mnoga, jak wyspy Cykladów.

Ubieżał Turek ku krainom wschodnim,
 Zaćmił się w chmurze półksiężyc dwurogi;

Ubieżał Turek—ledwo morze wschodnie
Lodem nie skrzepło od trwogi.

O D A XI.

Do Lewina Hieliusza — zalecenie pracy.

Nam quæ purpureis fumet honoribus...

Czy wół ofiarny, z którego krew ciecze,
Którego rogi uwieńcza ozdoba,
Czy ów, co karkiem ciężką sochę wlecze,
Bardziej się Bogom niebieskim podoba?
Praca kraj trzyma: — Fabrycy na łanie
Pracował silnie rydlem i toporem,
Karczował grunta — alić go Rzymianie
W głos obwołali swoim dyktatorem.
Zawołał liktor:— „Uczczona zasługa!
„Rzuć, mężu, rydel, rzuć wiejskie rzemiosło;
„Odtąd ta ręka, tak wprawna do pługa,
„Będzie stercnicze piastowała wiosła.
„Wyprząż twe woły, niech szukają trawy;
„Rzymianie wyższe niosą ci zaszczyty:
„Pomny na równość, słuszny i łaskawy,
„Mężu, bądź ojcem Rzeczypospolitéj!
„Na cześć Jowisza złóż podarek szczery,
„Poświęć mu twoich towarzyszków pługa.
„Godne twe woły ofiarnéj siekiery,
„Godna z ich trzewów niebiosom zasługa!“

A nawet dzida Marsowa Jazona
Od pracy wzięła swój tryumf zupełny.
Nigdyby pewno nie była wieńczona
Złotemi kosmy kędzierzawéj wełny,

Jeśliby Greczyn nie narzucił jarzem
 Na rozhukane, nieprzystępne byki,
 A potém płuźném zębatém żelazem
 Nie rznął dyrwanów na Kolchidzie dzikiéj.
 Napróżno woły piorunowym rykiem
 Chciały ustraszyć dzielnego oracza;
 Próżno, buchając siarczystym dymnikiem,
 Wyziew zabójczy głowę mu otacza.
 Nie struchlał rycerz, choć widzi, że niwa,
 Czarodziejskimi zębami zasiana,
 Bujno się krzewi, a z krzewów wypływa
 Zbrojnych rycerzy mnogość nieprzebrana.
 Błyszczą ich hełmy, pancerze i bronie,
 Ale bohater ducha nie postrada,
 Tessalska włócznia, jak sierp na zagonie,
 Zwalcza zastępy i na przekos składa.

KSIEGA DRUGA.

O D A I.

Do Publiusza Memmiusza.

Quæ tegit canas modo bruma valles...

Zima na polach, lecz stopi ją wszędzie
 Wiosna łaskawa.
 Ach! kiedy zima na głowie usiedzie,
 Trudniejsza sprawa:
 Szadź gdy posrebrzy czuprynę człowieka,
 Będzie już przy mnie;
 Lato uciekło, i jesień ucieka,
 Zmarzniem na zimnie.

Chłód i siwizna gdy przyjdą swój pory,
 Nie zbyć tych cierni!
 Choćbyś balsamem namaścił kędziory,
 Włos się nie zczerni.
 Raz tylko w życiu młodość nas zagrzała,
 Raz starość zgarbi.
 O Publiuszu! sama tylko chwała
 Wieczność zaskarbi.
 Przy czym zgonie bolą ziomków serca,
 Ten nie żył marnie.
 Krom naszych zasług—czuły spadkobierca
 Wszystko zagarnie.

O D A II.

Do swój harfy.

Sonora buxi filia sutilis...

Harfo moja bukszpanowa!
 Wisieć będziesz na topoli,
 Kiedy w liściach ciche słowa
 Poszeptywa wiatr powoli.
 Niech po strunach wiatr figlarnie
 Poszwargoce tony skoczne,
 Ja tymczasem na tój darnie,
 Złożę głowę i wypocznę.
 Lecz, ot chmura!—z po za lasu
 Łoskot deszczu z dala warczy.
 Umykajmy — ach, do wczasu
 Jeno krótka chwila starczy!

O D A III.

Do swojego brata Stanisława Sarbiewskiego.

Si transacta retro sæcula respicis...

Jeżeli dawne wieki przypominasz sobie,
 Jeżeli wspomnisz przeszłość, westchniesz od boleści!
 Wszędzie sen i milczenie, wszyscy leżą w grobie,
 Ani śladu dawniejszej rodowitej cześci.
 Próżno wołasz pieśniami twoich towarzyszy,
 Sarbiewski! pieśń nie złączy, kiedy śmierć rozdzieli.
 Bracia twoi po mieczu w grobowej zaciszy,
 Skłoniwszy twarz rycerską, na twardo posnęli.
 Ty, jako dzielny bójca, nasze bohaterzy
 Po rycerskubys spotkał, — a za tobą dalej
 Ja, śpiewak, cześćbym oddał brzękotem méj liry,
 Gdyby tylko ich cienie z grobów zmartwychwstali.
 Moglibyśmy zawołać: Do nas, zacne głowy!
 U nas już bohaterskie uczucia zamaryły,
 Po waszych wielkich czasach przyszedł wiek jałowy,
 I z plemienia olbrzymów zrodziły się karły.
 Wiek, co Herkula wyda, za wielki liczymy,
 Ale Herkul nie zawsze urodzi się przecię;
 O! nieraz dzikie gady, potwory, olbrzymy
 Morderczo i bezkarnie plondrują po świecie.
 Niechże wszystkie ustąpią! Powoli, powoli
 Idźmy ku wielkim dziełom, nie zwlekając dłużej!
 Nie razem zostać wielkim, — służmy sławie k'woli,
 A potem jako żywo sława nam usłuży.
 Kto będzie tak walecznie działał, jak pradziady,
 Ten sławę pradiadowską pozyska we żniwie.
 Idź za dobrymi wzory, słuchaj dobrej rady,
 I ku dziełu prawicę przyłóż nieleniwie.

A tak sama cię dola wzniesie na widownię,
 Sama wzniesie twe imię pod gwiazdziste szczyty.
 Lecz pracą jeno można ukrzepić warownię,
 W pocie tylko zdobędziesz zamek niezdobyty.
 Idźże czy szukać sławy między cesarskiemi,
 Co mury mantuńskie mają zwalić w gruzy,
 Lub pod Apenninami, w Liguryjskiej ziemi,
 Albo w krainie Gallów pomiędzy Francuzy;
 Lub powracaj do Polski rodzinnego brzegu,
 Czy gdzie ciebie nie wezwie, kiedy broń zaszczęknie.
 Tu skieruj męzką duszę, stań w bratnim szeregu:
 Żyć tutaj, to zaletnie, — umierać, to pięknie.
 Czy Turczyn, czy Tatarzyn, ty pokwap się żwawie
 I uderzaj co siły twą włócznią doznana;
 A znajdziesz twoją chwałę w ojczystej kurzawie,
 I nie dasz, by o tobie z przekąsem szeptano.

O D A I V.

O występkach rodzaju ludzkiego.

Humana linquo...

Odumieram już ziemi, — o wiatry! o chmury!
 Owioncie mię, unieście daleko, wysoko,
 Po nad płaskie doliny, nad garbate góry,
 Po nad państwa, nad miasta...

O! już moje oko
 Patrzy z wysokiej gwiazdy na przybytki boże,
 Na królewskich pałaców złociste dachówki;
 Wieże miast i warowień w dalekim przestworze
 Zdają się moim oczom jako drobne mrówki;
 I granice narodów w tak małym zakresie
 Przed mojemu oczyma... Czuję, lży mi płyną:

Widząc igraszki doli, płakać, płakać chce się
 Nad marnych rzeczy ludzkich przemienną ruiną.
 Tu staroświeckie baszty gruz zasypał czarny,
 Tutaj nowe wieżycy wystrzeliły czołem,
 Tutaj dymek się kurzy, tu ogień pożarny
 Zniszczył mury, a miejsce zabielił popiołem.

Tutaj łagodne niebo i rozkoszne klima,
 Ale wojny nie dają kosztować rozkoszy;
 Tutaj ludzie spokojni, tutaj wojen niéma,
 Za to mór zaraźliwy krainę pustoszy.
 Owdzie włócznie migocą, słyhać chrzęst puklerzy,
 Stoi szyk przeciw szyku, wściekle oko pasie
 Widokiem krwi i śmierci, każdy pocisk mierzy,
 Niepewny los potyczki chcąc zaskarbić dla się.
 Już się splotły zastępy, rąbie się brat z bratem,
 Miecz błyszczy się, uderza, szarpie i rozdziera,
 Szerokie pole bitwy spluskane szkarłatem,
 Leżą porzniete trupy, — to grób bohatera!
 Tutaj okręt kupiecki zawinął do brzegu
 Z indyjskimi towary, — wnet wszyscy zebrani:
 O jakże tutaj tłumno! cu tu ludu biega!
 Jednych zysk, drugich zbytek wiedzie do przystani.
 Słyhać gwary i bitwę, ludzie bez różnicy
 Z lada przyczyn gotowi porwać się za noże:
 Jedne wdzięki Heleny, uśmiech zalotnicy
 Narody na narody znieawistnić może;
 Ten za słowo zelżywe uderzy toporem,
 Ten za psa skradzionego krwią pomścić się gotów.
 Ludzie przykład zbrodniarzów kładą dla się wzorem,
 Występek liczą dumnie do rzędu przymiotów.

Na wschodnim oceanie wojenna fregata
 Zieje ogień armatni z błyskawic i grzmotu;

Przepłoch z echem wystrzałów dokoła rozlata,
 Góry, wyspy sąsiednie aż drżą od łoskotu,
 Aż morze na grom działa echem odpowiada,
 Odbijając go trwożnie po płaszczyznach fali.
 Wstrzymajcie się, okrutni!—o biada wam, biada!
 Jeśli wasz miecz zabije, wasz ogień zapali.
 Czyż ziemia za te śmierci pomsty nie zawoła,
 Któreми poginęła jej kochana dziatwa?
 Biada zbójcom! zachwieją i uchylą czoła,
 Ich państwo w sieć zniszczenia samo się zagmatwa!
 Na ruderze ich domów stanie przestwór próżny,
 Będą nory jaszczurcze i kupa popiołu,
 Na której w późne wieki napisze podróżny:
 „*Tu leży lud z królestwem i królem pospołu.*“
 Po cóż mam przypominać ocean ponury,
 Co nieraz, zgruchotawszy skaliste wybrzeże,
 Szedł i pochłaniał miasta, podkopywał mury,
 I zalewał świątynie po wysokie wieże?
 I królewskie podwoje, i bierwiona z chaty
 Widziano pływające po morskim przestworze;
 I towary tyryjskie, i skarbiec bogaty,
 Jako z morza nabyte, popłynęły w morze.
 Świat pracuje i działa, wre życiem bałaśnie,
 Ale na własną zgubę pracuje szalenie,
 I zażarte potyczki, morderstwa i waśnie
 Szermiersko odegrywa na skrwawionój scenie,
 Aż nim Pan w dzień ostatni zakończy złą kolój
 I na zawsze zabije drzwi w amfiteatrze...
 Czyż mam czekać aż dotąd? O! ulecę wolój,
 W jasne niebo i w słońce pogodne popatrzę.
 Nie chcę patrzeć na ziemię—o wy, wiatry wschodnie!
 Prędźż mię, prędźż z sobą unosście ku górze,

Zkąd ziemi ani widno, gdzie piersiom swobodnie,
 Gdzie słońca i księżycy kąpią się w lazurze!
 Czyż zaiste? O! wietrzna wzdeła się już fala,
 Ja w górach na obłokach mknę się po przezroczu,
 Królestwa jako mrowie jeno mżą się z dala,
 A ludzie i narody znikają z mych oczu.
 Kula ziemiska maleje, aż się punktem stanie,
 Jako czarna źrenica w szerokim błękiecie,
 Jako mała wysepka w wielkim oceanie,
 Którego z żadnej strony brzegów nie dojrzycie.
 Coraz wyżej a wyżej ze mną chmury biegną...
 Powietrzny oceanie, orzeźwij mą głowę!
 Pochłoń mię, pograź w siebie, napój spragnionego
 I zaprowadź do portu, niech ujrzę Jehowę.

O D A V.

Kato polityk.

Usu se minui si sinerent opes...

Mało posiadam, prosiłbym o więcej,
 Lecz na cóż zda się ta modlitwa chciwa?
 Głupie łakomstwo chciałoby tysięcy,
 Pragnie, wydziera, lecz ich nie używa.

Bogdaj to cnota i bogactwa serca!
 Bogactwo myśli—to prawe korzyści,
 Których nie może odebrać wydzierca,
 Które codziennie wzrastają krzewiściej.

Czy to królewskiej, czy cezarskiej lidze
 Podda się państwo, pełniąc wolę bożą,
 Takie bogactwa, jak obce intrydze,
 Ani się zmniejszą, ani się pomnożą.

Dola wyszydza żądze i nadzieje,
Któremi człowiek swe serce przyodział;
Rzuci garść złota, a potem się śmieje,
Że głupi motłoch bije się o podział.

Chciwcy się rzuca łąpczywie i tłumnie,
Za lada darem, za groszem, za kwiatkiem;
Lecz zmienne skarby nic nie ważą u mnie,
Choć się w me ręce dostaną przypadkiem.

Gdy mi konsulat sądził Pan niebieski,
Doma mię znajdzie i wolę swą ziści;
Ja sam nie pójdę starać się o kreski,
Bym nie był widzian oczyma zawiści.

Będę mą godność piastował bez względu,
Póki mi każe przeznaczenie boże;
A potem berło mojego urzędu
W ręce następcy spokojnie położę.

A odegrawszy konsule i wodze,
Gdziem miał aktorską purpurę i zbroję,
Znijdę ze sceny w pospolitą todze,
Zrzuciwszy z siebie ozdoby nieswoje.

Wczora wzniesiony wysoko od ziemi,
Miałem oklaski, słyshałem szydzenie;
Jutro, klaskając i sycząc z drugimi,
Obaczę mego następcę na scenie.

ODA VI.

D o D e c y u s z a.

An nos sola parit, Deci,
Tellus?

O Decyusz! czyż sama ziemia
 Nas wyrodziła swém tchnieniem?
 Czyż my wyrodki wyprzem się nieba,
 Co nas odziało promieniem?
 Czyż nam się godzi drętwieć leniwie,
 Gdyśmy zrodzeni do cześci?
 Jeżeli wierzyć dawnym pół-bogom,
 Głoszonym w greckiej powieści,
 Że ze krwi bożej wiedli swe plemię,—
 Czemuż ich przykład tak niemy?
 Dla czegoż sami, przebóg! tak długo
 W gnuśném próżniactwie żyjemy?
 I ród nasz święty, ród nasz niebieski
 Nikczemnim w sobie tak marnie?
 Wiosna ucieka, starość nie zwłóczy,
 Już nas zgnilizna ogarnie.
 O! chwała temu, kto pierwszy przerwie
 Haniebną drzemkę w złej doli!
 Kto ziemię tracką, miasta Kolchidy
 Z rąk bisurmańskich wyzwoli!
 Kto ich odpędzi—błogo mu, błogo!
 Niech będzie pewien swój cześci;
 Sława dostojna to zacne imię
 Późnym potomkom obwieści.
 My niedołężni jeno się waśnim,
 Bo czarna zawiść nas pali;

Co dawniej zwano dzielnością, cnotą,
 Myśmy to szczęściem nazwali.
 Co trzeba nabyć myślą i pracą,
 Myśmy puścili na losy;
 Bo gmin rozumie, że trafem tylko
 Można się dostać w niebiosy.
 A sława, widząc, żeśmy niegodni,
 Nie puka do naszej bramy;
 Lekce ją ważym i dla igraszek
 Szlachetne imię rzucamy.
 Lecz ty, szczęśliwco, przy którym jeszcze
 Chwała odbywa swe straże,
 Rzuć chatni ogień, rzuć stół rodzinny
 A idź, gdzie ona rozkaże.
 Śpieszaj skwapliwie, zahartuj serce
 I dzielnie nadstawiaj czoła;
 A czy w Athosie, czy na Kaukazie,
 Zwyczajko ciebie obwoła.
 Czy gdzie na wschodzie olbrzymia rzeka,
 Czy na zachodzie się toczy,
 Wszystek lud tamten berłu twojemu
 Będzie podlegał ochoczy.
 Czemuż, niestety! muszę tak długo
 Łajać gnusności, intrydze?
 Grecyo stara! czemu na tobie
 Skruszonych kajdan nie widzę?
 O prędkoż, prędko radzi ujrzymy
 Pięknej Arkadyi darnie?
 Prędkoż na święty Hemu wierzchołek
 Dadzą się wedrzeć bezkarnie?
 Prędkoż tessalską ujrzę Peneję?
 Prędkoż w parnaskiej pieczarze

Wzorem Pindara pieśnią zapieję
 I duch w walczących rozżarzę?
 O! wtedy będę słyszan daleko,
 Będę w świetności i cześci;
 Naród zamorski i nieznajomy
 Wielkim mię wieszczem obwieści.
 Przemogę zawiść, co zębem zgrzyta,
 A rozgłoszony za wczasu,
 Nie umrę czlekiem ciemnym, nieznanym,
 Kapłan świętego Parnasu.

O D A VII.

Do Najświętszej Panny Maryi, gdy Jan Karol Chodkiewicz
 zbudował Jej kościół w Krożach.

Huc, o beatis septa cohortibus
 Regina mundi...

O! teraz, teraz, Królowo ziemi,
 Weź swoją drogę zorzmi jasnemi,
 I na obłoku, gnanym wiatrami,
 Spuść się na ziemię, zamieszkać z nami!

Zstąp i zamieszkać w kraju tych ludzi,
 Co Twój przybytek wznieśli na Żmujdzi,
 Gdzie u podnoża Twoich ołtarzy
 Wonném kadzidłem ogień się żarzy.

I nie waż lekce modlitwę rzewną!
 Choć w krajach zorzy świetniej Ci pewno,
 Choć w loretańskiej i rzymskiej stronie
 Więcej jest złota na Twój koronie, —

Choć enipejskich ludów gromada
 Nie skąpą ręką dary Ci składa,

Choć Azyanie z wdzięczną rozkoszą
Wysokie wieże dla Ciebie wznoszą,—

Choć w całej ziemi dank Twój uznany,
I gdzie zamorskie Amerykany,
I gdzie zachodnie i wschodnie strony,
Wszędzie-ć ofiary, wszędzie pokłony.

Patrzcie, o! patrzcie, natężcie oko:
Obraz Dziewicy widzę wysoko!
Święte wołania słyszę w przezroczy,
I po błękicie obłok się toczy.

Zdjęły się w górę szare tumany,
I pierzchnął pomrok wiatrem rozwiany,
I gdzie się biały obłok migota,
Trysły promienie ognia i złota.

A kędy przejdzie i kędy błysnie,
Tór swego przejścia cudny wyciśnie,
Śladem za chmurką, śladem ujrzycie
Ognistą taśmę w jasnym błękicie.

Ha! czy słyszycie, nizcy ziemianie,
Jaki w téj chmurze dźwięk i śpiewanie?
Cześć! cześć i sława! w błyskaniu burzy,
Grom po trzy razy tym dźwiękiem wtórzy.

I wielkie słowo: „Cześć! cześć i sława!“
Po ziemi żmujdzkiej echo rozdawa,
Drgnęły doliny i leśne liście,
Gdy odbijały głos uroczyście.

O! ciesz się, ziemio, z takiego gromu!
Dziś twoich modłów jest słuchać komu!

Śpieszajcie uczcić niebieską gościę,
Bożęj Dziewicy dary przynóście!

O D A VIII.

Do rzeki Narwi, na której brzegach, będąc dzieckiem, złożył
najpierwszy wiersz liryczny.

Albis dormiit in rosis...

Na wiązance z białej róży,
Na fiołkach, spoczął we śnie
Dzień ów wielki, dzień miniony,
Gdym najpierwszą złożył pieśnię,
Gdy nad Narwią harfa brzękła
Niedoleżną jeszcze nótę.
O, zaiste! z dnia tamtego
Złote dla mnie dni wysnute.
Ozłocona harfa moja
Nie chrzęściła jako tarcza,
Nie śpiewała bohaterów,
Licha wioska jój wystarcza,
Uperlone rosą kwiaty,
Róże, gwoździk, tulipany,
Lub Wili brzeg majowy
Zefirami ugłaskany.
Narwi rzeko! tum w najpierwszój
Niemowlęctwa śpiewał porzel
Tum najrańszą mą piosenkę
Na wiązowój wyrył korze.
Póki jeszcze nie zarasta
Kora, rylcem zadraśnięta,
Niech się pieśni méj wyuczą
I dziewice, i chłopięta,—

I w mojego dnia rocznicę
 Niech się zejdą tutaj wczesnie,
 Aby razem i na przemian
 Chórem śpiewać moją pieśnię.

O D A I X.

Niczego nie należy głupio się lękać lub spodziewać.

Et me Latinae non solitum loqui
 Jussere Musae.

I mnie lacińskie muzy przemówić kazały;
 Jam wnukiem Orfejowym za Pieryd łaską.
 Zbierzcie się, cni Sarmaci, w okrag okazały,
 Uwieńczcie moje skronie laurową przepaską.
 I głosu mojej liry posłuchajcie chętnie,
 Nie pędźcie waszych myśli za motłochu wrzawą,
 Żądź waszych nie puszczaćcie plondrować namiętnie,
 Zawrzyjcie wasze serca przed podłą obawą.
 Zepnij silnym wędzidłem wyuzdane chuci,
 Zbądź się nikczemnej trwogi, uczyn ślub Minerwie;
 Gdy ci męztwo szlachetne do serca powróci,
 Ty bezpieczen popłyniesz, choć burza się zerwie.
 Gdy ciosy przewidziane nietyle nas bodą,
 Więc często przemyślujaj, co ci dola waży,
 I oswajaj twe myśli ze wszelką przygodą,
 Bądź gotów do nieszczęścia, stój pilnie na straży.
 Czy to morze się wzdejmie i grzmoty zawarczą;
 Czy płomień błyskawiczny z piorunami lata,
 Staniesz kamiennym murem i miedzianą tarczą,
 I będziesz się przyglądał rumowisku świata.

Hartuj pancerz do boju, póki spokój władnie,
 Gotuj się mężném sercem do hasła Bellony;
 Biada temu, kto zadrży! biada, kto pobladnie!
 On jeszcze przed potyczką dwakroć zwyciężony.

Ale znowu—chełpliwość wiedzie do omamień;
 Nie chwal się, że masz mocne do walki ramiona,
 Nie wywoływaj nieszczęść; bądź stałym, jak kamień,
 Ale prózna przechwałka niech ci w uściech skona.

Skromne i ciche serca omija zła dola,
 Lecz nie bluzgaj złej doli przez chełpliwe słowo;
 Gdy ją wywiesz na rękę, nie uciecze z pola,
 Zwróci się i do gruntu wstrząśnie twą budową.

Niech mądrość dzierży włócznię, a pewno zwycięży,
 Niechaj harda swoboda nie zaślepi oczy;
 Mądra, przezorna rada jest nakształt pawęzy,
 Na której grot zawiści zbije się, odskoczy.

Lecz skoro los zagrozi i w serce nam mierzy,
 Wtenczas to, wtenczas pora poszermować mieczem!
 Chwycim dobry nasz oręż z zapalem szermierzy,
 I na groźby zelżywe zwyciężko odrzeczem.

Milczenie bohaterskie lub uśmiech pogardy,
 To najwłaściwszy oręż, gdy staniem przy mecie.
 Z oczu nam wróg wyczyta, czy duch u nas twardy,
 Czy nas można bezkarnie zaczepiać, jak dziecię.

Oto jest sprawiedliwój mądrości nauka;
 Lecz dzisiaj świat się w żądzach nierozważnych
[grzebie,
 Każdy rzeczy zewnętrznych najtroskliwój szuka,
 Ale któż jest sam sobą? kto szuka sam siebie?

Jeden, bogaty w złoto, lecz ubogi w ducha,
 Bezczęści wszystkie wyspy, gdzie przybił swą nawę;
 Drugi pozbył się serca, rozumu nie słucha,
 Śmiercią kupuje zyski głupie i nieprawe.

Ów dąży w zamorszczyznę,—jak mara przejezdna,
 Przypatruje się krajom, narodom i mowie;
 Jedzie poznawać światy, a sam siebie nie zna,
 Nosi błędną ciemność i straszne pustkowia.

Inny w niegodnym wczasie zdrzemnął spokojnie,
 Jako trup bezkorzystny, bezczynny dla świata,
 Doma niepożyteczny, niezdatny na wojnie,
 Sterał jeno, zmarnował młodziuchne swe lata.

Ten się oddał dworszczyźnie, służy drugim gwoli,
 Bo nierad sam ze siebie, chce sięść między pany,
 I co najgorsza kara służebnej niewoli,
 Zapomniał swoją nędzę, swój stan oplakany.

I wśród udręczeń serca ów trefniś uparty
 Gra rolę szczęśliwego, kłamie uniesienie;
 Kiedy mu ból doskwiera, sili się na żarty,
 Jak histryon uliczny, jak śmieszek na scenie.

Od troski barwa szczęścia spłowieje na twarzy,
 Znużą go pozdrowienia od ciżby ochoczej,
 I prośby czołobitne, i jęki nędzarzy,
 I naród, co jak woda w przysionki się tłoczy.

Łamią się jego progi od służbnych orszaków,
 A on stęka od zgryzot, co w sercu i głowie;
 Dręczą go skarby miasta, podatki rodaków,
 Dręczy go niespokojność, co też naród powie?

Człowiek żadny potęgi nie stoi o braci,
Wszystko piękne uważa za własność swęj dłoni.
Jam szczęśliwszy od niego w prywatnej postaci,
Bo mię moje ubóstwo od hańby ochroni.

Więcej nogą nie stąpię, niż zagarnę w ręce;
Ziemia, po której stąpam, to dziedzictwo moje;
Na nięj i kroki moje, i kroki książęce,
Ja tutaj rówien królom i cesarom stoję.

Wszyscy możemy wzgardzić, nikt posiąść nie może;
Ktokolwiek wiele waży znikome zaszczyty
I chełpi się w swém sercu,—zapomniał w uporze,
Iż umrze jedną śmiercią, co człek popolity.

Żyjem różni, lecz w śmierci będzie równość bracka:
Tych wynosi nad braci pawęza herbowna,
Tych krzesło senatorskie, tych sława wojacka;
Ale zgon wszystko zniesie, popiół wszystko zrówna.

Urna, gdzie zsypią nasze popioły w mogile,
Jest miarą wszystkich rzeczy. Wypogódźmy twarze,
Odrzućmy z ramion sakwy, pofolgujmy sile:
Na co nam dźwigać złoto w daremnym ciężarze?

Gdy umrę nie obciążon, wtedy umrę chętnie,
Bom przygotował skarby wiekuistej sławy;
Nabyłem sobie szczęście, nie pragnąc namiętnie,
Nabyłem sobie spokój, wolny od obawy.

O D A X.

Ze Świętego Kantyku Salomonowego.

Vitas sollicitae me similis caprae.

Panie! Ty pierzchasz, jak sarna lękliwa:
Czy afrykański huragan się zrywa,
Czy szalenie lekki wietrzyk południowy,
Ona drży strachem i uchyla głowy.

Czy zima warzy młodociane liście,
Czy łoskot grzmotu zagra uroczyście,
Czy strzeli echo piorunowe w lesie,
Bieży niepewna, gdzie oko poniesie.

Lecz moja dusza nigdy nie przestanie
Wołać za Tobą: O! wróć do nas, Panie!
Śladem Ci ślemy wołanie strzeliste:
O powróć do nas! powróć do nas, Chryste!

Czy Cię Libanu zieleninuchne szczyty,
Czy krasne niwy Betulii obfitéj,
Czy Ciebie święta, bogata Solima,
Czy Kafarnaum w swych granicach trzyma:

Przestań już pierzchać, kryć się nadaremno,
Ty się, o Boże, nie skryjesz przede mną!
Ja po jasności poznam ślad Twój drogi,
Wyda Cię słońce i księżyc dwurogi.

Pustynia jęknie gwoli Twojej cześci,
I tchnienie wiatru Twe przejście obwieści,
Wskażą Cię gwiazdy, i tęczowe cienie,
I aureoli złociste promienie.

O D A XI.

Do Jędrzeja Rudominy Jezuity, gdy z Rzymu odjeżdżał do Portugalii,
mając zamiar płynąć do Indyi.

Ergo minaei credulus Africo...

I nicze nie straszne dla twojój odwagi,

Ni skwary, ni pęd huraganów,

Ni wichry rozdęte, ni fale, ni flagi,

Ni dworzec eolskich tyranów?

Ty nie drżysz? nie wspomniesz o przyszłej ruinie,

Gdy z trwogi twój okręt się wstrzęsa?

Tam trudna żegluga, tam mało kto płynie,

Tam jeno się wicher wałęsa!

Ty patrzysz z uśmiechem na przyszłe zasadzki,

Na szturmy i burze bez liku,

Jak gdybyś nad Tybrem szedł użyć przechadzki,

Lub w miłym tuskulskim gajku.

Tam fala czatuje, by z tobą wieść wojnę,

Tam grozi niejedno widziadło...

Lecz widzę z daleka, jak morze spokojne

Do snu się cichego układło,

I zdrzemał na wodzie huragan wydęty.

Więc zerwij kotwicę w mieliznie:

Niech z gwiazdą fortunną żeglują okręty,

Niech wiatr je szczęśliwy pośliźnie!

A święta Królowa, co trzyma łaskawie

Na morzu i lądzie swe strażę,

Niech dobrém sternictwem poszczęści twój nawie

I żaglom kierunek ukaże!

O D A XII.

Pochwały Zygmunta III, króla polskiego i szwedzkiego.

Quam prono Rhodopen pede lustró?...
 .

Szybko lecę przed Rhodopę,
 Przez Fazydy brzeg się śliznę,
 Przez Kolchidę mkną mię wiatry,—
 O! już stawię moją stopę
 W naddniestrówą Słowiańszczyznę,
 Gdzie siwieją stare Tatry,
 Gdzie się chłodna Wisła kręci...
 Któż mię, przebóg! mimo chęci
 Po nad Wilią zatrzymywa?
 Jakie ciemne gaje w drodze,
 Jakie źródła tu znachodzę?

Kalliopel! po nad zorze,
 Nad obłoki rozigrana,
 Tu mię wstrzymaj, gdzie w Bosforze
 Wre posoka Muzułmana,
 Tu, gdzie fala silnie grzmoce
 W dzikie brzegi Taurydy,—
 Tam, stanąwszy na opoce,
 Siłą harfy i wyrazu,
 Siłą piosien Pierydy,
 Wymuruję ołtarz z głazu.
 Moja sztuka, moja siła,
 Wraz wywnętrzy ziemię ciemną,
 I marmuru piękna bryła
 Sama stawi się przede mną,
 I ochoczo mi pozwoli
 Wyryć na niéj wieczne słowo,
 I pochwałę Zygmuntową
 Podać przyszłym wiekóm gwoli.

Uwiecznimy na tój skale
 Walnych bitew miecz zwycięzki,
 Uwiecznimy Getów kłęski
 I zdobycie morskiej fale.
 Tutaj dziewięć orszak hoży
 Fiołkami grunt okryje,
 Na ołtarzu wawrzyn złoży,
 Pomuik w lilie owije.
 A my tutaj wdzięcznym chorem,
 Trzykroć z rana i wieczorem,
 Utkwim różdżkę od oliwy
 I zapalim ambry wonie,
 I kadzidło ogniem spłonie,
 I wydamy okrzyk żywy:
 „Tryumf! tryumf!“

W tój zaciszy
 Echo trackie nas posłyszysz,
 I trzy razy głos swój przetnie,
 Aż usłyszą Muzułmanie
 Naszą radość i wołanie,
 Nasze surmy, nasze fletnie.

O D A XIII.

Do Niemiec wrzących wojną domową.

Quid juvat densis glomerata turmis
 Bella civili tonuisse clade?

Na co ta ciżba w groźnej postaci?
 Na co wam wzdymać wojnę cywilną?
 Czyż wam tak słodko, czyż wam tak pilno
 Napawać ziemię krwią waszych braci?

Schowajcie szablę, mężni Germani,
 Schowajcie szablę, niech się nie nuży;
 Cezar łup inny ukaże dla niej:
 Szabla na Turka głowę usłuży!

Złagodny Cezar wasze ramiona
 Kaze uzbroić do innéj chwili;
 On bez trudności Turka pokona
 I lud mongolski ku ziemi schyli.

Zrzućcie pancerze, węgierscy męże,
 Porzućcie strzelać ku wspólnej szkodzie;
 Ferdynand bowiem nie przez orężę,
 Lecz miękkim cugłem rządzi w narodzie.

Tobie hołduje lud z nad Dunaju,
 Wielki jednawco wzburzonej ziemi!
 Tobie po całym Sykambrów kraju
 Brzękoce naród mieczmi czynnemi.

Świat złagodzony, rzuciwszy noże,
 Stare zwałiska naprawić krząta,
 I święte wczasy na długo może
 Przyszły, jak goście naszego kąta.

Na krwawej ziemi, tam, gdzie się bito,
 Pług chleborodne rozkrawa darnie;
 Ręką ujęty miecz pracowitą
 Żnie teraz snopy, przekosy garnie.

W czubatych hełmach siedzą ptaszyny
 I wrzaskiem wiosny pieją dla ucha;
 Na tarczy gołąb, jak stróż jedyny,
 Wiernéj małżonce piosenkę grucha.

Chwała, jak słońce paląc pochodnię,
Leci przez świata ziemie olbrzymie;
Lud iberyjski i ludy wschodnie
Uczy wymawiać cesarskie imię.

Usłyszą w świecie: jak dackie strzały
Przeciw germańskim grotom ostrzono,
Jako koncerze ogień krzeszały
I jako w strzelbie kule pędzono;

Potém zbratane serca widocznie
Jak opuściła zawziętość sroga,
Kule, koncerze, strzały i włócznie
Jeden kierunek wzięły—na wroga.

O D A XIV.

Ze Świętego Kantyku Salomonowego.

Fulcite me floribus, stipate me
malis, quia amore langueo.

Ach! ubierzcie mię różami!
Niech mi wieniec skroń owije,
Niech się włos mój ubalsami,
Ach! ubierzcie mię w lilie!
Bom widziała dzieje boże!
W moich piersiach ogień wzrasta.
Wy, solimskie córki hoże,
Dzieci niebieskiego miasta,
O! przez sarny i koźleta
Ja was błagam, ślę wołanie:
Izaaka dziatwo święta,
Która igrasz na Libanie!

Wy, Karmelu różne córki,
 Co płasacie tak radośnie!
 Oszczędzajcie piękne wzgóрки,
 Gdzie fiołek wonny rośnie.
 Nie biegajcie po nich z wrzaskiem,
 Poniechajcie rąk klaskanie,
 Póki ze snu z rannym brzaskiem
 Narzeczona nie powstanie,
 Póki światła blask wspaniały
 Nie rozbudzi senną ziemię.
 Oto schodzi z wielkiej skały
 Pięknej matki piękne plemię
 I jedyne z ojca dzieci:
 Do libańskich puszcz się wciska,
 Krzemienistą drogą leci,
 Przez wąwozy, przez urwiska,
 Jak jelonek trwożny, mały,
 Gdy lwa zoczy na płaszczyźnie,
 Tłumiąc oddech, pędem strzały
 Manowcami gór się śliznie.

O D A XV.

Do Najświętszej Panny Maryi.

Gdy głodem, wojną i niepokodami nieba Polska była trąpiona.

Aurei regina Maria coeli.

Pani złotego nieba, Maryo!
 Spojrz, gdzie nad Bohem Słowiany żyją,
 Spuść się na chmurze z promienną głową
 W stronę Lechową.

Weż z sobą święte Pacholę Twoje,
I złoto piórych Aniołów roje;
Niech Zdrowie, Pokój spuszcza się razem
Za Twym rozkazem.

O D A XVI.

Do Sławy, aby głosiła czyny Władysława, królewicza
polskiego i szwedzkiego.

Age, pieti moderatrix Dea mundi.

Powstań, wielka zwiastowniczo dziejów świata!
Niechaj wicher łono chmury rozkołata,
I na skrzydłach Akwilonów wznies się z burzą.

Z gwiazd północnych świetny rydwan niech cię niesie,
Nad chmurami w podobłocznych sfer zakresie,
Graj na trąbie, wiatry wschodnie niech ci wtórzają!

Oklask tobie, królewiczu! chlubno nasza!
Twoją sławę niechaj wdzięczny lud ogłasza!
W skocznym tańcu, w hucznym śpiewie niech cię sławi!

Szparkim wirem na cześć twoją, zacy księżę,
Siedem wzgórków nadtybrowych niech okrążę!
Niech bluszczowy tan Bachusów cię zabawi!

Śpiewaj, sławo! bo to imię poznać musi
Czy Medyczyk, czy mieszkaniec zimnej Rusi,
Afrykanin i cylicki Azyata.

Niech to imię, niepożytej sławy godne,
Złotym piaskiem skreślą rzeki złotorodne,
Tag i Hermus niech rozgłoszą je u świata!

KSIĘGA TRZECIA.

O D A I.

Do Egnata Nolliusza.

Sive te molli vehet aura vento,
Sive non planis agitabit undis...

Czy-ć lekki wietrzyk kołysze i pieści,
Czy biją szturmy z pod groźnych niebiosów,
Umiejże, Nolli, w szczęściu i boleści
 Żartować z losów!

Miej twarz stateczną, kiedy los swawoli,
Gdy los się zmarszczy—ty wyśmiej go w oczy;
Niech w tobie zmiany doli i niedoli
 Żaden nie zoczy.

Jako ów hetman z władzą konsularną,
Co broniąc twierdzy, włócznie z wrogiem kruszy,
Tak ty umacniaj, gdy troski ogarną,
 Twierdzę swój duszy.

Kiedy twój domek nawiedzą przykroście,
Wynijdz je spotkać, a uczynisz zadość;
Bo w ślad za niemi idą milsi goście:
 Spokój i radość.

Nie wszystko jady, nie wszystko trucizny,
Co nam na lewej położono szali;
I troska dobra—jak sól od zgnilizny,
 Serce utrwali.

Żal kiedy długi, nie pozrze ofiary,
 Bo się oswoim, przywyknem koleją;
 Dźwigaj ustawnie choć wielkie ciężary,—
 Pewnie zelżeją.

O D A II.

Do Marka Sylicerna.

Nunquam praecipiti credulus aleae
 Cum Fatis avidas composui manus.

Nigdy, nigdy łatwowiernie
 Z moim losem nie grał w kości,
 Na boleści, na radości,
 Na kwiat róży lub na ciernie.

Nie wiem jutra—bo i po co?
 Wszak sam rządę duszę moję,
 Wszak mię losy nie ozłocą,
 Wszak o skarby nic nie stoję.

Skarby świata we frymarku,
 Dane—wzięte—więc daremnie;
 Czyż uboższym będę, Marku,
 Kiedy skarby moje—we mnie?

Dusza krzepka, myśli dary,
 Skarb nasz wielki, skarb bogaty,
 Kosztowniejszy nad towary,
 Co przywożą Azyaty.

Myśl ustawnie czeka w gości
 Ku rozkoszy, ku ozdobie,
 Nie purpury, słońiej kości,
 Lecz wzbogaceń—w samėj sobie.

O D A III.

Na szpetną chciwość wieku.

Frustra querelis et gemitu parum
Deliberato flevimus..

Próżno się skarży nasz głos ponury,
Żła nierozważna z oczu nam płynie,
Że twarde grody, szańce i mury
Smutnie zagrzebał miecz w rozwalinie.

Niewiele grzeszy (wyznajcie sami)
Miecz, co tysiączne miasta gruchota!
Wszak w rozwalinach między gruzami
Można się hojnie dokopać złota.

Przebóg! za mężów rycerskich rzeszą,
Cóż się do miasta szturmując wciska,
Chcwi grabarze z rydlami śpieszą,
By szukać skarbów w prochu zwaliska

I grabić łupy. Swym celom wierni,
Z motyką pełnią wojenną strażę.
O hańba! hańba! wszak młotek czerni
Więcej niż dzida cudów dokaże!

I wojna zmilknie, kiedy żołdacy
Uczynią zadość chciwości swojej;
Chcesz zyskać pokój—nie trzeba pracy,
Syp jeno złotem—huf się rozbroi.

Kiedy należy spotkać się czerstwo,
Wódz wtedy lochy ze złotem kryje,
Kiedy tymczasem trwożne rycerstwo,
Patrząc na wroga, drży o swe szyje.

W ubogiej twierdzy nie chcą wawrzynów,
Bo nie wawrzyny mieli na względzie.

Pewno się, pewno bezbożnych synów
Kraj skolatany prędko pozbędzie!

Umknęło pole, co rolnik orze,
Padł gród, gdzie żyli złota niesyćci,
Chciwemi nawy zhańbione morze
Nigdy się dobrym portem nie szczyci.

Natura czuwa, co się nie godzi,
Karze ruiną, kto jęj nie słucha:
Nie ufaj szczęściu weneckich łodzi,
Cóżnom lichwiarskim grozi posucha.

Niedawno Aufid apulską niwę
Swojemi wody pokrapiał żyźnie,
A teraz, mszcząc się za żądze chciwe,
Rozpuścił powódź po swęj ojczyźnie.

Ucieklszy z brzegów, jak lew z za kraty,
Pustosząc błonie, szeroko płynie;
Zamki królewskie i wiejskie chaty
Podmywa, wali, składa w ruinie.

O D A IV.

Panegiryk Annie Radziwiłłowėj, kasztelanowėj trockiėj, księżnie
na Nieświeżu.

Quo te Dearum nomine consecrem,
Vicina cani Nympha Borysthenis?

Nimfo z nad Dniepru! cóż ja ci złożę?
Lub jak cię uczcić wypada?
Możesz ty Themis? Gracya może?
Albo niebieska Dryada?

Dla twój ojczystej ziemi rozłogów
 Piękna przez ciebie zaleta,
 Kraj twój chlubniejszy niż wyspy bogów:
 Delos, Cythera i Kreta.

Tys jako księżyc, co srebrem gore,
 Tys jako Dyana święta,
 Co, wiodąc psiarni łowieckiej sfore,
 Ściga jelenie, sarnięta.

Lecz tobie pono bardziej po sercu
 Rozumnój Minerwy wczasy,
 Lub złotą nicią szyć na kobiercu
 Mężów rycerskie zapasy.

Lub gdy pobożny duch się rozżarzy,
 Poświęcasz prace twe zdatne,
 By na przykrycie bożych ołtarzy
 Utkać opony szkarłatne.

Nieplonna sława trąbi po ziemi
 Dank dla zacnego imienia,
 I nad przymioty dziwiąc się twemi,
 Głośno je światu wymienia.

Poważna piękność iskrzy twe oczy,
 Lica oblewa szkarłatem;

Ona i sploty twoich warkoczy
 Ubierze złotem bogatém.

Lecz skromność serca nad wieńiec złoty
 Poważniej ciebie ukrasi,
 A rzeźkość duszy i promień cnoty
 Klejnotną wodę przygasi.

Tu Kreta, słynna z krasnych koralu,
 Azya, z beryłów sławiona;

Ale gdy cnota swój blask rozpali,
Ognie brylantów pokona.

O D A V.

Do samego siebie.

Quid diu vanas feriente nubes
Vota fallaci jaculamur arcu?

Długoż mam nosić rusznicę moję,
Puszczać do chmury próżne naboje,
Ja—co sam sobie jestem senatem,
Sam sobie wodzem, konsulem, światem?

Idźcie ode mnie, dotkliwie troskil
Oto mię wzywa Helikon bozki,
Cień wawrzynowy, grotą Parnasu
Wzywa mię k'sobie wytchnąć z niewczasu.

O helikońska święta wyżyno!
O święte fale, co w Cydnie płyną!
Strojny w fiołki tespijski szczyciel
Wody, co z krynic parnaskich wrzyciel!

O! czyż mię pchnęło ramię olbrzyma?
Czy miły zefir lot mój wydyma,
Że lecę ku wam przez wietrzną drogę?
I aż nad Cyrrą wstrzymać się mogę?

O! lubię przebiedz źrenicą moją
Ciebie, o Rzymiel! ciebie, o Trojo!
I Kapitolu stare ogromy,
I awentyński gład nieruchomy.

Tam, gdzie Klitumnus przy swój opoce
Dziewiczą falą dźwięcznie klekoce,

Albo gdzie Almon spada z szelestem,
Ja chętnie z memi myślami jestem.

Zdrój hypokreński słysząc z ustroni,
Zda mi się, słyszę, jak lira dzwoni;
Bo brzękot wody—to dźwięczne słowa,
To piosnka Muzy, piosnka Febowa.

Tu piękna Liris przepływa skóro,
Tu Trazymenu jasne jezioro
Bursztynem płynie, tutaj Piave
Tryska do koła krople złotawe.

Tu, kalabryjskie zdobiący kraje,
Ezar opływa łąki i gaje,
Płasa po błoni swawolnym biegiem
I oszcypywa kwiatki nad brzegiem.

Tutaj to błogo dla ziemskich dzieci!
Tutaj i niebo weselój świeci,
Tutaj i ptaszek strzeliściój śpiewa,
I radość hojniej serca oblewa.

Tu krotochwila dowcipem strzeli,
I zacne żarty idą weselój,
Kwiaty do koszów Gracya rada
Uprzejmą dłonią pięknie układa.

I pięknie, pięknie błyszczycy o wschodzie
Siedem pagórków w Romula grodzie!
Weselsze myśli idą do głowy,
Gdy ją orzeźwi wiatr nadtybrowy.

Lutnisto grecki, o święty Febie!
O boże piesień! przyzywam ciebie,
Zejdź w kraj łaciński, w ustron przyjemną,
Miłego wczasu zażywać ze mną.

Ty zaś, o Fuskul do méj ustroni
 Przychodź, i przynieś—bo któż zabroni?—
 Przynieś kochaną moją cytharę
 I Horacego kameny stare.

O D A VI.

Pochwały Franciszka Barberiniego.

Quis me citatus pectoris impetus...

Jakież to serca zapaly
 Mkną mię w górę lotem strzaly?
 Czemu wóz mój w szybkim toku
 Leci z wiatrem po obłoku?
 Rozjaśnwszy moje lice,
 Mijam ziemię w méj kolebce,
 Ludy, miasta i wieżyce,
 I królestwo całe depcę.
 Czy mię prózny obraz mami?
 Czy istotnie wjeżdżam gońcem
 W bramę światła, co przed słońcem,
 Uwieńczoném płomieniami?
 O! kraj niebios z dala znaczny!
 Oto przestwór zodyacny!
 Strefa niebios okazała
 W dziesięć iskier mocno pała!
 W którój, w którój nieba stronie
 Twoje, książę, imię zatłę?
 Czy na wiecznym *Oryonie*?
 Czy gdzie *Kastor* bije w światle?
 Czy gdzie zorze nad *Moreją*
 Alcydową sławą tleją?

Czyli imię tve powierzę
Lwu mężnemu i *Cererze*,
 W których letnie słońce pali?
 Oto *Dziewa* stoi w straży,
 Na jesiennęj swojej *Szali*
 Dni i wieki równoważy.

Tu, *Franciszku*, cię uczciwszy,
 Wypiętnuję twoje ślady!
 Gdzie *Plejady* i *Hyady*,
 Tam twój pobyt najwłaściwszy;
 Gdzie jutrzienka zrumieniona,
 Gdzie latają światła chyże,
 I gdzie zorza *Skorpiona*
 Błyszczącemi kleszczmi strzyże;
 Gdzie warkoczem złoci światy
 Afrykański *Lew* kudłaty,
 Gdzie ognista jego grzywa
 U bieguna połyskiwa.
 Tak jest!—sławę bohatera
 Na niebiosach ryć przystało:
 Bo na ziemi—miejsca mało,
 Bo tu z blasku śmierć odziera.

O D A VII.

Do rycerstwa europejskiego, o wyswobodzeniu prowincyj greckich.

Si quem cruentae vultus adorea...

Kto lubi kunsztem wydane dzieje
 Zbrojnych wojaków,—czyja myśl skora,
 Czyja się dusza rozplómiennieje
 Na widok cześci tryumfatora,—

Kto radby widział swoje pochwały
 Ryte na starój korynckiej miedzi, —
 Kto chce mieć pomnik na szczycie skały,
 Kto chce uczczonym być od gawiedzi, —

Kto chce u wnuków słynąć korzystnie,
 Komu się wdzięczy pośmiertna chwila,
 Gdy po bratersku Hektora ściśnie
 I oko w oko ujrzy Achilla; —

Niechajże śpieszy! — bo teraz właśnie
 Czas się na zawsze unieśmiertelnić,
 W pendzlu Tymanta zasłynąć jaśnie
 I piękne dzieło wybawcy spełnić.

Gdzie sygnał Marsów rycerstwo sprasza,
 Tam się niech rycerz kwapi do rzeczy,
 Niech bierze tarczę, ostrzy pałasza,
 Niech karacena pierś ubezpieczy.

Czubatym hełmem niechaj nasroży
 Głowę, co w piękny warkocz głaskana,
 I przez ramiona niech na krzyż włoży
 Rzemienienny popręg swego kołczana.

Rycerstwa trzeba — rycerstwa proszą
 Wody i lasy na greckiej stronie;
 Dobrych wojaków przyjmą z rozkoszą
 Gaje w Tanagrze i Maratonie.

Strzelistych grotów Kreta dostarczy,
 Stymphalus łuki zagnie na krzywo,
 Lemnos da stali, Focyda tarczy, —
 Idźże, rycerzu, idź nieleniwo!

Gdy z dobrym wiatrem, w dobrej godzinie
 Zbierze się orszak Marsowych dzieci,

W wiosła uderzy, żagiel rozwinie,
I przez Egejskie morze poleci;

Sosny, bukszpany, świerk paflagoński,
I cyprysowy krzak kędzierzawy,
Jak gdyby wieńcem swemi gałązki
Otoczą pokład wybawczej nawy.

Przy Negroponcie niech szumią wiosła,
Tepsijski rudel niech się zanurzy,
Ossa tessalska, drzewem zarosła,
Piękną się sosną na maszt przysłuży.

Wśród gęstych dębów tam Kaik płynie,
Tu Hebrus tracki toczy się z rykiem,
Owdzie Meander w gęstej olszynie
Klarowne wody kręci wężykiem.

Gdy w pole cześci dziatwę Izmary
Zechce prowadzić bohater rażny,
Na bohaterskie jego sztandary
Błogo wiać będzie zefir przyjaźny.

Niechże z rozwianym proporcem w dłoni
Stanie pomiędzy greckimi braćmi,
Niech z pól Emonu wroga przegoni,
Niechaj półksiężyc turecki zaćmi.

Chwała mu wielki kolos wykrzesze
I aż pod chmurę szczyt jego zbliży,
I w Orchomenie beockie rzesze
Wzniosą mu pomnik lany ze spiży,
Kuty z marmuru,—a on zasłynie
Na wszystkie ludy, na wszystkie strony;
Na Kapitolu, na Palatynie,
Jak tryumfator będzie sławiony.

O D A VIII.

Do Aula Lewińskiego.

Dzielność szlachcica polskiego Wiszniowskiego, który gdy w walce,
za ojczyznę poległ, Turcy, jego serce między sobą podzieliwszy,
pożarli.

Eheu! quo citharae sciens,
Et Bacchi calidis fervida jurgiis,
Laevini!...

O młodzieńcy! o szlachetni!
Patrz, Lewiński! cześć im, cześć!
Jak tańczą taktem fletni,
Jak umieją toast wnieść!

Z swych pawęży stół zrobili,
Z hełmów puhar—co-é się zda?
Spełni rycerz w jednej chwili
Szyszak wina aż do dna!

Lecz Wiszniowski, mąż sarmacki,
Inszy pewno rycerz był,
Co w gorącej bitwie trackiej
Wstrzymał zapęd trackich sił.

Wśród krwawych kup Tatara
On się dzielnym Marsem zda,
Krew szlachecka, krew mu stara
Niedaremno w sercu drga.

Tego Turków dzicz szalona
Kiedy w moc pojmała swą,
Wyrąbała serce z łona
I jelita z ciepłą krwią.

I pożarła, rojąc w głowie
 Nabrać męztwa, pozbyć strach.
 O! zbryzgani krwią Getowie,
 Nie wam bić się, jako Lach!

Potomności! uderz w miecze
 I wojenny zagraj śpiew:
 Niech się Turka pierś rozsiecze
 I sarmacką odda krew!

Wiszniowskiego krew wypita
 Na co ma w ich żyłach stać
 I zwierzęce ich jelita
 Bohaterskiem ciepłem grzać?

O D A IX.

Do Cezara Pauzylipa, iżby za nadto nie dowierzał młodości.

Ne te, Pausilipi, fallat inanibus
 Aetas deliciis...

Niechaj cię, Pauzylipie, twa młodość nie mami,
 Ni powab rozkoszy pańskiej.

Dni nasze ubiegają żartkami kołami,
 Prędzój niż wiatr afrykański.

Fałszywa postać szczęścia, góra jego stroma,
 Mało kto szczytu jój dopnie.

My zleпки szkła i wosku—dotkniesz się rękoma,
 Szkło się pokruszy, wosk stopnie.

My, jak latorośl róży, choć żywa jój kraska,
 Choć pięknie w krzaku się wije,

Z rana ciepławy wietrzyk pieszczotami głaska,
Wieczorem wiatr ją rozbije.

Śmierć na głucho zasklepia naszych trumien wrota,
Przeszłość powtóre nie wskrześnie.

Błogo temu, kto nie brał za cele żywota
Szczęścia, co idzie docześnie!

Kto, żyjąc, przemyślał o wieczystém niebie,
Z nadzieją czekając końca,
I świętą ojcowiznę zamówił dla siebie
W krainie światła i słońca!

O D A X.

Do Jana Rudominy na śmierć jego brata Jerzego R.

Qualis trisulei fulminis impetus...

Jak piorun trójżądły, syn burzy i gniewu,
Zrodzony z waporów morskiego wyziewu,
Wre ogniem we chmurze widomie
I trzęsie się z rykiem we gromie, —

Aż wreszcie z gniotących wyzwoli się oków,
Oderwie się z trzaskiem od czarnych obłoków,
Przebije powietrze i w lesie
Z łoskotem ruinę rozniesie;

Przez pola szerokie, przez błonia i rzeki
Roziskrzy, rozleje swój promień daleki,
I hardy Gibraltar w téj chwili
Krzemienny wierzchołek uchyli;

A piorun, miotając błyskanie i grzmienie,
 Jak wódz do potyczki szykuje płomienie,
 Aż w dymie siarczystej pożogi
 Narody struchleją od trwogi;

Aż góry zaryczą ze wściekłym wyrazem,
 Gdy od ich wierzchołków odbije się razem
 I chmura rycząca i czarna,
 I echo, i luna pożarna:—

Tak mąż Rudomina unosi się żwawo,
 Szlachetnie pokryty śmiertelną kurzawą,
 I w szyki islamskie śmierć niesie,
 Bojując, jak piorun po lesie.

I chwała wojenna rozwiała mu znamię,
 Wzmocniła rycerską prawicę i ramię,
 Duch mściwy śmiertelnej ofiary
 Nosił go pomiędzy Tatary.

I wiara, i cnota, jak stróże w złej doli,
 Przy zgonie bezwinnym służyły mu gwoli,
 Gdy leciał—przerzynać się gotow
 Wśród rżenia rumaków, wśród grotów.

Niestety! gdy rycerz szermował ochoczy,
 Śmierć żądlem zatrutém błysnęła mu w oczy;
 Lecz człowiek rycerski we zbroi
 O śmierć i o rany nie stoi.

Gdy bowiem hamował czeready tak dzikiej
 Mścicielskim koncerzem bluźniercze okrzyki,
 Na szańcu oskoczon w około,
 Dał śmierci chwalebne swe czoło.

A sława usłużna, i głowę zranioną,
I zwłoki półmartwe przyjęła na łono,
A tuląc je dłońmi czułemi,
Leciuchno złożyła na ziemi.

A potem z zapalem ognistym na oku
Usiadła w swój rydwan z białego obłoku,
I wiatrem pędzona, jak strzała,
Nad gwiazdy wysokie leciała.

I w trąbę dwoistą dmąc pieśń znakomitą,
Wołała: „Tryumfuj! tryumfuj, Lechito!
„Bo wiecznie w gwiazdzistój krainie
„I świetnieć, i żyć Rudominie!“

O D A XI.

Do Jana Rudominy na śmierć jego ojca Jana R.

Quemcumque mendax fama Quiritium...

Choć komu z Rzymian sława zaćmi oczy,
Chociaż go rzesza otoczy,
Choć go okrążą płatni wielbiciele,
Choć stanie wojskom na czele;

Chociażby przy nim, szykowne po parze,
Czuwały barczyste straże,
I czyniąc służbę, siały blask niezmierny
Włóczeń i blachy pancernój;—

Przecię zasadzek i sideł nieświadom,
Nie umknie fortelnym zdradom,
Ani jednego kroku nie uczyni
Wolen Fortuny zdrajczyni.

Ani swój myśli serdecznój nie wzniesie
 Bujać po niebios zakresie;
 Bo oczy nasze, choć promieniem lśniące,
 Słabe, by spojrzeć na słońce.

Bo myśli nasze, nikczemną rachubą
 I prochem zawiane grubo,
 Za ciężko lecą napowietrzną drogą,—
 Bujać w niebiosach nie mogą,

Aż póki śmierci przyjacielskie ramię
 Cieleśnych pęt nie rozłamie.
 Tak Rudomina, wyzwolony z sieci,
 O! prędkoż a prędko leci!

Przez niedostępnych obłoków zasłony
 Płynie cień, wiatrem dmuchniony,
 Przebija chmury i mgliste odmęty,
 Gdzie iskrzy firmament święty.

Wzbija się lotem nad drogi i domy,
 Gdzie chadza naród znikomy,
 W gościnę leci, gdzie wieńczą nadzieje,
 Gdzie dworzec boży jaśnieje.

Duch, co mu w piersi mieszkał prawowiernie,
 Wzniósł go nad poziom i ciernie,
 A piękna cnota i stateczność prawa
 Skrzydłom kierunek nadawa.

On domy boże z pobożną szczodrocią
 Zdobił w ofiary i złoto;
 Więc i w niebiosach dobra cześć się wróży
 Dla gościa ziemskiej podróży.

Czy w jasnych gwiazdek jaskrawej drużynie
 Duch jego brzaskiem zasłynie,
 Czyli do światła zbliżony inaczej
 Twarzą w twarz Pana obaczy:

Wzniesion nad władzy znamiona najstarsze,
 Nad dyademy monarsze,
 Ujrzy z wysoka koleje człowiecze,
 Złamane berła i miecze;

Lub się zdumieje, rozpatrując z blizka
 Zamglonej zorzy ogniska,
 Czy gdzie królestwa, gdzie murów gromada,
 Dobitném spojrzeniem zbada.

O D A XII.

Na kamień węgielny kościoła Towarzystwa Jezusowego w Krożach
 pod wezwaniem N. P. Maryi, który założył Jan Karol Chodkiewicz,
 wychodząc na Turków.

Divum locatus consilio Lapis...

Zrządzeniem bożém rzucona opoko!
 Witam cię, głazie węgielny kościoła!
 Widzę promienie jasności wysoko,
 Snadź Bóg się spuszcza lub zsyła anioła.

Nie tak grzmiał Olimp w uroczystej chwili,
 Obchodząc wielkie Jowiszowe święto,
 Nie tak się Grecy Koryntu cieszyli,
 Kiedy istmijskie gonitwy poczęto.

Głazie, co będziesz wspierał tę budowę,
 Będziesz prawicą podpierany bożą!
 Anioły Pańskie, jak bogi domowe,
 W tobie mieszkanie wieczyście założą.

Idźże ochoczo, poświęcona bryło,
 Daj się zakopać we wnętrzościach ziemi;
 Tam ci bezpiecznie, i chlubnie, i miło
 Podeprzeć kościół piersiami twojami.

Ów, co cię świętém maszczeniem obdarzy
 I po pastersku przeżegna gorliwie,
 Uczyni jedność nieba i ołtarzy,
 I łaski boże wymodli téj niwie.

W on dzień wesela, przyzwoitym blaskiem
 Błyszczą ołtarze, Bogu poświęcone,
 A tłumny naród z serdecznym oklaskiem
 Powita miejsce ubłogosławione.

Modli się Bogu tysięczna gromada,
 Przybyła tutaj i z blizka, i z dali,
 Pokorna ziemia swoje hołdy składa,
 Morze się modli pluchotem swój fali.

A wy, w szkarłatne płaszcze przyodziani,
 Świecący złotem, w żebrzącej postawie,
 Czyż się napróżno modlicie, kapłani,
 By Pan poszczęścił Karolowój sprawie

I k'jego hufom skierował swe oko?
 Módlcie się, módlcie o hetmańskie zdrowie!
 Bo on swój oręż i swą pierś szeroką -
 Wiecznie ślubował Polsce i Jehowie.

Kapłani! wasza błagalna ofiara
 Zmiękczy hartowność bisurmańskiej zbroi,
 I złamie żądło jaszczurcze Tatarą,
 I naddunajskie ziemie uspokoi.

Widzę: na wielkim bojowniczym wozie
 Zwycięzki Karol wjeżdża wśród wawrzynów,
 I Massagetów, skutych, na powrozie
 Wiedzie za sobą na świadectwo czynów.

I przy okrzykach, przy biciu móżdżierzy,
 Przeciąga orszak zasłużony światu;
 Jadą za wozem seciny rycerzy,
 Broń osłoniwszy krepą ze szkarłatu.

O D A XIII.

Do Abrahama Bzowskiego zak. kaznodz. „O historii dziejów
 Eugeniusza IV, Papieża.“

Qualem e nivosis Eridanum jugis.

Gdy z lodu popłynie
 Erydan na wiosnę,
 O! gajów boginie
 Kąpią się radosne.
 Bo nie ma już brzegu
 Od końca do końca,
 Gdzie woda przebiega
 Szalona, szumiąca.
 Na błoni, na niwie
 Rozściela się, władnie,
 I pije łapczywie
 Cokolwiek napadnie,
 I strumyk, ze skały
 Toczący się rzeźko,
 I ziemne kanały,
 I wilgoć niebieską.

Już brzegi nad rzeką
 Porwane na szczęty,
 Na polu, daleko,
 Wirują odmęty,
 I fala surowa,
 I wichur się wzdyma...
 O! kotew portowa
 Okrętu nie wstrzyma!
 Pod żagiel wychodzi
 Żołnierskiej tłum czerni,
 Błyszcą się na łodzi
 Wojacy pancerni,
 I płyną najszerszej,
 Aż morze w tój stronie
 I łodzi rycerzy,
 I wodę pochłonie.

Tak głos twój, pełny słodczy,
 Płynie po owój przestrzeni,
 Gdzie Ojciec Święty, Eugeni,
 Italskim miastom sterniczy.

On władców i ludów wojny,
 Grożące mocnym wstrząśnieniem,
 On cały świat niespokojny
 Podparł barczystym ramieniem.

O święty posłannik boży!
 Promienny blask jego oka,
 Przed nim arabska zatoka,
 I Nil, i Bosfor się korzy.

On objął świętym poselstwem
 I barbarzyńce, i Greki,

I Rzymskiem obywatelstwem
Zbratał wszystkie świat daleki.

To wszystko kwiecistą mową
Rozpowiedziałeś niemarnie,
I dziką wściekłość Marsową,
I bój, stoczony przy Arnie.

Nie z wolna płynąłeś w łodzi
Lub od brzegu niedaleki,
Lecz szedłeś środkiem powodzi
I znurtowałeś dno rzeki.

I w pełnym brzmienia języku
Opisałeś dzieje stare,
I flotę Adryatyku,
I bój stoczony za wiarę.

Niechże dziś w serca kołace
Twa powieść i ojców czyny!
Idźmyż odnowić ich prace,
Idźmy wskrzesić ich wawrzyny!

Ach! czyż z gnusności niewieściój
Mężka się dusza wylamie?
Czy nam wrócisz, Abrahamie,
Wieki tryumfów i cześci?

ODA XIV.

Do przyjaciół Belgów.

Est et remotos non humilis furor
Lustrare Belgas.

O! warto z pieśnią i harfą we dłoni
Odwiedzić Belgów, gdzie ich ziemia zbacza!
Dajcież mi, Muzy z permessańskiej błoni,
Dajcie mi mego Pegaza skrzydłacza.
Niech ocugłony wieńcy kwiecistemi,
Błyszczą się w złocie i w szkarłatnym suknie;
Rzenie ochocze niech puści po ziemi,
I grzywą wstrząśnie, i kopytem stuknie.
Ja go dosiędę, i żwawo a żwawo
Przetniemy chmury, leniwo płynące,
Ziemską płaszczyznę omiemy mgławą,
I jako strzała puścim się pod słońce.
Karpaty jeno mignęły mi w drodze
I śniegiem kryte uchyliły głowy,
Już pod wieżyce Korcyry podchodzę,
Już z dala za mną i kraj naddniestrowy.
Renu i Elby odwieczne łożyska
I bystrą Mozę minąłem w pogoni,
Domy antwerskie bieleją mi z blizka,
I kręty Skaldus widzę jak na dłoni.
Tuś mi najpierwszy z moich towarzyszy,
Witaj, Bollandzie! witaj mi raz jeszcze!
Nie zimne słowo twa dusza posłyszysz,
Nie zimnym ciebie całunkiem popieszczę.
Miłoś wyciągnąć braterskie ramiona,
Kiedy brat dobry stawi się przed nami!

Słodkoż się łonem przytulić do łona,
 Brzmiennego duchem, świętego myślami!
 I na tych piersiach słodko głowę złożę,—
 To pierś Habbekwa, pierś wieszczego ptaka;
 On oddał lirę na ofiary boże,
 Bóg go namaścił na swego śpiewaka.

A z jego piersi, jak z świętej fontanny,
 Nektar się leje z uroczemi słowy,
 Brzmi jego pieśni odgłos nieustanny...
 Bądź mi pozdrowion, śpiewaku Jehowy!

Któż mię spotyka?—to przyjaciel stary;
 O dzięki Niebu, że witać go można!
 Znam ciebie, wieszczu, znam cię Tolenari,
 Znam twe oblicze i duszę pobożną.

O dajże, ojcze, usłyszeć swe tony,
 Usłyszeć wielkie tajemnice Nieba!
 Przybylcze niebios! nasz słuch odrętwiony
 Świętym wyrazem napoić potrzeba.

Kogoż na ziemi, kogoż nie porusza
 Ogień strzelistych słów Hortensyana?
 Lub Dierixa otworzystą dusza
 I wielka mądrość—u kogoż nieznaną?

Hoschi, Libenti, Walli, Mortieri,
 Jakie wam wieńce położyć na głowie?
 I ty, mój Hesi, tak słodki, tak szczery,
 Czém ja cię uczczę, czém ja cię pozdrowię?

Imiona, godne dawniejszego wieku,
 Godne potomnych czasów dziwowiska!
 Tu cnota święta jaśnieje w człowieku,
 I w uściech waszych promieniami błyska.

Piękność was krasi, by jutrznia na wschodzie,
Blask geniuszu z oczu waszych strzela,
Siła wymowy, jako piorun, bodzie,
Serca łagodne uśmiechem wesela.

Jak Deukalion na pustyni dzikiéj,
Co z wód osiękła, z potopu się budzi,—
Rozrzucał życiem natchnione kamyki
I z nich na nowo rozplemienił ludzi;
Tak Skald i Moza, w obfitéj powodzi,
Tryskają złotem na przestwór daleki,
Ze złotych ziaren złoty plon się rodzi
I złote rychło obiecuje wieki.

Pierzchnęły chmury z pogodnego czoła,
A gorycz gniewu oblicza nie krzywi,
Błyska pogodą źrenica wesola,
Tu ziemia piękna, a ludzie szczęśliwi.

A w pięknych rzekach, Renie i Rodanie,
Płyną łask bożych nieprzebrane cuda.
Ztąd oddalone na wieczne wygnanie
Zdradzieckie myśli i czarna obluda.

O miasto Belgów! bogdajbyś w swobodę,
Bogdajbyś w złoto ustawicznie rosło!
Bogdajby nigdy pokolenie młode
Nazad żelaza tutaj nie przyniosło!

Oddalcie przemoc, oddalcie wieczyście,
Oddalcie oręż za rodzinne włości!
Lwie mężne syny! gotujcie korzyście,
Lecz ziemi waszég klęski nie przynoście.

Może wzajemném zakrwawianiem łona
Myślicie prace skończyć w jednéj chwili?

Wojna wewnętrzna ojczyznę pokona,
Którój trzykrotnie wrogi nie zniszczyli.
Zostaje przodków groby staroświeckie
Młodemi laury uwieńczyć dla cześci,
Zostaje morze Karpackie i Greckie,
By puścić po nim okrętów trzydzieści.
Śpieszcie, by prędzój wsławiła się godnie
Wasza flotylla bohaterską siłą;
Śpieszcie, by słońce wschodnie i zachodnie
Waszym tryumfom i chwale świeciło.
O! wtenczas wznijdzie jutrzeńka rumiana,
Wtenczas i mądrość attycka zasłynie,
I muzy dobrej myśli Puteana
Mieć będą swoją chwalebłą świątynię.
O mistrzu prawdy, większy nad Sokrata!
Tu szkoła twoja!—O, zda mi się, patrzę,
Jak tu młodź leci z czterech końców świata,
Jak się lud tłoczy na twoim teatrze.
Tu w sali radnej stoi ciżba liczna,
A na mównicy Demostena baczę;
Tu Sofoklowa Pierys tragiczna
Zatrząsa sceną i wzrusza słuchacze.
Cóż się ostoi przed silnemi słowy?
Mówca, gdzie zechce, prowadzi ojczyznę,
Na głos Boelmanna jam biec gotowy
W pustynie dackie, w dziką Turecczyznę.
Jakież nadzieje błysły mi przed okiem?
Dokąd to lecę?... Cokolwiek się ziści,
Daj mi Bóg zostać za prawdę prorokiem
Świetniejszych wieków i lepszych korzyści.

O D A XV.

Do Kwinta Arysta.

Sic est, Aristi: novimus ardua
Sperare tantum.

Tak jest, Aryście: próżne wołanie,
Nadzieją samą żyć się nie godził
Któż ze słowiańskiej lub greckiej młodzi
Ze śmiałym mieczem na boje stanie?

Piękne i chlubne czasy przed nami,
Czyż je nadzieją lub strachem zbędziem?
Czyż wołać przyszłość tylko myśłami,
A nie uzbrajać ręki narzędziem?

O! my rycerze, my zemknieni skoro!
Niech sobie wojna, niech przyjdą wrogi,
My dawać będziemy rady, przestrogi,
A niech się inni do czynu biorą.

Niech sobie wnuki w porze późniejszej
Bawią się włócznią, mieczem i grotem...
O! przyjdźcie, ludzie krwi szlachetniejszej!
Zadrgajcie, wieki, świeższym żywotem!

O D A XVI.

Do Przyjaciół.

Vixi canoris nuper idoneus
Vates Camoenis...

Byłem i ja wieszcz natchniony,
Lecz nie śpiewać mi dłużej:
Obumarły moje strony,
Już mi bardon nie służy.

Już na ścianie się kołysze
 Moja harfa leniwa...
 O kochani towarzyszel
 Niech kto struny pozrywał
 Bóztwo piesień, co w przezroczu
 Latasz nad gwiazd gromady!
 Oddal, oddal z moich oczu
 Gorzką mądrość Pallady!

KSIEGA CZWARTA.

OD A I.

Do Stanisława Łubieńskiego, bisk. plockiego.

Sunt et novarum non vacuae mihi
 Laudum pharetrae.

Jest u mnie kołczan ze strzałami wielu,
 Cześcią i chwałą napelniony pięknie.
 Muzo! wymierzmy, wystrzelmy do celu,
 Niech struna łuku zaszczęknie.

Celmy w pasterza nadwiślańskiej ziemi,
 Co plocką trzodę sprawuje u Pana.
 Jego skroń zacna, rękami polskimi
 W szkarłat, w klejnoty ubrana,

By miała swoją ozdobę i chlubę.
 Więc rodak na nią znamię cześci kładzie,
 By uczić czoło, Pierydom łube
 I poślubione Palladzie.

Jak niegdyś w Rzymie, księga i tyara
 Były złączone w nierozdzielne grono,
 I na ołtarzach, gdzie sławy ofiara,
 Kadzidla muzom palono.

Lecz czujna duma poziomego karła
 Wzniosła swój ołtarz u niebiosów szczytu,
 I gdyby mogła, w nieboby się wdarła,
 By zerwać gwiazdy z błękitu.

Przed waszą, muzy, przed waszą budową,
 Stoi ów pasterz, wieńcami przybrany;
 Wy mu trzymacie tyarę nad głową,
 Gdzie płynie Narwi nurt szklany.

Wy zawsze przy nim, czy radzi w senacie,
 Gdzie go ojczysta powołuje praca,
 Czy to znużony w zacisze powraca,
 Wy go radośnie spotkacie.

Wyście go na tron pasterski wybrały,
 Kiedy Pstrokoński, przeżywszy lat tyle,
 Potężny słowem i sprawą wspaniałą,
 Usnął wieczyście w mogile.

W naszém królestwie, kędy wojna gore,
 Wzmagacie mądrą pasterza wymowę;
 Słowem porady, w uroczystą porę,
 Wyście go wesprzeć gotowe.

On gminnym wirom nie zdał się na wolę,
 Nie lekce sobie wielkie rzeczy waży;
 Prawość i mądrość znać na jego czole,
 Znaczno dostojność na twarzy.

Będę go słauił pieśniami mojemi,
 Czy przyjdzie nócić Gelonów przymierze,
 Czy w cześć rycerstwa rodowitéj ziemi
 W struny méj lutni uderzę.

O D A II.

Do Cezara Pauzylipa.

Królestwo Mądrego.

Late minaces horruimus Lechi
 Regnare Thracas.

Szeroko Turcy władają niewierni,
 Strach nam, Lechici! lecz ten szerzój włada,
 Kto, niezależen od odgłosów czerni,
 Krzepko w prawicy swe orężę trzyma;
 Choćbyś lękliwca zbroił jak olbrzyma,
 Dla niego pawęż nieskuteczna rada,
 Dla niego niczém i pancierz kowany,
 Kolczan i strzala, nic mu nie nadarzy.
 Czy najdą ziemię Pikty i Brytany,
 Czy dzikie Cymbry i srodzy Tatarzy,
 Nic nie dokażem, bo się słabo bierzem.

Samiśmy sobie wodzem i szermierzem!
 Człek, Pauzylipie, podobien krajowi:
 Jest w nim i mocarz, i naród, i prawo;
 Wielka to dusza, co zakon stanowi
 I umie klęknąć przed własną ustawą.
 Nie czyni królem wojsko niezliczone,
 Ni świetność, wzięta od purpury krwawój.
 To nie król jeszcze, co nosi koronę,

Świetną od złota, pereł i klejnotów:
 Królem jest u mnie, kto zbył się obawy,
 Kto sam jest wojskiem, kto co chwila gotów
 Stawić na sztychy swoją duszę dzielną
 I wyzwąć losy na walkę śmiertelną.

Nic mu do tego, co tam motloch powie,
 Nic mu trofeje, nic wieńce na głowie,
 Teatralnego nie pragnie widoku,
 Ni trzosów złota, ni marnych krzykaczy,—
 Błogosławiony! bo na jego oku
 Nikt w żadnych losach zmiany nie obaczy,
 Nikt nie dostrzeże, że westchnął nieśmiało,
 Lub, że mu serce bojaźnią zadrgało.
 Od pierwszej rany nie jęknie—to pewno,
 Zadaje ciosy z odwagą widoczną,
 Przyjmuje ciosy, nieczuły jak drewno;
 Cóż z takim człkiem zle przygody poczną?
 Gdy on żeglarzem, nie dba na przygodę,
 Niech sobie piorun bije po piorunie,
 Na jego głowę niech ogień, niech wodę,
 Niech całe morze srogi Auster lunie.
 On w swoim sercu, jak w pysznym pałacu,
 Bezpieczny siedząc, czyni z losów żarty,
 Bo on swém czołem o niebo oparty,
 Ze swoich blizen pyszni się i chwali,
 Bo jego rany—jego sławą piękną.
 A choć się ziemia na popiół przepali,
 Choć się obłoki na gruzy rozpękna,
 Choć świat, na żuźle przepalony czarne,
 Przedstawi, jedno pustkowie cmentarne, —
 Jego i wtedy nie strwoży ruina,

Jego odwaga jeszcze się nie zmniejszy,
 Bo święty Olimp to jego dziedzina,
 Bo on na ziemi—ziomek nietutejszy.

On, do niebiosów dążący szlachetnie,
 W śmierci ma zakład wielkiej woli bożej,
 I nie dba wcale, czy go mór umorzy,
 Czyli miecz wroga jego życie przetnie.
 Płynąc do wyspy, czyż zważamy na to,
 Na jakiej nawie będzie żeglowanie?
 Czy małym czólném? czy wielką fregatą?
 Bo zawsze przecię u portu się stanie.
 Niechże mię k'celu morskie wody toczą!
 Nie trzeba truchleć, zaufajmy tratwie!
 Kierujmy wiosłem mężnie i ochoczo,
 Na brzeg spokojny wybijem się łatwie.

O D A III.

O zwycięztwie Polaków nad Osmanem, cesarzem tureckim,
 pod Chocimem dnia 6 września 1621 r.

Pieśń Galeza, rolnika dackiego.

Dives Galesus, fertilis accola
 Galesus Istri.....

Galezus, z nad Istru ziemianin bogaty,
 Gdy, orząc na swoim zagonie,
 Wykopał w rozorze żelaza i szaty,
 Rycerskie pancerze i bronie,

Gdy znalazł stos kości w pokrzywie i zielsku,—
 Siadł sobie wieczorem pod sosną,

- I piosnkę swobodną po prostu, po sielsku,
Zaśpiewał serdecznie i głośno:
- „Ej, soszne me woły! usłużne me woły!
„Już wieczór szarzeje na dworze,
„Już pora wam wytchnąć! Ot ugór wesoly!
„Paście się w wesolym ugorze!
- „I Polak zwycięzca, znużony głęboko,
„Położy swój bardysz i zdrzemie.
„Ej, lackie wy dzieci! turecką posoką
„Mołdawską spluchaliście ziemię!
- „Ha! ileż to łomów i gruzów po Turku!
„Co trupich się kości rozsiewa!
„Co pustych pancierzów na dzikim pagórku!
„Co trzasek żelaza i drzewa!
- „Pamiętam, pamiętam turecką niewolę,
„(Jam wtedy dziecinne miał lata):
„Od złota, od miedzi błyszczało się pole,
„Gdy tędy przechodził Sarmata.
- „Ej, bitwęż widziałem na dackiej tu błoni!
„Już druga się zręczność nie poda;
„O, było co widzieć! co koni, co bronii!
„Rycerstwo płynęło, jak woda!
- „Zagrano na kotłach, podbiegły pogany,
„Rycerze mieczami ich sieką;
„A potem zagrzała—dym buchnął siarczany,
„I ogień poleciał daleko!
- „Rozbiegły się pędem i zwarły się razem
„Proporców i mężów dwa roje;
„Grom z gromem, żelazo starło się z żelazem,
„I zbroja stuknęła o zbroję.

- „Nie z takim zapędem gra burza szalona,
 „Nie warczą tak grady i deszcze,
 „I sosna alpejska, od wichrów tłuczona,
 „Nie z takim jęczeniem szeleszcze,
 „Nie tak się gwałtownie Akwilon wydyma,—
 „Tu dzieła mądrości, tu prace,
 „Tu dzielność, tu wściekłość, tu gniewu już niema,
 „Lecz sława do serca kołace.
 „I długo fortuna na skrzydłach się waha,
 „Nie dając zwycięstwa okłasku.
 „Tu rota Polaków, na oko tak blaha,
 „Tu półków tureckich, jak piasku.
 „Lecz cóż tam pierzchliwi Turkowie, Arabcy,
 „Co dzicy poradzą Tatarzy
 „Naprzeciw Sarmatom?—ich zastęp tak słaby,
 „Lecz w sercu odwaga się żarzy.
 „Tu Litwin szermuje dotrwały, waleczny,
 „Tu działa rycerski Sarmata,—
 „Polacy i Litwa, jak miecz obosieczny,
 „Co razem dwa cięcia rozplata;
 „Jak rzeka gwałtowna, co dwoma koryty
 „Spadając ze wzgórza na błonie,
 „Czy pola, czy lasy, czy baszt wielkie szczyty
 „Podmyje, rozwali, pochłonie.
 „Armata Prusaków, bez przerwy ogniona,
 „Zionęła zabójcze wystrzały,
 „Chorągwie inflanckie i ruskie znamiona
 „Niepróżno nad wojskiem rozwiały.
 „Widziałem was, Turki! wasz księżyc obronny,
 „Wasza się chorągiew poddawa;

- „Gdy pierzchał wasz zastęp piechotny i konny,
„Wzniosła się kłębam kurzawa!
- „Nie w liczbie, lecz w sercu wojenna różnica:
„Wszak jedno żelazne narzędzie
„Las cały wytrzebi, wszak jedna orlica
„Największy gołębnik zdobędzie.
- „Co trupów, i jeńca, i broni, i znaków!
„Nieprędko zapomnieć o biędzie:
„O meże tureccy! szablica Polaków
„Na długo wam z myśli nie znidzie.
- „Tam Emon—tu stosy zdobyczy i łupów,
„Arabskich pocisków i grotów,
„Tu leży Karakas, skrwawiony wśród trupów,
„U wejścia do laskich namiotów.
- „Bezbożne nadzieje Bóg rzuca na stronie,
„W proch marniej nicości rozetrze,
„I pyszne przechwałki, co hardy wyzionie,
„Rozpląną się dymem na wietrze.
- „Ej, piosnko ty moja, nieskładna i dzika!
„Nie tobie dopłynąć do nieba!
„Tu harfą poety, nie fletem rolnika,
„Tę wojnę opiewać potrzeba.
- „Ktoś wierszem godniejszym potomkom opieje
„Te dzieła, ten tryumf bogaty..
„Lecz woły już syte, już wieczór szarzeje:
„Czas z pługiem powrócić do chaty.“
-

O D A III.

Parodya z pieśni Jana Kochanowskiego, po zwycięstwie nad
Turkami i porażce Kozaków przez Koniecpolskiego.

Aeterna laudum, nec violabilis,
Polone, merces, sanguine Concanos...

Wieczna ci chwała, chwała niezachwiana,
Lachul masz pokój w posoce Konkana,
Za jedném cięciem twojego bulata,
Padł Afrykanin, zginął Azyata.

Lud Europy północny, ubogi,
Zgruchotał ostre księżycowi rogi,
Od których słońce zaciera się we dnie,
I wschód różowej jutrzénki poblednie.

Héj, zatryumfuj, narodzie nasz stary!
Oto zabrali Gelonom sztandary
Hetmani polscy, a Tatar złośliwy
Nierychło wróci pustoszyć nam niwy.

Jedni ucichli, drudzy całą zgrają
Na Wołoszczyźnie przytulku szukają.
W Polsce Twój kościół, o dzięki Ci, Boże!
W porporce Turka ozdobić się może.

Lud z kaukazkich bezdrożnych sumiotów,
Co wszystką ziemię zagarnąć był gotów,
Łądem i wodą dziś drżący i błądy
Podłą ucieczką chce ubiedz zagłady:

Jak wilk żarłoczny w ciemne legowiska,
Pomiędzy chróstów i drzew się przeciska,
Kiedy mu ostęp myśliwy ogarnie,
Uderzy w strzelbę i wypuści psiarnię.

Jakiż strach rzucim w nieprzyjaciół strony,
Na szwedzkich wrogów, na harde Liwony!
Widzę już, widzę, jak wygrana nasza
Gród oblężonych Ryżanów przestrasza.

Ale, mężowie! choć szczęście się zacznie,
Na szczęście wojny nie liczymy niebacznie:
Czasem fortuna i zwycięzców spęta,
Czasem znękany wróg się opamięta.

Tak niegdyś, z ciemna wychyliwszy głowy,
Lacedemona i gród Romulowy
Rosły z nienacka, aż potém zaiste
Spięły narody w cugle wiekuiste.

Zwykle po czasie oblicza się szkoda,
Nie drażnij wroga, bo gniew sił mu doda:
I gołąb' dziobnie w rozdrażnienia chwili,
I jeź ukole, i pszczołka uszpili.

I sam ów Turczyn chciał znęcać się dalej,
Już kładł na Dunaj kajdany ze stali,
I zaufany w sprzyjającą dolę,
Szedł tryumfalnie pustoszyć Podole,

Lecz na Podolu zaznał nasze ramię;
Wróżę, iż kark mu do końca nadłamię
Lechicki koncerz, —bo tak rozkazywa
Potężna dola i Nemezys mściwa.

O D A IV.

Pochwała miasta Gdańska. — Przypomina zwycięstwo Gdańszczan nad Teutonami i wychwała ich wierność ku Polsce.

Quae puppis, aut quis Pegasus...

Czy na Pegazie, czy nawy zwrotnemi
Prześlę na morze wiersz ci poświęcony,
Gwiazdo pomorskiej cnych Prussaków ziemi,
Królowo północnej strony?

Stojąc nad brzegiem wiślanym wspaniale,
Szczęśliwy gród twój panuje i kwitnie,
Miasto i ziemia w czystych wód kryształe
Odźwierciedlona dobitnie.

Na całym tutaj polarnym przestworze
Krzepki twój cugiel narzucony śmiało,
Szeroka ziemia i szerokie morze
Twoje zakony poznało.

Pieśń ma twych skarbów liczyć się nie waży,
Twych baszt, jak wieniec na Bałtyku czoło,
Twych trzysta żagłów, co w porcie na straży
Wieją banderą wesołą.

Nie będę śpiewał, iż twój rudel bodzie
Nurt albioński daleki i stary,
Lub że na całym Wschodzie i Zachodzie
Znane są twoje towary;

Że szczyt twych wieżyc wynosić się może
Aż pod obłoki, aż gdzie chmura mgława;
Że świetne gmachy i kościoły boże,
Że kunszt ci blasku dodawa.

Wspomnę, jak zradne Plawena fortele
Przezorna rada poznaje i niszcza.

Pieśń Amfiona nie żądała śmieie
 Odnowić mury ze zgliszcza.

Bo ręka ludzka pobuduje domy,
 I ręka ludzka rozwali, zabierze.
 Aleksandryjskie runęły budowy,
 Rzym starożytny — w ruderze.

Krzepka natura wciąż ze sztuką walczy,
 Dziełom rywalki ciągle kopie groby;
 My lud szalony, my naród zuchwaleczy,
 Czczymy jój kruche wyroby.

Wszędy są gruzy i miast, i narodów:
 Troja—Myceny—gdzie mury? gdzie władza?
 Tylko się *Wiara* po mogiłach grodów
 Krokiem spokojnym przechadza.

Gdzie nie masz wiary, tam śmierć i sromota,
 Tam na nic służą okopy i wieże.
 Nie grube mury, nie miedziane wrota,
 Lecz prawość duszy nas strzeże.

Nie wał wysoki, nie fossa topieli,
 Nie grom siarczysty armatniej czeluści;
 Lecz wiara w sercach u obywateli
 Wrogów do miasta nie wpuści.

I gród ów zacny na cnoście się wspiera,
 Wstrzymując najście Teutonów krwawe;
 Ni go skusiło złoto Krucygera,
 Ni podarunki nieprawie.

Bo stara prawość i szlachetność droga
 Swoim łańcuchem okoliła wały;
 Od niej i dary, i pociski wroga
 Wstecz mu na głowę leciały.

- I wódz-przekupień zasmucił się jawnie:
 — „Hańba mi! — rzecze — hańba na mą głowę!
 „Bo Europa dowie się niebawnie,
 „Żem zhańbił prawo Marsowe!
- „Skaziłem zdradą rycerza nazwanie,
 „Chciałem być kupeczyć... sromota, sromota!
 „Bez hańby swojej wytrwali Gdańszczanie
 „Próbę żelaza i złota.
- „A jam się skalał, i z mojemui nawy
 „Muszę umykać z pod miasta wypchnięty;
 „Muszą, jak zbiegi, drżące od obawy,
 „Iść Plawenowe okręty.
- „Gród, cztery razy całą siłą party,
 „Twardo wytrzymał obleżeńczy nawał;
 „Rzuciłem złoto — Gdańszczanin zażarty
 „Złoto żelazem oddawał.
- „Cóż sprzymierzonym Sykambrom wyliczę?
 „Czém uraduję teutońskie rzesze?
 „Jakie wojenne łupy i zdobycze
 „W naszych świątyniach zawieszę?
- „Na cóż ma ziemia dowiedzieć się nasza,
 „Że po téj klęsce ja, rozbitek, żyję?
 „Raczéj śmierć moją niechaj świat rozgłasza,
 „Dopóki hańby nie zmyję.
- „Jeśli mi dola i tego zaprzeczy,
 „I nie da klęski powetować świetnie,
 „To śmierć okropna niech już w saméj rzeczy
 „Dni moje starga i przetnie.“
-

O D A V.

Do Kw. Delliusza,—nie przykładami narodu, lecz rozumem życie
nasze kierować winniśmy.

Delli, si populo duce
Vitæ degenerem carpinus orbitam,
Erramus..

O Delliuszu! gdy nas chętką mami
Kierować życie gminnemi szlakami,
Sromotnie błądzim,—bo tu cnota z dala,
Ona się w tłoku ulicznym nie wala.
Im częstszym droga wydeptana śladem,
Tém rzadziej z cnoty spotkać się przykładem;
Bo zwykle błędni, chodząc za błędnymi,
Bite gościńce torują po ziemi.
Gmin nierozumny trafunkiem się rządzi,
Sam siebie nie zna i drogi, co błądzi,
On nie ma celu, on chodzi do koła,
Bo inni chodzą, bo go motłoch woła,
Bo ścieżkę widzi, — gdzież tu myśli czyje?
Kto własném sercem, własném życiem żyje?
Ślepy ślepego po bezdrożu wiedzie,
Ciemna czereda przodkuje czeredzie.

Helikon święty i Parnas z wawrzynem
Wyniósł me drogi wysoko nad gminem,
Z téj wysokości naokoło widne
Błędy człowiecze i klęski ohydne.
Patrząc ze wzgórza na niskie wybrzeże,
Niebezpieczeństwo dalej się postrzeże;
Gdy szkody innych z dala widzieć mogą,
Biorę dla siebie zbawienną przestrożę.

O D A VI.

Do Zygmunta Łeta,—zaleca milczenie i unikanie chwały.

Laete! quid cassis sequimur fugacem
Gloriam telis?

Lecie! po cóż w marną sławę
Celim nakształt szermierzy?
Ona dziką ma zabawę,
Uciekając, łuk mierzy.

Świegotliwa chwalców rzesza
W jednym domu nie gości:
Owdzie z prawdą fałsz pomiesza,
Tam da hasło zazdrości;

Tutaj wije gniazdo cześci,
Drażni serca swych dzieci;
Razem — w skrzydła zaszeleści
I do góry uleci.

Prawa chwała nie chce wrzasku,
Nie chce pochwał we tłumie;
Najgodniejszy ten oklasku,
Kto unikać go umie.

Człek w milczeniu i pokorze
Najswobodniej usiedzi,
W podejrzliwych królów dworze
I w motłochu gawiedzi.

Choćby okręt w skały niosło,
Wtedy tryumf żeglarzy,
Bo kierując mądrze wiosło,
Nic się zgoła nie zdarzy.

O D A VII.

Do Jana Libińskiego — usprawiedliwia swoją samotność.

Quid me latentem sub tenui lare...

Pytasz, Libiński: — Co za ochota
Tulić się w kryjówkę ciemną,
Kiedy rodaków gościnne wrota
Stoją otworem przede mną?

Ja wewnątrz siebie zamknięty ściśle,
Na moją duszę wciąż patrzę,
I sceny życia w moim umyśle
Stawię, by w jakim teatrze.

Troskam się jeno, czy Widz, co w niebie,
Rad z teatralnej méj maski?
Czy sztukę moją zgani u siebie,
Czy jój przysądzi oklaski?

Bóztwo, z wysoka patrząc nisko,
Sądzi aktora i dzieło.
O! jeśli dobre me widowisko,
Jakież mi szczęście błysnęło!

Zmierziłem gwarnéj chwały wyrazem,
Co dmie po całym narodzie
I jadowitym nieraz żelazem
Serce ofiary przebodzie.

Nieraz się zrodzi od jój omamień
Zawiść nikiżemna i płaska;
Padniesz na ziemię, grzotniesz o kamień,
Aż ci się serce roztrzaska.

Przy cichéj nocie wolną mam szyję,
 Na chwałę poglądam z dala;
 Dach mój samotny dobrze mię kryje,
 Czerń mi imienia nie skala.

Miléj, gdy własna sumienność szczerza
 Dobrą pochwałą obdarzy.
 Zawiść tych pochwał nie sponiewiera,
 Nie da na pastwę potwarzy.

O D A VIII.

Do Cezara Pauzylipa — przeciwności mężnie znosić należy.

*Si quæ flent mala, lugubres
 Auferrent oculi...*

Kiedy płaczem, czyż, dla Boga,
 Łza gorycz umniejsza?
 Czyż nad tyński klejnot droga,
 Nad złoto jaśniejsza?

Jak od rosy trawa rośnie,
 Od łez rośnie smutek;
 Snadź, gdy lejem łzy żałośnie,
 Ciosy wzięły skutek.

Gdy los ujrzy łzawe oko,
 Ma nas w poniewierce:
 Będzie wesół, że głęboko
 Zadrasnął nam serce.

Nie płacz, nie płacz, choć jad szczypie,
 Choć cię serce boli;
 Bo łzy twoje, Pauzylipie,
 Pociecha złéj doli.

Biadaż służyć gwoli żartu,
 Krzepić wroga ramię!
 Niech na sercu, pełném hartu,
 Twardy miecz się złamie.

O D A I X.

Do Kryspa Lewińskiego — poeta zapytany dla czego w drodze
 śpiewa, odpowiada.

Cum meam nullis humeros onustus
 Sarcinis tecum patriam reviso...

Kiedy mi ramion nie obciąża zgoła
 Mój tłómok próżny,
 Idziem do domu, myśl moja wesola,
 Śpiewam podróży.

Ty dumasz, milczysz, bo z muzą masz sprawy,
 Boć cięży złoto,
 I różne troski, nadzieje, obawy
 Twe czoło gniotą.

To prawy bogacz, kto nic nie posiada,
 Okrom sam siebie:
 Wesół wędruje, gdzie mu iść wypada
 Gwoli potrzebie.

Ja nic nie pragnę, więc na czém mi zbywa?
 O wczasu chwilkol!

O święte gaje! o wiosko szczęśliwa!
 K'wam wzdycham tylko.

To moje państwo, te wzgórkil, te błonie,—
 Ty inak marzysz.

Ja lubię cienie—patrz oto na stronie
 Cień, mój towarzyszu.

A choć mię zbójca obedrze na drodze,
 Mało skorzysta.
 Niech sobie króle frasują się srodze,
 Moja myśl czysta.

O D A X.

Do fiołków, któremi w maju uwieńczono głowę
 Dzieciątka Jezus.

Aurora veris...

Jutrzenko wiosny! kwiatku jedyny!
 Opasuj czoło miłej Dzieciny.
 Na co mu perły, na co mu złoto?
 Na co brylanty czoło mu gniotą?
 On, który serca pokorne baczy,
 Przyjmie chętniwie i dar żebraczy,
 Chętnie nędzarzów k'sobie przytula.
 Kwiatów na skronie! kwiatów dla Króla!

O D A XI.

Do Zefiru.

Aura, quam veris tepor et serena.

Wietrze! co służysz trackiej ziemi gwoli,
 Czysty oddechu wiośnianego nieba,
 Wiejże, wiej ku nam! — cieniściej topoli
 Chłodku potrzeba.
 Cieszcie się, drzewa, na całej przestrzeni!
 Gdy zdrowy wietrzyk po gałązkach szasta,
 Od jego pieszczot bujniej zazieleni
 Trawa krzewiasta.

Wietrze! gdy kwiatki przytulasz do łona,
 Gdy jasne fale rozbudzasz w powiewie,
 Wioń w moją lirę, co wisi uśpiona
 Na suchém drzewie.

A ciebie słońce przywita łaskawie,
 I rady uśmiech obaczysz na ziemi;
 Błyśnie ci rosa mżąca się na trawie
 Kroplmi czystymi.

Kadzidłorodne Azyatów pole
 Tobie wonnością balsamów usłuży;
 Dla ciebie wonność i kraska na czole
 Szkarłatnej róży.

A z mojej harfy któż jój rdzę obetrze?
 Chyba ty, piewco, ty wiośniane dziecię!
 Święty poeto, uroczysty wietrze,
 Pomóż poecie!

O D A XII.

**Proroctwo Noego oplakujące bezrządy przeszłych i bałwochwal-
 stwo przyszłych czasów.**

Demersa late saecula cum Noë,
 Enavigaret...

Kiedy Noe żeglował na rozlanėj wodzie
 I z pokładu swój Arki patrzył po narodzie,
 Widząc, jak wir potopu królestwa pochłania,
 I zapłakał nad światem, i wołał wśród łkania:

Wiekil wieki nieszczęsne! grody, co się wznoszą,
 I ty, ziemię, zmazana bezecną rozkoszą,
 I wy, wielkie, głębokie nurty oceanu,—
 Wszyscyście jednym grzechem przewinili Panu.

Nieczyste gody królów, nieogłędnych na nic,
 Pokalały królestwa od granic do granic;
 A lud mniemał w występnej ślepoty godzinie,
 Że zbrodnia w oczach słońca bezkarnie ominie.

Hańba przyszłemu światu! Niecnych ogniów siła
 Wszędzie zżarła niewinność, wszystko poplamila,
 I świat piętno skażenia na czole umieścił,
 I niewinną przyrodę zbrodniami zbezczescił.

Myśmy budowę ziemi podkopali z laty,
 Skazaliśmy ją na śmierć, jak godną zraty.
 Gdzie miasta? gdzie kolosów marmurowych szczyty?
 Gdzie są baszty olbrzymie? gdzie mur niezdobyty?

Tutaj daliśmy siebie na rozkosz wyklełą,
 Tuśmy w tańcu rozpustnym płąsali we święto.
 Dziś po naszych ulicach pluska delfin chyba,
 W naszych wielkich pałacach—nory wieloryba.

Na kolumnach—gadzina wije się jak wstęga,
 Na łożach—jakiś morski potwór się wylega,
 Woda nasze porwała szaty z złotogłowu,
 Perły morskie do morza popłynęły znowu.

Starych czasów i kunsztów pamięć znakomita,
 Na marmurze wykuta i rylcem wryta,
 I pomniki ojcowskie, napisy ze złota
 Woda wściekła obrywa, zwała i gruchota.

Wszędzie, wszędzie pustkowia i zniszczenia ślady,
 Wszystko zrównano z ziemią, jak biczem zagłady;

Nie ma i chwały bożej—cały świat wyrodny
Ogółcon ze świątyn, bo nie był ich godny.

Bo sam usiłowania przyłożył niemało,
By nie znać swego Boga,—i dziatwę dojrzałą
Ściga kara, straszniejsza od wszelkiej katuszy:
Ślepotą na ich oczach, przeklęctwo na duszy.

Oto morze na nowo w swoje brzegi wchodzi,
Ziemia sławna na nowo rośliny wyrodzi,
Jutrzenka znowu wstanie we swém świetle młodém,
I ziemia się zaludni wszelakim narodem.

Ale już się wiek złoty nie wróci na nowo,
A czasy pośredniejsze srebrnemi nazową,
Potém i blask srebrzysty wypowieje w części,
Potém—wojak w miedzianą przyłbicę zachrzęści.

Aż nikczemne żelazo całą ziemię zmoże,
I pierwsze godło zguby—zapomnienie boże
Wstąpi do serca ludów, i gromada dziczy
Zapali mnie samemu ogień ofiarniczny.

Biada mi! mnie bożyszczem ogłoszą poganie!
Gdy z Arki, jak z chaosu, ziemia zmartwychwstanie,
Rzekną, że ja to sprawiłem, że z prochów i wody
Odnowiłem starą ziemię i wskrzesiłem narody;
Rzekną, że moje dzieło na całej przestrzeni;
Gdy się las rozgałęzi, pole zazieleni,
Gdy zboże zrodzi plony (o smutna ohydo!),
Z ofiarą całopalną przed mój ołtarz przyjdą.
W Baktrach dadzą mi Boga wielkiego nazwanie,
W Egipcie Ozyrysa, Słońca Persyanie,
Będę rzeczon Jowiszem w starym Babilonie,
Lub nazwą mię Janusem na Auzońskijszym stronie.

A Ty, którego ślepi zapomną bluźnierce,
 Ojczel! Ojczel! uhamuj zagniewane serce,
 Nie dopuszczaj plag Twoich na ziemskie budowy
 I piorunem ognistym nie rąbaj mi głowy.

Kiedy fałszywych bogów będziesz trzaskał szyję,
 Niech nie legnę pod gruzem, niech jeden przeżyję,
 Niech jeden w Imię Twoje zagaszę i zwalczę
 Cieleśne ubóztwienia, ognie bałwochwalcze.

O D A XIII.

Do Mądrości Bożkiej.

Gdy z Włoch, Francyi i Niemiec dochodziły wieści o rozruchach
 i wojnach.

O mens, quae stabili fata regis vice...

O myśli wieczysta, co rządysz od wieka!
 Jeżeli cię bawią igrzyska człowieka,
 Nie braknie ci pewno zabawy,
 Patrząc na nasze tu sprawy.

Cokolwiek nam rzucisz, wnet ciśnie się tłuszcza,
 I datek pochwyć wyścigiem się puszcza,
 I leci wśród klótni i śmiechów,
 Jak dziatwa za garścią orzechów.

Tu walczą o złoto, tu w krwawej rozterce
 Ów czoło zakrwawił, ów rękę, ów serce,
 Ów ciągnie purpurę na ramię,
 Ów berło chciał wydrzeć—i łamie.

Nareszcie śmierć wchodzi i wszystkich zawstydzą...
 O! na tém igrzysku jest miejsce dla widza:
 Ja biedny usiądę tam raczěj
 Pośmiać się z zachodów bogaczy.

O D A XIV.

Do rycerstwa polskiego—roku 1630.

Quos sera gignent saecula posteros
Narrabo vates.

Jakim się wiekiem potomność poszczyci,
Ja wam wywieszczę—słuchajcie, Lechici!
Ojcom w ich grobach wypłacajcie długi,
Nie maźcie herbów i godeł zasługi.

Choć herb ojcowski w losie niejednakiem
Nie zawsze bywał dobrój wróżby ptakiem,
Zmieni się jednak dla szczęśliwszych dzieci,
Kiedy go cnota swym blaskiem oświeci.

Nie darmo herby i szlacheckie karty,
Nie darmo w tarczach gryfy i lamparty;
Czyli Sarmata dla chluby niewieściój
I lwy, i smoki na proporcach mieści?

Któż to, przodkując Lechitom na czele,
Strony bałtyckie zagrzebał w popiele?
Kto, wiernie idąc do sławy niemarnój,
Przymusił zadrgać ocean polarny?

Tu Szwed się zżyma, tu armata grzmoce,
Morze się pieni i warem klekoce,
I echem jęczy; owdzie nawa z nawą,
Rycerz z rycerzem bije się na krwawo.

Jakiż to młodzian w morderczym zapasie
I w ogniu rzezi bohaterem zda się?
Miecz jego ciężki, niugięta szyja,
Włócznia zwycięzko nad Szwedem wywija.

Ojczyzna! światło naszych tronów!
 Gwiazdo promienna starych Jagiellonów!
 Zorzo nadzieje polskiego żołnierza!
 Czołem ci naród, czołem ci uderza!

Na ziemi szwedzkiej przed twojemi dzieły
 Wieże i mury na oścież stanęły,
 Twa cześć w ojczyźnie i granic już nie ma,
 Czoło laurowa wieńczy dyadema.

Lud w murach Wilna ciebie wielkim zowie,
 Dank twojej chwały śpiewają w Krakowie,
 Tyś drugi Typhis, który, idąc z nami,
 Okował morze twardemi cugłami.

Plony Marsowe pozbierałeś żyźnie,
 Na morskiej fali, na ziemskiej płaszczynie;
 I topiel wodna, i horyzont cały,
 Poznały imię dostojne, poznały!

Tyś ręką sławy umieszczony w górze,
 W białym obłoku, na jasnym lazurze;
 Rano i w wieczór bohaterską głowę
 Krasno owiewa światelko różowe.

O! każdodziennie, gdy wieczór szarzeje,
 Wnukom, Sarmaci, śpiewajcie te dzieje!
 Dwakroć i trzykroć, i młodzi, i starzy,
 Lirą i harfą niżowych gęślarzy!

Jutro nas może zawołają nagle,
 Czy na koń siadać, czy ruszyć pod żagle:
 Grom i błyskanie przeraża nam zmysły,
 Znów chmury dzicy nad nami zawisły...

Kto z was rycerzem w chrześcijańskim rodzie,
 Rycerze! prędnj, na łodzie! na łodzie!
 Prędnj na mury niech się każdy chwytą,
 Gdzie straż zaniedbał turecki bandyta!

Rozwalcie baszty, okopy i tamy,
 Rozbijcie mury, rozerwijcie bramy!
 Pora już omyć sromotę nareszcie
 Ze świętųjų bożych w bizantyjskim mieście.

Ha! tryumf! tryumf! Sarmata w Bosforze,
 Narzucił pęta na Marmora morze,
 Gród Konstantyna zalał krwią i potem,
 I wschodnie państwo wskrzesił swym brzeszczo-
 [tem.

Cześć! cześć i chwała! niechaj zagrzmie z wieży!
 Laurów na skronie, laurów dla rycerzy!
 Dwoisty tryumf dla sarmackich mężų,
 Gdy się łupieżca z Kartagi zwycięży.

Gdy padnie tyran straszny a zdradziecki,
 Razem wykrzyknij, razem, ludu grecki:
 „Cześć twych rycerzy, cześć twego bułata,
 „Ojcie ojczyzny i cesarze świata!“

A potem miecze, zbite na poganach,
 W miłym spokoju zawiesim na ścianach,
 I mąż-bohater z zapalem na twarzy
 Dzieła wojenne małżonce wygwarzy.

Na łonie pełnym bohaterskiej cześci
 Mężką prawicą swą dziatwę popieści,
 Żelazny pancerz i przyłbice krwawe
 Małym wnuczętom odda na zabawę.

Dziś trzeba błyszczeć w przyłbicy i zbroi,
Dziś być wściekłymi rycerzom przystoi,
Lecz wkrótce młodzież, wkrótce nasze wnuki
Przypomną ciszę i święte nauki.

Wkrótce bohater, porzuciwszy włócznię,
Z miłą małżonką pod drzewem wypocznie,
Lub, bając dziatwie o przebytej burzy,
W blizkim potoku swój puhar zanurzy.

Lichwą i czynszem nie upadnie wioska,
Nie zgubi ludu przedajność sędziowska,
Prawda zagodzi wszelki proces główny,
Lub przy kielichu żarcik polubowny.

A chciwość zysku, lub żądza honorów
Przestanie pukać do bogatych dworów,
Nie wezwie mężów droga stumilowa,
Żona nie będzie samotna, jak wdowa.

Na zawsze wstąpi rolnikom do łona
Szacowna miłość sielskiego zagona,
Czy przyjdzie żniwem pracować we skwarze,
Czy wiosną kroić skiby na poparze.

Na wiernój roli niepróżne oranie,
Zboże kłosiste, jako las powstanie;
Bowiem zagonów, co płużą dla ludzi,
Perz nie zagłuszy, zielsko nie zabrudzi;

Lecz krasne róże, i białe lilie,
I śnieżny nardus swe liście rozwijé,
A na zagonach, z nadzieją widoczną,
Kłosa, jak fala, kołysać się poczną.

Znijdzie obfitość Opatrzności Bożej,
 W ulicach miejskich mieszkanie założy,
 Zazielenieją pagórki i knieje,
 Róg obfitości szeroko rozleje.

O! niech się ziści, co widzę mym wzrokiem:
 Nazwą mię wielkim wieszczem i prorokiem,
 Letni starcowie, i dziatwa, i panny
 Hymn mój zanocą w odgłos nieustanny.

Próżno! daremne uwielbienia ku mnie!
 Będę już truchlał popiołem we trumnie,
 A przecież ciemne grobowisko moje
 Opaszą laury, bluszcze i powoje.

O D A XV.

Do Filidyusza Morabotina.

Vides, ut altum fluminis otium
 Rerum quieta ludit imagine...

Widzisz, jak mży się na spokojnej wodzie
 Obraz wszech rzeczy dokładnie odbity:
 Księżyc na wschodzie, słońce na zachodzie,
 Niebios błękity?

Taka niech będzie twoja myśl, Filidzie,
 Jasna i czysta—niech ci umie płużyć,
 Czy to na wichry narazić się przyjdzie,
 Czy ciszy użyć.

Niech jasne czoło nie kryje się w chmury,
 Niech złote serce w troskach się nie nuży,
 Święta pogoda Boga i natury
 Niech wzorem służy.

Pięknie jest, pięknie być podobnym wiosnie,
 Mieć myśl wesołą, a z nią uśmiech młody,
 Nie zaś na licu wykrzywiać żałośnie
 Pieczęć przyrody.

Pięknie jest widzieć wszystek świat różowy,
 I mieć dla prawdy niezamglone oko,
 I z majestatu podniesionej głowy
 Patrzeć szeroko.

Chcemy dać cugiel dla bydlęcej dzicy: —
 Nam samym cugłów potrzeba dla ducha!
 Słońce nie idzie pod cugiel woźniczy,
 Lecz prawa słucha.

Na nic korona dla naszego czoła,
 Gdy sami sobą nie umiemy władać;
 Niech będzie królem, kto nad sobą zdoła
 Władzę posiadać.

Zakonem cnoty opisz własne kroki,
 Bądź własnym sędzią w bezstronnym umyśle;
 Wtedy, jak konsul, dawaj mi wyroki,
 Spełnię je ściśle.

O D A XVI.

Do Wojciecha Turskiego.

O swoich snach i marzeniach lirycznych.

Tursci! seu brevior mihi,
 Seu pernox oculos composuit sopor...

Turski! czy drzemka po oczach mi muśnie,
 Czy człowiek na prawdę uśnie,

Zaraz snów moich drużyna skrzydlata,
 Jak stado ptaszków, wylata,
 Leci na pola, rozbiega po błoni,
 W borowe cienie się chroni.
 Marzenia moje—w dziecinnój postawie
 Lubią pobiegać po trawie,
 Lub pod chmurami sznurem lot swój wiodą,
 Albo się ślizną nad wodą,
 Płyną jak łabędź, albo dniem i nocą
 Jako ptaszkiwie szczebiocą.
 Zda się, że chmurę, co gromami dysze,
 Miękkim śpiewaniem uciszę;
 Tęcza niebieska, zda się, czoło nasze
 Wstężyłym kręgiem opasze.
 Oto się budzę, i jeszcze na jawie
 Wdzięcznymi snami się bawię,
 I biorąc lirę w rozmarzone dłonie,
 Po strunach brząkam i dzwonię,
 A ufny mistrza śladom i opiece,
 Na echu piosnki znów lecę,—
 Lecę pod niebo, nad krainy cudne
 Lub na ostrowy bezludne.
 Turski! ostrzegasz, jako powieść stara
 Mówi o śmierci Ikara,
 A żeby czasem i Bałtyckiej fali
 Mojem imieniem nie zwali.
 Próżna obawa — lecąc w górne kraje,
 Ja skrzydłom woli nie daję,
 I czy się drzemie, czy nad pismem ślęczy,
 Trzymam się krzesła poręczy.

O D A XVII.

Do Najśw. P. Maryi, gdy w Akademii Wileńskiej Towarzystwa Jezusowego, po ukończeniu kursów filozofii, miano rozpocząć teologię scholastyczną.

Et jam quietis ancora puppibus...

Okręt w spokojnym porcie stanął na kotwicy,
Zdejmujcie żagiel na stronę,
Wiosła, maszty i rudel, ozdobicie, sternicy,
Ozdobicie w laury zielone.

Nawo! czyż przyjmą ciebie u portu z zapalem?
Czy twe obliczą korzyście?
Czyliż młodzież sarmacka armatnim wystrzałem
Z wieży pozdrowi twe przyście?

Czy echo gór litewskich oszczędzi tu ciszę?
Zaliż rycerska starszyzna

W kotły wam nie uderzy, majtkowie-przybysze,
I za swych synów nie przyzna?

Panno! daj pracownikom Twojej łaski użyć,
Przyjm ich z uśmiechem na twarzy,
Czyli pójdą w obozach rycersko Ci służyć,
Czy to na stopniach ołtarzy.

O D A XVIII.

Do Kwinta Tyberyna.

Divitem nunquam, Tiberine, dices...

O Tyberynie! nie miéj za bogaczy
Szerokich gruntów i wsi posiadaczy,
Którym Fortuna, nie cnota lub praca,
Życie ozłaca.

Ani ten godzien bogacza nazwiska,
 Co sygnet z herbem na wosku wyciska,
 Kogo po Rzymie z uwieńczeniem czoła
 Sława obwoła.

Ubogi jeszcze, kto, próżen przymiotów
 We własnej wiosce junaczyć się gotów,
 Którego piersi niedołężne gniotą
 Srebro i złoto.

Ma się za męża w swoim sercu płochém,
 Liczy za chlubę jaśnieć przed motłochem,
 I jedno tylko pokochać jest w stanie —
 Ciebie swój na ścianie.

Przestań uwielbiać w swój pysze niewieściój
 Skarby bez blasku, lub imię bez cześci;
 Bądź samym sobą — a sam powiesz z laty:
 Jestem bogaty.

O D A XIX.

Do Pawła Kozłowskiego.

Jam pridem tepido veris anhelitu...

Zefir ciepły i łaskawy
 Już odetchnął wiosną,
 Już na łąkach kwiaty, trawy
 Kraśnieją i rosną.

Wilia, niosąc strugi żytnie,
 W milczeniu się błąka,
 Choć tam w wioskach gdzieś dobitnie
 Słyszać śpiew skowronka.

Choć tam pasterz przy zatoce
 Gra trelik na trzcinnie,

Flis po wodzie wiosłem grzmoce
I milczący płynie.

Pawle! folguj twemu czołu,
Co się z nauk poci:
Jutro słońce z nad padołu
Pagórki ozłoci.

Na Łukiskiej siądziem górze,
Tam strumień młodzieńczy
Po murawie i po żwirze
Toczy się i brzęczy.

Ztąd przemierzać okiem zacznę
Wilno, jak na dłoni,
Ztąd krainy wszystkie znaczne,
Kędy Wilia goni.

Owdzie miasto krzyżem święci
Kopuła wzniesiona,
Tu dwoisty gmach książęci
Ziemi Palemona.

A na górze Gedymina
Kapitol litewski
Aż pod błękit nieba wspina
Głowę baszty rzeżkiój.

Dzień pokoju ludom płynie,
Piękneż ma świtanie!
We trzy lecie trzy świątynie
Dźwignęli Rzymianie.

Czy chcesz widzieć wczasu plony?
Widzieć pokój świeży?
Wnijdź na wzgórek ten zielony,
Co się pięknie jeży.

Lecz choć topol liśćmi szasta,
Mróz ją zlodowaci,
I leszczyna dziś krzewiasta
Jutro liście straci.

Pola pełne krasnej róży
Biały szron zawieje;
Ptak, co wiosnie śpiewem służy,
Zimą zaniemieje.

Więc poniechaj ciężkie troski,
Bo to czas ochoty;
Umiěj cenić wieczór bozki
I poranek złoty.

O D A XX.

Do Rycerstwa Polskiego i Litewskiego.
Amfion albo miasto dobrze urządzone.

Exteros mores prohibete pulchra
Lege, Thebani...

Zawarujcie statutem, o zacni Tebanie!
Zamorskie obyczaje posłać na wygnanie;
Weźcie pilno do serca domowe nauki
I z zakonem pradziadów oswajajcie wnuki.

Miejcie cześć i uczciwość w kościele i w sądzie,
Niech prawda, spokój, miłość na wiecu zasiądzie;
W pięknym mieście gdy lada nieprawość urośnie,
Wygnać ją aż za mury, wygnać nielitośnie.

Bo nie masz dla występku zagrody lub ściany,
Wnijdzie przez mur potrójny z kamienia krzesany;
Niechże więc czuwa prawo z piorunem przy bramie,
A gdy występki w twierdzy, niech twierdzę rozłamie.

Przed ubarwioną zdradą zamykajcie domy,
 Precz wygnać dziką żądzę chciwości łakomój;
 Niedoleżna obfitość i rozkosz zbyt kowa
 Niech nam serca nie miękczy, duszy nie zepsowa.

Śpieszcie pieniąż czynszowy skwapliwie przynosić,
 Przy rycerskiem ubóstwie i żelaza dosyć;
 Pancierz złotem powleczone nie doda otuchy,
 Żle się walczy we złocie, bo to metal kruchy.

Czy to wojna, czy pokój wzywa bohatera,
 Niech zawždy ręka rękę, siła siłę wspiera:
 Ciężki jest dach świątyni, a przecię budowa
 Podparta we sto kolumn wieki się przechowa.

Sto wiosel zbawi okręt, gdy się wicher zdarzy,
 Sto gwiazd łączniej oznaczy drogę marynarzy,
 Kotwica cztero-zębna gdy się w morze wpuści,
 Tężej zdoła zagrzęznąć w dno mokrój czeluści.

Tam jest krzepkość, gdzie siła z siłą się kojarzy;
 Biedne miasto, gdzie z sobą starszyzna się swarzy:
 Rozterka między braćmi i niezgoda w duszy
 Podkopie fundamenta i miasto obruszy.—

Gdy tak Amfion śpiewał o kraju posłudze,
 Beockie źródło Dirce zawrzało w swój strudze,
 I otoczony cieniem Cytheron Bachowy
 Trzykroć poruszył wierzchem krzemienistej głowy.

Pękła stara opoka, jęknęły otchłanie,
 I kamienie na polach poczęły płasanie,
 Wirem pobiegły gaje, wirem las ponury,
 I szły za nim opoki z potoczystej góry.

Wieszcz umilknął — kamyki, kamienie i skały
 Rzędem okolnych murów na wieki zostały,
 Stało miasto Teby na beocką stronę,
 Grubą ścianą i siedmiu wrotami sklepione.

KSIĘGA PIĄTA.

(EPODOS).

O D A I.

Pochwała ciszy zakonnój.

*Parodya Ody Horacyusza: „Beatus ille, qui procul negotiis...”
 Gdy poeta podczas wakacyj sierpniowych odwiedzał wioskę jezui-
 cką Niemenczyn.*

At ille, Flacce, nunc erit beatior...

Lecz ten szczęśliwszy, o mistrzu Horacy!
 Który się odjął pospolitój pracy,
 Rzucił wieś ojca, rzucił zagon polny,
 Nie zna piniaczów i od pozwu wolny.
 W lecie upał nie zniszczy się zboże,
 Zimą nie stoi, czy zamieć na dworze,
 W swary się nie wda, bo nie nosi broni,
 I przed łupieżcą szyje nie nakłoni.
 Więc albo, kornie uchyliwszy głowę,
 Modli się Bogu za ludzkie światowe,
 Albo umysły rozpierzchnione garnie
 I błędne owce zbiera do owczarnie,
 Lub syty pociech, co sumienie zdarza,
 Czas swój rozmierza z godzin Brewiarza.

Wieczorem zasię, gdy w sinéj oddali
 Niebo zorzowe pochodnie zapali,
 On swe źrenice posyła tam w gości,
 I bije czołem przed Światłem światłości,
 I po murawie wolne stawiać kroki,
 Przez łązawe oczy ogląda w obłoki,
 Gdzie tyle światel u niebios podnoża,
 Gdzie mieszka Chrystus i Dziewica boża.
 Te łąy pobożne, co leje potokiem,
 Nie dadzą drzemce zawisnąć nad okiem.

A kiedy słońce w porannym zakresie
 Promienną głowę od wschodu podniesie,
 On na modlitwie myślami i słowy
 Stara się gniewy przejednać Jehowy.
 Lub gdy poranek kwietniowój niedzieli
 Świątecznym blaskiem na ziemię wystrzeli,
 Jego źrenice to w niebo się wznoszą,
 To rozpatrują po ziemi z rozkoszą,
 Patrzą na lasy, na pola i wody,
 I widzą Twórcę w obliczach przyrody.
 —„Ach!—mówi w sobie—oto trawka licha
 Wie, z czyjéj łaski żyje i oddycha,
 Każda się modli i drobnemi łezki
 Daje ofiarę mądrości niebieskiéj.
 Biały liguster i krasny kwiat róży
 Uchyła główkę i niebiosom służy,
 Lilia blada, kłoniąc się ku ziemi,
 Szeptem modlitwę ustami śnieżnemi;
 W wieczór wzdychają i kwiaty, i drzewa,
 A z rana rosa łzami je oblewa.
 A jaż? sam jeden w niedołęztwie starém
 Będę się zginał pod lekkim ciężarem?“

Gdy tak myślami pobożnemi bada,
 Jak drzewo szumi, jak bije kaskada,
 Święta myśl jego, jako perła droga,
 Po pięknej ścieżce uleci do Boga.

Cóż gdy po trudach modłów i ołtarzy
 Wioskę podmiejską odwiedzić się zdarzy,
 Pójść do Łukiszek, w niemenczyńską stronę,
 Lub zwiedzić lasy Bezdanu zielone!
 Gdy tam w swobodnej sierpniowej zabawie
 Mój niewytworny posiłek zastawię,
 Gdy siądę w proggu, wypoczynku gwoli,
 Albo w dziedzińcu pod cieniem topoli,
 Gdy cichy kątek zgłodniałego garnie
 Chlebem i solą domowej śpizarnie,
 Smaczneż to wino lub owoc ze drzewka,
 Posilna woda lub mleka konewka!
 Cóż gdy po chlebie dla smaku się doda
 Krasnej poziomki soczysta jagoda!
 Czyż tym przysmakom murena wyrówna,
 Albo lukryńska ostryga zbyt kowna?

Po skromnej uczcie nadewszystko wolę
 Wyjść po nad rzekę, w zarośle, na pole,
 A kiedy burzę napędzają skwary,
 Schronić się w ciemne kasztanów konary;
 Albo, gdy słońce pogodne zachodzi,
 Płynąć zatoką na rybackiej łodzi,
 I sieć rzuciwszy, kiedy zdobycz wbieży,
 Drgające rybki wyciągać z węcierzy.
 A tam ryk żubra w nieprzebytym lesie
 Echo przeciągłe nad wodą rozniesie,
 A tam w zarośli drobny czyż strzekoce,
 A tam słowiki w wierzbach przy zatoce,

A owdzie rzeźkich owczarów gromada
 Sygnałem trąbki przywoływa stada;
 Tu z dworskiej niwy idzie kupa ziemian
 I pieśń żniwiarską wyciąga na przemian,
 Owdzie woźnica z piszczącemi koły
 Złociste snopy wiezie do stodoly.

A czyż przemilczeć w samotnej zaciszu
 Lube objęcia dobrych towarzyszy?
 Jak uwesela niewinnie a mile
 Słodki rozhovor, pełny krotochwile!
 Śmiech przyzwoity i dowcip niezdrożny
 Weselem kończy nasz dzionek pobożny.

Alfiusz lichwiarz, słysząc o tym bycie,
 Co już wieśniackie miał przedsiębrać życie,
 Zebrawszy grosze w terminowe święta,
 Na drugi miesiąc nie dał ich w procenta.

O D A II.

Pochwała rzeki Bugu, poświęcona St. Łubieńskiemu.

Non me doloso Salmacis alveo,
 Non mixta Divis flumina perficis...

Nie nęci mój pieśni Salmacys zdradziecki,
 Ni źródło święcone Wenerze;
 Zdrój żaden łaciński lub grecki
 Dziś ze mnie ofiary nie bierze.

Przebaczcie, Paktolu i Cydnu zatoki,
 Że dla was strun moich nie trączę,
 I ty, ojcze Tybrze głęboki,
 Nie czekaj na pieśni gorące.

Ja będę opiewał Bug wrzący i skory,
 Co Wisków od skwaru zasłania,
 Co dżdżyste jesienne wapory
 Wyziewa lub nazad pochłania.

O Bugu! o czysty wód świętych kryształ!
 Jakaż mi Pierys pozwoli,
 Bym konchą czerpnąwszy twą falę,
 Ugasił pragnienie do woli?

O Bugu! którego głębiny nie zmierza
 Ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,
 Ni trzoda blizkiego pasterza
 Swawolném pływaniem nie brudził

Nie pali twój wody od wierzchu do głębi
 Spiekota w południa zacisze;
 Mróz ciebie nie ściska, nie ziębi,
 Lecz wietrzyk ciepławy kołysze.

Gdy przecię na wiosnę szeroko rozlany
 Wypłyniesz na środek zagonów,
 I łąki wiskowskie, i łany
 Użyźniasz do kwiatów i plonów, —

Jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary!
 O rzeki najczystsze, najzdrowsze!
 O Bugu, i Narwi, do pary!
 I w parze opłyńcie Mazowsze.

Gdy wieszczbom Febowym dać wiarę się godzi,
 Zawierzcie, zawiercie, potomni!
 Wkrótce się poeta narodzi,
 Co naszą piosenkę przypomni.

On wodom ojczystym wywiąże się z długu
 I odda należny dank cześci,
 On i was, o Narwi i Bugu!
 Na lirze głośniejszój obwieści.

O D A III.

Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, wojewodzie wileńskiemu i hetmanowi wielkiemu litewskiemu, idącemu na Turków, poeta wróży opiekę i błogosławieństwo N. P. Maryi.

O, qui labantis fata Poloniae...

O Ty, coś Polski zachwianej dołę
 Nie raczył wesprzeć twemi rachuby!
 Oto już wojny, gwałty, swawole
 Prowadzą ziomków do pewnej zguby.
 O! któż nam spokój powróci miły,
 Kiedy jęczymy jako nędzarze,
 Gdy pola nasze krwią się obmyły,
 Gdy proch wojenny zczernił nam twarze?
 Kiedy płaczemy litości godni,
 Zlewając łzami progi kościoła,
 Któż przyjdzie do nas, jak mściciel zbrodni,
 Jak sprawiedliwość, co pomsty woła?
 Gdy nam duch mężki stłumiły blizny,
 Gdy bojaźń kajdan zwarła nam łono,
 Kto nas wybawi? kto od ojczyzny
 Oddali klęskę niezasłużoną?
 Odparte wrota, powstał gniew boży
 I duchy mściwe na nas wypuszcza.
 Owdzie się wrogów zajadłość trwoży,
 Owdzie turecka zbroi się tłuszczą.

Panno! Królowo sarmackiej ziemi,
 Oddal zagubę od naszej głowy!
 I matczynemi modłami Twemi
 Przebłagaj słuszną pomstę Jehowy.

Długo Pan na nas pioruny zbroi,
 Gromem z ognistej prawicy trzaska:
 Niechże nam w końcu palma przystoi
 I z tryumfalnych laurów przepaska! —

Tak twoich modłów, tak łaski Pańskiej
 Rycerski Karol prosi i czeka,
 Kiedy tymczasem huf ottomański
 Rzezańczym tłumem grozi z daleka.

Mając się pastwić nad polską szyją,
 Ostrzą Gelony krzywe pałasze...
 Z nami bądź, Pani! z nami, Maryo!
 Weź pod opiekę proporce nasze.

Gdy sygnał boju rażno zazgrzyta,
 Gdy w piersi nasze uderzą włócznie,
 Gdy głowa nasza, słabo przykryta,
 Ostremi groty razić się pocnie,

Gdy rozjątrzeni, sparci atakiem.
 Pocznem się zbroić—ukrzep nam ramię,
 Wspieraj nam siły! Pod hasłem takim
 Pewno dziczynę Karol przełamie.

Miłość ojczyzny, jako rakietą,
 Wybuchnie ogniem w rycerskiej duszy.
 Próżno włóczniami sroży się Geta,
 Hetman jak piorun włócznie pokruszy.

Lecz daj swą pawęż, Dziewico święta,
 Temu, co wojskom naszym hetmani;

By głowa jego nie była tknięta,
Strzeżcie, duchowie z nieba posłani!

O D A IV.

Do Bl. Stanisława Kostki, na intencję Władysława IV Króla Pol-
skiego, gdy ten jeździł do wód badenckich.

Clariss Olimpi civibus additum,
O Kostka, sidus...

Do gwiazd Olimpu zaliczony świeżo,
Jakież ci hołdy, o Kostko! należą?
Tobie ołtarze budują na świecie,
Tobie marmury, posągi i kwiecie.

Wielka władczyni i ludzi, i rzeczy,
Królowa świata miała cię na pieczy;
Ona cię wabi do służb swego Syna
I w walce świata dotrwać napomina.

Gdyś szedł do Rzymu, wzgardziwszy słodycze,
Ona wspierała kroki wędrownicze,
Choć ślą za tobą rodzinne wołania,
Choć bratnia pogoń do powrotu skłania!

Napróżno Cerber wietrzący z daleka,
Potrójną paszczą przeraźliwie szczeka,
Echo Tartaru nadaremnie jęczy,
Nie zdoła zachwiać odwagi młodzieńczej.

Wspomnę, jak Boża Dziecina pieszczona,
Zszedłszy skwapliwie z matczyngo łona,
Na twoje piersi przyjaźnie się tuli
I k'swemu sercu przyciska najczulój?

Wspomnę, młodzieńcze, jak słodko ci płyną
Chwile, spędzone z niebieską Dzieciną?
Z jakimi usty i blaskiem na czole
Kładłeś całunek na święte Pacholę?

Nie zawsze Bóztwo pełne majestatu
W ognistych chmurach obwieszcza się światu;
Nie zawsze grzmoty nad naszymi głowy,
Nie zawsze piorun jest godłem Jehowy.

Często łaskawy ku poziomej sferze,
Kształty cichego baranka przybierze;
Gdzie czystość lilii, gdzie serce dziewicze,
Pan się obleka w dziecię tajemnicze, —

Jak po raz pierwszy przychodząc na ziemię,
Kwilił po ziemsku w stajni Betleemie,
I chociaż władca nad ludy i duchy,
Nie wzgardził żłobu i biednej pieluchy.

Cóż to za jasność, tak rzeźka dla oczu,
Toczy się globem w powietrzném przezroczu?
Co za promienie po niebiosach biega,
Jak gdyby krople deszczu złocistego?

Stój, oceanie! nie groź samowładnie!
Na klęczki ziemia, na klęczki niech padnie!
Oto Bóg idzie! na nizinę sięga,
Pod drobnym kształtem potęgi potęga.

Oto Bóg idzie! w uroczystej chwili
On duszę Kostki pokarmem zasili.
Nie ziemską ucza — lecz święci anieli
W blasku i cześci dokoła stanęli.

W pośrodku chóru źrenicą méj wiary
 Widzę męczeńskie oblicze Barbary.
 Znam Cię, rycerko! i Twe imię święcę,
 Po jasnej wieży i palmie, co w ręce.

Tak jest — dziewictwa niepojęta władza
 Nawet i świętych z Olimpu zgromadza.
 O wielki Kostko! zasługami twemi
 Pięknyś dał widok niebiosom i ziemi.

Otoś porwany, wzniesiony wysoko,
 Mocy niebieskie widzi twoje oko,
 I w obec świętych otrzymuje prawa,
 Pełnemi pierśmi niebem się napawa.

U źródła świata czerpie napój słodki,
 I w morzu Bóztwa ma przystań dla łódki,
 I bez znużenia rozpatruje z blizka
 Promień, co z bożej źrenicy wytryska.

I cóż dziwnego? wszak znacznie na twarzy,
 Znaczno na oczach, jak serce się żarzy;
 Ogniów miłości żarliwego ducha
 Mróz nie zaskrzepi i wiatr nie zadmucha.

Miłość płomienna i męzka odwaga
 Przeciwnościami najsilniej się wzmaga,
 Ani się wichrów, ani lęka fali,
 Mróz ją rozedmie a miłość zapali.

To ziemi śpiewam — dalszych cnot gromada
 W niebiesiach swoją tajemnicę składa,
 A cnota ziemiska, jako zwykle doma,
 W Polsce i Litwie szeroko świadoma.

Snadź to nasz ziomek u Pana zjednywa
 Błogosławieństwo obfitego żniwa,
 Snadź z jego modłów nie grozi nam susza,
 Deszcz chlebo-rodny zagony przyprósza.

Rodaka pewno zasługa i praca
 Od nas morowe powietrze odwraca,
 I bladą febrę, co już z niedaleka
 Grobowém zimnem owionęła człeka.

Snadź to nasz patron przez czułe starania
 I nasze miasta swym płaszczem osłania,
 Gdy ryczy działa, kiedy kula świszcze
 I baszty ogień rozrywa na zgliszcze.

A któż wyliczy bez końca, bez miary,
 Zwalczone Turki, pobite Tatary!
 Ileż to razy, gdy wojna udręczy,
 Staął w ojczyźnie sojusz sprzymierzeńczy, —

Gdy już groziła hańba i sromota,
 Gdy z silną flotą ścierała się flota,
 Gdy hufiec z hufcem spiera się i siecze,
 Puklerz z puklerzem, a miecze na miecze!

O! nie pożałuj życzliwego słowa:
 Niech nam król polski długo się zachowa!
 Niech nasz Władysław, wzmocniony twym darem,
 Na długo światu zostanie filarem!

Gdy zwrócisz oczy w którekolwiek strony,
 Czy to na północ, gdzie mroźne Tryony,
 Gdzie świecą gwiazdy polarne iskrzące,
 Czy gdzie dogrzewa przyjaźniejsze słońce, —

Nie idą z ciebie burze, niepogody:
 Stróżemże, stróżem bądź naszej zagrody!
 A Rzym, przychylny na wołanie nasze,
 Wieńcami świętych twe skronie opasze.

Z gwiazd twoje imię napisze na niebie,
 Urban ołtarze poświęci dla ciebie,
 A świat łaciński i tybrowa woda
 Cześć tryumfalną Indyanom poda.

Na tém umilknę, — reszta mego słowa
 Niechaj się, proszę, na potém zachowa;
 Reszty dośpiewam, gdy w dobrej otusze
 Los mi ogniścięj rozpromieni duszę.

O D A V.

Do Jakóba Zadzika, bisk. chełmińskiego, kanclerza kor. po zawar-
 ciu przezeń pokoju Polski z Rosyą w Połanowie.

Scribere magnis, Maxime, vatibus...

Gdy wielcy wieszczowie śpiewają nam wojny,
 Gdy słodkie przymierza zacisze,
 Lud, niegdyś nękania, a dzisiaj spokojny,
 Wieczyście na sercach zapisze:

Nie mnie to opiewać Zadzików imiona!
 Ich zacność, ich wielka przewaga,
 Ich trud senatorski, gorliwość ich łona
 Nie naszej tu liry wymaga.

Jest pole szerokie, gdzie treść się poleje,
 Lecz śmiałość do pieśni nie bierze
 Opiewać chwalebne królewskie trofeje
 I owo szczęśliwe przymierze,

Po którym wytchnęła od bojów i klęski
 Narodów i krajów gromada,
 I Prussy, i Siewierz, i kraj Borysteński,
 Co winny mu wdzięczność nielada.

To dziejom poważnym posłuży do treści
 I pójdzie na sławę potomną.
 Łubieński w wieczystych rocznikach zamieści,
 Gębicki i Lipski przypomną.

Mnie mir polanowski opiewać kazano,
 Powtórzyć piosenkę wieśniaczą,
 Przy której nad Wiaźmą wieczorem i rano
 Włościanie w wesoly takt skaczą.

Piosenkę, co dobrze nad Dnieprem znajoma,
 I trzykroć śpiewana dobitnie:
 „Ej błogo nam, bracia! ej błogo nam doma!
 Dziś pole kłosieje i kwitnie.

Wesoło, wesoło na wiejskim obszarze,
 Weselcie się wzgórk i skały!
 Radujcie się błonie! szczęśliwi żniwiarze,
 Śpiewajcie Zadzika pochwały!

Szczebioczcie to imię, strumienie i rzeki!
 Wznosście się swobodne odgłosy!
 Kto nam rzeź oddalił? kto dodał opieki?
 Kto miecze przekował na kosy?

Nie jeden Mars tylko potyka się zbrojnie,
 Jest inna ochrona prócz zbroi,
 Co służy zarówno w pokoju i w wojnie,
 Co nawet Palladzie przystoi.

Bo wojna na miecze, choć potrwa najdłużej,
Rzadko się na mieczach zakończy;
Najczęściej wymowa monarchom usłuży,
Jak pocisk i pancerz obrończy.

Miecz wojsko pokona i twierdzę zdobędzie,
Lecz ziemię niezręcznie odkrawa,
Gdy karta i pióro, niewinne narzędzie,
Odkreśla granice i prawa.

Bo piórem kieruje przezorność człowieka,
I mądrość ważona najściślej,
I formy z doświadczeń przyjęte od wieka,
I ważność wyrazu i myśli.

Dar pióra i słowa to wielki dar Nieba,
Miecz, jasny myślami naszemi.
Czyż było, niestety! człękowi potrzeba
Pożyczać żelaza od ziemi?

Żelazo wzajemnie do zguby nas wiedzie,
Człek dość się naznęcać nie zdoła,
On chciałby przyswoić pazury niedźwiedzie
I rogi dzikiego bawoła.

Niemarna jest sława, gdy wojna się wzburzy,
Ramieniem zwyciężyć ramiona;
Lecz ów znakomitszych tryumfów dosłuży,
Kto piórem przeważniej pokona.

O D A VI.

Do Jana Rywockiego Jezuity.

Quae nos, Rywoci, tot rea cladum
 Damnamus olim saecula...

Rywocki! skarżym złe nasze wieki,
 A nam zazdrościć będą na ziemi:
 Pewno potomek kiedyś daleki
 I nasze czasy nazwie złotemi.

W oczach motłochu przeszłość się błyszczy,
 Zło nieobecne złém się nie mieni,
 Starość złe rzeczy w pamięci zniszczy,
 A świetnym dziejom doda promieni.

Iluż to królom, co już zrzucili
 Scenę królewską i władcze imię,
 I teatralny płaszcz z koszenili,
 Potomność przyda cnoty olbrzymie!

Tryumfujący wśród ludów tyła,
 Król Macedonów uchylił czoła,
 Płakał, wspomniawszy imię Achilla,
 Że mu dorównać w chwale nie zdoła.

A wielki Cezar, patrząc zazdrośnie,
 Macedończyka, jak Boga, chwali.
 Rzeczom błyszczącym blasku narośnie,
 Gdy je postawim w pewnej oddali.

Lecz mąż roztropny, co prawdy szuka,
 Nie waży lekce współczesnych rodu;
 Jemu z przeszłości idzie nauka,
 A przyszłość — meta jego zawodu.

Do czegoż — pytam — do czego zda się
 Wychwalać wieki, com ich nieświadom?
 Ja, w bohaterskim żyjący czasie,
 Mamże zazdrościć dziadom, pradziadom?

Ferdynand Drugi czyż się nie zbliży
 Do takiej chwały, jak Karol Piąty?
 A Urban rzymski czy stoi niżej,
 Niżli ów wielki Leon Dziesiąty?

Na pogrzebie Jana Rudominy Dusickiego, woj-
 skiego brackawskiego, i jego syna Jerzego, dworza-
 nina J. K. M., zabitych pod Chocimem.

O D A VII.

Wiekuiста pamięć ceniom ojca i syna.

Non purulentis oblita sordibus
 Edax vetustas his penetralibus
 Late superbit...

Proch i zgnilizna, zniszczenia narzędzie,
 Nad temi zwłoki pastwić się nie będzie;
 One, dźwignięte w sferę nadobłoczną,
 Na tronie cześci wiekuiście spoczną;
 Sława, co imię zasłużone wieńczy,
 Pracę ostrego żywota zawdzięczy.
 Tam dzielny ojciec swoje miejsce bierze,
 Gdzie wiecznie kwitnie laurowe przymierze,
 Kędy na basztach wyniosłego miasta
 Oliwna gałąź pokoju wyrasta.
 Tam od radości promienieją twarze,
 Nie słyszysz jęków w zawartój pieczarze,

W błogosławionój wybranych zaciszy
 Łez się nie widzi i westchnień nie słyszy.
 Tam jeno radzi mieszkańcy światłości
 Grają na harfach ze słoniowej kości,
 Na złotych lutniach, lub, syci rozkoszą,
 Echo swych pieśni aż ku gwiazdom wznoszą.
 Ptak Palamidów tryumfalnie lata,
 Uciekła z pola zima lodowata,
 A barwą zimy i śnieżnej zawieje
 Wonny liguster na łąkach bieleje.
 Przy dzielnym ojcu, z radosném obliczem
 Idzie syn sławny bojem zapaśniczym.
 Był to na wojnie zwycięzca ochoczy,
 Krew bohaterska szlachetnie go broczy,
 Na krwawém ciele ukazując rany:

— „Temi—rzekł—barki bilem Ottomany,
 „I w tój prawicy mój miecz zapaśniczy
 „Trzaskał oszczepy we środku ich dziczy.
 „Grom mój rusznice kiedy palnął śmiało,
 „Niejedno serce trwożliwie zadrgało,
 „A moja włócznia, hartownie kowana,
 „Nieraz zagrzęzła w piersi Muzułmana.
 „Aż z wole bożej, ręką rozjuszoną
 „Rzucony oszczep przebija mi łono.
 „Duch mię odbieżał i padłem bezsilny
 „Na wiązki laurów, na piasek mogilny;
 „Ległem w mogile,—a u mojej głowy
 „Miłość ojczyzna i krzyż Chrystusowy.
 „Czyż lepiej walczyć zdarzyło się komu?
 „Któż z lepszym łupem powrócił do domu?
 „Jako trofea, mych bark nie otacza
 „Skóra odarta z niedźwiedzia kudłacza,

„Ani lwia grzywa—bo na cóż się przyda
 „Godło zwycięstwa dawnego Alcyda?
 „Jam znaczny krzyżem, jako szermierz boży,
 „Krzyżem jaśniejszym nad promienie zorzy.
 „Krzyż i wspomnienie—o! wielka nagroda!
 „I krwi wylanój, i pracy nie szkoda!“

O D A VIII.

Pieśń na cześć zwycięzcy.

Tormenta, diri fulminis aemula...

Łoskotem gromu armata uderza,
 Gwar trąb i bębnow huczy po przestrzeni,
 Słychać okrzyki zbrojnego rycerza,
 Słychać, jak jęczą ranieni.
 Lecz zmarły rycerz nie słyszy boleści,
 Ani go dojdą okrzyki bojowe;
 Ochotném sercem dla ojczystej cześci
 Dał na zabicie swą głowę.
 — „Gwoli całości Pospolitej Rzeczy
 „Krwia mego serca napoiłem lany;
 „Niechaj nikt doli mojej nie złorzeczy,
 „Nie chcę być od was płakany.
 „Nie daj się, bracie, rozpaczą unosić,
 „Rzuć ją na wiatry, na bałtyckie fale;
 „Stroskana matko! o dosyć już, dosyć
 „Ronić serdeczne twe żale!
 „Dosyć żył długo, kto mógł oddać zdrowie
 „W obronie króla, domu i ołtarzy;
 „Choćby pacholę, większym się nazowie
 „Niż mężę siwi i starzy.

„Żywym promieniem jaśniej mi głowa,
 „Pośpieszném skrzydłem lecę po przestworze,
 „Wieczysta sława me imię zachowa
 „Gdzie zazdrość trafić nie może.
 „Późna potomność znajdzie me nazwisko
 „W dziejowej księdze, na miejscu uczczoném;
 „W sercach Sarmatów znajdę przytulisko,
 „Zjednane życiem i zgonem.“

DZIEŁA POŚMIERTNE.

(OPERA POSTHUMA).

(Tutaj tłómacz pilnował się jedynie edycyi strasburskiej, która jest gustownym wyborem dzieł poetycznych Sarbiewskiego).

I.

Podziękowanie Janowi Karolowi Chodkiewiczowi, fundatorowi krozkiego gimnazjum — w roku 1619.

Ut ver perpetuo campos vestivit amictu,
 Mitis Apollineos repetebat Gratia Crosos.

Kiedy wiosna oblicze zieleniła świata,
 Do Kroź Apollinowych Gracya przylata,
 I tu rzekła Febowi, (który na ustroni
 Dzikim lasom i puszczoj swoją piosnkę dzwoni):
 — „Czemuż cię, czemu dotąd, lutni, nie zajęła
 „Chodkiewicza waleczność i Marsowe dzieła?
 „Czyż bramy Pandyonu wieczniej w twym rymie,
 „Szermierstwa Encelada i bitwy olbrzymie?

„Czyliż Centaurów harce tyle ci wesołe?
 „Niewdzięczny! któż licejską założył ci szkołę?
 „Kto kiedy przychylniejsze miał ku tobie oko?
 „Kto rękę szczerobliwą rozwarł tak szeroko?“
 To rzekła, a mignawszy, jako mara biała,
 Strzepnęła w ptasze skrzydła i w mgłach się rozviała.

Zdumiał się bożek pieśni z takiego widziadła,
 Drgnął prawicą, aż gęśla z ręki mu wypadła,
 Bystro spojrział przed siebie i zaiskrzył oko,
 Wstyd oblał jego lice szkarłatną powłoką,
 Przyłożył rękę k'czołu, i w myślach się troska,
 Jakby grzmiała najgodniej cześć Chodkiewiczowska,
 I jak się obowiązkom zadosyć uczyni.

W pustém urwisku skały, w krzemiennój jaskini,
 Mieszkał gryf złotopióry, ptak wieszczu, najstarszy,
 Co u zwierząt i ptaków trzymał sceptr monarszy,
 Co znał ich tajemnice i rozsądzał spory.
 Dwór jego niezliczony,—rada, senatory,
 Służba obojga królestw jego tron otacza.
 Mienia się jasne pióra monarchy skrzydlacza,
 Jego szyja miękkimi kędziory okryta,
 A na czole wyniosłém drga szlachetna kita.

Przy starszych, strojnych w rogi i potężnych władzą,
 Krzepkim węzłem związani bracia się gromadzą,
 Słoń przewodca gromadę szykuje w orszaki.
 W pierwszym rzędzie stanęły chyżolotne ptaki,
 Dalej idą zwierzęta—a gryf, jako życzą,
 Wzniósł nad niemi poważnie laskę sądowniczą,
 I rozpostarł na ziemi kobierzec czerwony,
 I miecz sprawiedliwości wziął w potężne szpony.

A więc jękły skargami i ptaki, i zwierze,
 Słyszy sędzia bezprawia, morderstwa, łupieżę:
 Owdzie porznięta dziatwa, owdzie dom zgwałcony,
 Owdzie gniazdo wydarte, tam las wypleniony.
 Sędzia słucha—a sroka skrzecząca po lesie
 Żalobę pokrzywdzonych przed trybunał niesie,
 Papuga zaś ciemiężców uniewinnia głowę,
 Silny miecz wykonywa wyroki sądowe.
 Pod mieczem wilk-morderca, wieloryb-pirata,
 Pod mieczem pada orzeł, miecz sępy rozplata.

Już miano sąd zawiesić, już gromadna rzesza
 Od krtek sądowniczych do domów pośpiesza,
 Kiedy piękny Apollo stanął w pośród zwierza,
 I cytarę nastroił, i w struny uderza,
 I zwierzęta pozdrowił uroczeni słowy.

One spuściły grzywy, uchyliły głowy,
 Gwar ucichł,—i Apollo, natchniony widocznie,
 Zakołatał we struny i tak mówić pocznie:

— „Wielki monarcho zwierząt, królu puszczy i pola,
 „Nieśmiertelna ozdobo na tarczy Karola,
 „Z którego zespolony herbownym klejnotem,
 „Na helmie i pawęży płomieniejesz złotem!
 „Tyś jest godło hetmańskie: czy w wojennej chwili
 „Tłum rycerstwa przed tobą swe czoło uchyli,
 „Czy po wojnie, łagodząc bohaterskie lice,
 „Pieszczotniej przygłaskiwasz czubatą przyłbicę,
 „Zawsześ najlepiej świadom, o monarcho zwierzy!
 „Imieniu Chodkiewicza ile czci należy.
 „Pomóż mi tedy pracę dokonać radosną:
 „Rozszerzmy jego imię daleko i głośno.

- „Wiesz, jako nad brzegami, gdzie Krozenta płynie,
 „Aońskim Pierydom zbudował świątynię;
 „Słyszysz, jak wdzięcznie tamta rozlega się niwa,
 „Jak tam leją się pieśni, jak harfa przygrywa;
 „Kwiaty, co tam rozpekły z dobroczynną wiosną,
 „Nad źródły kastalskimi tak pięknie nie rosną.
 „Milszy tam dla mnie pobyt, o! milszy daleko,
 „Niż nad jasną dziewiczą Helikonu rzeką.
 „Lecz znowu, kto nam rękę podał tak łaskawą,
 „Do hołdów nadzwyczajnych niezłomne ma prawo.
 „Pięknież to i dostojnie, gdy jego pamięci
 „Wspaniały, marmurowy pomnik się poświęci.
 „Ale ręka Ubóztwa niezamożna w złoto,
 „Niezdolna wykonywać co pragnie z ochotą.
 „Lecz ty zasię, którego potęga i władza
 „Wszystkich krajów polarnych bogactwa zgromadza,
 „Dopomóż, niech zbuduje nasza wdzięczność szczerą
 „Na wierzchołkach Olimpu pomnik bohatera.
 „Rozkaż powietrznym ptakom i zwierzętom w lesie,
 „Niech każde z swój ojczyzny podarek przyniesie;
 „Gdzie kruszec daje ziemia, czy gdzie płacze woda,
 „Niechaj każdy swój haracz do skarbnicy poda.
 „Tobie ptaków fenickich hołduje gromada,
 „Gdzie się gniazdko jedwabne dla piskląt układa,
 „I gdzie perskie z daleka sinieje się morze,
 „Tygrys ci kaukazki hołduje w pokorze,
 „I gdzie się złocą piaski, gdzie wieczna posucha,
 „Lampart, dziecko pustyni, twojej woli słucha.
 „Słucha cię jednorożec wśród rzek i źródlika,
 „Gdzie się rodzą klejnoty, gdzie złoto połyska,
 „Ostrowidz ci przynosi armeńskie kryształy,
 „Gryf kruszce wydobyte z pod lapońskiej skały,

- „Kopie dla cię klejnoty szponami krzywemi,
 „Wydobywa ci skarby ze wnętrzości ziemi.
 „Kiedy bijąc we skrzydła, w bojowej postawie,
 „Lecą z wojny pigmejskiej tessalskie żurawie
 „I po górach Pangejskich tryumfalnie krzyczą,
 „Do ciebie przylatują z wojenną zdobyczą;
 „W łupach złote łańcuchy i brylanty płoną,
 „I perły, które wrogom z hełmów pochwycono.
 „Tobie i ptak Junony wspaniałej postaci,
 „Tobie bażant z Kolchidy swą daninę płaci,
 „I biały wodny łabędź przynosi ci gwoli
 „Giętką i wonną gałąź nadbrzeżnej topoli;
 „On ci zebrał na rzeczonym erydańskim źwirze
 „Wonne krople bursztynu i w wieniec uniże.
 „Feniks, pielgrzym indyjski, wszystko złoto niesie,
 „Cokolwiek na Hydaspie, co znalazł w Gangesie.
 „W cokolwiek assyryjska obfituje niwa,
 „Mnogie skarby rozkoszy, w które las opływa,
 „Przyniesie ci papuga ubarwiona cudnie,
 „Bo znany jój Wschód cały i całe Południe,
 „Ziemia zaoceańska dokładnie jój znana,
 „Kędy nawet nie doszedł i żagiel Hiszpana.
 „Masz hufce, których zimno ni skwar nie zastraszy,
 „Puśćże na świat twój orszak zwierzęcy i ptaszy,
 „Niechaj ziemię okrążą pośpiesznemi kroki
 „I przyniosą bogactwa na pomnik wysoki.
 „O! zbudujmy, zbudujmy nad saltyńską rzeką,
 „Którój szmer po równinach rozległ się daleko,
 „Obelisk trójwieżysty, pomnik znakomity,
 „Z marmuru wykowany, godłami okryty,
 „Pomnik hetmański cześci, co siła już liczy
 „Trofeów z barbarzyńcy i szwedzkich zdobyczy.

- „Niech hetman spina konia błyszczący a zbrojny,
 „Harcuje krwawą ścieżką tryumfów i wojny,
 „Niechaj się wyobraża, jako jego ramię
 „Tu Szwedów pokonywa, tam Moskwę przełamie.
 „Gdzie tryumf Chodkiewicza i Rusinów klęska,
 „Wykowamy ze złota wieżyce Smoleńska.
 „Zacny zwierząt monarcho! gdy przez twe staranie
 „Świetny rycerski pomnik wiekuiście stanie,
 „Wyznam, żeś wdzięczzen Panu. Wyptaki i zwierze,
 „Od was hojną Apollo nagrodę odbierze
 „Za śpiew na niwach trackich. Pomnicie zapewno
 „Piosnkę na mojej lirze serdeczną a rzewną,
 „Pomnicie głos uroczy owój pieśni starój,
 „Co brzmiała na pastwiskach licyjskiej Patary,
 „Którój wtórzył Eurotas od brzegu do brzegu,
 „I źródło akarnańskie płynące z pod śniegu,
 „I bystry Archelous dźwiękami przejęty,
 „I wody permessańskie, i Lykormas święty?
 „Wszystko słuchało pieśni pobożnie i szczerze,
 „Umilknął szelest wichrów i fal na jezierce,
 „Kiedy pragnąc się dziwić tajemniczój mowie,
 „W powietrzu słuchający zawiśli ptaszkiowie,
 „Lub siedząc na gałązkach w uroczystój chwili,
 „Lub w gniazdach zaczajeni piosnek się uczyli.
 „Przyjdzie czas, kiedy siły odzyskawszy wieszczce,
 „Nad brzegami Krozenty zanóć wam jeszcze,
 „I ciebie, zacny gryfie, i poddane twoje
 „Dźwiękiem lutnie uroczej i pieśnią napoję,
 „I pochwały Karola, i bojowe dzieje
 „Aż pod niebo wyniosę, aż gwiazdom opieję.
 „Jak niegdyś Orfejowi, dęby mi się wzruszą,
 „Zwierzęta z jaskiń wyjdą i słuchać mię muszą.

„I będą biegły do mnie, jak gdyby kto goni,
 „Jelenie od pastwiska, a sarny od błoni,
 „I gołąb, co się gnieździ na sklepistój wieży,
 „I łabędź przyjdzie do mnie, byk z pługiem przybieży.
 „Owszem same jaskinie, i mury, i skały
 „Ciekawie słuchać będą Karola pochwały.
 „Wtenczas śpiesząc brać udział w uroczystój cześci,
 „Puszcza zielono-drzewna wtórem zaszeleści,
 „A imię Karolowe, jakby echo burzy,
 „Rozleje się w dolinie i w jarach powtórzy.
 „Że on wielki—ogłosi zielona płaszczyzna,
 „Że dzielny a dotrwały—opoka mu przyzna.
 „I oto nad Saltynem mieszkanie zakłada
 „Słodko-śpiewna Pierys i mądra Pallada;
 „One łącząc swe chęci z usilnością naszą,
 „Splotami wonnych kwiatów ten pomnik przepaszą.
 „A w około pomnika cna młodzież się zbierze,
 „Podziwiając wykute z marmuru rycerze,—
 „I piękny kształt rumaków, i godeł, i zbroi,
 „I dzieje wielkich bitew pamięci przyswoi,
 „I chórem je opiewać odważy się wreszcie.
 „O zacne pracownicy! pośpieszcie, pośpieszcie
 „Odważyć nieco pracy i nakładów nieco.
 „Ty pierwszy, królu ptaków! rozkaż, niech polecą
 „Wszyscy poddani twoi,—wszak dobrze ci znane
 „Wszystkie bogactwa ziemi, dotąd niewidziane.
 „Niechaj skrzydlate hufce przyniosą do Pana
 „Złoto z nad brzegów Tagu, z krainy Hiszpana,
 „Niech z wnętrza gór alpejskich złoto się pozyszcze,
 „Niech z krainy północnej, gdzie Boreasz świszcze.
 „Z biegunów południowej i północnej osi,
 „Gdzie morze bryły złota na piasek wynosi.“

Rzekł—gryf skinął na zwierząt i ptaszęce strażę:
 Jednym skarby północne wydobywać każe,
 Do Scytów i Numadów inny orszak spuści,
 Innych posłał w pieczary alpejskich czeluści,
 Owym wskazał plondrować libijskie bezdroża,
 Tych przeznaczył na brzegi Egipckiego morza,
 Tych w odległą krainę Tyru i Sydonu,
 Tym w ruinach Kartagi kazał szukać plonu,
 Innym ku Atlantydzie dał skierować kroki,
 Drugim skinął ku stronie Arabskiej zatoki,
 Innym rozkazał kopać w Tomezańskiej skale,
 Innym wyspy Egejskie przeznaczył w podziale,
 Innym dał Orchomeńskiej głębiny odnogi,
 Innym Baktre, gdzie metal znajduje się drogi.

Jutrzenka po raz siódmy błysnęła w purpurze,
 Apollo po wysokiej Miedziokalnej górze
 Spuszcza się, pewien skutku i dobrej nadzieje.

A owo brzeg Krozenty jasno zielenieje,
 Owdzie rzeka coś szepce w tajemniczej mowie,
 Tam wesołe pastwisko, tam gęste sitowie.
 Więc podniósł w górę oczy i wzrokiem sokoła
 Cały okrąg niebieski ogarnął do koła:
 I widzi, jak się ptactwo zlatuje gromadą,
 Aż niebios zaciemnia zgęszczone ich stado,—
 Na wyścigi z wiatrami puszcza się ich rota,
 Aż niebieski firmament mży się i migota,—
 Pysznie mocnymi skrzydły wahają się w dali,
 Jakby płynąc na chmurach i na wietrznej fali.
 Gryf szybując najwyżej, gdzie nie dojdzie rzesza,
 W niebieskiej równowadze swój ciężar zawiesza,

I monarszém spojrzaniem patrzy po przezroczu,
 Tysiąc iskier ognistych sypie się mu z oczu.
 Dziobem przerzyna wichry, skrzydłem mgłę rozbija,
 Wzdyma się jego silna kędzierzawa szyja,
 I wydaje trzy hasła, jak naczelnik warty,
 I całym swym ogromem w chmurach rozpostarty,
 Jasny zbrojną, rycerską, mieniącą się szatą,
 Steruje swoim lotem, jak żeglarz fregatą.
 Szpony wyciągnął naprzód, silnym dziobem szczęka,
 Ucieka przed nim zefir — bo się cięcia lęka.

Za nim szeregi ptactwa — jak na bój ochoczy
 Za hetmańskim proporcem rycerstwo się tłoczy,
 A żaden się przodkować w locie nie odważa,
 Choćby na jedną chmurkę wyprzedzić mocarza.
 Lecą po jasnej drodze, kędy on szeleści,
 I śpiewają mu pieśni tryumfów i cześci:
 Jak on miejsce zajmuje naczelne, książęcie,
 Jak mieczem pozłocistym silne płata cięcie,
 Jak mu się błyszczy tarcza, jak pancierz jaśnieje,
 Jak wzorzysty proporzec nad głową mu wieje,
 Jako na jego hełmie, wykutym ze złota,
 Goreją iskry ognia i pióro dygota.

Gdy się już przybliżyli do brzegów Krozenty,
 Gdzie stary niegdyś Rekuć przybytek miał święty,
 Widząc, jako się bieli miasto na jeziorze,
 Uroczystym okrzykiem powitali Kroze.
 A odgłos pozdrowienia powtórzyły z blizka
 Krozkie góry, i kroskie błonie, i pastwiska,
 Wody odbiły z szumem głos brzmiący pocięchą,
 I w lesistém zaciszu odhuknęło echo.

Zatém czoło w laurowe opasawszy liście,
 Szedł Apollo spotykać hufce uroczyście.

Wtedy monarcha ptaków i władca na zwierze
 Haracz swoich poddanych składa mu w ofierze,
 I bogactwa, co zniosła ze wszech stron gromada,
 Na gatunki rozdziela i w stosy układa.
 Tu wielkie kupy złota, owdzie srebro świta,
 Tam iskrzy się miedź twarda niczém niepożyta,
 Owdzie odlew mosiężny, owdzie stos kamieni,
 Owdzie marmur w bogatych kolorach się mieni.
 Owo skała koryncka mieniona i czarna,
 Na której różnobarwne malują się ziarna,
 Jakby ogród kwiatowy, jak liści gromada,
 We flader rozmaity obraz się układa.
 Owo drogie klejnoty, owo łyzy Tetydy,
 Owo perły ze szczęśnych wysep Hesperyd,
 Owo, jak ziarno gradu, perła migająca,
 Błyszczy brylant z jaspisu, jako deszcz ze słońca.

I zdumiał się Apollo, z nim Pieryd rzesza
 Widokiem tylu skarbów źrenice naciesza,
 Przepatruje, ogląda, przelicza na nowo,
 Tam złoto, tam klejnoty, owdzie kość słoniową, —
 I głosem uroczystym a pełnym słodyczy
 Wezwał bóstwo, co dziejom ludzkim przewodniczy:

— „Córko! tobie przeszłości powierzona karta,
 „Przed tobą kolej wieków na oścież otwarta,
 „Znasz wojny, znasz rycerzów, ty wyteżasz oko,
 „By święta starożytność nie zaszła pomroką,
 „Wskrzeszasz ją światu gwoli, wskazujesz widocznie,
 „Gdzie młodzian rozpoczyna, gdzie starzec wypocznie.
 „Chodź tu, córko parnaska! twój pracy potrzeba.
 „Tu się pomnik miedziany buduje do nieba,
 „Tu dzieło wiekuiste wznoszą moje ręce,
 „Gdy na cześć Chodkiewicza to dzieło poświęcę;

„Kształtownie trzeba działać, a pracować szczerze,
 „Aż kamień uroczystą postawę przybierze.
 „Twojej tu trzeba ręki, co pomniki krzesze, —
 „Ja swoją tracką harfę na ramię zawieszę,
 „Będę słodził robotę i orzeźwiał duszę,
 „Dźwiękiem pieśni kamienie i skały poruszę;
 „Same do ciebie przyjdą i pod twoją dłonią
 „Kształtny kolos dla oczu zdumionych odsłonią.
 „Pocznij tylko—wszak dawniej w sposób tenże samy
 „Amfion wznosił tebańskie sklepienia i bramy,
 „Wszak pieśń moja pergamskie zgromadziła cegły,
 „Na głos harfy opoki i wzgórkki pobiegły,
 „I kamienie wapienne, i frygijskie drzewa
 „Biegły w ręce robocze, gdy harfa zaśpiewa.“

Tak mówił, biorąc harfę do swój lewój dłoni,
 Prawicę podniósł w górę i w struny zadzwoni,
 I pierwsze drżące dźwięki rozbiegły się w ciszy,
 Od których lekki zefir rzeźwił się kołyszy.
 Potém silniejsze takty wydobywał śmiało,
 Dźwięk popłynął do lasów, i w lasach zagrało,
 I góry zachwyczone aż pod niebo skoczą,
 I doliny radosne zagrzmiały ochoczo,
 I krzewiny, i wody wtórzyły dostojnie
 Pieśń bojów bohatera i sławy po wojnie.
 Tymczasem gryf zawołał na swój zastęp cały,
 Ptaszki jęły szczebiotać i wstecz odleciały,
 I pieśnią wyrażając swe uprzejme chęci,
 Stado po jasnym niebie jak w tańcu się kręci.

Pracuje sławne bóstwo historycznych dziei,
 Układa różnowzory marmur po kolei,
 Muruje trzy pomniki we srebrze i złocie,
 Jój słudzy, Cześć i Sława, stoją przy robocie.

Zwycięstwo okupione wojennemi dzieły
 I kwitnące Tryumfy tuż miejsce zajęły,
 Obok nich uwieńczona Mąrsowa Odwaga
 Wierzchołek obelisku wznosić dopomaga.

Pracuje bóstwo dziejów, bo pilna robota:
 Słychać trzaskanie skały i łoskot od młota,
 Wtórują drobnych ptasząt niezliczone stada,
 A echo napowietrzne na głos odpowiada.
 Wszystko pragnie pomocy i sił swoich użyć,
 Słońce zwolniło biegu, aby dzień przedłużyć.
 Rosną w oczach pomniki, młot bez przerwy kowa,
 Przyszedł Wieczór, zdumiony, że praca gotowa,
 Przyszły wieczne Godziny i swém czołem siwém
 Uderzyły hołdownie, przejęte podziwem.

Piewczynie Helikonu, przychodząc koleją,
 Uderzają po strunach i piosenki pieją,
 I wszystkie, gwoli dziełu pracując z rozkoszą,
 Giętkie zielone trawki na uplot przynoszą,
 I w około kolumny dziewicza lilia
 I śnieżysty liguster ramiona obwija.

Wtedy radosna Sława wzywa Apollina:
 — „Patrz, jak troista wieża do niebios się wspinał
 „Tu na miedzi Karola dzieło znakomite,
 „Tutaj jego pochwały w marmurze wyryte.
 „Jeśli wola posłuchać, to przybliź się ku mnie,
 „Ja ci objaśnię rzeczy, ryte na kolumnie.

„Na pierwszym obelisku, co po prawej ręce,
 „Wykowano Karola lata niemowlęce.

„Patrz, jak się dziecię pali na miecz bohatera,
 „Jak rycerską przyłbicę piórami ubiera,
 „Jako puklerz ze stali kowanój wygięty
 „Chciałoby podejmować drobnemi rączęty;
 „Lecz nie może udźwignąć, więc pełne boleści,
 „Żeleźce ciężkiej włócznie całuje i pieści.
 „Patrz, jak zbroję rycerską za kolebkę bierze,
 „Bawi się z karacena i czyści pancerze,
 „A gdy spocząć przymusi przedwczesna fatyga,
 „Siekierę od bardysza do pościółki dźwiga.
 „Ojciec powraca z wojny, w jego rękach spisa,—
 „Patrz, jak dziecko radośnie na pierś mu zawisa,
 „Łuk mu zdejmuje z pleców, a przyłbicę z głowy,
 „Jak zręcznie kłamry zbroje odpina stalowój.
 „Patrz, jaki uśmiech szczęścia siadł na ojca usta,
 „Jak go straszy przyłbicą, jak na rękę huśta,
 „Jak dziecię igra z ojcem, jak patrzy junacko,
 „Że pióropusz od hełmu dostało za cacko.
 „Potém młodzian ten samy już na szkolnój ławie,
 „Piękném aońskiém światłem poi się ciekawie,
 „Jego umysł, Marsowi i Muzom ślubiony,
 „Bada dzieje odwieczne rycerskiój Bellony,
 „Fortele Hannibala, boje Macedona
 „Gorąco zapamiętał i przykuł do łona.

„Drugi pomnik zielono laurami się wieńczy:
 „Tu widzisz pierwszy zawód Karola młodzieńczy.
 „W twarzy igra rumieniec, w oku blask ogniowy,
 „Hełm czubaty oblicze zakrył do połowy,
 „Lenistwo nie zmiękczyło młodzieńczego ducha,
 „W jego sercu odwaga i dobra otucha.
 „Z marsem na czole, z włócznią, w pancerzu ze stali,—
 „Wojenny tracki rumak pod nim się wspaniali,

„A on, biejąc na czele świetnego igrzyska,
 „Pewną prawicą dziryd do pierścienia ciska.
 „To są najpierwsze boje, tu się młodzież ściera,
 „Tu się uczy na przyszłość czynów bohatera,
 „I Karol tu się uczy, jak zadawać rany.
 „Napiersnik jego zbroje złotem szmelcowany,
 „Tarcz jasna jak zwierciadło, a iskrą przyświeca
 „Żelezce jego włóczni i ostra szablica.
 „Patrz, jak mu pali wewnątrz odwaga Gradywa,
 „Patrz, jak słodki pot pierwszy, co z czoła wypływał
 „Krew mu bije do twarzy, kołysze się łono.
 „O! niemarne to iskry, co na mieczu płonął
 „Oto już na pancerzu wyzłacana łuska
 „I piękny polor tarczy we krwi się opluska.
 „Wódz nie zważa na groty, na hufce okolne,
 „Miecz jego tnie zastępy, jako kłosie polne;
 „Kędykolwiek on stanie na korzyść ojczyźnie,
 „Stośy trupem powali i ulicę wyżnie,
 „Reszta pierzchnie ze strachu i zginie na szczęty...
 „Idzie klęska Michała! już koncerz podjęty.

„Tu, na trzecim pomniku, Chodkiewicza ramię
 „Tłumy Szwedów rozpędza i hufce ich łamie:
 „Ryczy strzelba, jeży się broń nieprzyjacielska,
 „Leżą ludzkie i końskie obumarłe cielska;
 „Ale wódz niezłamany, podobien opoce,
 „Gdzie spuści piorun miecza, krew deszczem pluchoce.
 „I pierzchnął Sudermańczyk, i cofnął się nagle,
 „Dał hasło do odwrotu i rozwinął żagle;
 „Przepłoch dodał mu wioseł, przyśpieszył żeglugę,
 „I rozdarł na Bałtyku mętnej wody smugę.
 „Patrz—tutaj ślady wojny—ruina i zgliszcze,
 „I potoki krwi szwedzkiej, co na polach świszcze,

„Rzeź wojennój rozprawy, zwyciężkie zaszczyty,
 „Wawrzyn pod Kokenhauzem i Rewlem nabyty.
 „Owo mury obronne z basztami i wieżą,
 „To są grody Inflantów, co k'Polsce należą:
 „I tu znowu Chodkiewicz po wawrzyny sięga.
 „Patrz, na wierzchu kolumny—ogromna potęga!
 „Owo mury Smoleńska — patrzaj na tę ścianę:
 „Wieżycy obalone, bramy potrzaskane,
 „I Ruś pierzchła zwalczona usilném staraniem,—
 „Idzie zwyciężki Karol, a wygrana za nim.“

Rzekła—a Febus dodał w uroczystej mowie:
 —„O! teraz szkole krozkiej poszczęście, bogowie!
 „Niech ten pomnik, wykuty w licejskim zakresie,
 „Dziela męża hetmana w potomność zanieś.
 „To nie mgła, którą lekki wschodni wiatr rozwieje,
 „To nie śnieg, co na wiosnę cały roztopnieje:
 „Mój pomnik się nie zwali przed potęgą żadną,
 „Trwać będzie—póki gwiazdy z niebios nie upadną!“

II.

Podróż do Rzymu w roku 1622.

Ibis Hyperboreos non segnis, epistola, campos..

Pójdiesz tedy, me pismo, pod niebo północne,
 Gdzie Wisła grunt ojczysty podmywa i porze.
 Nie wstydź się, że się chwieją twe kroki niemocne,
 I że goniec strudzony pośpieszyć nie może.
 Niełacno przeskakiwać stopami szermierzy,
 Gdzie śnieżne garby Alpów aż pod niebem sterczą;

Nielacno się z Alpami Ceraunia zmierzy,
 Alpy z gór Pirenejskich śmieją się szyderczo.
 Często wąwóz skalisty i otchłań głęboka,
 Lub zatrzyma cię śniegów niezłomna przeszkoda,
 Póki zimno północne i słodszy dla oka
 Widok pól macierzystych serca ci nie doda.
 A tam zielona niwa rozścielać się pocznie,
 I góra w siniej barwie coraz dalej znika;
 Wnijdziesz w kraj nadwiślański, a tam już widocznie
 Miękczej będzie na trawie stopom wędrownika.
 Mimo zamków i grodów dzielnego Lechity,
 Gdzie się po mokrej ziemi kręta Narew płacze,
 Przyjdiesz odwiedzić Muzy pobyt znakomity,
 W Pułtusk Apollina świątynie uchronię.
 Donieś tam towarzyszom o mojej podróży,
 Żeśmy na włoskiej ziemi stanęli przyjemnie.
 Pozdrów serdecznie Ojców, niech im szczęście służy,
 I powiedz Nikolemu trzy słowa ode mnie.
 Klęski naszej podróży, trudy niewymowne
 Rozpowiedz szczegółowie w prawdziwej postaci.
 Najprzód, w mieście Poznańskim alumny wędrowne
 Oddały pożegnanie pozostałej braci.
 W braterskim uściśnieniu, z mokremi powieki,
 Ruszyliśmy w wędrowkę, rozżaleni srodze.
 Wkrótce klarowne fale czarnej Odry-rzeki,
 I granice marchijskie stanęły na drodze,
 Aż w krainy saksońskie przyszliśmy nareszcie,
 A Lipsk dachem gościnnym okrył nas w podróży.
 Przykra wszakże gościna, bo w tamecznym mieście
 Lutrowem się kacerstwem cały naród burzy.
 Tu gmachy starożytne, marmurowe ściany,
 Kościoły murowane ręką pracowitą.

Westchnęliśmy ujrawszy dom boży skalany,
 Dziwili się bogactwom, co tak źle użyto.
 Ledwo pierwszój jutrzeńki błysnęło ognisko,
 Ledwo oblała ziemię słoneczna pozlota,
 Rzuciliśmy niewierne lipskie rumowisko.
 A cały dzień pochmurny, i deszcze, i ślota.
 Biada mi! bo nazajutrz na pogodnym niebie
 Jasne słońce paliło ognistą spiekotą;
 Zda się, płomień gorący czułem koło siebie,
 Zda się, węgle żarzyste moje czoło gniołą.
 Gorączka ssala piersi, jak zabójcza żmija,
 Czułem, jak biedne członki febrą odrętwiały.
 Przyczyną téj spiekoty są góry i skały,
 Od których promień słońca mocniej się odbija.
 Bo jak twierdzi prostota, że w tutejszój stronie
 Straszny skwarem lipiec, lecz gorętszy sierpień,
 Wrzesień zaś zabójczymi waporami zionie,
 Ztąd idzie śmierć gwałtowna i tysiące cierpień.
 Trudno zbadać przyczynę, bo przyczyn tysiące,
 Czy zaraza z powietrza, czy z późnego żniwa?
 Czy w stronie nadalpejskiej rozigrane słońce
 Prostopadłym promieniem ostrym połyskiwa?
 Z łona skalnych czeluści, tuż przy samój drodze,
 Nieraz potok gwałtowny toczy się po ziemi;
 Tam w warczącej kaskadzie me gorąco chłodzę
 I czerpię zimny kryształ rękoma chciwemi.
 Powoli—orzeźwiony kroplami wilgoci,
 Począłem rażniej stawić niedołączne kroki.
 Kroki stawić począłem, bo się wóz nie koci,
 Bo konie pod ciężkimi ustały tłumoki.
 Nieraz, gdy koła grzęzły na błotnistój drodze
 Lub z trudem przebywały kałuże czarniawe,

Tysiąc zwrotów, manowców, tysiąc dróg znachodzę,
Aby snadniej wyminąć bagnistą przepławę.
Przebywszy ostre góry i głębokie wody,
I garby skał wiszących, gdzie się obłok kurzy,
Noweśmy napotkali trudy i przeszkody,
Które los nieżyczliwy stawił nam w podróży.
Oto las starożytny, gdzie truchleć potrzeba,
Pełny wiązów i dębów porośłych rozwlekle,
Stary wierzchołek lasu aż utonął w niebie,
A w lesie dziko, ciemno i straszno, jak w piekle.
Mimo ostrych wąwozów i wzgórków gromady,
Przegradzał rzniętą ścieżkę wielki odłam skały;
Stare pnie i kamienie, jakby sidła zdrady,
Przerażonym podróżnym drogę tamowały.
Przecież dążym odważnie, a żaden nie pyta,
Że zbójcy na rumakach tuż za nami jadą;
Zbrojny iskrzącym mieczem, lasowy bandyta
Otoczył nasze przejście i stanął gromadą.
Spojrzałem—noże z pochew zabłysnęły wszędzie,
Biegle ręce zbójcekie rwą się do oręża.
Owdzie strzelec, uzbrojon w śmiertelne narzędzie,
Mierzy paszczę rusznicy i oko wyteża.
Wystrzelił, buchnął ogień z dymem i łoskotem,
Gwiznął ołów, wyrwany z piekielnej czeluści,—
I włos mi się najeżył, i zlałem się potem,
Piersz zaparta z przestachu ledwo oddech puści.
I przyskoczyli zbójcy z wejrzeniem ognistém,
Barbarzyńskimi słowy ich groźba zawrzała,
I dobyli sztyletów, i przeciągłym świstem
Dają jakieś poznaki, sygnały czy hasła.
Chciałem się bronić ręką, ale ręka mdława;
Patrzę w około siebie—i wóz bez obrony.

Wtém Nikolaj tajemne znaki mi podawa,
Widzę już oręż zbójcy ku niemu zwrócony.
Uderza moje uszy jego jęk i łkanie,
Drgnąłem—jakby me oczy zalał strumień krwawy,
Mniemałem już usłyszeć ostatnie konanie;
Dzięki jednak Niebiosom, to był krzyk obawy.
Wyrwałem się, skoczyłem—a tu obok puszcza,—
Zda mi się czyżej wiatru biegłem na bezdroże.
Kryjówka w gęstych liściach ledwo dzień przepuszcza,
Ciemny chróst moją ścieżkę ukrył w Imię Boże!
A tymczasem bandyta pastwił się zwycięzki,
Nasze srebro ubogie, ów metal zwodniczy,
Źródło na całym świecie nieszczęścia i klęski,
Wszystek poszedł opłacać haracz rozbójniczy.
Tam stali towarzysze smutnie okupieni,
Rozmyślając nad dolą dalekiej podróży.
O wy, dęby szerokie! o stosy kamieni,
Których cień i kryjówka za mój uchron służy!
Czemuście (ja was, pomnę, żałowałem w drodze,
Że musicie zwierzętom za jaskinie służyć),
Czemu, gdyśmy ratunku wołali tak srodze,
Nie chciałyście nam echa waszego przedłużyć?
Pomnicie, kiedym krzyczał, jak marzący we śnie,
Kiedy mię przerażała towarzyszów strata:
Co tu jęków! co płaczu! ryczałem boleśnie,
Jako błędny Eneasz po zgonie Achata.
To drzę, to w trwożne serce znowu ducha biorę,
Badam, czy żyję jeszcze?—strach dał mi przestrogę,
Że jeszcze nie umarłem—stawiać kroki spore,
Przez gęstwiny i pola uciekam, jak mogę.
Biegłem, gdzie zwałiskami kończyło się pole,
Widok mię chat wieśniaczych ośmielił po trosze,

Wpadłem tu, jak posłaniec mój własnej niedole,
 I płacząc, o schronienie i ratunek proszę.
 Przyjęli mię wieśniacy; gdy strachu już niema,
 Czulem, jak idzie para i pot z mego czoła,
 Jak się chwieją kolana, jak się pierś wydyma,
 A język odrętwiały słowa rzec nie zdoła.
 Współbolały nade mną poczciwe wieśniaki,
 Podzielały mój przestrach i moje rozpaczce.
 Opowiadałem traf mój przez gesta i znaki,
 (Bo się mową tutejszą nielacno tłómaczę).
 Ciżba przygód ciekawa zewsząd mię otacza,—
 Łzy moje wywołały łzy w całej drużynie,
 Widzę rosę na oczach każdego słuchacza,
 Widzę, jak bujna kropla na twarzy ich płynie.
 Potém ucztę wieśniaczą zastawili przy mnie:
 Zsiadłe mleko i wodę z poblizkiej krynicy.
 Zasiadłem, czerpam wodę, rzeźwię się na zimnie,
 Lecz mi łza do napoju siąknie ze źrenicy.
 Od łez woda zdrojowa zagorzkała w puharze,
 Nie mogło brać posiłku bolejące łono.
 Więc po skromnej wieczerzy dobry gospodarze
 Sianem mi potrzęsneli pościółkę zieloną.
 Ległem—a trwożne myśli były się do głowy,
 Mdłe członki nie zdołały wypocząć do rana.
 O! jakże to okropny niepokój światowy!
 Jak się długą wydała moja noc niespana!
 Ileż myśli! a wszystkie tęskne i ponure.
 Nim północ zaiskrzyła gwiazdy polarnemi,
 Księżyc jeno rogaty, wypłynąwszy w górę,
 Jako strażnik wartował przy uśpionej ziemi.
 Wzdycham i kornie błagam porankowe słońce,
 Błagam jutrznię, niech przędź swoje blaski zsyła.

Wysłuchała jutrzeńka modlitwy gorącej
 I różowe oblicze z wody wynurzyła.
 Wstaje, i błagam słońca, niech prędkiej wypływa,
 I modłę się Niebiosom w porannej zaciszy.
 Wysłuchały Niebiosą—oto list przybywa,
 Pisan ręką jednego z braci towarzyszy.
 Krótkie były wyrazy w tym uroczym liście:
 „*Nie odpisuj, lecz do nas śpiesz za naszym postem.*“
 Więc wybiegłem przez lasy—i wnet uroczyście
 Poranne powitanie do Ojców przyniosłem,
 I po wspólnym pokarmie sen wstąpił na lice.
 Na chróścianej pościeli jak słodko się marzył!
 Rankiem oku naszemu Bambergą wieżyce
 Stały, jak zbawienie, jak port dla żeglarzy.
 Tam była nasza przystań, Pieryd pałace,
 Tam dziatwy Jezusowej zacisze klasztorne;
 Gościnny dach przysłonił znużenia i prace,
 Tam był słodki spoczynek i jadło wyborne.
 Potém na Ratysbonę szukaliśmy śladu,
 Kędy się bystry Dunaj wywija i kręci;
 Dalej miejsce, gdzie dąży młodzież z Ingolstadu,
 I Mnichów, strojny w mury i zamek książe.
 Przez Halle, kędy kraju nadzrecznego smuga,
 Droga nas prowadziła chropawa i ślizka,
 Gdzie wiekuje na górach zimowa szaruga,
 A słoneczne oblicze surowiej polyska;
 Gdzie Bryksenu, Bolsanu rosna winogrady,
 Gdzie na gruntach trydenckich szczęśny rolnik orze,
 Kędy droga, niepewna dla zbojeckiej zdrady,
 Rzeczném chyba korytem odbywać się może.
 Myśmy na drzewnej tratwie przepłynawszy fale,
 Już italskiém powietrzem napoili płuca,

Kiedy zorza wieczorna złoci się wspaniale,
 Kiedy słońce kraśniej i ziemię porzuca.
 Złote księżące dachy, mantuańskie wieże
 Koroną jasnych murów zabłysnęły z dala.
 Weszliśmy, a gdzie tylko spojrzenie dostrzeże,
 Mnogi naród po forum snuje się, jak fala.
 Tam gmachy, wyłożone w marmur różnowzory,
 Kościoły, bogatemi kopułami strojne,
 Owdzie naród, tam żyją zacne senatory,
 Owdzie z pięknym krużgankiem pałace dostojne.
 Niemniej dziwi pielgrzyna Bononia bogata,
 Niemniej Seneńskie miasto sławą starożytną.
 Wszędy cuda! lecz w środku łacińskiego świata
 Piękne mury florenckie najcudowniej kwitną:
 Jak gromada fiołków wśród trawy zielonój,
 Najpierwsze uwielbienie od przechodnia bierze.
 Dalej środkiem pagórków, strojnych w winogrony,
 Przyszło nam po Etruskiem żeglować jeziorze.
 Choć niebo w listopadzie zamglone i dżdżyste,
 Na flamińskim gościńcu kłębi się kurzawa.
 We sto kolumn podparte dachy uroczyste,
 Owo cyrk zapaśniczy przed oczyma stawa,—
 Owo Rzym się ukazał... O witaj mi, Rzymie!
 Cześć wzgórkom palatyńskim! cześć świata ozdobie!
 Domu gościnny ludów, schronienie pielgrzymie,
 Matko prawdziwej wiary, pozdrowienie tobie!
 Ile mórz, ile krajów w dalekim lazurze
 Z wierzchołków Kapitolu naliczyćby można!
 Tam króluje pochyłe kwirynalskie wzgórze,
 Owdzie gmach Watykanu z postawą wielmożną,
 Jak ojciec ze swych wieżyc patrzy się po globie,
 Gdzie mu ziemskie mocarstwa uchylają czoła,

I niebiosa, i ziemi połowice obie
 Ochotnie wypełniają, co jeno zawoła.
 Jakże jasna korona jego majestatu!
 Jakże nań oczy ziemskie wyteżyły oko!
 Czołem z pod firmamentu rozkazywa światu,
 A tyarą nad chmury błyszczą się wysoko.
 Wielki przestwór i wielkie prace jego głowy,
 W nim skupione i ziemskie, i niebieskie dzieła.
 Oto, jak wielkim celom święty gród Piotrowy
 Twa ręka, Konstantynie, z rozwalin podjął!
 Tyle wieków już liczy jego chrzestna karta,
 Lecz go praca nad światem dotąd nie unuży.
 To dźwignia kuli ziemskiej, na niebie oparta,
 Gmach, kędy ramię boże za kolumnę służy.
 Gdy w milczącej zadumie oglądam te mury,
 Dążąc ulicą między gęste winogrody,
 Już ciemniało, na ziemię padał mrök ponury,
 A na niebie, ślad słońca, ledwie płomyk blady.
 Oto dom Farnezyjski, wieczernik dla gości,
 Zwana imieniem Jezus ta mieścina boża.
 Oto ranek—my w Rzymie, w krainie światłości.
 W krainie muz łacińskich, w stolicy Grzegorza.
 Tutaj Apollinowi cała rzesza służy,
 Tutaj igrzysk parnaskich Pieryda słucha...
 Lecz ten dom, ten spoczynek, kres naszej podróży,
 Był kresem niespodzianej boleści dla ducha.
 Nikolaj, co w ojczyźnie jeszcze cierpiał siłą,
 Był męczony od febry przez całe bezdroże;
 Gdy mu wewnątrz gorączka sroga przepaliła,
 Legł tutaj niespodzianie na śmiertelne łożo.
 Ach! dla czegoż, dla czego taką wieść mam głosić!
 Błada śmierć już zastygła na braterskiej twarzy.

Ani zioła z Korcyry ulżyły mu dosyć,
 Ani środki leczebne meońskich lekarzy.
 Widzieliśmy, widzieli, drodzy towarzysze!
 Jak smutnie nas pożegnał towarzysz umarły...
 Czy go łzami opłacę, czy wierszem opiszę,
 Kiedy łkania bolesne mój oddech zaparły?
 Ja łzami na twą pamięć oblicze zaleję,
 Lecz pieśnią mało twojej usłużę pamięci.
 Czy oplakać twą pamięć? czy losów koleje?
 Czy dzieła pobożności i szlachetnych chęci?
 Czy dołę krótkowieczną i zagasłe marnie
 Wielkie skarby umysłu a zapal ochoczy?
 Nad czém płakać? wszystkiego serce nie ogarnie...
 Łzy bezpłodne! przestańcie zalewać mi oczy!
 Albo raczej, strumienie i szerokie rzeki,
 Co niesiecie do morza haracz znakomity,
Wielki Tybrze, co płynąc w ocean daleki,
 Otaczasz święte miasto starego Kwiryty,
 Puść memi żrenicami wszystkie twoje fale,
Niech się we łzy przemieni nurt pełny wesela,
 Niech łskot twojej wody wtórzy moje żale
 Na smutne pożegnanie zwłokom przyjaciela.

Dodatek do Sarbiewskiego.

ODA I. Ks. IV.

Aeterna magnis carmina Carpati..

Na skale karpackiej rznę słowa,
 Niechaj je czytają potomni,
 Dziewica niech w pieśniach je wspomni,
 A dziecię w pamięci zachowa.

Polacy, nie z naszych mozołów,
 Że zamki murujem tak szczytnie,
 Gdy boża świątynia mchem kwitnie
 I zielsko na dachu kościołów.

Napróżno armatnie moździerze
 Wydają swój łoskot tak dzielny,
 Gdy dzwonek oniemiał kościelny
 I znikły pobożne pacierze;

Gdy służby rozdzielne są boże,
 Gdy serce nie w jedno kołata,
 Gdy naród się w wierze nie zbrata,
 Niewiele mu wszystko pomoże.

Niezgodna modlitwa, złe serce,
 To wstrętna ofiara Jehowie:
 Czyż dawno niezgodni Grekowie
 Zginęli w kłótliwój rozterce?

Dymią się u Czechów ołtarze,
 A ziemia węgierska tak blizka,
 Patrząc na swoje zwałiska,
 Łzy leje—bo Pan Bóg ją karze.

Patrz z Tatrów, Polaku, jak bystrze
 Ta ziemia farbuję się krwawo!
 Co trzody nad Sawą i Drawą!
 Co ziemi bogatěj przy Istrze!

Niełacno, niełacno te strony
 Tureccy zdobyliby męże;
 Lecz gdzież tu święcone orężę?
 Gdzie umysł ku Bogu wzniesiony?

Czuł Węgrzyn niedolę nad krajem,
 Nie szczędził na mury zachodów,
 I szańce, i baszty swych grodów
 Otoczył usłużnym Dunajem.

Do czego te mury, do czego?
 Gdy pomsta niebieska ogarnie,
 Nie ujdzie, nie ujdzie bezkarnie,
 Kto szydzi z Zakonu Bożego.

Głos Rzymu ogłaszam Lechicie:
 Dziewica nad wami ma skrzydło,
 Jój palcie sabejskie kadzidło,
 Jój modły błagalne pošlijcie.

Dziewico! kraj Lachów do Ciebie
 Na klęczkach się modli w pokorze,
 W poranku i ciemnym wieczorze,
 Czy słońce południa na niebie.

My dla Cię w doświtki grudniowe
 Po siedem kagańców zapalim,
 I czystą Cię pieśnią wychwalim,
 I damy-ć koronę na głowę.

Niechaj Bóg na zgubę nas nie da,
 Bug, Wisła niech naszą krainą
 Spokojnie do morza popłyną,
 Nie bojąc się Turka ni Szweda.

Lecz cóż to? złudzenie w mém oku,
 Czy w uchu?—gdyż oto w tój dobie
 Głos wielki słyssałem przy sobie,
 I jasność zadrgała w obłoku!..

Z P O E Z Y J

SZYMONA SZYMONOWICZA BENDOŃSKIEGO.

OBRAZY NA SALI W ZAMOŚCIU.

W hetmańskim dworze grzmi radość obfita,
 Hetman zacnego przyjmuje dziś gościa:
 Ojca małżonki w swoich progach wita
 I daje ucztę na zamku Zamościa.
 O Pierydy! którym swe powieści
 Pochlebną mową krasić nie przystało,
 Wdzięczne za tyle gościny i cześci,
 Opieście światu tę ucztę wspaniałą!
 Lecz w kole starców i rycerskiej młodzi,
 Gdzie siła mężów biesiaduje społem,
 Wam, skromne dziewy, zaledwo się godzi
 Z chlubą, w milczeniu, sięść z nimi za stołem.
 Ani wam słuszna z tém dostojném gronem
 Spełniać puhary pienistego wina;
 Ani wam głosić helikońskim tonem
 Wszystko, czém chlubna sarmacka kraina.

Swojska piewczyni rzeźwiejsza daleko,
 Gdy zwiesi z ramion grzmiącą lirę swoją,
 Dźwięki jój głosu poważniej pocieką
 I milój ucho sarmackie napoją.
 A wasze dłonie, co silnie i snadnie
 Po twardych strunach przebiegały lotem,
 Gdy o Zamojskim śpiewać wam wypadnie,
 Niedoleżnieją przed wielkim przedmiotem.

Wielkiż to człowiek—nawet gdy na chwilę
 Da spoczynkowi bohaterską głowę,
 Muzie, co jego dzieł głosiła tyle,
 Miło odpocząc, brzmiąc pieśni godowe.

Jój pieśń biesiadna, nie pusta i nikła,
 Ale poważna, wdzięczna i wesółą;
 Bo i dostojność—rycerskiego czoła
 I w krotocwilach opuszczać nie zwykła.
 U bohatera i ściana wymowna,
 O wielkich mężach ona mu powiada.
 Na jego zamku, gdzie szumi biesiada,
 Jest sala, w świetne obrazy malowna.
 Mądra i prawa wiodła go przyczyna,
 Że ubrał salę w szlachetne postacie:
 Dostojna Klio cele przypomina,
 Wskazuje dłonią po całej komnacie.
 Tu ręka biegła w uczonej robocie
 Przelala rysy i życiem natchnęła;
 Widzisz tu twarze, przypominasz dzieła
 Mężów, co zgaśli po pięknym żywocie.

Rodem i cnotą z Zamojskim pokrewny,
 Starzec w obrazie oko twe uderza,
 Piękny obliczem i spojrzeniem pewny,
 A na nim prosty rynsztunek żołnierza.
 Włos jego siwy, źrenica surowa,
 W ręku buława z znaki hetmańskimi.
 To mąż rycerski, wielki Jan z Tarnowa,
 Znany szeroko aż w indyjskiej ziemi.
 On bitny w polu: czy zimnego Scytę,
 Czy niezliczonych Getów tłum zuchwalczy,
 Lub chrobrój Rusi wojska niezdobyte,
 Snadnie bułatem policzy i zwalczy.
 Te stosy kości i ta krew, rozlana
 Pod Obertynem, niby woda w bagnie,
 Świadczy, że dowcip i mądrość hetmana
 Siłę pokona i potęgę nagnie.

A kiedy słodsza powinność powoła,
 I złoty pokój rozprzestrzeni skrzydło,
 Wielki mąż idzie do radnego koła
 I dzierży w rękach zakonu wędzidło;
 Lub gwoli zabaw, mniej w powadze ścisły,
 Dzielił je z nami, co jego opieką
 Rośliśmy tutaj, ścierali umysły,
 I poszli na świat—szeroko, daleko.

Pani Zamościa! jakże ci z tém kraśnie,
 Że nieśmiertny Tarnowski twym dziadem!
 On chluba kraju, on mężów przykładem,
 A imię jego—to cześć, co nie gaśnie.
 Tarnowski! czemuż nie chce doła sroga,
 By w pokolenie szła przodków twych chwala?
 Godna cię żona, księżniczka z Ostroga,
 Dla czegoż synem nie udarowała?
 Ona ci wniosła fortunę szeroką,
 Ród w dziejach kraju twemu odpowiedni.
 Rzuć tylko z chluba tve dostojne oko
 Na drugą postać, na obraz sąsiedni.

To jest Ostrogski, twój powinowaty,
 Druh twego ojca i brat obozowy.
 Starcze Konstany! znam twój wzrok marsowy,
 Znam włos na brodzie, długi i kudłaty.
 Mężu! przed tobą ani się ostoi
 Na własnej ziemi plemię nieprzychylne;
 Zwycięzco Orszy! toć bojacy twoi
 Gromili wojska potężne i silne...
 Boś nie w otwartém polu bitwę zaciął,
 Lecz ufał w lotne rumaki konnicy,

Aż brzeg zatętnił bystrzej Olszanicy,
Gdys sparł w głębinę szyki nieprzyjaciół...

Szczęśliwy!—przykład twójego żywota
Przeszedł w Tarnowskich, twój ród, dzielność,
[władza;

A dziś Tarnowskich ród, buława, cnota,
Nowém się pasmem w Zamojskim odmladza.

Lecz twarz Stefana k'sobie mię już woła.
Królu mój! czołem uderzam przed tobą!
Miło i słodko w pośród tego grona
Nakarmić oko twą pańską osobą!
Miło do czoła, do postawy twojej
Myśl naszą przybić, gdzie twoja błysnęła;
Lecz w naszym wieku ledwie nam przystoi
Z lekka napomknąć tve wiekowe dzieła.
Szczęśliwszy piewca kiedyś się doczeka
Dać wolę lirze, śpiewać tve oklaski;
Dziś dość ci chwały, żeś utkwiał z daleka
Na Zamojskiego źrenicę twój laski.
Bo bohatera we wschodzącej zorzy
Tylko bohater oceni, przepowie.
Wielki, kto wielkiój i szlachetnej głowie
Pole popisu szeroko otworzył
Królu! te laski, urzędy i hojność,
Szeroka władza i krwi twojej podział,
Na ciebie splywa i sławy dostojność,
W którąś wielkiego człowieka przyodziął.
Ty mu księżniczkę z pod królewskiej strzechy
Daleś w zamięźcie, jak przyjacielowi.
Przebóg! śmierć nasze zerwała pociechy,
I nad Zamojskim kir przewlekła wdowi.

Zmarłeś nam, królu,—ale w świętej wierze,
 Jest jeszcze łańcuch, co wiąże cię z nami:
 Ty z niebios Polską zajmujesz się szczerze,
 A my do niebios strzelamy modłami.

Czyżże to obraz?—to jakiś mąż stary,
 Toga z purpury ramiona powleka,
 Bije mu z czoła blask świętej tyary,
 Czytać na licu, że to człek z daleka.
 To arcykapłan Najwyższego Pana,
 Z niego ma chlubę Rzym, świata podbojca.
 Nakłońcie głowy, uchylcie kolana
 I ucałujcie płaszcz Świętego Ojca!
 To Sykstus Piąty—chlubny z tego miana,
 To mąż olbrzymiej mądrości i woli,
 Odważny umysł, stałość niezachwiana
 Stolicy jego chwiać się nie pozwoli.
 Nie zwykł lekkością zatrudniać się marnie,
 Ni drobnym sprawom dać myśli nie może;
 Potężną myślą cały świat ogarnie,
 A świat—to jego stolicy podnoże.
 Jak zerwać sieci, które wróg wysnuwa,
 Jak trwalić pokój, gdzie cześć Chrystusowa,
 Na takich pracach nieustannie czuwa,
 W gorącym sercu takie żądze chowa.
 Dziki Turczyni, którego potęga
 Tyle się wzniosła, ile jego władza!
 Na twoją głowę silne wojsko sprzęga
 I pracowicie bogactwa zgromadza.
 A choć mądrości i środków ma wiele,
 Czujny, by skarbów lekce nie rozstrzelił,
 Tylko na zacne skierowya cele
 Złoto i władzę, co mu świat udzielił.

Bo k'czemuż służy skarbnica bogata,
 Kiedy z niéj ręka nieopatrznie miota?
 Mąż dzielny każdą okruszynę złota
 Umie obrócić na pożytek świata.

Oto obaczył Stefana, jak świetnie,
 Jak w całej krasie rycerskiego człeka
 Piastował berło—pobożnie, szlachetnie,
 A świat mu czoło uchylał z daleka.
 Stefan naówczas to z obcemi syny,
 To się z Liwony buntownemi łamie,
 Wbija potężnie tryumfalne znamię.....
 I dusza Syksta, radością miotana,
 Że jeszcze w świecie duch rycerstwa tleje,
 Śmiało złożyła w cnych rękach Stefana
 Swe najświetniejsze żądze i nadzieje.

I Ojciec Święty posyła królowi
 Błogosławieństwo, obiecuje wsparcie,
 Każe dać odpór nieprzyjacielowi
 I w środek Rusi uderzyć otwarcie.
 Daremnie na nas z każdej strony biega
 Z ogniem i mieczem wojska niepożyte:
 Mocne, żelazne ramię Batorego
 Przygniotło Turka, rozbroiło Scytę.
 Królu! nadziejo, tarczo chrześcianów,
 Nagleś przykowan do grobowej deski!
 I siła godnie osnowanych planów
 Poniosłeś z sobą w przybytek niebieski.
 Daléj i Sykstus miał zgon niedaleki,
 Nie mogąc znaleźć równego ci łona:
 Bo choćby wszystkie wytrząsł z grobu wieki

I przejrzał wszystkie wiekowe imiona,
 Drugiego ciebie nie znajdzie, nie złoży.
 Tęsknił po tobie,—lecz po krótkiej chwili
 Wyście obadwa na prawicy bożej
 Święte swe dusze razem zespolili.
 Gdy wasze czoło tam szczęściem jaśnieje,
 (Bo w wielkich rzeczach i żądza jest chlubną),
 Wiatr rozbił nasze jedyne nadzieje,
 Śmierć wasza dla nas wyroczną zagubną.
 Cne wasze czasy nie powrócą zgoła,
 Przyszłość już Sykstów, Batorych nie zrodzi,
 Po waszych śladach nikt iść nie podola,
 A na nas klęska i ucisk przychodzi,
 Jak na sieroty!

W swych sideł obręcze
 Chce nas zapędzić moc nieprzyjacielska,
 Niby pierzchliwe gromady zajęcze,
 Marnym spoczynkiem zdrzemane wśród zielska!

Mężę, wydarci z skazitelnój pleśni,
 Czyście niegodni za swe wielkie dzieła,
 By wasza chwała, w dźwięku chwalczych pieśni,
 Ztąd aż pod wasze niebiosy płynęła?
 Co z wami żądzą i myślą żył wspólną,
 Zamojski dla was najwięcej ma cześci;
 Bo gdy mu żywych widzieć was niewolno,
 Obrazy wasze ubóztwia i pieści.
 A moc waszego oblicza, imienia,
 W pierś Zamojskiego iskrą bije z dala;
 On, patrząc na was, duszę rozplomienia
 I sławną żądzą znowu się zapala.
 Niby ów rumak, co na wojnie dumny
 Zbratał swe ucho z ostrój trąby zgrzytem

I przywykł lecieć w przeciwne kolumny,
 Rwać w koło zębem i tłoczyć kopytem;
 A potem w stajni, w ciżbie towarzyszy,
 Stojąc beczynnie, bez siodła, czapraku,
 Niespodziewanie za ścianą posłyszysz
 Starą znajomość: trąbkę do ataku,
 Drgnie całym sobą i ucho natęży,
 Bije podkową po twardej podłodze,
 Rzy i z uwięzi wrywa się srodze,
 I chce już lecieć, gdzie brzęki oręży.
 O! zerwie trzęzę, przeskoczy zaporę,
 I w środek pyłu walczących pobieży!...

Lecz gdzież jesteśmy? czyż w godową porę
 Marsowe rzeczy śpiewać przynależy?
 Już stół nakryty,—na potem te pieśniel
 Złoci się wino, radość sprzyja licom,
 I młódz się ciśnie, by tam zasiąść wcześniej,
 Zkąd się najsnadniej przypatrzeć dziewicom.
 Zabrzmiały grajki, a młodzież ochocza
 Wybija takty, wyskoczyłby rada.
 Dajmy jój miejsce, a pójdźmy z ubocza
 Patrzyć, jak igra wesoła gromada.

PIEŚŃ STAROŻYTNA

Na Cześć Bolesława Krzywoustego.

(Z kroniki Gallusa).

Boleslaue! Boleslaue! Dux gloriosissimel..
 Bolesławiel! Bolesławiel! o chwalebny panie!
 Jakże bacznie, jak gorliwie bronisz twojej ziemi!

Czy to we dnie, czy to w nocy, czy to we świtanie,
 Twoje oko za nas czuwa i samo nie zdrzemie.
 Gdy sądzimy, że cię marnie trupem już położym,
 Ty nas dzierzysz, jak w więzieniu, w twój potężnej sile.
 Taki bojak godzien rządzić całym światem bożym,
 Który garstką umie zwalczyć nieprzyjaciół tyle.
 Chociaż cesarz wszystkie wojska na ciebie uzbroi,
 Ciebie jednak nie powstrzyma prawica niczyja.
 Królowanie i cesarstwo takiemu przystoi,
 Kto zastępy maluczkiemi wielkie siły zbija.
 Jako niegdyś z Pomorszczyzną, tak się z nami sprawi,
 Naszą dumę upokorzy i zuchwalstwo skarci,
 I po wrogach pokonanych swój tryumf odprawi,
 I wypędzi nas z ojczyzny, jak jesteśmy warci.
 On wojuje z poganami, jako Niebios plaga,
 A my walczym z chrześciany, jak nam za nic wiara.
 Ztąd mu zawsze do zwycięstwa sam Bóg dopomaga,
 Na nas pomści się za zbrodnie i słusznie pokara.

PIEŚŃ O ALBERCIE

wójcie krakowskim.

1311 r.

In fortunas qui spem ponit...

Kto w fortunie ufność kładzie,
 Kto nie pomnąc o jój zdradzie,
 Wierzył w mary lube,
 Ten poznawać rychło zacznie,
 Jako płocho i niebacznie
 Oddał się na zgubę.

Dola płocha i zwodnicza
 To odbiera, to użycza,
 Jak dziecię, swawoli.
 Dziś się owi cieszą błogo,
 Jutro gorzko płakać mogą
 Na niestałość doli.
 By wykazać losów zdradę,
 Ja mój przykład dla was kładę,
 Albertem rzeczony.
 Miałem skarby, miałem zdrowie,
 Byłem wójtem na Krakowie,
 Pisałem zakony.
 I cześć miałem w każdym razie,
 Mnie barony, hrabie, kniazie
 Nazywały bratem.
 Jam ich wspierał w każdym względzie,
 Jam ich bronił na urządzie
 I przed majestatem.
 Król, czy baron, czy wielmożę,
 Na mój radzie, na wyborze
 Polegał zwyczajnie;
 I książęta, i panowie,
 Powierzali mojej głowie
 Najważniejsze tajnie.
 Sprawowałem żupy solne,
 Miałem miasta, wsi okolne,
 Których sam nie zliczę;
 Miałem zamki, jak książęce,
 Piastowałem w mojej ręce
 Władze namiestnicze.
 Lecz gdy rośnie moja siła,

Czarna dola pośpieszyła
 Z haniebną zatrata.
 A ów człek, co tyle znaczy,
 Upadł nagle w stan żebraczy,—
 Czym zasłużył na to?
 Ja wierzyłem w szczęście zdradne,
 Anim sądził, że upadnę!
 Przeszła moja władza...
 Przeszła wielkość znakomita,—
 Książ Bolesław w plen mię chwyta,
 W Opolu osadza.
 Skuty w pęta i łańcuchy,
 Ledwie miałem chleb mój suchy
 W zimnej wieży rogu;
 Zamiast komnat i alkowy,
 Loch wilgotny i niezdrowy,
 I kupa barłogu.
 Pięć lat siedząc w tej katuszy,
 Od wszelakięj żywej duszy
 Byłem zapomniany.
 Grosz więźniowi przyszedł gwoli,
 On wykupił mię z niewoli
 I skruszył kajdany.
 Lecz tu biedy się nie kończą:
 Wyzwolony, biegłem rączo
 Aż do czeskiej ziemi;
 Bo cierpiałem potwarz nową,
 Oskarżony przed królową
 Czyny niewdzięcznemi.
 W cudzym kraju, w ciężkiej dobie,
 Tum zamierzył mieszkać sobie,
 Tu zakończyć życie.

Tu człek dobry los mój słodzi, —
 Niech mu Pan Bóg wynagrodzi
 Darami sowicie!
 Ile miałem sławy, cześci,
 Tyle cierpień i boleści,
 Bóg zrównał widocznie.
 Gdy wyroki przyjdą boże,
 Tutaj głowę mą położę,
 Tu na wieki spocznię.
 Tak Fortuna, wiecznie płocha,
 Dzisiaj pieści i ukocha,
 Jutro kołem strzaska;
 Zamorduje ręką wściekłą,
 Jeszcze duszę wtrąci w piekło,
 I otoż jój łaska!
 Gdybym wiedział, co się stanie,
 Byłbym wierny niezachwianie
 Polskiemu monarsze.
 Na cóż wyszła wierność słaba,
 Że pragnąłem mieć od Szwaba
 Urzędy najstarsze?
 Ztąd odmiennój doli dzieła,
 Ztąd się zguba ma poczęła,
 Stałem nad otchłanią.
 Bóg naukę prędko zdarza,
 Że jest pomsta na zbrodniarza, —
 Zasłużyłem na nią.
 W las mię wiodły wilcze chęci!
 Niemiec zawždy gdzie się wnęci,
 Droga mu otwarta;
 Chciałby pierwszym zostać zgoła,
 A nie dając innym czoła,
 K'sobie wszystko zgarta.

Ten obyczaj wszyscy biorą:
Najprzód kłania się z pokorą
I do łask się wkrada,
I wnet siebie, córki, braci
Z możném gniazdem kolligaci,
Tu już pewna zdrada.
Bo gdy wzrośnie mu potęga,
Dalej patrzy, dalej sięga,
Bierze inną postać;
Idzie z panem w targ zwodniczy,
Tysiąc groszy mu doliczy,
Aby sędzią zostać.
Na sędziowskiej siadłszy ławie,
Zbiera skrzętnie a nieprawie,
Grosz łączywie szczędzi,
I dziedzictwem kupi wioski,
Bierze w miastach sąd wójtowski
I dziedziców spędzi.
I Czech zgiął temi dzieły,
Jego własność pochłonęły
Chytre Niemca paszcze;
Wnet i wszystko mu zagarnie,
Co zostało—pójdzie marnie
Na ciżmy i płaszcze.

Nagrobek królowej Jadwidze.

(Z HISTORJI DŁUGOSZA).

1399 r.

Tutaj królowa Jadwiga spoczywa,
Niegdyś cnój Polski gwiazda i otucha.
Jój dom są Węgry, ziemia nieszczęśliwa,
Która dziś prawa cesarskiego słuca.
Księżniczka, świetne plemię Ludwikowe,
Co rządził razem Lachy i Pannony,
Wniosła Jagielle za wiano godowe
Wieniec monarszój sarmackiej korony.
Dziewa została na podziw sąsiadów
Arką przymierza Korony i Litwy;
Czciciele lasów, ogniska i gadów,
Bożel przywiodła przed Twój dom modlitwy.
Lecz, wielkim wzorem znakomitych męży,
Włożyła na się karności ogniwo.
Gdy kogo przykra nędza uciemieży,
Chętnie otwarła rękę szczodrośliwą;
Za nic i głody, i pragnienia znojne,
Byle świątynie wznosić uroczyste,
I przyozdabiać, i posażyc hojnie,—
Wniosła niejednen Twój kościół, o Chrystel
Cnotliwym gwoli bywała jak matka,
Możnym nie była dokuczna jój władza.
Szczęsny, kto pychę zdławił do ostatka
I gdzie należy ostrość ułagadza!

Ona wśród blasku i monarszój cześci,
 Łaskawie wspiera i w upadku dźwiga;
 Dodaj pobożność, wielki duch niewieści,
 Którym dostojnie słyęła Jadwiga.
 W akademickiej szanownej budowie
 Zostaną wiecznie jój starunku znaki.
 Uczonych mężów z cudzych krain zowie
 I mistrzów biegłych w mądrości wszelakięj.
 Tkliwie się troska o następnych losach
 Mędrca, co przybył w nieplonnęj otusze.
 Boga, co błyska i grzmi na niebiosach,
 Najwyższe dobro, czciła z całej dusze.
 Z wiarą przenosząc szczęście i nieszczęście,
 Szukała dobra, co nigdy nie minie.
 Z dostojnym mężem złączona w zameźcie,
 Już dała życie królewskiej dziecinie,
 I przyszła chwila, że się plód wyzwoli,
 W sercu nadzieja ozwała się słodka...
 Radosna matko! nie przeczułaś doli,
 Jaka za chwilę tve niemowlę spotka.
 Śmierć w dwoje ofiar jednym ciosem mierzy,
 Matka i dziecię padły pod żelazem,
 Drobną dziewczeczka śpi obok macierzy,
 Jeden dzień zabrał dwie istoty razem...
 Zabrał, i naród pogrążył w żalobie,
 W grobową otchłań płynie jęk boleści...
 Ileż łez gorzkich wylano po tobie,
 Westchnień i łkania, co w piersiach się zmieści!
 Czerwcowe słońce paliło upałem
 I z naszych lasów zniknął maj uroczy,
 Kiedy królowa z niemowlęciem małym
 Śmiertelną drzemką obciążyla oczy.

Znikła nadzieja i zbawienna tęcza
 Ojczyzny, ludu i ojców senatu.
 Zapłaczcie biedni, których los udręcza,
 Wasza nadzieja odebrana światu!
 Gwiazda królewska, jasna, szczerozłota,
 Na widnokręgu już się nie ukaże.
 Niestety! nitka ludzkiego żywota
 Przędzie się, pęka, jako los rozkaże.
 Wierzę, że wszedłszy na wieczności łono,
 Już nieśmiertelne osiągnęła rozkosze.
 Wy, którym jeszcze pożyć dozwolono,
 Swojami modły wspomóżcie ją, proszę.
 Nadziejo nasza! Zbawicielu Chryste!
 Racz ją w królestwo przyjąć wiekuiste.

Z POEZYJ JANA DANTYSZKA.

Jonasz prorok, o zniszczeniu Gdańska.

Urbs nova, dives opum, Dantiscum sive Gedanum,
 Accipe, divina quae tibi mente loquor.

Nowe bogate miasto, co cię zowią Gdańskiem!
 Przyjm słowa, które-ć niosę w rozkazaniu Pańskiem:
 Krótki czas, jeśli grzechów nie przestaniesz dalej,
 Twoja cię własna zbrodnia z posady obali.
 Prędko wzrosłoś, lecz przebóg! i zguba twa chyża,
 Twój dzień, miasto niewdzięczne! rychło się przybliża.
 Bezbożność, pycha, rozkosz zawładły twe łono,
 Trzy potwory gotują-ć zgubę nieminioną.
 Wyuzdany, nadęty swoją zbrodnią czarną,
 Mniemasz, Gdańsku! że wszystko uchodzi bezkarno.

Twój senat trzema grzechy głośno znany światu,
 Twój lud zabójczy przykład bierze od senatu.
 Bezbożność, pycha, bezwstyd gdzie zasiądą z władzą,
 Ludy, miasta, królestwa ze szczeniem zagładzą.
 Wszechmocny znieść tych zbrodni dalej już nie może,
 Popraw się, bo nad tobą ukaranie boże.
 Pan w gniewie sprawiedliwym z posady cię wzruszy,
 Jeśli słowa mojego nie przyjmiesz do duszy.
 Najprzód poślub odwieczną wiarę twych pradziadów,
 Zwróć na drogę zbawienia od bezbożnych śladów,
 Wierz, jak twoi ojcowie, a czyniąc pokutę,
 Zaniechaj złych nowości, bo jadem zatrute.
 Potem złóż brzydką pychę bogactwa i cześci,
 Któręj ogrom zaledwie w twém sercu się zmieści,
 Niechaj szczerota serca będzie stróż twój główny,
 Strój się raczej w uczciwość, niż w kształt powierzchow-
 Dziewica, co dziś nosi otworzyste łono, [ny.
 Niechaj piersi i ramię ogarnie zasłoną;
 Niechaj młoda niewiasta na bezwstydnej szyje
 Cudzych włosów na pukle misternie nie wije.
 Zrzućcie perły, łańcuchy i hatłas bogaty,
 Dosyć na waszą godność i wełnianej szaty:
 Tak chadzały twe przodki, pokolenie świeże!
 Przecz się wstydzisz ubierać w skromniejsze odzieże?
 Wiarę waszemu Panu dochowajcie wszędzie,
 W łagodnych jego rządach bezpiecznie wam będzie.
 Nie dmij się, że ci morze swe skarby przysyła:
 Kto siłą zarobkuje, ten utracą siłą.
 Czyń przed Bogiem pokutę i wyznaj twe zbrodnie,
 Twą skruchę i poprawę okaż mu dowodnie.
 Przestań sekciarskich schadzek i rozpustnej mowy,
 Grzechów, co znasz się winnym w obliczu Jehowy.

Wszelkie zelżywe gwałty, rozpustne wieczerze
 We łzach twojego serca wypowiadaj szczerze.
 Potém zwyciężaj żądzę cielesnej słodyczy,
 Niech wszeteczność przywdzieje worek pokutniczy.
 Biednym dajcie jałmużnę, niech się hojnie splaci
 Własność, handlem wydarta oszukanój braci.
 Wiele znaczą nędzarze wzgardzeni i podli,
 Żebrak błogosławieństwo wieczyste-ć wymodli.
 Tak czyńcie z reszty grzechów—mam dobrą nadzieję,
 Potężna pomsta boża dla was złagodnieje.
 Mielście już trzy klęski, srogość ich przestrasza;
 Niechże czwarta nie przyjdzie, bo to zguba wasza.
 Szło morowe powietrze, szła pożarów siła,
 Pomnisz, Gdańsku, jak woda tve miasto podmyła?
 Już karę trzech żywiołów mając przed oczyma,
 Ślepi! mniemacie może, iż kar więcej niema?
 Cóż jeśli zadrza ziemia i klęska natury
 Zagarnie i pochłonie nieprawości mury?
 Cóż gdy handlowe sprawy zniszczą boje cudze?
 Gdy się zboże zatrzyma w wiślanój żegludze?
 Albo Bóg zagniewany, któremu tak łatwo,
 Ześle zwierze drapieżne pastwić się nad dziatwą?
 Przyjdą wilki, tygrysy, lamparty, niedźwiedzie,
 I lwica afrykańska swój orszak przywiedzie,
 Smok obłęże tve mury,—choćbyś wzmacniał wieże,
 Kiedyż człowiek bez Boga zguby się ustrzeże?
 Złamią się twoje baszty, jako domy z karty,
 Gdańsku! jękniesz boleśnie, z twych bogactw odarty,
 Opuszczą ciebie siły, rozkosze i dary,
 Których dzisiaj bezeznie używasz bez miary.
 W sadach nocnej rozpusty i w domach od złota
 Rozpaczliwie zamieszka łkanie i zgryzota;

Pychę, zbytek, nieczystość, co psuły wam łono,
 Przepaściste czeluści wraz z wami pochłonę.
 Wołałem Niniwitom: Powstańcie ze zbrodni! —
 Powstali... Wołam na was: Gdańszczanie niegodni!
 Długa cierpliwość boża: mierząc cios ku głowie,
 Pan czeka na zbrodniarzy i do skruchy zowie;
 Lecz gdzie zbrodnia nad miarę urasta widocznie,
 Oddali miłosierdzie, a chłostę rozpocznie.

Z POEZYJ JĘDRZEJA KRZYCKIEGO.

I.

Na wesele Zygmunta I z Barbarą Zapolską.

Phoebe, decus vatam, pulcherrime, Phoebe, deorum...

Febie, ozdobo wieszczów, piękny, nieśmiertelny,
 Promienny, wdzięczny lirą i w postrzale celny,
 Znajdź, o dawco natchnienia, ku tój nizkiej ziemi
 I orzeźwij me piersi zdrojmi aońskimi!
 Patrzaj, jako nasz Kraków świetnieje w tój porze,
 Jaki blask, jaki przepych na królewskim dworze!
 Niechże wstąpi mi w usta święte wieszca słowo,
 Bym opiewał tę wielką świetność narodową,
 Niechaj mię moja pieśń nad Homerów dźwignie,
 Niech mię kwirycki śpiewak lotem nie doścignie,
 Co, syt kastalskiej wody, piał trojańskich synów
 Znakomitą wędrówkę do ziemi Latynów.
 Lecz cóż widzę? co słyszę? co za wielkie wieście?
 Jakież drogi gotują? zkąd ten gwar po mieście?

Zkąd ta chętką na sercu wykrzyknąć w téj porze?
 Czemu tak świetne gwiazdy, i ziemia, i morze?
 Siła mężów dmie w surmy, bije taktów krocie,
 Pacholeta i giermki błyskają we złocie,
 Jedzie konno rycerstwo,—co tu blasku wszędy!
 Kapią złotem halsbanty, łańcuchy i rzędy.
 Otoczony młodzieżą, jak obwity w kwiecie,
 Jedzie Łukasz na dzielnym spienionym dzianecie.
 Ledwo młodzian, już dzieli obrady książęce
 I rylec prawodawczy piastuje w swéj ręce;
 Łącząc um znakomity i bogactwo razem,
 Jest wzorem obyczajów i cnoty obrazem.
 Idzie piastun Chrystusów—złoty krzyż u łona
 Zdobi piersi poważne, jak piersi Katona.
 To jest Nestor na wiecy, Lukullus w biesiadach,
 To jest wierny Achates w senatorskich radach;
 On dworu królewskiego podtrzymuje wieże,
 Starych godeł monarszych i korony strzeże;
 On w środku, jako słońce, dierzając cugiel czerstwo,
 Na spienionym rumaku prowadzi rycerstwo.
 Wzór pasterzów i chluba senatorskiéj ławy,
 Jego oko ogniste, a wyraz łaskawy,
 Jego czoło mądrością natchnęła Pallada,
 Jego Juno bogactwy obdarzyła rada,
 Jemu nawet sam Jowisz przychylen niemało,
 Dał dzielność, dał roztropność starą i dojrzałą.
 Gdyby wielu podobnych w senatorskiém gronie,
 Królby polski spokojnie zasypiał na tronie,
 Ojczyznaby przywdziała wieniec szczerozłoty.
 On dobroczyńca mądrych, on przyjaciel cnoty;
 Co mam, tom jemu winien z najszczerzego łona,
 Dank mu czuły przyznawam, winny dla patrona.

Póki głosu w mych piersiach, póki strun mi stanie,
 Jego chwale poświęcam wszystko me śpiewanie;
 O nim dzielny Iberczyk, kudłaci Medowie
 I czarny Garamanta z méj pieśni się dowie.

Już Pierys natchnieniem rozjaśnia me lice,
 Śpiewam więc wielkich bogów wielkie tajemnice.
 Jest na Węgrzech Trenczyński zamek znakomity,
 Aż po gwiazdy sięgają jego wieżyc szczyty.
 To zacny dom Stefanów, sławien z dawnych czasów,
 Bogatszy, niż pałace Krezów i Midasów,
 Niżli Persy, niż Indy bogatszy bez końca;
 W nim wzrosła, jako róża dziewa czarująca.
 Krasna rumieńcem wstydu na anielskiej twarzy,
 Dziewa, z gniazda starego sarmackich mocarzy
 Po matce ród wiodąca, — tę w dzisiejszym czasie
 Wybrał Zygmunt, król polski, za małżonkę dla się,
 Aby się błogim węzłem zobopólnie wsparłszy,
 Podzielić z nią swą przyszłość i swój tron monarszy.
 Niemarne się niebiosom wydały korzyście,
 Gdyby ród ten królował Polsce wiekuiście.
 Na tém szczęściu ojczyzny trzy węgielne cegły,
 Twardą ręką miłości ukute, poległy,
 I przychyłne nam losy z godowemi godły
 Młodzieńcowi żadaną dziewicę przywiodły.
 Oto zkąd rozruch w mieście, zkąd ta świetność płynie.
 O domie znakomity! skalisty Trenczynie!
 Któż cię zdoła opisać, opowiedzieć słowy?
 Kto zliczy promieniste gwiazdy twojej głowy?
 O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
 Wejdiesz w gród Krakusowy, byś nasz tron zasiadła.
 Tu rozkosz niezrównana, tu przepych najżywszy,
 Tu Wenus zamieszkała, swój Cypr opuściwszy,

Tu z Aten swe Minerwa przeniosła mieszkanie.
 Tutaj dworzec na podziw—wszędę malowanie,
 Wszędę złoto—dziewico! jeno obróć oczy,
 Oto przepych królewski w koło cię otoczy.
 Tu przysionki na słupach granitowych wsparte,
 Tu obrazy cudnemi barwami natarte,
 Tu misterne sklepienia, tutaj rzymskie sale,—
 O! i król assyryjski nie żył tak wspaniale.
 Tu wszystko czarujące do koła się ściska,
 Tutaj z całego świata ujrzysz dziwowiska,
 Tu muzyka cię zajmie, tu świetne widziadła.
 O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
 Dalej ujrzysz sąsiednie krainy i miasta,
 Gdzie rodzi się żelazo, gdzie złoto urasta,
 Jednak i na nie Polska swój zakon nakładła,
 O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!

Dalej ujrzysz w pośrodku tysięcznego grona
 Męża, któremu śnieżna twa ręka sądzona.
 Znaczny on w pięknym gronie starszyny ojczystej,
 Jako w lesie zielonym jesion rozłożysty,
 Co nad drzewy rozwiesił kudłate gałązki;
 Znaczny on, jak ów piękny Parys ilioński,
 Co nadobną Greczynkę uwiozłszy za młodu,
 Był przyczyną zagłady Pergamskiego grodu.
 Lecz mąż twój inak czyni, bo dzielność wziął w podział,
 On zdrowe berło polskie w piękny lustr przyodział.
 Nawet i nieprzyjaciel, nawet i oszczerca,
 Spojrzawszy nań, wyrzuci nienawiść z pod serca.
 Tę mowę tak łagodną, tę postać tak piękną
 Uczczą nieprzyjaciele i przed nim ukłęką.

O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
 Jeśli ród jego badać żądza ci przypadła,

Wiedz, że nie masz na ziemi króla, jak ten młodzian,
 Żaden ksiązę w tak wielką chwałę nie przyodzian!
 Z matki krewien cesarza, sam królewskie dziecię,
 Bracia jego i krewni są królmi po świecie.
 Tylu ksiąząt i wodzów—o! zaręczam śmiało,
 Że i w radzie Pryama tylu nie bywało.

O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
 Um jego uposażon, samaś to odgadła,
 Wyśpiewać jego mądrość nie mam i nadzieje,
 Nawet i sam Apollo dosyć nie wypieje:
 Jakie serce królewskie, jaka dusza tkliwa,
 Jaka w uściech i w myśli stateczność przebywa,
 Jako czuwa nad państwem, jako słusność waży,
 Jak ma ucho powolne ku prośbom nędzarzy!
 A też nad wojskiem jego zwyciężkie znamiona?
 Sąsiady już nieśmiałe, Moskwa przepłoszona
 I niedawno odparta,—wyśpiewać niesnadno,
 Że zamilczę Wołoszę potężną i zdradną,
 Co tylą krwi niewinněj zapluskawszy łany,
 Pierzchły przed nim zelżywie okrutne tyrany,
 Zwalczeni przez Zygmunta, ich ziemia w pożarze,
 Ugięli przecięż karków, nakłonili twarze.
 Oto ojciec ojczyzny, zbawca starėj sławy,
 On wskrzesił sprawę polską ciosem swėj buławy!

O dziewico szczęśliwa z tak pięknego stadła!
 Ochoczo przyjmuj dołę, co na cię przypadał!
 O szczęśliwa dziewico, dzisiaj poślubiona!
 Królu! miłą małżonkę przyciśnij do łona!
 Bogdajby w krótkim czasie dozwoły dole,
 By na zamku królewskim igrało pachole!
 Zygmunt nadzieja państwa—niechaj ta dziecina
 Nam obliczem i sercem ojca przypomina,

Niech idzie jasną ścieżką, kędy chodzą męże,
 Niechaj świat zwyciężony w swój zakon zaprzęże!

II.

List do Najjaśn. Pana Zygmunta, króla polsk. i w. ks. litew., wodza
 nigdy niezwyciężonego, w imieniu cnej Barbary, królowej i mał-
 żonki, po odniesioném zwycięztwie 1514 r.

Qua solet in densa turtur miserabilis ulmo
 Voce queri, carum dum vocat orba marem...

Jak w gęstym wiązcie turkawka jękliwa,
 Wdowiem gruchaniem małżonka przyzywa,
 Takimi jęki i we dnie, i w noce,
 Ja smutna wdowa narzekam, gruchocę.
 Gdy Mars cię wezwał w daleką gdzieś stronę,
 Straciłam rozkosz, straciłam obronę.
 Królu przemożny, gdym była w obawie,
 Czy dobra dola poszczęści twój sprawie,
 Twe listy z wojny, jak dobra otucha,
 I lzy otarły, i wzmogły mi ducha.
 Zmogłeś zastępy, i wróg twój znekany,
 Liczne pojmałeś książęta, hetmany,
 Wziąłeś tryumfy mądrością i siłą,
 Jakich aż dotąd pod słońcem nie było.
 O dzień szczęśliwy! o fortuna cisza!
 Chwila radości małżonce Jowisza,
 Która, przetrwawszy gromy i zamiecie,
 Dni przyjaźniejszych doczekała przecię.
 Ninie to, ninie złożę troski moje,
 Ninie zbolale serce uspokoję,
 I wzniosę Bogu ofiarnicze wota
 Za ulgę płaczów, za szczęście żywota.

Cóż ja modlitew, co ja zniosłam marnie
 Dziennéj goryczy i nocnéj męczarnie!
 A ile przygód bywało na świecie,
 Tyle obawy moją duszę gniecie.
 Już to zastępów i wojsk co nie miara,
 Już to warownie, już to obca wiara,
 Trwożny niepokój i zwątpienie ducha
 Rozjątrza boleść i obawę dmucha.
 I cześć, i wdzięki, i szkarłatna toga
 Obmierzły sercu, jak gorycz złowroga.
 Czarna zawiązka, to ubiór méj głowy,
 Zrzuciłam z szyje naszyjnik perłowy,
 Harfa i śpiewy rażą ucho moje,
 Przykre mi uczty, pokarmy, napoje.
 Nietyle tęskni Penelope wdowa,
 Nie tak się dręczy tyryjska królowa,
 Nieszczęsna Dydo, gdy na czele młodzi
 Trojański ksiązę pod żagiel wychodzi,—
 Jako ja tęsknię, jak się żalem miota
 Po królu swoim ojczyzna — sierota.
 O! jak mię Polska pociesza pobożna!
 Mniema, że w płaczu utulić mię można!
 — „Hamuj się—mówi—bądź mężna i śmiała,
 „Królewskim piersiom odwaga przystała.
 „Wróci monarcha i chwałą zasłynie,
 „Godłem zwycięztwa ozdobi świątynie.
 „Snadź pracowicie z hufcami się ściera,
 „Lecz gdzież bez prace cześć dla bohatera?
 „Lud, co mu sprzyja Opatrzności oko,
 „Trudami jeno wzbije się wysoko!“
 Dobra ojczyzna i ludzie tak czuli!
 Czemuż pociecha serca nie utuli?

Bo łącno mądrze pocieszać w niedoli,
 Rozum pocieszysz, ale serce boli!
 Słowo, jak lekarz czujący uprzejmie,
 Choć sam boleje, bólów nie odejmie.

Lecz teraz, teraz, kiedy boża władza
 Sercu radością za łzy wynagradza,
 Miło mi słuchać świegotliwój rzeszy,
 Wszelaki trefniś snadniej mię rozśmiesz,
 Miło mi słuchać, jak o tobie gwarzą,
 Z jakim-ęś sercem, z jak dostojną twarzą
 Szedł przeciw wroga, co nadzieje kładzie
 Tylko na liczbie, fortelu i zdradzie.
 Rozkoszno słuchać, kiedy słać poczną
 Twe bohaterstwo i mądrość widoczną.
 Od godów naszych (już przyznać ci muszę)
 Początek wojny był w dobrej otusze,
 Gdy nowożeniec, biegnąc od ołtarza,
 Tysiące mężów w bitwie upokarza,
 Gdy się we wroga pilceńskiego wrazi
 I bierze jassyr ze scytyjskich kniazi.
 Już swą miłością dobre wróżby rodzi
 Szlachetna młodzież: kwiat sarmackiej młodzi,
 Młodzieńcy z Litwy niepośledniej śpieszą,
 I hufcem konnym, i falangą pieszą.
 Cały ten orszak, jak gloszą z daleka,
 Drżał niecierpliwie, że bitwa się zwleka;
 Cóż gdy posłany ku bojowej sprawie,
 Szczupłemi siły, po trudnej przeprawie,
 Stoczył z nim bitwę? o! zawołam śmiało:
 Większego męztwa w dziejach nie bywało!
 Bo nieprzyjaciel pod swemi rozkazy
 Lepsze miał pole i sił dziesięć razy;

Drużyna, skwapna na bojowe dzieła,
 Oreźno bystrą rzekę przepłynęła,
 A nim się wojsko szykowało nasze,
 Skruszono włócznie, trzaskano w pałasze,
 I mała garstka pogardzonej rzeszy
 Dostojnym plonem zwycięstwa się cieszy.
 Już lotnej sławy tryumfalne pieśni
 Całą mi bitwę doniosły zawczasie:
 Jak się Konstantyn, jak się Janusz ściera?
 Jak wziął Zapolczyk imię bohatera?
 Jak wszystka młodzież uwieńczyła głowy,
 Tratując hufce końskimi podkowymi?
 Gdzie stali piesi? gdzie królewska świta?
 Gdzie zaś Wołyńcy, gdzie Geta i Scyta?
 Jak zbito wroga? jak wielkie książęta
 I wielkich wodzów zakowano w pęta?
 Wiemy już, wiemy, ileś rozsiał grozy,
 Jakieś proporce, jakie wziął obozy,
 Jak kędy stała moc nieprzyjacielska,
 Gdzie w lasach, w polach walają się cielska,
 Kto z nich utonął, kogo miecze gniotą,
 Gdzie grunt skrwawiony rozgrzęznał na błoto.
 Już o tém wszystkiém lud po miastach prawi,
 Już za zwycięstwa Niebu błogosławi;
 A mnie, zaiste, mnie, com tyle rada,
 Jakiemiż dzięki modlić się wypada
 Wielkim Niebiosom, że odzyskam przecię
 Męża wielkiego, jak nie masz na świecie!
 Że ów słynący władzą i podbojem,
 Mąż bohaterski jest małżonkiem moim!
 Tu Scyta w bitwach dwudziestu się płoszy,
 Tu leżą ziemie pobitej Wołoszy,

Owo sąsiedni kraj upokorzony,
 Kraj, co się pozbył całej swój obrony.
 Wróg nasz fałszywy niedaremno blednie:
 Chciał odrzeć z mężów krainy sąsiednie,
 Sam przedsię umknął, i w kornój postaci
 Zuchwalec karę przemieszania płaci.

Powróć, zwycięzco, i pofolguj trocha
 Tój, która ciebie nad swe życie kocha!
 Niech się pocieszy nadwiślańska niwa,
 Co cię modłami i pieśnią przyzywa!
 Niech gród Krakowski i poddanych rzesze,
 Niech ja się z męża i króla pocieszę!

Z POEZYJ JANA PERSZNIAKA

Z ROKITNICZY.

I.

Nagrobek Piotrowi Kmicie.

Sie placitum divis, fatorum arcana voluntas
 Haec est, amissum tandem lugete parentem.

Tak się Niebu i tajnym wyrokom podoba,
 Słuszna po stracie ojca dziecinna żaloba.
 Ludu! szerokim płaczem podziel płacz mój bratni:
 Kmita czternasty z rodu, bohater ostatni,
 Chłuba domu Wiśnicza i sarmackiej ziemi,
 Oto leży, zakowan więzy śmiertelnemi.
 Jedyne nasze słońce wśród burzliwej chmury
 Zagasiła koścista dłoń śmierci ponurój.
 Oto jeno plac walki nad smutną mogiłą,
 Stało się, co od wieków przeznaczone było.

Choć Kmita bohatersko w zapasach się trzyma,
Przemogły srogie Parki krzepkiego obrzyma.
Pierwsza z nich więźnia węż krwi zbroczonego bierze:

— „Przestań, rzece, nierównej walki, bohaterze!
„Jużci nie być w ojczyźnie, daremnie się kusisz,
„Śmiercią nieśmiertelności dosłużyć się musisz.
„Idź na szczęśliwe pole elizejskich cieni,
„Gdzie się wiosna wieczysta radośnie zieleni!“

Rzekła, uprząda nitkę przeznaczenia czleka,
Lachesis targa przędzę i pasmo rozwleka,
Atropos zaś rozkrawa cały splot rozwity,
Cerber zawył w podziemi—i oto trup Kmity.
Widzi Polska zgon męża, narodu gromada
Widzi, jak on pod mieczem przeznaczenia pada.
Cóż począć? czy rozpaczać? albo niebios prosić,
Aby snadź, gdy wyrokom stało się zadosyć,
Gwoli szczęścia i sławy Rzeczypospolitój
Dano drugiego męża z wielkim duchem Kmity,
Coby Piotra zastąpił i w słowach, i w czynie,
Zgoił gorzkie wspomnienie Lechowój drużynie?

Gdy nas dręczy obawa: co się z krajem zdarzy?
I kiedy łzy rześiste płyną nam po twarzy,
Patrzcie, jak groźna burza zbiera się do koła!
Słuchajcie, jak ojczyzna o ratunek woła!
Jęcząc i oplakując niepowrotną stratę,
Chciałaby z grobu wskrzesić wiernego Achatę:

— „Biada mi! oto klęskę przewiduję z dali,
„Oto łuna pożarna w obłokach się pali.
„Trudno się ciebie, Kmito, odżałować dosyć,
„Z tobą i gorzką dolę lżej było przenosić!
„Kmito! tyś przedmiot żalu, ty byłeś wesele,
„Czemu pragniesz spoczynku, kiedy prac tak wiele?

„Żegnaj, Piotrze!“ Ojczyzna już się żegna z tobą;
 Idź na łono niebiosów, o nasza ozdobo!
 Przechodniu! westchnij, żywém uczuciem przejęty,
 Niechaj będzie sen jego spokojny i święty,
 Niech między święte mężę téj chwili doczeka,
 Gdy niebiosa zabłysną tryumfem człowieka,
 Gdy przyjdzie Bóg z niebiosów i do siebie zgarnie
 Prawowierne owieczki z Chrystowej owczarnie.

Z POEZYJ JOACHIMA BIELSKIEGO.

O D A XII.

Do Stanisława Karśnickiego, sędziego sieradzkiego.

Carsnici, crimen mihi...

Snadź, mój Karśnicki, jam winien u ciebie:
 Ty poświęcony ojczystej potrzebie,
 Gdzie zdradne zgliszcze, gdzie ogień w popiele,
 Tam stąpasz śmieie.

I miłe lasy, i Dryady hoże,
 Nic cię w zapale zatrzymać nie może;
 Jako gorejesz k'Pospolitej Rzeczy,
 Któż ci zaprzeczy?

A ja w te czasy burz i niepogody,
 W mym bielskim domku, nad strumieniem wody,
 W błogosławionych gawkach mój niwy
 Siedzę leniwy.

I we mnie grało rycerstwo Marsowe:
Już hełm z piórami włożyłem na głowę,
Miecz przypasałem, zwarłem piersi moje
W blaszaną zbroję;

Ale mię dziewa helikońskiej strony
Wstrzymała, mówiąc:— „Gdzie idziesz, szalony?
„Czy miłość piosnki, czy już nic nie znaczy
„Twój dar śpiewaczy?

„Straszny rycerzu! niechaj ci się nie śni,
„Byś łamał wiarę Febowi i pieśni;
„Nie śmiej przenosić zwycięstwa nietrwale
„Nad wieszczów chwałę!

„Czy większa Troja, co w popiołach tleje?
„Czy większy Homer, co śpiewał jój dzieje?
„Łabędź sarmacki już świeci w tój porze
„Pomiędzy zorze.“

— „Apollo—rzekłem—nie gardzi oręża,
„Gra na cytarze i łuk swój natęża,
„A nawet słodka uczona Pallada
„Zbroić się rada.“

Muza, co w krwawym nie smakuje trudzie,
Pierzchła ode mnie; lecz my biedni ludzie,
Co jeno myślím, już zaraz się poda
Jakaś przeszkoda.

Zaledwie zbrojno próg domu przechodzę,
Moja mi Anna stanęła na drodze:
Jak gałąź bluszczu wije się, jak może,
Na swój podporze,

Tak na méj szyi zawisła w tój chwili.
Z nią niemowlęta, synaczkowie mili;

Na rękach Stefan, a mały Jaś bieży
Przy jój odzieży.

— „O zorzo moja!... porzucasz mię zgoła!...“
Tak, płacząc, biedna niewiasta zawoła.
Jam okamieniał, bo miękkie, niestety!
Serce poety.

Cyrce, Kalipso, czarodziejka czuła,
Do ścian domowych rycerza przykuła,
I jak syrena w niewoli mię trzyma
Swemi oczyma.

O D A XIII.

Do Stanisława hrabiego z Górki, wojewody poznańskiego.

Orbis tyranno Sarmata debuit...

Oto na ziomek obrócił Sarmata
Grot, co miał razić gnębicielów świata,
Brat zbrojny czyha na braterskie zdrowie,
Na własnych dziadów srożą się wnukowie.
Nie tak się waśni dzikich lwów gromada,
Nie tak się wściekle wilk z wilkiem ujada,
Jako Sarmaci... Sroga nasza wina,
Kiedy Bóg wojną domową przeklina!
Krew bratnia płynie, jako bystra rzeka,
Bezbożny Turczyn cieszy się z daleka.
Rzym, niegdyś szczęśny, zginął pod tą plamą,
I sławne Teby runęły tak samo.
Czyż można patrzeć ze źrenicą suchą,
O zacny hrabio! o nasza otucho!
Kiedy winnica najlepszej nadzieje
Ścięta żelazem bez plonu marnieje?

Tak płaczem, patrząc na wojen żarzewie...
O krwi szlachetna! hamuj się w twym gniewie.
Za cóż ta klęska i cierpienie gromada
Na głowę ludu niewinnego spada?
Za grzechy wielkich i możnych współbraci
Gmin łzy wylewa, albo życiem płaci;
Za śmierć Patrokla Achill rozgniewany
Tak się morderczo pastwił nad Trojany.
Zaklinam ciebie na ojczyste bogi:
Rzućcie myśl straszną, rzućcie gniew złowrogi,
Zastaw nad nami swą pawęż ochroniącą,
Niech polskie miecze krwi polskiej nie sączą.

TŁÓMACZENIA.

DZIAŁ II.

PRZEKŁADY Z ROZMAITYCH JĘZYKÓW.

(WYJĄTKI).

THE MACMILLAN

BOOKS AND MANUFACTURING COMPANY

FRAGMENTA Z KSIĄG HIOBA.

ROZDZIAŁ I.

Vir erat in terra Hus nomine Iob, et
erat vir ille simplex, et rectus ac timens
Deum, et recedens a malo.

W krainie wschodniej, co się Hus nazywa,
Mieszkał mąż Hiob za dawnego wieka;
A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
Lęka się Pana, od złego ucieka.
Miał siedmiu synów i trzy córki hoże,
A swego mienia policzyć nie może:
Siedem tysięcy owieczek w swój trzodzie,
Trzykroć po tysiąc wielbłądów gromadzi,
Pięćset jarzm wołów i siła czeladzi.
Był to mąż wielce bogaty na Wschodzie.

A każdy z synów wyprawiał biesiadę,
Kiedy na niego kolej dnia przypadła;
Trzy siostry do nich przychodziły rade,
I było dosyć napoju i jadła.

Gdy dni biesiadnych kolejka minęła,
 Ojciec ich wzywał do świętego dzieła,
 A rano wstawszy, wiódł ich do świątyni
 I za każdego modli się z osobna,
 Ofiarę Bogu całopalną czyni.
 Bo mówił w sobie: — „Do prawdy podobna,
 „Że któryś z młodych grzechem się zaprószy,
 „Nie błogosławił Panu w swojej duszy.“
 Tak się znaczyła Hiobowa cnota
 Przez wszystkie chwile długiego żywota.

Pewnego razu, kiedy syny boże,
 Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy,
 Stały przed Panem w uroczystym chorze,
 Zjawił się szatan u tronu Jehowy.

— „Zkąd to powracasz?“ — Przedwieczny go
 Odpowie szatan: — „Chodziłem po ziemi, [spyta.
 „Przebiegłem całą oczyma mojami,
 „Żadna jęj cząstka przede mną nie skryta.“
 I rzekł Jehowa: — „Czyś widział w podróży
 „Tego, co z ludzi najlepiej mi służy?
 „Mieszka w Hus ziemi, Hiob się nazywa,
 „Nie masz na ziemi równego mu człeka,
 „Bo dusza jego prosta, sprawiedliwa,
 „Lęka się Pana, od złęgo ucieka.“
 Odpowie szatan: — „Znam serce Hioba,
 „Czyż on za darmo tak Boga się boi?
 „Nie zna, co losów jakakolwiek proba,
 „Ogrodzon murem łaskawości Twojęj;
 „A Twoje oczy najtroskliwięj strzegą
 „I domu jego, i majątku jego.

„W błogosławieństwie ma dobytek, dziatki,
 „Jego majątność przysparza się wszędzie;
 „Ściśnij go nieco, odejmij dostatki,
 „Obaczym, jak ci błogosławić będzie?“
 I rzekł Jehowa:—„Krom jego żywota,
 „Oto-ć Hioba majątność oddana;
 „Doświadczej, czém jest sprawiedliwych cnota.“
 I szatan odszedł od oblicza Pana.

Syn pierworodny w oznaczonej chwili
 Przyzwał na uczkę i siostry, i braci.
 Gdy brali pokarm, kiedy wino pili,
 Przybieżał goniec przeleklój postaci,
 I rzekł:—„Hiobie! o biada nam, biada!
 „Cały dobytek marnie ci przepada.
 „Twoje osłice pasły się w dąbrowie,
 „A twoje woły na polu orały;
 „Wtém przyszli srodzy sabejscy mężowie
 „I zagarnęli twój dobytek cały.
 „Wyrznęli czeladź straszliwi ciemiężce,
 „Jam ledwie umknął zwiastować o klęsce!“
 Jeszcze nie skończył—drugi goniec wpada,
 I rzekł:—„Hiobie! o biada nam, biada!
 „Piorun niebieski uderzył w owczarnię,
 „Pobił twe trzody i twoje owczarze,
 „Wszystkie budowy poszły z dymem marnie,
 „Jam ledwie umknął donieść o pożarze!“
 Jeszcze nie skończył—trzeci goniec wpada,
 I rzekł: „Hiobie! o biada nam, biada!
 „Chaldejczykowie trzema hufy wpadli,
 „Wzięli wielbłądy, gdy pędzono w pole,
 „Śług twych pobili wrogowie zajadli,

„Jam jeden umknął zwiastować niedole!“
 Jeszcze nie skończył—czwarty goniec wpada
 I rzekł:—„Hiobie! o biada ci, biada!
 „Syn twój najstarszy dzisiaj ucztę czyni,
 „Orszak twych dzieci był wszystkim zebrany;
 „Wtém dziki wicher przypadł od pustyni,
 „Zatrząsnął domem i zgruchotał ściany,
 „A dzieci twoje, zwalone na ziemi,
 „Legły, pobite bierwiony drewnami.
 „Jam ledwie zdołał przybieżeć ku tobie,
 „By twe nieszczęście zwiastować, Hiobie!“

Więc Hiob powstał i rozdarł swe szaty,
 Ogolił włosy, co zdoły ciemę,
 A święcąc Panu poniesione straty,
 Uczynił pokłon, upadłszy na ziemię:

—„Nago powrócę do mogiły łona,
 „Jak nągom wyszedł z łona mojej matki.
 „Pan dał, Pan odjął znikome dostatki,
 „Niech wola Jego będzie pochwalona!
 „Uczynił ze mną wedle swojej chęci,
 „Niech Imię Jego na wieki się święci!“
 Tak mając duszę ku Panu gotową,
 Nie zgrzeszył Hiob niedorzeczną mową.

ROZDZIAŁ II.

Factum est autem, cum quadam die venissent filii Dei et starent coram Domino.

Stało się tedy, kiedy syny boże,
 Złożywszy ręce, uchyliwszy głowy,

Stały przed Panem w uroczystym chorze,
I szatan przyszedł do tronu Jehowy.

— „Zkądże powracasz?” — Przedwieczny go spy-
Odpowie szatan: — „Chodziłem po ziemi, [ta.
„Wzdłuż, w szerz przebiegłem oczyma mojemu,
„Żadna jój częśćka przede mną nieskryta,”
Rzekł pan: — „Czy byłeś gdzie Hiob przebywa?

„Nie masz na ziemi równego mu człeka,
„A dusza jego prosta, sprawiedliwa,
„Lęka się Pana, od złego ucieka;
„Choć go dotknęła niedola surowa,
„Jeszcze niewinność swego serca chowa.
„Tyś mię pobudził, bym szukał w nim winy,
„Abym go trapił bez żadnej przyczyny.”

Odpowie szatan: — „Niewielkiec to proby,
„Człek się dla duszy na wiele zdobędzie;
„Dotknij go tylko boleścią choroby,
„Obaczysz, jak Cię błogosławić będzie.”
Odpowiadając, rzekł Pan do szatana:

— „Oto ci władza nad Hiobem dana:
„Czynić z nim wszystko prawa ci udzielię,
„Jeno zachowaj duszę w jego ciele.”

I szatan odszedł z oblicza Jehowy,

I oto druga zaczęła się proba:

Jątrziwym wrzodem zaraził Hioba

I ciężkim bolem od stop aż do głowy.

I usiadł łazarz na kupie śmiecia,

Wrzód jadowity skorupą wyciska.

Przyszła doń żona i gniewliwie rzecze:

— „Czyś jeszcze gotów błogosławić Bogu?
„Wytrwaj w prostocie, niebaczny człowiecze,
„I błogosławiąc, umrzyj na barłogu!”

Odpowie Hiob: — „Szalenię zbluźniła!
 „Bezbożnej mowy nie przedłużaj dalej;
 „Przyjmujmy klęski, które Pan przysyła,
 „Jakośmy dary Jego przyjmowali.“
 Tak mając duszę ku Panu gotową,
 Nie zgrzeszył Hiob niedorzeczną mową.

A trzech miał wiernych sobie przyjacieli, —
 Ci o nieszczęściu jego usłyszeli
 I przyszli k'niemu: Eliph z Temanity,
 Baldat Suhitczyk i Sophar z Namaty,
 Gdzie leżał nędzarz ranami okryty.
 Chcieli go cieszyć wśród cierpień i straty.
 Lecz gdy nań oczy podnieśli z oddali,
 Nie mogli poznać wśród choroby świeżej;
 Więc zakrzyknęli, ręce załamali,
 I darli, płacząc, kraj swoich odzieży,
 I padli na twarz z żalem i popłochem,
 I przysypali swoje głowy prochem.
 Siedem dni całych siedzieli na ziemi
 I siedem nocy — nie rzekli ni słowa,
 A poglądali oczyma łzawemi,
 Jak ciężka była boleść Hiobowa.

ROZDZIAŁ III.

Post hæc aperuit Iob os suum
 et maledixit.

Otworzył usta, i złożyćć zacząć mowi:
 — „Przeklęty trzykroć ów dzień i godzina,
 „Gdy się kazano rodzić człowiekowi,
 „Kiedy swą drogę życia rozpoczyna!

„Dzień, w którym światłość błysła mi do oka,
 „Niech z grobowego nie wyświta ciemna.
 „Niech się Bóg o nim nie pyta z wysoka,
 „Niech będzie czarny, jak otchłań podziemna!
 „Noc mych urodzin—niechaj burza grzmiąca,
 „Niech zniszczy wicher ciemny, tajemniczy,
 „Niechaj nie idzie w liczbę dni miesiąca,
 „W liczbę dni rocznych niechaj się nie liczy,
 „Dzikiem pustkowiem niech stanie ze szczętem,
 „Dobre jój imię niech będzie odjętém,
 „Od jój ciemności niech gwiazdy pogasną,
 „Niech jój jutrzienka nie oświeca złota,
 „Iż nie zawarła dni mego żywota,
 „Iż oczom moim dała widzieć jasno!
 „Czemu mię w łonie matki nie zabili?
 „Czemum nie umarł w urodzenia chwili?
 „Na co mię brano na ręce, na łono?
 „Na co mię pierśmi do życia karmiono?
 „Teraz, śpiąc martwo, spoczywając błogo,
 „Mieszkałbym w obec i książąt, i króli,
 „Co wielkie państwa w pustyniach zasnuli,
 „Co złota, srebra przeliczyć nie mogą,
 „Gdzie nie drży strachem drużyna bezbożna,
 „Kędy odpocząć spracowanym można,
 „Gdzie niegdyś skuci więzy społecznemi
 „Dzisiaj poborców nie słyszą wołania,
 „Gdzie równi słabi i potężni ziemi,
 „Gdzie niewolnika żaden nie pogania...
 „Na co jest światło dla oczu nędzarza?
 „Na co jest życie wśród goryczy ducha?
 „Czekają śmierci, a śmierć się nie zdarza,
 „Wołają zgonu, ale zgon nie słucha...

„Szukając skarbów, mąż cieszy się w duszy,
 „Kiedy odkopie grobowisko stare;
 „Lecz widok grobu weselój poruszy
 „Tego, kto cierpień dopełnił już miarę,
 „Którego drogi sterały się marnie,
 „Kogo Bóg wczesnie ciemnością ogarnie.
 „Nim pożywienia zakosztuję nieco,
 „Pierwój westchnienie z mych piersi wychodzi,
 „Jęki z ust moich tak gwałtownie lecą,
 „Jak gdyby łoskot szumiącej powodzi.
 „Strach, com się lękał, już przede mną stawa,
 „Już się sprawdziła bolesna obawa.
 „Bywało dusza żalom się nie poda,
 „Pokorniem milczał, póki serce może,
 „A za mój spokój—toż moja nagroda,
 „Że przyszło na mnie zagniewanie boże?

 ROZDZIAŁ IV.

Respondens autem Eliphaz
 Themanites, dixit...

Na takie słowa Eliph z Temanity,
 Odpowiadając, mówił do Hioba:
 —„Może-ć się mowa moja nie podoba,
 „Ale głos w piersiach nie może być skryty.
 „Tyś uczył ludzi, tyś goił ich ranę,
 „Tyś nieraz krzepił ręce spracowane,
 „I niejednemu twe słowo pomaga,
 „Że się utwierdzał na swój ciężkiej drodze;
 „Teraz, gdy przyszła i na ciebie plaga,
 „Otoś na sercu zatrwożył się srodze.

- „Gdzie bojaźń Pańska? gdzie twe mocne czyny?
 „Gdzie jest ślad twoich dróg doskonałości?
 „Proszę cię, wspomnij, kto zginął bez winy?
 „Gdzie są zgładzeni cnotliwi a prości?
 „Widziałem nieraz duszę niecnotliwą:
 „Boleść jój siejba i boleść jój żniwo;
 „Straszny gniew Pański głowy ich dosięga,
 „Jednym podmuchem z siły ich wywłaszcza,
 „W proch się obraca dzikich lwów potęga,
 „Srogi ryk lwicy i jój szczenięt paszcza,
 „Piastunów lwicy rozproszą się stada,
 „A krwawy tygrys bez żeru przepada.
 „Słyszałem do mnie tajemnicze słowo,
 „Szeptanie jego słyszałem z wieczora,
 „Gdy człowiekowi po nad senną głową
 „Zwykły ulatać widziadło i zmora.
 „Strach mię do kości przejął uroczysty,
 „Stanęły włosy, drżałem nieprzytomnie,
 „I głosem cichym, jakby wiatru świsty,
 „Ktoś nieznamy tak przemawiał do mnie:
 „Azali człowiek uniewinnion będzie,
 „Co do niebiosów równa się Mocarza?
 „Czyliż mąż ziemski w jakimkolwiek względzie
 „Zdoła być czystszym, niż Ten, co go stwarza?
 „Ci, co mu służą, jakże są niestali!
 „W aniołach znalazł nieprawości ziarno;
 „Ludzie, w glinianych domach zamieszkali,
 „Co orzą ziemię błotnistą i czarną,
 „Daleko więcej do grzechu gotowi,
 „Dają się zepsuć brzydkiemu molowi.
 „A od poranku do wieczorniej zorzy
 „Będą wycięci, polegna w ruinie.

„A kto pojęciu serca nie otworzy,
 „Kto nie rozumie — wiekuiście zginie.
 „Będzie od niego bracia odłączona,
 „A w swój głupocie zmarnieje i skona.“

ROZDZIAŁ V.

Voca ergo, si est qui tibi respondeat,
 et ad aliquem sanctorum convertere.

„Wołajże tedy — niech wybrany który
 „Na twe pytania odpowiedź uiści.
 „Zabija głupca jego gniew ponury,
 „Maluczki ginie od własnej zawiści.
 „Widziałem w świecie potęgę zbrodniarzy
 „I złorzeczyłem ozdobie ich głowy;
 „Lecz niech syn jego o szczęściu nie marzy,
 „Być na proch startym niech będzie gotowy.
 „Chleb jego żniwa rozjedzą zgłodniaли,
 „Bogactwa jego rozplyną się rzeką,
 „Przyjdzie mąż zbrojny, w bitwie go obali
 „I uprowadzi w niewolę daleką.
 „Pewna przyczyna dla wszystkich jest rzeczy,
 „A żadna boleść nie wyrasta z ziemi.
 „Na znój i pracę zrodzon syn człowieczy,
 „Na lot stworzone ptaki skrzydlatemi.
 „Pójdę do Pana i mowę przełożę,
 „Niech mi objaśni miłosierdzie boże.
 „On dziwne rzeczy, On tworzy co chwila
 „Niewybadane, niezliczone w mowie,
 „On ziemię deszczem rześistym zasila,
 „Podniósł pokornych, a słabym dał zdrowie,

- „Rozchwiał złośliwych wszelką myśl złowrogą,
„Rozbroił ręce, że szkodzić nie mogą.
„On wikła chytrych w ich sideł narzędzie,
„Radę przewrotnych uczyni daremną;
„Zbrodniarz w dzień biały omackiem iść będzie,
„Jakby go nocne otaczało ciemno.
„Ale słabego od gwałtu zachowa,
„Uciśnionemu udzieli otuchy;
„Ani mu ostra zaszkodzi obmowa,
„Miecz jój stępieje i stanie się kruchy.
„W dzień uciśnienia błogo człowiekowi!
„Nie szemraj w duszy, gdy jesteś karany;
„Nie masz co jęczeć, bo Pan cię uzdrowi,
„Ręka, co rani, uleczy twe rany.
„Siedm ciężkich ciosów ominie twą głowę
„I siódma plaga od ciebie uciecze,
„Czy głód pustoszy, czy wojenne miecze,
„Czy złego człeka sykanie wężowe.
„Będiesz stał krzepko, gdy klęska uderzy,
„Śmieszna ci będzie najśrodsza niedola,
„I głód, i pomór, i ryk dzikich zwierzy,
„I zawrzesz sojusz z kamieniami pola.
„W twoim przybytku ujrzysz spokój błogi,
„Czysty na sercu zakwitniesz w ozdobie,
„Twojego potomstwa rój piękny a mnogi,
„Jak wonne ziółka, uśmiechnie się tobie.
„Wnijdziesz do grobu bogaty, wesoly,
„I chlubny w życiu z swoich plonów wiela,
„Jako snop pszenney wniesion do stodoły,
„Który żniwiarzów serce uwesela.
„Tegośmy doszli, stroskany Hiobie!
„Pomnij te słowa i rozbieraj w sobie.“

ROZDZIAŁ VI.

Respondens autem Iob, dixit: Utinam appenderentur peccata mea, quibus iram merui, et calamitas, quam patior, in statera.

Na to mu Hiob na odpowiedź rzecze:

- „Możem zaprawdę wywołał gniew boży!
 „Niechże cierpienia i nędzy człowiecze
 „Z memi grzechami na szalę położy.
 „Szala mych cierpień, och! cięższa sto razy,
 „Niż piasek morski, co przesiąknął wodą!
 „Gdy strzały Pańskie moje piersi bodą,
 „Bolesne idą z ust moich wyrazy.
 „Żądła pocisków duch mój wypijają,
 „A strachy Pańskie obsiadły mię zgrają.
 „Czyż osiel leśny jęk żałosny wyda,
 „Kiedy ma trawy dostatek przy sobie?
 „Czyż będzie ryczał wół przy pełnym żłobie?
 „Czy w strawie naszej smakuje ohyda?
 „Czy można przełknąć, gdy jadło bez soli?
 „Czyliż w truciźnie jest zdrowie i siła?
 „Do czego dusza dotknąć się brzydziła,
 „Tém się dziś karmić muszę po niewoli!
 „O któż w nadziei umocni mi ducha?
 „Kto mi uczyni, że mię Pan wysłucha?
 „Kto pocznie karcić, niech karci dotkliwie,
 „Wyciągnie rękę i niech mię uderzy,
 „Bolesnym ciosem niech boleść uśmierzy,
 „A mowom świętym ja się nie sprzeciwię.
 „Cóż moja siła? jam steran przez nędzę,
 „Trudno cierpliwie znosić mą pokutę:
 „Jam nie kamienny w swoich sił potędze,

- „A ciało moje nie z miedzi wykute!
 „Duch mój sam w sobie wspomnienie tracił
 „Gdzież moi krewni? gdzie powinowaci?
 „Kto z przyjacielem cierpienia nie dzieli,
 „Ten bojaźń Pańską zlekceważył podle;
 „A bracia moi ode mnie zniknęli,
 „Jak szybki potok, co nie stoi w źródle:
 „Boją się szronu, by nie zmroził zdraźnie,
 „A oto na nich ciężki śnieg przypadnie.
 „Bóg ich rozproszy niedługą godziną,
 „Gdy śnieg roztaje, marnie się rozpląną.
 „Uciekać będą, ale chód ich słaby,
 „Bo powikłali swe ścieżki na ziemi:
 „Patrzcie na drogę Themy albo Saby,
 „A obaczycie, co stanie się z niemi!
 „Przyszli tu do mnie, wstydem się okryli,
 „Żem miał nadzieję w mój bolesnej chwili!...
 „Wy, co mój doli świadkami jesteście,
 „Strach was ogarnia, i czemuż was straszę? —
 „Czyżem ja prosił: Dary mi przynieście!
 „Dajcie mi, bracia, majątności wasze!
 „Czyżem ja wołał: Dajcie krew w offerze!
 „Z nieprzyjacielskich szponów mię wyrwijcie!
 „O jedno proszę: Bym kierował życie,
 „Czego nie umiem, nauczcie mię szczerze!
 „Czyż słowom prawdy wy uwłaczać warci?
 „Ja będę milczał, kto chce niech mię karci.
 „Lecz wasze słowo na wiatr tylko idzie,
 „Miota zelżywe połajania śmiecie;
 „Wy na sierotę targnąć się w ohydzie,
 „Wy przyjaciela obalić umiecie.
 „Obaczmy, kończcie, jakeście zaczęli.

„Słuchajcie pilno, czy ja kłamstwo baję,
 „Mówcie bez klótni, co się wam wydaje,
 „Niech sprawiedliwość wyroku udzieli.
 „Dróg nieprawości ominąłem z dala,
 „A słowo głupstwa ust moich nie skala.“

ROZDZIAŁ VII.

*Militia est vita hominis super terram, et
 sicut dies mercenarii, dies ejus.*

„Życie człowieka jest to walka cicha;
 „Dzień jego życia to dzień najemniczy.
 „Niewolnik w pracy do drzew cienia wzdycha,
 „Najemnik chwile do zachodu liczy.
 „Tak się i u mnie zdarzały do syta
 „Miesiące drzemki, lub noc pracowita.
 „Do snu się kładąc, pytam: Kiedy wstanę?
 „Czyliż mam czekać i boleć do zmroku?
 „Ciało zgnilizną prochu przyodziane,
 „Jam próżen wszelkiej nadziei widoku!
 „Dni moich pasmo pędzój się roztacza,
 „Niż zwój płócienny pod nożycą tkacza...
 „Życie jest wiatrem, takeś stworzył, Panie!
 „Nie umiem oczu wznieść ku dobrej rzeczy;
 „Ty spojrzysz na mnie, i już mię nie stanie,
 „Już mię nie zdoła znaleźć wzrok człowieczy!
 „Jak białe chmury znikną i przebiegą,
 „Tak znika człowiek, — tu był, tu go niema;
 „Już nie powróci do domu swojego,
 „Ani go ziemia obaczy rodzima...
 „Niech biedna głowa marzyć rozpoczyna,
 „Pogwarzę z sobą, gdy mną boleść miota.

„Czyż ja wieloryb? czy morska głęбина?
 „Za cóż mię straszna otacza ciemnota?
 „Niechaj mię łoże moje uweseli,
 „Niech się rozmówię sam z sobą w pościeli.
 „Ale Ty, Panie, nastraszasz mię we śnie,
 „Wstrząsasz mą duszę widziadłem zwodniczym!
 „O życiu mojem zwątpilem zawczasie,
 „Przebacz mi, Panie! bo życie jest niczem...
 „Bo cóż jest człowiek? uzacniasz go! po co?
 „Za co Twa dusza ku niemu wylana?
 „Zaledwieś Łaską nawiedził go z rana,
 „A już go zaraz doświadczasz Twą Mocą!...
 „Długoż bolesną mam przebywać drogę,
 „Że w piersiach przełknąć oddechu nie mogę?
 „Strózu ludzkości! jam grzeszny! cóż zrobię?
 „Na coś mię stawił na przeciwko Tobie?
 „Dla czego grzechu mego nie zmazano?
 „Codzień mi z sobą ciężej i niesmielój...
 „Ja w prochu spocznę, poszukasz mię rano,
 „Ale już zginę, bo mię proch spopieli...“

 ROZDZIAŁ VIII.

Respondens autem Baldad Suhites, dixit...

Baldat z Suhity na odpowiedź mówi:
 — „Czyż długo będziesz bluźnił tak niejasno?
 „Czyż Pan jest sprzeczen własnemu sądowi?
 „Czyż On obala sprawiedliwość własną?
 „Synowie twoi, gdy przy nim zgrzeszyli,
 „Dał je na pastwę ich własnych bezprawii;
 „Lecz ty, w porannój gdy się ockniesz chwili,
 „Gdy Wszchemocnemu modła się odprawi,

„Gdy będziesz czysty, gdy duch się uprości,
 „I Pan się ocknie w swój sprawiedliwości.
 „Jeśli początki twe były za małe,
 „On wyolbrzymi koniec twoich chęci.
 „Uważaj wieki dawniejsze, zbutwiałe,
 „Spytaj usilnie swych ojców pamięci,
 „(Bo my jesteśmy ludźmi wczorajszemi,
 „A życie nasze jest cieniem na ziemi);
 „A głos twych ojców z pod serca odpowie,
 „Gdzie siła życia spoczywa ukryta.
 „Czyż bez wilgoci zakwitnie sitowie?
 „Wzrośnie bez wody oczeretu kita?
 „Patrzaj na zeszlą wśród upalnej suszy:
 „Zda się łądyga zielona i w kwiecie, —
 „Otoć umarła, spróchniała już przecię,
 „Dotkniesz jój ręką, a w rękę się kruszy.
 „Tak obłudnicy wejdą na bezdroże,
 „Bo jeden wigor — to jest prawo boże.
 „Bóg żądze głupich zniszczy do ostatka,
 „A ich nadzieja, to pajęczka siatka.
 „Choć ściany domu podeprze plecami,
 „A przecię razem ze ścianą upadnie;
 „Ssać pokarm z ziemi napróżno się mami,
 „Stosy kamieni przytłoczą go zdradnie.
 „Pan wyrwie z ziemi pasorzytne ziele,
 „I rzecze k'niemu: Nie znam cię za syna!
 „Bo w drogach Pańskich tam większe wesele,
 „Gdzie korzystniejsza wykwita roślina;
 „Bo Pan Bóg mieszka, gdzie szczerzy a prości,
 „Nie da ich w szpony ludzkich nieprawości.
 „On wargi twoje do śmiechu wykrzywi,
 „Krzykiem powitasz bezbożnych bożyszcze;

„Wstydić się będą twoi nieżyczliwi,
 „Gmach nieprawości upadnie na zgliszcze.

ROZDZIAŁ IX.

Et respondens Iob, ait: Vere scio, quod
 ita sit, et quod non justificetur homo com-
 positus Deo.

Odpowie Hiob: — „Toć prawda wymowna,
 „Będzie potępion, kto się z Bogiem równa;
 „Kto z nim szermierzyć puści się na słowa,
 „Ten na słów tysiąc jednego nie powie;
 „Kto był mu sprzeczen, a spokój dochowa,
 „Wielką miał mądrość i w sercu, i w głowiel
 „Bo Pan, ockniony w zapalczywym gniewie,
 „Zdolen wstrząść ziemią a góry przenosić,
 „A człowiek, sądząc, że przemądry dosyć,
 „Spełnia wyroki, o których sam nie wie.
 „Pan gwiazdom pieczęć przykłada swą siłą,
 „Pan każe słońcu, aby nie wschodziło,
 „Nad firmamentem rządzi Jego władza,
 „Po falach morskich On sam się przechadza;
 „On gwiazd gromady na niebie rozmieścił,
 „On w liczbie — dzieła niezliczone streścił.
 „Nie wiem, gdy do mnie skieruje swą drogę,
 „A gdy odchodzi, ja zgadnąć nie mogę.
 „A jeśli pyta, to któż mu odpowie?
 „Kto Go zagadnie: czemu to lub owo?
 „Nikt się bożemu nie oprze gniewowi,
 „Choćby krąg świata dźwigał nad swą głową.
 „I któż ja jestem, abym memi słowy

„Dawał odpowiedź na słowa Jehowy?
 „A choćbym sądził i słusznie, i szczerze,
 „Mego Sędziego najprzód się poradzę.
 „Kiedy mię słucha — ja jeszcze nie wierzę,
 „Och! bo mi przy nim braknie na odwadze!
 „Bo w mgnieniu oka zawichrzy powietrze,
 „Boleść pomnoży i we proch mię zetrze!
 „Pytasz o siłę — Pan treścią jest siły,
 „A w sądach Jego któż za mną poświadczy?
 „W głębi méj duszy skona głos doradcy,
 „Własne mię usta przed Nim potępiły.
 „Nie uniewinnią starania mię żadne,
 „Czy ja mam słuszność?—sam tego nie zgadnę.
 „Jedno, co dusza wyznać się odważy:
 „On sam cnotliwych, On niszczy zbrodniarzy.
 „Lecz kiedy chłoszcze, niech zabije raczój,
 „Niżby miał szydzić z niewinnych rozpaczy.
 „Posiada ziemię ręka niegodziwa,
 „Oblicze ziemi rój sędziów przykrywa;
 „Lecz jest nad sędziów wielki Sędzia przecię,—
 „Jeśli go nie ma, to któż jest na świecie?...
 „Dni są jak goniec, co pośpiesza nagle:
 „Przeszły i dobra zgoła nie widziały,
 „Śpieszą, jak okręt, co rozwinie żagle,
 „Lecą, jak orzeł na żer między skały...
 „Rzekłem: Zaniecham bluźnierczych bezprawij;
 „Lecz twarz się zmienia, a boleść mię dławi.
 „Mych własnych czynów byłem w duszy trwożny,
 „Bo wiem, że grzechy zwykłeś karcić srodze;
 „A jeśli jestem mimo to bezbożny,
 „To cóż po pracy? to cóż po méj trwodze?
 „Choćbym się omył — do czegoż mi służy?

„Choćby mi ręce białością się lśniły,
 „Ty mię pogrążysz w ohydnej kałuży,
 „Będą mną szaty moje się brzydziły.
 „Bo Ty masz wszystką potęgę nade mną,
 „Bośmy nierówni i z ciała, i z ducha;
 „Ciebie przed sądem stawić nadaremno,
 „Który nas obu zarówno wysłucha.
 „Gdy żaden sędzia nie znajdzie sposobu
 „Ręki swój kary położyć na obu,
 „Niechże przynajmniej na mą słabość zważa,
 „Odejmie różdżkę swojej gniewnej chłosty,
 „Swoim postrachem niech mię nie przeraża,
 „Będę doń mówił na mój sposób prosty;
 „Bo póki groźno po mém licu śledzi,
 „Jakże mam dobyć słowa odpowiedzi?“

 ROZDZIAŁ X.

Taedet animam meam vitae meae, di-
 mittam adversum me eloquium meum...

„Tęskno méj duszy na świecie, jak w grobie,
 „Brzydzą mię życia mojego koleje;
 „Więc będę mówił sam przeciwko sobie,
 „Gorycz méj duszy przed Panem wyleję.
 „I rzeknę Panu: Nie karz, niech nie ginę,
 „A jeśli sądzisz, to powiedz przyczynę!
 „Czyliż, o Panie! dobrém Ci się widzi,
 „Że mię uciśniesz? jam Twe dzieło, Boże!
 „Gdy się Twój sługa sromotnie zawstydzi,
 „Toć się bezbożnik na siłach wspomóż.
 „Czyż Twoje oko, co wszystko przenika,

„Patrzy cielesném spojrzeniem grzesznika?
 „Alboż dni Twoje to człowiecze chwile,
 „A lata Twoje jako ludzkie lata,
 „Abyś miał badać moich grzechów tyle,
 „Jako mię własna nieprawość przygniata?
 „Łacno Ci wiedzieć, zem dusza bęzbożna,
 „Wszak z Twojój ręki wyrwać się niemożna.
 „Sameś mię stworzył, a dziś ciosem młota
 „Niszczysz, co własna utworzyła praca.
 „Wszak byleś skinął, a moja istota
 „Upada w błoto i w proch się obraca.
 „Jako mleczarka z dojnych wymion krowy
 „Wyciska mleko i ma ser gotowy,
 „Takeś mię stworzył—oblokłeś mię ciałem,
 „Kośćmi i ścięgny utrwalon zostałem.
 „Dałeś mi życie, dałeś miłowanie,
 „Strzegła mię Łaska wśród żywota burzy.
 „Po cóż to taić zdało Ci się, Panie?
 „Alboż ja nie wiem, że Ci pamięć płuży?
 „Jeżelim zgrzeszył—opłakuję zbrodnie;
 „Czemuś mi cnoty zatamował drogę
 „Dla chwili grzechu?—Dziś sprawiam się godnie,
 „A przecież podnieść méj głowy nie mogę.
 „Że byłem pyszny jako leśna lwica,
 „Wziąłeś mię w sidła między leśne drzewy;
 „A Twoja pomsta dzisiaj się nasycy,
 „Nad mą słabością wywiera swe gniewy.
 „Przyzwałeś świadki, zem się puszył marnie,
 „I nad mą głową pomnażasz męczarnie.
 „Wyjść z łona matki Ty mi dałeś siły,
 „Na coś na słońce otworzył me oczy?
 „Byłbym jak nie był!—z życia do mogiły!

„Kiedyż mię ciemno grobowe otoczy?
 „Puść mię ze świata! a nim dni ulecą,
 „Kilka dni moich na téj ziemi łonie,
 „W mojej bolesti niech popłaczę nieco;
 „Potém niech ciemno grobowe owonie
 „W krainie nędzy, śmierci i ciemności,
 „Gdzie bez porządku, jeno przestrach gości.“

 ROZDZIAŁ XI.

Respondens autem Sophar Naamathites, dixit...

Rzekł na odpowiedź Sophar z Naamity:
 — „Kto wiele mówi, niechże przecię słucha!
 „Człowiek, w szerokie wyrazy obfity,
 „Usprawiedliwić nie potrafi ducha.
 „Tobie się zdaje w pysze twego serca,
 „Że ci zuchwale chlubić się wypada,
 „Że kiedy innych ośmieje szyderca,
 „To już szydercy żaden nie przegada.
 „Rzekłeś, Hiobie:—Czyste moje słowa!
 „Jestem niewinien przed Pańskim obliczem!
 „Bogdaj do ciebie przemówił Jehowa!
 „By cię oświecił słowem tajemniczym,
 „By cię objaśnił w swój mądrości drodze,
 „W drodze zakonu by ci dowiódł jasno,
 „Że chociaż cierpisz, lecz cierpisz mniej srodze,
 „Niżliś zasłużył nieprawością własną.
 „Myślisz, jak widzę, śledzić Pańskie kroki
 „I zbadać Wszechmoc że ci siły stanie;
 „Lecz On wysoki... nad niebo wysoki,

„Głębszy niż piekiel głębokie otchłanie,
 „Dłuższy niż ziemia, a szerszy niż morze, —
 „Jakże go zdołasz ogarnąć, nieboże?
 „Jeżeli wszystko do gruntu obali
 „Lub ściśnie w garści wszechświatów ogromy,
 „Jacyż się jemu sprzeciwią zuchwali?
 „On zna człowieka, On grzechów świadomy.
 „Maż jeno próżny podnosi się w pychę,
 „Aby tajemnych dróg Pańskich dochodził;
 „Leśnej osłicy jeno źrebię liche
 „Mówi do siebie: — Jam się wolnym zrodził! —
 „I ciebie myśli zajęły dziecięce,
 „Przeciwko Niemu wyciągnąłeś ręce.
 „Gdy cię odstąpi wszelka myśl nieprawa,
 „To zniknie razem twój strach i obawa;
 „Jako nie myślisz o ubiegłej wodzie,
 „Zapomnisz cierpień, co ci serce bodą;
 „Gdy będziesz myślał o życia zachodzie,
 „On ci jutrzemkę rozpromieni młoda;
 „Weźmiesz do serca otuchę nieznaną,
 „I będziesz krzepki, jakby cię wkopano.
 „W twoim spoczynku już strach nie przenika,
 „Zbiegną się patrzeć, jak ci twarz jaśnieje,
 „Kiedy się zaćmi oko bezbożnika
 „I pierzchną jego obrzydłe nadzieje...

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Respondens autem Dominus Iob
de turbine, dixit..

A z szmeru wichrów Pan rzekł do Hioba:
 — „Ktoś jest przede mną, marny synu ziemi?

- „Czemu się skarżysz? przecz ci się podoba
 „Wikłać wyroki słowy niebaczniemi?
 „Przepasz twe biodra, ja będę cię badał,
 „Odpowiedz, mędrco, co twa myśl spamięta!
 „Gdzie byłeś wtenczas, gdym ziemię zakładał,
 „Kiedym jój trwale ciosał fundamenta?
 „Kto jój budowę i ciężkość obliczy?
 „Kto ją rozmierzył pod sznur budowniczy?
 „Kto jój podstawę ugruntował trwale?
 „Kamień węgielny kto pod nią położył?
 „Czy byłeś wtenczas obecny méj chwale,
 „W obliczu ludzi i porannéj zorzy?
 „Kto fale morskie, jak drzwiami lub kratą,
 „Zamknął w łożysku, uczynił brzeg suchy,
 „Okrył je chmurą, jakby mglistą szatą,
 „Osłonił mrokiem, jak dziecię w pieluchy?
 „Jam te granice wskazał niedościgłe,
 „I do wrót morskich przyprawiłem rygle,
 „I rzekłem morzu: Tu przyjdą twe wały,
 „A tu się fala burzliwa rozpryska.
 „Czyż twoje myśli ukazać zdołały
 „Porannéj zorzy miejsce stanowiska?
 „Czyż ty, trzymając za ziemne krawędzie,
 „Z oblicza ziemi otrząśłeś zbrodniarze,
 „Światłość niezbożnych ze odjęta będzie,
 „A silne ramię złamaniem się skarze?
 „Wnijść w morskie głębie czy zdolna twa władza?
 „Po dnie przepaści wiesz jak się przechadza?
 „Czy uchyliłeś straszne śmierci wrota?
 „Czy oglądałeś czarne drzwi otchłanie?
 „Szerokość ziemi jako jest osnuta?
 „Daj mi odpowiedź na me zapytanie!

- „Gdzie jasna światłość, a gdzie ciemność mieszka?
 „Jakie są cele tych obojga rzeczy?
 „Jakie ich prawa i jaka ich ścieżka,
 „Czyś wyrozumiał, o synu człowieczy?!
 „O twych urodzin czy wiedziałeś dobie?
 „Liczba dni twoich czy znajoma tobie?
 „Czy byłeś w skarbcu, kędy śnieg się chowa
 „I kędy gradu tajemne schowanie?
 „Na nieprzyjaciół jaka broń gotowa,
 „Kiedy dzień walki morderczej nastanie?
 „Czyś zbadał drogi i światła, i słońca?
 „Albo podziały i stopnie gorąca?
 „Wiesz jak deszczowa ulewa się wzbudzi?
 „Obliczysz drogę piorunowej siły,
 „Aby w pustyni, kędy nie masz ludzi,
 „Z deszczem się trawy lepiej zieleniły?
 „Kto ojcem deszczu? zkąd rodzi się rosa?
 „W czym żywocie poczęły się lody?
 „Kto białym szronem przysypał niebiosą?
 „Kto spoił w kamień wirujące wody?
 „Kto grzbiety rzeczne jak gdyby szkłem zalał?
 „Kto wierzch topoli bryłami zawałał?
 „Rozpierzchłe gwiazdy czyś policzyć w stanie?
 „Czy zerwiesz łańcuch, którym je spojono?
 „Czy wyprowadzisz poranne świtanie
 „Lub brzask wieczorny na niebiosów łono?
 „Czy na twój rozkaz z obłoków czeluści
 „Deszcze popłyną lub piorun się spuści,
 „I przed obliczem twym się zastanowi,
 „I rzecze tobie: Otośmy gotowi!
 „Kto wielką mądrość wlał w serce człowieka?
 „Kto drobne kury rozmyśłem obdarza?

- „Na kogo niebo albo ziemia czeka?
 „Kogo uznają za swego mocarza?
 „Kto wyprowadza kamienie i bryły?
 „Kto każe prochom, aby się zlepiły?
 „Powiedz, człowiecze, czy cała twa władza
 „Zdoła nakarmić wygłodniałe lwięta,
 „Kiedy ich matka na żer się zasadza?
 „O kuku leśnym, powiedz, kto pamięta?
 „Czy twoja mądrość zaspokoi kruka?
 „Czy go nakarmi w przyzwoitój chwili,
 „Gdy się tułając pożywienia szuka,
 „A głodna dziatwa w niebogłosy kwili?...“

. ,

1854—1856. *Borejkwoszczyzna.*

URYWKI I PARAFRAZY Z EKKLEZYASTYKA.

Rozkosze mi niegdyś płynęły nawalem,
 W młodzieńczych mych piersiach wrzał ogień namiętny;
 Lecz przeszło złudzenie, została tęsknota,
 I kwiaty uwiedły, i pękła nić złota,
 Blask oka zardzewiał, — znudzony, niechętny,
 Rozkosze marzeniem nazwałem.

Jam później bił czołem przed pychy obliczem,
 Wielkością, bogactwem i sławą się pieścęzę;
 Lecz szczęścia nie było, duch czegoś chciał jeszcze,
 I wielkość nazwałem niczém.

Zechciałem być mądrym, chwyciłem za księgę,
 Dróg prawych wyszukać pragnąłem,

I we dnie, i w nocy, z męczarnią, mozołem,
 Badałem mądrości potęgę.
 Śledziłem, czytałem, lecz było mi mało,
 Chęć nauk została mi piekłem;
 Mądrości-m nie pojął, a szczęście skonało:
 Mądrość jest próżnością! wyrzekłem.

* * *

Na co mi władza, siła olbrzyma,
 Gdy nie mam władzy nad sercem mojem?
 Jakże obdarzę ludzi pokojem,
 Gdy w duszy mojej pokoju niéma?
 W złotym pałacu, na miękkim puchu,
 Na lubyh dziewic rozkoszném łonie,
 Jam nudził życiem, marzył o zgonie:
 Szczęście dla ducha jest tylko w duchu!
 Kiedym opływał uciech zapasem,
 Wszystko mym żądzom było w usłudze,
 Podły niewolnik dziwił się czasem,
 Czego ja tęsknię, czego się nudzę?

* * *

Rzekłem: Poznać ludzi muszę,—
 Poznałem — i zapłakałem!
 Pod jak piękném kryją ciałem
 Złe i nieszczęśliwe dusze!
 Czy dni smutku, czy wesela,
 Ich się dusza dzika, sroga
 Wiecznie w dzikich myślach grzebie;
 Człowiek — wróg swojego wroga,
 Wróg swojego przyjaciela,
 Wróg najstraszliwszy dla siebie.

* * *

O! nie pod słońcem, nie nowego!
 Co jest, to było i nie minie:
 Dawniej łzy biegły, jak dziś biega,
 I krew płynęła, jak dziś płynie.
 I dawniej człowiek biegł za zyskiem,
 I dawniej bywał po kolei
 Smutną ofiarą i igrzyskiem
 Losów, słabości i nadziei.
 I wnuki nasze może srodze
 Wyśmieją prochy naszych kości,--
 I będą iść po naszej drodze
 Nieszczęścia, marzeń i słabości,
 Płacić wiek łez radości chwilką,
 Marzyć o świetle, brodzić w ciemnie,
 I łzy, i krew toczyć wzajemnie,
 I pomrą ludźmi—ludźmi tylko.

1847. Załucze.

Z POEZYJ TYCHONA BRAHEGO.

Na drewniane narzędzie paralaktyczne wynalazku i roboty Kopernika.

Is, qualem non terra per saecula multa
 Procreat...

Is ille, qui coelo genitus, coelestia terris
 Progenuit...

Takiego męża ziemia przez wiekowe chwile

Wydać nie w sile...

Niebo go urodziło uczyć ród człowieczy

Niebieskich rzeczy...

On zachwiał całe niebo prawami wiecznemi,
 Słońce zdołał zatrzymać i kazał biedz ziemi,
 Księżycowi ukazał, gdzie mu być potrzeba,
 Przekształcił oblicze nieba.

Kopernik na to dzieło iść się nie zachwiewa,
 Z laską tylko kunsztownie ustruganą z drzewa.
 Pisze prawa niebiosom jego mądra władza,
 Pod wymiar lichój trzaski gwiazdy podprowadza,
 Zatrzymywa ich biegi, z niebem spaja duszę.
 Nikt jeszcze ze śmiertelnych od początku świata
 Nie był tak wszechmogącym—cóż nad geniusze?
 Niegdyś olbrzym, gdy w niebo wysokie kołata,
 Składa góry na górach, głaz na głazy wali,
 Ossę, Pelion, Etnę, zgromadza na stosy,—
 Przecież silni na ciele, ale duchem mali,
 Nie mogli olbrzymowie wdrzeć się w niebiosy.
 A ten, ten wielki mędrzec, schylony nad księgą,
 Wąty ciałem, lecz silny umysłu potęgą,
 Nie wsparty żadną mocą, z małą trzaską drzewa,
 Wszedł na szczyt firmamentu, zkąd słońce dogrzewa.
 O! to pamiątka mędrca—ze wszystkimi blaski
 Złoto jeszcze niegodne okupić téj trzaski.

ADAMA SCHRÖTERA

URYWEK Z POEMATU „O ŻUPACH SOLNYCH WIELICKICH.“

Gdym solne lochy rozpatrywał cheiwie,
 Dobry Koszyński, mając mię na pieczy,
 Rzekł mi:—„Adamie! dowiesz się o dziwie,
 Trzeba mu wierzyć jak doznanej rzeczy.

Kiedy z gór naszych woda się zakradnie,
 Zaleje lochy i wsiąknie do jamy,
 Od wody proszek wyrabia się snadnie,
 Co my saletrą w Polsce nazywamy.
 Wtenczas się zdarza, że idąc, kopacze,
 Lampą na ciemnej przyświecają drodze,
 Płomień od lampy aż na ściany skacze,
 Jaskinia buchnie, zadymi w połodze,
 A wzdęty płomień przelatuje wszędzie
 I nie wprzód zgaśnie aż saletrę wyje.
 A biada temu, kto w ognisku będzie!
 Płomień go spali, a wyziew zabije.
 Ale bywałych doświadczenie uczy:
 Kopacz z pośpiechem na ziemię się kładnie,
 A ogień wierzchem przelatuje, huczy,
 Spala saletrę i zgasa bezwładnie.....“

PIOSENKI J. P. BÉRANGER'A.

KRÓL ÓWIECZEK.

(Parafraza).

Był sobie niegdyś król Ówieczek,
 Z dziejów niewielce go znano:
 Wstawał późno, kładł się rano,
 Unikał wojen i sprzeczek;
 Zamiast korony na czoło,
 Stroił się prostą szlafmycą;
 A naród krzyczał wesoło:

— „Takiego króla w około
 „Nie znajdziesz nawet ze świecą!
 „Nie znajdziesz, próżne gadanie!
 „Taki wyborny człowieczek!
 „Wiwat mospanie,
 „Wiwat król Ówieczek!“

Jadł cztery razy na dobie;
 A wesół i dobrój daty,
 Siadał na osielka sobie
 Objędzać swoje powiaty.
 Przy jego królewskiej mości
 Pies zamiast rycerskiej straży;
 A naród pełny radości,
 Wiedzie go z włości do włości.
 Wołają młodzi i starzy:
 — „Zdaje się, choć w pańskim stanie,
 „Zuch, wesół, dobry człowieczek!
 „Wiwat mospanie,
 „Wiwat król Ówieczek!“

On się na puhar nie skrzywi,
 Od kufła się nie zakrztusi;
 Be gdy poddani szczęśliwi,
 I królże przecię żyć musi!
 U stołu poddanych zjada
 Garnek kaszy za podatek;
 Więc go spotyka gromada,
 I przeprowadzać go rada,
 Krzyczy u każdych rogatek:
 — „To król! to nasze kochanie!
 „To co się zowie człowieczek!

„Wiwat mospanie,
„Wiwat król Ówieczek!“

A dziewczętom tak się gładko
Przypodobą i zaleci,
Że królował nad gromadką,
Jako ojciec pośród dzieci.
Wojny nie miał i w zamiarze;
Tylko gdy się podweseli,
Przy rozwiniętym sztandarze,
Cztery razy na rok każe
Strzelać tak sobie... do celi...
I daje sute śniadanie...

— „Ot to *honestus* człowieczek!

„Wiwat mospanie,
„Wiwat król Ówieczek!“

Chęć zaborów go nie mamy,
Po bratersku żył z sąsiady;
Pohulanki i biesiady
Zawarował statutami.
Król i lud żyli bez kłótnie;
Tylko na jego mogile,
Kraj, wesoły przez lat tyle,
Po raz pierwszy płakał smutnie:

— „Oj, wieczne odpoczywaniel
„Dobry był, dobry człowieczek!

„Nie masz mospanie,
„Jak był król Ówieczek!“

Jego obraz i dziś jeszcze
Ze czią chowa się w narodzie:
Jest to na starój gospodzie
Szydł wypłowiąły przez deszcze.

Tam, gdy się zbierze gromada,
 Niejeden do łez się wzruszy:
 — „To był król Ówieczek nielada!
 „Bawi się, pije, zajada...
 „Wieczny odpoczynek duszy!
 „Bo co to? próżne gadanie!
 „Rzadkiój był cnoty człowieczek!
 „Nie masz mospanie,
 „Jak był król Ówieczek!“

PAN SZCZĘSNY HULAKIEWICZ.

(Roger Bontemps).

Pod złe czasy urodzony,
 A wesół zawsze i wszędzie,
 Dla męczenników śledziony
 Pan Szczęsny wzorem niech będzie.
 Aby swobodnie się wiodło,
 Stronić od głupców oblicza:
 Oto dewiza i godło
 Szczęsnego Hulakiewicza.

On zwykł przywdziewać od święta
 Ojcowski kapelusz duży;
 Zawsze go zdobić pamięta
 Gałązką bluszczu lub róży;
 Jeden płaszcz od lat dwudziestu
 Zawsze mu ciepła użycza:
 Oto jest ubiór od festu
 Szczęsnego Hulakiewicza.

W jego mieszkaniu stół, łoże,
 Flecik ze wstęgi przepaską,

I puhar kwartowy może,
 Co Bóg napełnia swą łaską;
 Pusta skrzynka, a w portrecie
 Postać kochanki dziewicza:
 O! wszystkie skarby na świecie
 Szczęsnego Hulakiewicza.

Dla dzieci zręcznie i prędko
 Wymyślić sztukę i cacko,
 Starszych zabawić gawędką,
 Spleść jaką powieść cudacką,
 Tańczyć, zaśpiewać wśród gości,
 Gdy ochota biesiadnicza:
 Oto treść całej mądrości
 Szczęsnego Hulakiewicza:

Przestawać na swoim losie,
 Pić wino, jakie się zdarzy,
 Przenosić wierną Małgosię
 Nad wdzięki pieszczonych twarzy,
 Że każdy dzionek, co mija,
 Miłość i radość policza:
 To cała filozofia
 Szczęsnego Hulakiewicza.

— „Boże, Tyś Ojciec jedyny,
 „Ja ufam Tobie jak dziecie!
 „Nie racz poczytać za winy,
 „Że wesół żyję no świecie;
 „Niech, póki życia domierzę,
 „Nie mam chmurnego oblicza!“
 Oto są całe pacierze
 Szczęsnego Hulakiewicza.

Ludzie, co zawiść was miota,
 Nędzni w bogactwa ogromie,
 A których rydwan żywota
 U kresu zbacza i chromie,
 Wy, których potęga mami,
 Lub godność jaka zwodnicza,
 Sprostujcie życie wzorami
 Szczęsnego Hulakiewicza!

WIOSNA i JESIEŃ.

Dwie pory roku każdemu służą,
 Kto się żyć błogo nie leni:
 Na wiosnę radzi pieścim się z różą,
 A z winném gronem w jesieni.
 Z rana miłością serce rozżarzę,
 Winem, gdy słońce się chowa;
 Wiosną mówimy:—Bądź zdrów, puharzel!
 W jesień:—Miłości, bądź zdrowa!

Trzeba skojarzyć i to, i owo,
 A życie raźniej popłynie;
 Jednak przebierać miarkę niezdrowo
 Ani w miłości, ni w winie.
 Tutaj koniecznie roztropność każe,
 By mądra była umowa;
 Na każdą wiosnę:—Bądź zdrów, puharzel!
 W jesień:—Miłości, bądź zdrowa!

Z piękną się w maju spotkałem różą,
 Podbiła serce ochocze;
 Och, bałamutka! och, dziwactw dużo
 Zniosłem przez całe półrocze!

Figiel za figiel, wiem, jak ukarzę!
 Jesień mój spokój uchowa;
 Mówiłem wiosną:—Bądź zdrów, puharzel!
 W jesień:—Miłości, bądź zdrowa!

Kocham, to rzucam piękną Adełę,
 I żal niewielki, i praca;
 I pożegnała, i za dni wiele
 Znowu mi serce powraca.
 Ale już wtedy po letnim skwarze
 Piosnką płonęła mi głowa;
 Rzekłem na wiosnę:—Bądź zdrów, puharzel!
 W jesień:—Miłości, bądź zdrowa!

Lecz czarodziejka wszystko przemienia,
 Plan się mój cały nie ziści:
 Winu dodała moc upojenia,
 Serce zawrzało ogniściój.
 Dla niej nietrudno mieszać w zamiarze
 Najrozsądniejsze me słowa:
 Na wiosnę—przyszła myśl o puharze;
 W jesieni—miłość gotowa!

TRUP ŻYJĄCY.

Kiedy się nudzę, gdy świat z daleka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Nie zliczę dwóch;
 Lecz kiedy strącę nudów okowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Gdy dzwonią głupcy w szkatuły wieka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Zamarł mój duch;
 Gdzie wina ze mną wiek jednakowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Gdzie roztrząsają, co możnych czeka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Zdrętwiał mój ruch;
 Ale gdzie słabi podnoszą głowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Kiedy na wojnę naród się zwleka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Pierzcham jak puch;
 Gdzie palnie z flaszki ogień korkowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Gdzie mądrość wielkich rzeczy docieka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka
 Wśród brzęku much;
 Lecz w gwarze piosnek, bratniej rozmowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Gdzie się kazanie długo przewleka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Tępy mój słuch;
 Gdzie woła przyjaźń, nie znam odmowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Jasny pan wchodzi, radość ucieka;
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 Nie pański druh;
 Gdy wchodzi dziewczę pięknej budowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch.

Trzeźwą kóź życia gdy popchnie rzeka,
 Módlcie się za mnie, jam trup człowieka,
 W morze mię pluch!
 Lecz ze szklanicą pod wiatr żaglowy,
 Jam jeszcze żywy, jam jeszcze zdrowy,
 Jam jeszcze zuch!

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC.

(Voyage au Pays de Cocagne).

W kraj szczęśliwy, kraj bozki,
 Gdzie się żyje bez troski,
 Podróżujmy wesoło, jak dzieci!
 Rozegrzanym po winie
 Niech się skrzydło rozwinie,—
 Héj! na księżyc wyprawa polec!

W kraju pięknej nadzieje
 Niech się z losów pośmieję,
 Niech zbuduję rozkoszne pałace.
 Co za ziemia szczęśliwa!
 Mlekiem, miodem opływa,
 I używam, i grosza nie płacę.

Po podróżnej fatydze
 Gmachy z tortów już widzę,
 Jak Luwr pyszny podnoszą swą głowę;
 A przy każdym filarze
 Zbrojne warty i straże,
 W ich rękę halabardy cukrowe.

Co za słodka systema!
 Tu z żelaza nic nie ma,
 Z cukrów nawet armaty i działa;
 Z jagód, fruktów i kwieci
 Malowidło się świeci,
 Mozaika, rzeźba wspaniała.

Stańmy nieco przed placem:
 Tu arlekin z pajacem
 Wyprawiają ludowi igrzyska;
 W środku bije fontanna,
 To nie woda źródłana.
 Ale wino pienne wytryska.

Długi szereg kucharzy
 Mięso piecze i warzy,
 Prawa uczy pogwałcać niemożna;
 Bo kto jeno przekroczy,
 Stawia kodeks przed oczy,
 Każą kręcić pieczyście u różna.

Tam w pałacu zasiada
 Tucznych mężów obrada,
 Składa hołd wesołości, swój pani.
 Rzeczy dobrze snadź idą:
 Wenus, bożek Kupido,
 Słowem, wszyscy okrągli, rumiani.

Wszystko szczęściem oddycha,
 Twarzy nie dmie im pycha,
 Nie ma spojrzeń ukośnych, poswarek:
 Wszyscy prości a szczerzy,
 Równi w obec wieczerzy:
 Warto z nimi wychylić puharek!

Pięknych niewiast rój hoży,
 A żadna się nie sroży,
 Postać uczyt zaprawdę godowa;
 Szklanka o szklanę brzęka,
 Szumi rzeźwa piosenka
 Lub figlarna a pusta rozmowa.

Mąż po sutój biesiadzie
 Na stół głowę swą kładzie,
 I zasypia, nie marząc zawistnie,
 Choć wzrok matek ponury
 Wciąż wlepiony na córy,
 Lecz pod stołem się rączka uściśnie.

Wszyscy życiem natchnieni,
 Każda twarz się rumieni,
 Tu nie ujdzie twarz chmurna i blada;
 Gdy godzina uderzy,
 Każdy, kontent z wieczerzy,
 Spokojniutko do snu się układa.

Jaka tam miłość braci!
 A nikt długów nie płaci,
 A w miłostkach o stałość nie pyta!
 A gdzie dusza szczęśliwa,
 Wiek powoli upływa,—
 Sto lat żyją szczęśliwi do syta.

Na księżycu w tój sferze
 Człowiek życia nabierze...
 Ale cóż to??... znów żywot powszedni!
 Kto z marzenia mię budzi?
 My w gospodzie... wśród ludzi...
 Płaćmy z karty rachunek obiedni!

DZIEŃ ZADUSZNY.

Czy słyszycie?... z kościoła
 Mruczy głucho dzwon stary:
 Do modlitwy nas woła,
 Karci nasze rozgwarzy.
 Tam ksiądz głosi przemowę:
 Rzućcie pieniądz na tacę!
 To za dusze czyscowe,
Requiescant in pace!

Płaćmy grobom dań pieśni,
 Rzućmy kwiaty kolejają;
 Kłamecy niby boleśni
 Niech je łzami obleją.
 Ja myślom zmarłym z czoła,
 Ja hołd przeszłości płacę,
 W zaduszny dzień kościoła,
Requiescant in pace!

.

Grób od ojców nas dzieli, —
 Czyż nas pamięć ich straszy?
 Oni z nędzy się śmieli,
 A my śmiejmy się z naszój!

Ze mną miłość wesola,
 Kielicha z rąk nie tracę:
 W zaduszny dzień kościoła,
Requiescant in pace!

Precz wszelki żal kobieci,
 Gdy legnę do mogiły!
 Bogdajby nasze dzieci
 Weselsze od nas były!
 Ścieląc całunów sukno,
 Niech wspomną nasze prace,
 Niech głośnym chórem hukną:
Requiescant in pace!

STAROŚĆ.

Dzień po dzionku marnie schodzi,
 Czas na czole zmarszczki pisze;
 Chociaż jeszcze dosyć młodzi,
 My starzejem, towarzyszel!
 Lecz kto lubi kwiatów sploty,
 Kto w młodzieńcze wierzy mary,
 Kto ma czucie swój istoty,
 Ten niebardzo jeszcze stary.

Próżno winem człek się świeży
 I piosenką bezprzytomną:
 Krasawice przy wieczery
 Smutną starość nam przypomną.
 Lecz do świtu kto w humorze
 Bez ustanku chyli czary,
 Kto choć drżący śpiewać może,
 Ten niebardzo jeszcze stary.

Zwolennicy ideałów,
 Dziś nie spełnim, co się marzy.
 Towarzyski naszych szalów
 Przymawiają, żeśmy starzy.
 Lecz kto skromnie się udziela,
 Kto się słusznój dierząc miary,
 Ma w kochance przyjaciela,
 Ten niebardzo jeszcze stary.

Dzisiaj młodzież choć nam wróży
 Naszą starość niezawodną,
 Że natchnienie nam nie służy,
 Że piosenki nasze chłodną;—
 Lecz kto czuje duch śpiewaczy,
 Zdoła jąć się strun cytary,
 Zebrać w kółko swych słuchaczy,
 Ten niebardzo jeszcze stary.

Chwilkę, chwilkę, towarzysze,
 Wiosny pieśńmy się obrazem.
 A gdy młodość nie dopisze,
 Postarzejem wszyscy razem.
 Lecz kto głowy nie kłopotą,
 Choć ma ciężkich trosk bez miary,
 Kto doścignął cel żywota,
 Ten niebardzo jeszcze stary.

P T A C T W O.

Srogiój zimy pęd szalony
 Chaty, pola nam pustoszy.
 Ptactwo leci w obce strony
 Z pieśnią szczęścia i rozkoszy.

Lecz nad powab cudzej strony
Kraj rodzinny żywiej świeci:
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znow na wiosnę tu przyleci.

On nietylę po swęj stracie,
Ile po nim my boleśni,
Że w pałacu ani w chacie
Nie usłyszym jego pieśni.
On tam będzie rzewne tony
Dla szczęśliwych nocy dzieci.
Ptaszek zimą popędzony
Znow na wiosnę tu przyleci.

My-ć zazdrościm, ptaszku chyży!
Tobie lepiej i swobodniej.
Wnet się do nas chmura zbliży,
Już wiatr mroźny wieje od niej.
Kto na skrzydłach jest niesiony,
Szczęsny! ujdzie od zamieci!
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znow na wiosnę tu przyleci.

Kiedy burzy prąd przeminie,
Gdy odetchną pól obszary,
On zatęskni po rodzinie
I powróci pod dąb stary.
Wróżyć pieśnią letnie plony,
Wróżyć wiosnę pełną kwieci,
Ptaszek, zimą odpędzony,
Znow na wiosnę tu przyleci.

STARA KAPOTA.

Zostań mi wierną, stara odzieży!
 Wszakżeśmy z sobą starzeli w parze;
 Już rok dziewiąty wspólnie nam bieży,
 Niech takiej sztuki Sokrat dokaże!
 Bądźże wytrwałą,—choć czas i mole
 Grożą zniszczeniem, nie troszcz się o to;
 Filozoficznie znoś swoją dolę,
 Ty mię nie rzucuj, stara kapoto!

Musisz pamiętać tę słodką chwilę,
 Gdym cię raz pierwszy przywdział wspaniale,
 Kiedy prawdziwych przyjaciół tyle
 Śpiewało pieśni ku twojej chwale.
 Dziś, choć straciłaś swą barwę czarną,
 Bracia nie wzgardzą naszą lichotą,
 Po staroświecku do serc przygarną.
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Wszak pomnisz wiosny naszój poranki?
 Wszak cenisz wspólne wspomnienia nasze?
 Gdym się wrywał z objęć kochanki,
 Ona-ć oddarła sute karwasze.
 Musisz pamiętać to dziewczę młode,
 Jak się rumieniać z miłą prostotą,
 Drobnemi ściegi naprawia szkodę...
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Czyż drogiój ambry zbyt kowną wonią
 Splamilem ciebie przez mnogie lata?
 Czy tam, gdzie trzosem na cizbę dzwonią,
 Sponiewierałem u ścian magnata?

Nie chciałem ciebie, Pan Bóg mi świadkiem,
 Zdobić we wstęgi albo we złoto;
 Ty byłaś dumna polowym kwiatkiem.
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

Przebywszy razem słoty, pogody,
 Takie boleści, takie rozkosze,
 Nie dziw, że zginął nasz połysk młody,
 Że przyszło w końcu spłowieć po trosze.
 Dziś przysypanych zimy szarugą
 Smutne przecucia wspólnie nas gniotą.
 Służ mi do trumny—czekać niedługo.
 Ty mię nie rzucaj, stara kapoto!

TRZYNASTU U STOŁU.

Myśmy w trzynastu do stołu zasiedli,
 A jam niechęący rozsypał garść soli.
 Co tam złe wróżby? czegoście pobledli?
 Oto śmierć ku mnie zbliża się powoli!
 Ona się zbliża uśmiechnięta, młoda;
 Na jój przyjęcie w puhar się uzbroję.
 Począłem pieśnię, porzucać jój szkoda.
 Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Jak gdyby gościa, gdy na ucztę zową,
 Równianką kwiatów swe czoło uwieńcza.
 Ja tylko jeden widzę ją nad głową,
 Nad nią promienna połyska się tęcza.
 Uśpione dziecię na swych ręku trzyma
 I ciężki łańcuch, stargany na dwoje.

Dajcie mi puhar! choć mam przed oczyma,
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

— „Nie bój się — mówi — jam życia narzędzie,
„Ja córka Niebios, ja siostra Otuchy.
„Biedny niewolnik czyż złorzeczyć będzie,
„Gdy z niego ciężkie opadną łańcuchy?
„Gdy los cię odarł, aniele skrzydlaty,
„Ja ci przywrócę piękne skrzydła twoje!“
Witajcie gościę, a sypcie jój kwiaty!
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

„Dotknę się czoła — a po latach próby,
„Duch twój uleci, odrodzony zda się,
„Gdzie na lazurze promieniste globy
„Bóg porozsiewał w przestrzeni i czasie.
„Czyż ciebie taka swoboda nie mamy?
„Porzuć zgryzoty, porzuć niepokoje,
„Używaj szczęścia pełnemi piersiami!“
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

Zniknęła postać, a nikt jój nie baczy,
Pies tylko warknął na widmo grobowe.
Po cóż się człowiek do życia junaczy,
Gdy chłód trumienny odrętwia mu głowę?
Wesoło kończmy nasz żywot zwodniczy;
Porzućmy strachów niedołącznych roje;
Bądźmy w trzynastu — Pan Bóg nas policzy.
Ja, moi bracia, śmierci się nie boję.

K O M E T A.

Oto Bóg na nas kometę przysyła;
 Nieunikniona zbliża się zagłada.
 Czuję już, czuję, jak niszcząca siła
 Uderza w ziemię i w gruzy ją składa.
 Żegnajcie, uczy, żywota sąsiedzi!
 Zostawcie wasze zatrute puhary!
 Dusze lekkie, idźcie do spowiedzi!
 Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

I dnia, i nocy kolejne przemiany
 Zginą na wieki—o biada nam, biada!
 Jako latawiec ze sznurka zerwany,
 Biedna planeta kręci się i spada,
 Spadnie na słońce—choć je w gruz zamieni,
 Choć zgasi jego odwieczne pożary,
 Tyle słońc jeszcze zostanie w przestrzeni!
 Nam trzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Już nas znudziła nasza gminna pycha,
 Już droga błędu nietyle nas' wabi;
 Nużą nas wojny, któremi oddycha.
 Służebna zgraja, i silni, i słabi.
 Znużone oko przyszłości nie szuka;
 Zostawmy górne postępu zamiary:
 Na mały teatr to za wielka sztuka.
 Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary,

Młodzież powiada:—„Poczekajcie nieco,
 „Zaraz blask nowy tę ziemię opasze,

„Gazem i drukiem zaraz się oświecą
 „I nasze głowy, i ulice nasze;
 „Za lat dziesiątek rozproszy się ciemno,
 „Kiełek postępu urośnie do miary.“
 Jam lat trzydzieści czekał nadaremno!
 Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Jam nie tak wierzył, gdy w młodości płochój
 Miłość i radość ożywiały łono:
 —„Ziemio!—mówiłem—nie zbaczaj ni trochy
 „Z błęgiego kręgu, gdzie cię umieszczono!“
 Dziś postarzałem—moje lica blade—
 Znam nicość pieśni, marzenia, ofiary...
 Straszna kometo, dopełnij zagładę!
 Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

STARY KAPRAL.

Naprzód! naprzód! marsz, rębacz!
 Broń na ramię! wszak nabita!
 Dajcie fajkę! precz te płacze!
 Pożegnajcie mię i kwita!
 Osiwiłem w służbie włosy;
 Czym źle zrobił, trudno dociec;
 Lecz na musztrach,—ej, młokosy!
 Byłem dla was jako ociec.

Naprzód, wiara,
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Obraziłem porucznika,
 Bo młodziczek zbyt pozwala.
 Ot i z rzeczy rzecz wynika,
 Ostry nabój dla kaprala!
 Tak potrzeba, na przestrogę...
 Zawiniłem, prawda szczerą;
 Lecz obelgi znieść nie mogę:
 Jam był w służbie bohatera!

Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Bądźcie mężni, o kamraci!
 Nieście w służbie krew i zdrowie;
 Choć się noga, ręka straci,
 Krzyż ozdobi honorowie.
 Jam go zyskał w dobrej sprawie...
 Ej, bywało, bracia mili,
 Ja wam stare boje prawie,
 Wy gorzalkęście płacili.

Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Robert! chłopcze z naszej wioski,
 Wracaj do niej paść swe trzody.
 Patrz, jak piękne klony, brzożki!
 Teraz na wsi kwiecień młody!
 Ja bywało o téj porze
 Wdziękiem siola oczy pieszczę...

O mój Boże! o mój Boże!
 Moja matka żyje jeszcze!
 Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Kto tam szlocha? znam po jęku:
 Żona trębacza hussarzy.
 Niosłem syna jej na rękę,
 Idąc z Moskwy w przedniej straży.
 Jójby przyszło w dzikim stepie
 Zginąć w śnieżnej zawierusze.
 Dziś niewiasta pacierz trzepie,—
 Niech się modli za mą duszę!
 Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

Tam do licha! fajka zgasła...
 O nie! jeszcze... Już my w kole.
 Do szeregu! czekać hasła!
 Oczu wiązać nie pozwolę!
 Ej kamraci! ej najszczersi!
 Wara płakać!... Broń gotowa;
 Strzelać celno, w same piersi...
 I niech Pan Bóg was zachowa!
 Naprzód, wiara!
 Iść przytomnie,
 Tylko wara
 Płakać po mnie!

ALCHEMISTA.

Mówisz przede mną, alchemisto stary,
 Że z podłych kruszców wydobywasz złoto,
 A jeszcze bardziej, że swojemi czary
 Możesz mi młodość przywrócić z ochotą.
 Mówię ci z wiarą:—czyn, co się podoba,
 Pełnym ci trzosem wdzięczności dowiodę.
 Zostańmy przy tém, co lubimy oba:
 Ty weźmiesz złoto—daj mi lata młode.

Przewracaj karty starego Hermesa,
 Zgłębiaj Paktolu źródła młodociane:
 Niechaj ci złotem napelnia się kiesa,
 Ja sobie chętnie ubogim zostanę.
 Dla ciebie możni otworzą podwoje,
 Mieć będziesz laury, oklaski, wygodę,
 Ja się skromnemi różami przystroję;
 Weź sobie złoto—daj mi lata młode.

Widzę, jak próżność po sercu ci lechce,
 Słyszę, jak wołasz upojony szalem:
 — „Kłęczcie przede mną, zakupię co zechcę,
 „Kopalnię złota w nauce zyskałem!“
 Patrzcie, jak skarbów spodziewane plony
 Zmieniły twoją żebraczą przyrodę!..
 Choćbyś mógł kupić berła i korony,
 Weź sobie złoto—daj mi lata młode.

O! daj mi młodość taką, jak ja cenię,
 Z duszą potężną, ognistą, namiętą;

Odbierz ode mnie mądre doświadczenie,
 Wlej krew gorętszą w słabe pulsów tętno.
 Obaczysz z okna twych jasnych pałacy,
 Jak ja wesolo piosenkę wywiode,
 Pod cieniem drzewa jak usnę po pracy!
 Weź sobie złoto—daj mi lata młode.

Wiem, na czém bogactw zasadza się chluba,
 Lecz czuję powab młodzieńczych słodyczy.
 Smutno mi widzieć, kiedy moja luba
 Na drobnych palcach me lata policzy.
 Gdy smutna jesień moją głowę śnieży,
 Błagam cię, mędrze, o letnią pogodę.
 Ta, którą kocham, w bogactwa nie wierzy.
 Weź sobie złoto—daj mi lata młode.

Lecz próżna, widzę, twoja obietnica:
 Tyś zawsze biedny, a ja zawsze stary.
 — „Poczekaj—mówisz—jutro nów księżyca,
 „Pocznem na nowo zaklęcia i czary.“
 Choć wiem, że twoja nauka kłamliwa,
 Lecz mi potrzeba wiary na osłode:
 Patrz, jak mi zmarszczek po zmarszczku przy-
 Weź sobie złoto—daj mi lata młode! [bywa!

NOSTALGIA

CZYLI

TĘSKNOTA DO KRAJU.

Rzekliście:—„Pasterzu! idź z nami ochoczo;
 „W Paryżu nauki i dziwy najrzadsze,

„Osypie cię złoto, starania otoczą,
 „Zapomnisz swe niwy na świetnym teatrze.“
 Poszedłem... i patrzcie! ów skwar, co tu płonie,
 Jak świeżość wiosenną z méj twarzy wypala!
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 A górom powróćcie górala!

Choć w piersiach tęsknota i lodem krew płynie,
 Ja idę, posłuszny, za waszym zwyczajem,
 Na uczty, gdzie krasne królują boginie,
 I ginę z tęsknoty, umieram za krajem.
 Napróznom się uczył słów pięknych w tém gronie,
 Naprózno sztuk pięknych widziałem tak wiele!
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie
 I nasze wesołe niedziele!

Wy słusznie gardzicie obyczaj nasz stary,
 Wieczory z powieściami i pieśnią ubogą:
 Na operach waszych złudzenia i czary,
 Że nasi wróżbici im zrównać nie mogą;
 Gdy święci czczą Pana na górnym Syonie,
 Od waszych koncertów pożyczać głos muszą;
 Lecz wróćcie mi, wróćcie rodzinne ustronie,
 Wieczory i piosnkę pastuszą!

Dom u nas, to chata pozioma i stara,
 Kościółek pobity deskami i z kłody;
 A tutaj pomników i wież co niemiara,
 Pałace i takie, jak w raj, ogrody,—
 A gmachy, jak chmury, gdy w białém ich łonie
 Odbije się promień zachodu iskrzaty;
 Lecz wróćcie mi, wróćcie wioskowe ustronie,
 Wioskowe dzwonnice i chaty!

Wszak dziki poganin wlecze się z daleka
 Umierać w świątyni, gdzie jego bożyszcze.
 Tam po mnie pies skomli—kiedyż się doczeka?
 I kiedyż mnie matka splakana odzyszcze?
 Widziałem sto razy na naszym zagonie,
 Jak wicher szturmuję, wilk idzie na łowy...
 Ach! wróćcie mi, wróćcie domowe ustronie,
 Lepiankę i chleb mój razowy.

Co słyszę? spełniona modlitwa méj duszy!
 — „Wolno ci odjechać, odjeżdżaj,—mówicie;—
 „Powietrze rodzinne niech lży twe osuszy,
 „A słońce domowe niech wskrzesi twe życie.“
 Żegnam cię, Paryżu! twych blasków nie gonię:
 Tu ręce jak skute przybylcom z oddala.
 Obaczę, obaczę wioskowe ustronie
 I góry, ojczyznę górala!

DO MOŻNYCH PRZYJACIÓŁ.

O przyjaciele! ja nic od was nie chcę,
 Zwróćcie gdzieindziej dobroczynne oko:
 Chciwość nie drażni, próżność mię nie łechce;
 Jak ptak lękliwy, nie wzlecę wysoko.
 Czegoż mi trzeba? Serca, co pokocha,
 Skromnej wieczerzy w kółku biesiadniczém,
 Bratniej rozmowy i współczucia trocha.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczém.

Świetniejsza dola byłaby nie w porę
 Dla rymoklety, co marnuje chwile.

Czuję dotkliwie, gdy chleb w usta biorę,
 Żem nie zasłużył posiadać go tyle.
 Do tego chleba, och! wyrobnik lichy
 Więcej ma prawa przed Niebios obliczem.
 Sakwa żebracza nie wstydzi méj pychy.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczém.

Raz, patrząc w niebo, myśl moja ulata
 I tam z wysoka ziemski padół mierzy;
 Przebiegam okiem cały obszar świata,
 Królów, poddanych, wodzów i żołnierzy.
 Okrzyk mię doszedł,—czy bitwę wygrali?
 Kogo to sławią w krzyku hołdowniczym?
 Cześć wam, potężni, których naród chwalił
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczém.

Ja wielbię cnotę bohaterskich ludzi,
 Co, opuszczając domowe ognisko,
 Siadają w okręt, gdy się fala zbudzi,
 Aby sterować, kiedy burza blisko.
 Wołam z daleka:—Niechaj Bóg was strzeże!
 Modłę się za nich losom tajemniczym;
 Sam się na słońcu kładnę na wybrzeże.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczém.

Wasze grobowce patrzeć będą dumnie
 Na mój grobowiec wśród badyli zielnych;
 Naród przy waszój będzie płakał trumnice...
 Gdym skromnie wiezion na marach kościelnych,
 Co mi po waszych trumnach i żałobie?
 W nieśmiertelności kiedyś się obliczym;
 Cała różnica zespoli się w grobie.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczém.

W pysznych pałacach nie zamieszkać z wami;
 Tylko dostojnej pokłonę się głowie.
 Odchodzę od was, bom w progu za drzwiami
 Zostawił lutnię i liche obuwie.
 Ludzkość do waszych podwojów kołace:
 Kojcie lzy nędzy z braterskiem obliczem;
 Ja wam z ulicy piosenką zapłacę.
 Pan Bóg mię tworząc, kazał zostać niczém.

STARY WŁÓCZĘGA.

Pora umierać; ot tutaj w rowie
 Złożę schorzałe i stare kości.
 Ktoś mię z przechodniów pijanym zowie,
 Tém lepiej dla mnie—nie chcę litości!
 Jeden odwraca i chmurzy czoło,
 Drugi po szeląg jałmużny sięga.
 Och, idźcie sobie gdzie wam wesoło!
 Umrze i bez was stary włóczęga.
 Umrę, bom stary—to się rozumie,
 Bo umrzeć z głodu świat nie pozwala.
 Miałem nadzieję w żebraków tłumie,
 Że się dostanę gdzie do szpitala;
 Lecz nieszczęśliwych mnogość tak wielka,
 W szpitalach z nimi taka mitręga!
 Ulica dla mnie—to karmicielka!
 Umrę gdzie żyłem, stary włóczęga.
 W młodości mojej chciałem w rzemiosło,
 Lecz zewsząd majstry mnie przepędzały:
 — „Już wyrobników i tak urosło,
 „Nie ma roboty! idź żebrzeć, mały!“

Bogacze mówią:— „Pracuj na świecie!“
 Gdy pod ich oknem człek się wylęga.
 Och! gryzłem kości po ich bankiecie,
 Więc nie przeklinam, stary włóczęga.

Mógłbym kradzieżą utrzymać życie,
 Lecz wolę ginąć lub cierpieć srodze.
 Raz głodny jabłko urwałem skrycie,
 Do licha! jabłoń stała przy drodze.
 Za to w więzieniu ledwo nie ginę,
 Kiedy mię prawny wyrok dosięga;
 Zabrali moje dobro jedyne,
 Bo widok słońca stracił włóczęga.

Miłość ojczyzny nie dla nędzarza:
 I cóż mnie, pytam, obchodzić może,
 Jakiemi plony jesień obdarza
 Wasze winnice i wasze zboże?
 Co waszych mówców gadanie próżne?
 Gdy kraj najedzie obca potęga,
 A obcy żołdak da mi jałmużnę,
 Płaczę z radości, stary włóczęga.

Za cóż mię ludzie depczecie nogą,
 Jako szkodliwy owad na roli?
 Niech mię nauczą, niech mi pomogą
 Pracować dobru wspólnemu gwoli.
 Nie dziw, że w nędzy zmiana postaci—
 Z troskliwej mrówki gad się wylęga.
 Ja chciałem ludzi kochać, jak braci,
 Umieram wrogiem—stary włóczęga.

POEZYJE GOETHE'GO.

Z KANTATY „RYBACZKA.“

I.

KRÓL OLSZYN.

Ballada.

Kto jedzie tak późno wśród nocnej zamięci?
To ojciec z dziecieniem, jak gdyby wiatr, leci;
Chłopczynę na rękę piastując najczulój,
Ogrzewa oddechem, do piersi go tuli.

—Mój synu, dla czego twarz kryjesz we dłonie?
—Czy widzisz, mój ojczu? król olszyn w tej stronie,
Król olszyn w koronie, z ogonem jak żmija!—
—To tylko, mój synu, mgła nocna się zwija.—

—„Chodź do mnie, chłopczyno, zapraszam najmilój,
„Pięknemi zabawki będziem się bawili,
„Chodź na brzeg, tu kwiatki kraśnieją i płoną,
„A moja ci mama da suknię złoconą.“

—Mój ojczu! mój ojczu! czy widzisz te dziwa?
Król olszyn do siebie zaprasza i wzywa! —
—Nie bój się, mój synu! zkańd w tobie te dreszcze?
To tylko wiatr cichy po liściach szeleszcze. —

—„Chodź do mnie, chłopczyno, poigrasz z rozkoszą,
„Mam córki, co ciebie czekają i proszą,

„Czekają na ciebie z biesiady nocnemi,
„Zaśpiewasz, potańczysz, zabawisz się z niemi.“

—Mój ojczel! mój ojczel! ach, patrzaj... gdzie ciemno...

Król olszyn ma córki, chcą bawić się ze mną. —

—Nie bój się, mój synu, ja widzę to z dala,

To wierzba swe stare gałęzie rozwala. —

—„Chodź do mnie, mój chłopcze, dopóki masz porę:

„Gdy chętnie nie przyjdiesz, to-ć gwałtem zabiorę.“

—Mój ojczel! mój ojczel! ratujcie dziecinę!

Król olszyn mię dusi... mnie słabo... ja ginę!... —

Ojcowi bolesno... on pędzi, jak strzała,

Na rękach mu jęczy dziecina omdlała.

Dolata na dworzec... lecz próżna otucha!

Na ręku ojcowskich już dziecię bez ducha.

II.

TOPIELEC.

Ballada.

— „Ja kocham dziewczynę, o matko! daj radę!

„Ja chce ją pozyskać, ja po nią pojedę!“

Więc matka mu z wody wylepia konika,

A z piasku i trzęzłę, i siodło wytyka.

Ubrany jak rycerz, od stop aż do szyi,

On prędko pojechał na cmentarz Maryi,

Unosi go rumak pod wieżę kościoła,

On czterokroć kościół objechał do koła.

I wchodzi topielec w świątynię na progi,

Otacza go naród ciekawy i mnogi.

Ksiądz stał przy ołtarzu:— „Co to snadź za dziwa?
 „Zkąd rycerz tak lśniący w te strony przybywa?“
 Uśmiecha się dziewczę i okiem nań zmierza:

— „O gdyby pozyskać lśniącego rycerza!“
 Już stoi u ławek ta postać pancerna:

— „Kochaj mię, dziewczyno, daj słowo, bądź wierna.“
 I przyszedł powtórę, potrzecie, poczwarte:

— „Jedź ze mną, dziewczyno, podwoje otwarte.“
 Dziewczyna mu daje i rękę, i obie:

— „Masz moją przysięgę, zostanę przy tobie.“

I wyszli z kościoła z weselną drużyną,
 I w tańcu wesołym zabawy im płyną,
 Aż tańcząc stanęli nad wody brzegami,
 I ręka pod rękę zostali tam sami.

— „Potrzymaj, dziewczyno, rumaka na stronie,
 „Ja ładne czółenko ku tobie przygonię.“

Gdy weszli na zasep piaszczysty przy wodzie,
 To wszystkie do lądu zwróciły się łodzie;

Gdy przyszli, stanęli nad morską zatoką,
 Dziewczyna upadła—do morza głęboko.

I długo, i długo sąsiedzi słyszeli

Krzyk pięknej dziewczyny z wodnistej topieli!

Ja radzę, jak umiem, niech każda pamięta:

Tańcować z topielcem nie idźcie, dziewczęta!

III.

Śpiew weselny staroniemiecki.

Był sobie rycerz za dawnych lat,
 On szukać żony pojechał w świat.

Do jednéj wdowy zapukał bram:
Trzy piękne córki mieszkały tam;
Trzy piękne córki zobaczył gość,
Aż serce jego poczęło rość.

— „Ta będzie moją, co wszystko zna,
„Na trzy pytania odpowiedź da.“

— „Zadaj, rycerzu, pytania trzy,
„Obaczym, która odpowie ci.“

— „Co jest głośniejsze od dźwięku trąb?

„Co jest głębszego, niż morską głąb?

„Co rozciąglejsze, niż drogi szlak?

„Co jest zieleńsze, niż trawy krzak?

„Co ostrzej bodzie, niż ciernia ość?

„Co jest gorszego, niż kobiet złość?“

Dwie starsze myślą, dumają snadź;

Młodsza pośpiesza odpowiedź dać:

— „Piorun głośniejszy od dźwięku trąb,

„Piekło jest głębsze, niż morską głąb,

„Miłość trwa dłużej, niż drogi szlak,

„Grynszpan zieleńszy, niż trawy krzak,

„Grot ostrzej bodzie, niż ciernia ość,

„A szatan gorszy, niż niewiast złość.“

Słyszając odpowiedź dobitną wciąż,

Najmłodszą z dziewic wybiera mąż;

Nim starsze milczą, dumają snadź,

Drużba pośpiesza obrączkę dać.

Najmilsza z dziewic, najmilsza ta,

Co prędką drużbom odpowiedź da.

ZUZANNA TOPIELICA.

Wypadek z 1809 r.

Ballada.

Zerwała groblę szalona fala,
Szumi na błoniach, drzewa obala.

— „O! jeszcze powódź łagodna dosyć,
„Ja brnąć potrafię, umiem przenosić;
„Matko, nim wzbiorą fale szalone,
„Ja cię przeniosę na drugą stronę.“

— „Och! Bóg nam przecię swą łaską świeci—
„Ja chora matka... i troje dzieci...
„Dzięki ci, dziewczę, dzięki losowi!
„Jużeśmy zginąć byli gotowi!“
I młode dziewczę, ratując szczyrze,
Schorzałą matkę na barki bierze.

— „Na suchym brzegu niech czeka dziatwa,
„Tak niedaleko, przeprawa łatwa;
„Czekajcie, dzieci, nim przyjdą fale,
„Ja wnet powrócę, ja was ocalę!“
Grobla zerwana, szaleje fala,
Wrywa ziemię, drzewa obala;
Zuzanna matkę przeniosła chorą,
Ratować dzieci pośpiesza skoro.

— Ej, dokąd? dokąd? próżna odwaga!
Fale wirują, powódź się wzmaga,
Nurt cię pochwyci, młoda dziewczyno! —

— „Ja chcę ratować... oni nie zginą!“

Grobla już tonie, szaleje fala,
Szumi, jak morze, huczy z oddala;

Zuzanna w wodę puszcza się śmieie,
Przechodzi kładkę, brnie przez topiele,
Już się zrównała z chatą sąsiada,
Lecz unieść dzieci—daremna rada!

Powódź z łoskotem groblę obala,
Po nad pagórkiem wiruje fala,
Szumiąc i hucząc do morza leci,
Unosi dziewczę i troje dzieci,
Unosi wszystko — w mętnej topieli
Oni już dawno zginąć musieli!

To się Zuzanna mignie nad wodą,—
Któż uratuje dziewczynę młodą?—
To w głąb wiruje, to się wyłoni,
Lecz nikt z wiosłarzy nie śpieszy do niej.
Snadź jeszcze żyje—nim śmierć ją spotka,
Gdyby choć czółno, gdyby choć łódka,
Gdyby choć deska — próżna otucha!...
Już leci w niebo gwiazdka jój ducha!
Groblę i pole powódź zalewa,
Tylko gdzieś baszta, lub konar drzewa
Wskazuje miejsce, gdzie ludzie żyli.
A nad topielą, z chwili do chwili,
Wznosi się widmo — czy wierzyć oku?
Postać Zuzanny jakby w obłoku.

Woda opada, kraj się zieleni;
Po topielicy ludzie strapieni...
I przepłakali, i zapomnieli,
I już jój pamięć jakby w topieli,
Szumiącą falą czasu przykryta...
Życia i śmierci nikt nie dopyta.

PIEŚNIARZ.

— „Kto tam do bramy kołace?
 „Kto tam zawodzi na moście?
 „Ja za piosenkę zapłacę,
 „Do sali pieśniarza proście!“
 Tak mówił król do swój świty;
 Wybiegli paziowie młodzi,
 I siwym włosem okryty
 Harfista do sali wchodzi.

— „Cześć pięknym damom i chwała!
 „Cześć wam, szlachetni panowie!
 „Co gwiazd w komnacie téj pała!
 „Któż ich imiona wypowie?
 „Widząc tę salę wspaniałą,
 „Aż moje oko się nuży;
 „Lecz teraz czasu za mało,
 „By rozpatrywać się dłużej.“
 I pieśniarz oko rozżarza,
 I w struny harfy uderzy;
 Damy słuchają pieśniarza,
 Słucha go orszak rycerzy.
 Królowi miła zaiste
 Pieśń i postawa śpiewacza;
 Więc, aby uczyć harfistę,
 Złoty mu łańcuch przeznaczą.

Lecz starzec skromnie odpowie:

— „Na co mi łańcuch w téj chwili?
 „Niechaj go wezmą wodzowie,
 „Co nieprzyjaciół pobili.

„Niech kanclerz twojej pieczęci
 „Złote ogniwa nabędzie;
 „On się do służby zachęci,
 „Przykuty na swym urzędzie.

„Ja śpiewam, jak ptaszek śpiewa,
 „Co mieszka w gęstwi nad wodą;
 „Pieśń, co się z piersi wylewa,
 „Jest sama sobie nagrodą.
 „Ja się poprosić odważę
 „O mą zapłatę jedyną:
 „W czystym ze złota puharze
 „Podajcie mi stare wino!“

Złocisty puhar nalany;
 Starzec wychylił go szczerze.
 Szczęśliwe gościnne ściany,
 Gdzie pieśniarz siły nabierze!
 I oddał pokłon królowi
 I panom skłonił się skromnie:
 — „Żegnajcie, bądźcie mi zdrowi,
 „I czasem wspomnijcie o mnie!

„Królu, za łaski wylanie
 „Niech ci Bóg bojnje zapłaci,
 „I wam, panowie i panie,
 „Coście szczęśliwi, bogaci!
 „Za wszystko, co się korzysta,
 „Dziękujcie Bogu co chwila,
 „Jak wdzięczen stary harfista
 „Za napój, co go posila.“

PIEŚŃ EMIGRANTÓW IRLANDZKICH.

Z angielskiego.

Łódź gotowa, trąbią na nią,
 Że odpływać czas!
Nikt nie idzie do przystani
 Żegnać nas.
Śpiesz, wioślarzu, ku żegludze,
 Prędzój, prędzój ztąd!
By powitać morza cudze,
 Obcy ląd!
Obcy naród, gdy postrzeże,
 Że płyniemy doń,
Nie pośpieszy na wybrzeże,
 By nam podać dłoń.
Gdy rzucamy ziemię własną,
 Nikt nie roni łzy,
Bo za głodno i za ciasno
 W naszej wsi.
W naszym kraju niwy żytnie
 Nie wystarczą nam:
Gdzie ryż rośnie, daktyl kwitnie,
 Śpieszmy tam.
Ej, oddalmy się, oddalmy,
 By ukoić głód,
Z cienia murów pod cień palmy
 Zbierzmy cały ród.
Kraj daleki nas posiędzie,
 Kędy lepszy plon;
Ale w piersi obraz będzie
 Swoich stron.

Zapłaczymy, zateśknimy,
 Mimo lepszy świat,
 Do surowej naszej zimy,
 Biednych chat.
 I nauczym nasze dzieci
 W wierze ojców rość;
 K'nam jaskółka gdy przyleci,
 Będzie miły gość.

1853. Wilno.

STARY ŻEGLARZ.

Z Coleridge'a.

I.

Na ucztę godową śpieszyli trzej goście,
 Gdzie czeka wesola drużyna;
 Wtém żeglarz sędziwy spotkał ich na moście
 I długo coś gwarzyć poczyna.

I z gości jednego za rękę już bierze,
 By słuchał żeglarskiej przygody.
 — „Puść, starcze... ja śpieszę, już dają wieczerzę,
 „A moim jest krewnym pan młody.“

Gość mówił, lecz ręki nie pozbył się starczój,
 Napróżno natręta odgania:
 — „Idź precz, stary głupcze! mnie czas nie wystarczy,
 „Bym słuchał twojego bajania!“

Lecz żeglarz brzydkiemi nie zraził się słowy,
 Zmierzył go oczyma silnemi:
 Zmieszany, jak dziecko, biesiadnik godowy
 Pokorny wzrok spuścił ku ziemi.

Na ławie kamiennój, co stała w ustroniu,
 On usiadł, zajęty widocznie;
 A żeglarz sędziwy lżę gorzką uroni,
 I bając przygody swe pocznie.

* * *

— „Podjęto kotwicę, fregata odplywa,
 Po siniej kołysze się fali,
 Wybrzeże, i kościół, i wzgórek, i niwa
 Maleją i nikną w oddali.

Dni płyną za dniami, — od lewej wciąż strony
 Żeglarze wschód słońca widzieli,
 Co wieczór na prawo krąg jego czerwony
 Zapadał w bezdenniej topieli.

A codzien w południe rozpala się, żarzy,
 Goręcej od chwili do chwili;
 Skwar wisi nad masztem, nad głową żeglarzy, —
 Otośmy pod równik przybyli.

Zjawił się huragan i burza szalona,
 Jak gdyby skończenie dni świata;
 Ku stronie południa jój szturmem pędzona
 Zbłąkała się nasza fregata.

W bok okręt odplywa pomimo sternika,
 Po czarnej kołysze się toni,
 I pędzi, jak strzała, jak gdyby umyka
 Od jakiegś niewidnej pogoni.

Schyliwszy w bok maszty, wydawszy swe żagle,
 Wśród ciemna, wśród burzy ze świstem,
 Ku stronie południa pomyka się nagle,
 Mocuje się z morzem pienistém.

Wtém ocean cały mgły gęste pokryły,
 A fale mróz ścisnął przemocą;
 I śniegów, i lodów kołyszą się bryły,
 Iskrami promienie migocą.

Jak oko obejmie, bez końca, bez granic
 Zamarło oblicze przyrody;
 Za nami, przed nami nie widać nic a nic,
 Wciąż tylko śnieżyska i lody.

Okropny był widok... strach serca nam ścisną,
 A każdy się modli, ślub czyni,
 Gdy trąc się i łamiąc, lodowe urwiska
 Gruchocą, jak piorun w pustyni.

Lecz słuchaj... w mgle ciemnej, czy oko nie mamy?
 K'nam morski Albatros przylata;
 Jak zwiastun zbawienia okrążył nad nami;
 Witaliśmy ptaszka, jak brata!

On zbratał się z nami, szedł prosto do ręki,
 Usiadał na naszym pokładzie.
 Wtém lody puściły, i Bogu już dzięki!
 Nie tamy żegludze nie kładzie.

Przy wietrze z południa płyniemy na nowo,
 A ptaszek nam w ślad towarzyszy,
 Zwija się wśród żagłów, ulata nad głową,
 Spuszcza się, gdy głosy posłyszysz.

Tak we dnie dodając otuchy, zabawy,
 Nocował na masztach, nade mną;
 Widzieliśmy ptaszka, gdy księżyc bladawy
 Choć trochę rozwidni mgłę ciemną..."

— „Tyś zadrzał, żeglarzu? cóż dalej nie gwarzysz?
 „Co ci jest?“ — „Ja zbrodnię działałem:
 Nasz wierny Albatros, opiekun, towarzyszy,
 Legł, moim przeszyty wystrzałem.

II.

„I smutno na morzu, jak gdyby w mogile, —
 Twarz słońca posępna i blada
 Z za kłębów mgły ciemnej zaświeci na chwilę,
 I znowu w głąb morza zapada.

I wiatr południowy znów żagle rozdyma,
 Znów płynie posępna fregata,
 I wszystko tak samo; lecz stróża już niema,
 Albatros nad masztem nie lata.

Po zbrodni zgryzotę Bóg zawsze przysyła:
 Jam zbrodniarz — mówiło mi serce.
 — „Tyś szatan! piekielna niech skarże cię siła!
 „Tyś zabił ptaszynę, co wiatr wywróżyła!“
 Tak klęli żeglarze mordercę.

Lecz Bóg się zlitował — po dłuższej katuszy
 Zaświtał dzień dłuższy, jaśniejszy.
 U moich współbraci weselój na duszy,
 I moje przeklęstwo się zmniejszy.

Mówiono, gdym przyszedł do zgody powoli:
 — „Ej, miałeś ty słuszność, niebożę!
 „Albatros przeklęty był sprawcą niedoli,
 Sprowadził mgły gęste na morze!“

A fala wiruje, a leci fregata,
 Szybuje pełnemi żaglami.

Na morzu tameczném, na końcu już świata,
Nie pływał nikt pewno przed nami.

Wiatr ustał... fregaty już nic nie kołysz, i
I żagle na masztach powisły.
Nastaly dni straszne spoczynku i ciszy,
Najcichszy głos ludzki wyraźnie się słyszy,
A trwoga przebiega umysły.

Na niebie lśni barwa ponura, miedziana,
Przeraża widokiem zjawiska,
A kula słoneczna krwią zda się nalana,
Czerwone promyki wytryska.

W piekielnych męczarniach dzień po dniu nam świta
Cisz martwa na całym przestworze,
A nasza fregata stanęła jak wryta,
Doczekać się wiatru nie może.

Nic w koło nie widać... wciąż fala i fala;
Nie wytrwać znojnego gorąca:
Mordercze pragnienie wnętrzości rozpala,
Choć woda fregatę potęra.

Porosty i zielska pływają po wodzie,
Pleśnieje mech jakiś zielony;
Na fali zgęstniałej i okręt, i łodzie
Obsiadły robactwa miliony.

Po nocy migają błędlive ogniki,
Jak gdyby mamidła szatana;
A połysk tych światel straszliwy i dziki
Swawoli po morzu do rana.

I śni się żeglarzom, upadłym na duchu,
Że szatan igraszkę z nas czyni,

Że naszą fregatę na krzepkim łańcuchu
Przykował do martwój głębini.

Pragnienie osusza i usta, i gardło,
Sprawuje męczarnię nieznaną,
A w piersiach spalonych wołanie zamarło,
I usta zapiekły się pianą.

I starzy, i młodzi, i wszystko co żyje,
Przybiegli mi wyrok ogłosić:
Trup ptaszka, com zabił, czepiając na szyję,
Kazali na piersiach mi nosić.

III.

„Dzień po dniu stoimy, czekając na zmianę,
A piersi osuszył skwar spiekły,
Głos w piersiach zaniemiał, a oczy jak szklane
Śmiertelnym się matem powlekły.

Dzień po dniu upływa... wtém z dala, w błękiecie,
Gdzie z niebem ocean się splywa,
Coś z dala mignęło... do serca jak życie
Wstąpiła otucha szczęśliwa.

Z początku jak plamka, jak chmurka biaława,
Przybliża się, rośnie i rośnie;
Już białym obłokiem wyraźnie się stawa,
I ku nam szybuje ukośnie.

Jak widma czyscowe, gromada żeglarzy
Snuje się nieczuła i głucha;
Ostatni rumieniec ucieknął nam z twarzy,
A z serca ostatnia otucha.

Zamarły mi piersi, gdym los nasz szczęśliwszy
Chciał biednej zwiastować drużynie.

Ugryzłem się w rękę... krwią usta zwilżywszy,
 Krzyknąłem: że okręt k'nam płynie.

I wszyscy na pokład gromadzim się, kupim,
 Z radości oszaleć się zdajem,
 A z oczu, co blaskiem migają już trupim,
 Łzy hojnym trysnęły ruczajem.

Patrzajcie! jak leci... jak pęd jego żywy!
 Dziś nasze męczarnie się skończą!
 Lecz oczy nie mylą... o cóż to za dziwy!
 Bez wiatru żegluję tak rączol!

Lecz promyk nadziei, co błysnął nieśmiało,
 Przyświecił — i zgasnął po chwili,
 I zimnem grobowém znów serce zdrętwiało,
 Głowyśmy jak na śmierć spuścili.

Dni płyną powoli... co wieczór, co rana
 Jutrzenka płomieni się złota,
 A kula słoneczna krwią zda się nalana,
 Czerwonym promieniem migota.

A nasza fregata wśród martwój przestrzeni
 Bez ruchu, bez iskry nadzieje,
 Wśród dziwnych igraszek promieni i cieni
 Piętrzy się, wyrasta, czernieje.

A maszty olbrzymie wysterkły nad falą,
 Jak gdyby rząd cieniów ponury,
 Jaskrawym odbłaskiem czerwienią się, palą
 I żagle, i liny, i sznury.

I znowu coś widzę... czy morskie to dziwa?
 Czy widmo z urojeń odmętu?

Po fali drzemiącej coś ku nam podpływa —
To szkielet jakiegoś okrętu.

A wszystkich w okręcie sen objął grobowy,
Nikt żywy się na nim nie ruszy;
Nie słyhać ni szmeru, ni żadnej rozmowy —
Czyż nie ma człowieczeństwa tam duszy?

Lecz oto postrzegam: na pokład wypada
Niewiasta w grobowej odzieży,
Jak widmo ponura, i straszna, i blada,
Na widok jej włos mi się jeży.

A przy niej ktoś drugi.. spogląda jak żmija,
Spojrzenie jak ogień mu pała,
Aż duszę przytłacza, aż serce przebija
Żrenica błyszcząca, skostniała.

Co znaczy ten szkielet bez ciała przykrycia,
A przy nim ten drugi duch blady?
Dwa duchy złośliwe, i śmierci, i życia,
Płynęły do naszej osady.

Ich okręt k' naszemu przyplął w tej chwili,
Pokłady zetknęły się z boku;
Duchowie stanęli i losy rzucili,
My drżący czekamy wyroku.

Los na mnie cisnęli. — Duch życia kość miota,
Wyciągnął kość z dobrą otuchą:
— „On do mnie należy — nie straci żywota!“
I śmiał się szyderczo a głucho.

Zagasnął blask dzienny, noc smutna zapadła,
Na niebie jutrzienka ściemniała,

A szkielet okrętu, niosący widziadła,
 Odplynął pośpiesznie jak strzała.

Zwątpienia rozpaczy nam serce obsiadły,
 Nastaly godziny męczarni.

Nasz sternik u rudla znękany, wybladły,
 Siadł milcząc przy małej latarni.

I gwiazdy zabłysły, i księżyc z topieli
 Swą głowę czerwoną wychyla.

Żeglarze gotowi już na śmierć stanęli,
 Bo straszna zbliżyła się chwila.

A cała załoga, żeglarzów ze dwieści,
 Na pokład wywlekła się tłumnie;

A wszystkie spojrzenia z przeklęctwem boleści
 Straszliwie zwracały się ku mnie.

I jeden po drugim nieszczęśni skonali —
 Słyszałem ich jęki grobowe!

Jam został przy życiu, by dręczyć się dalej,
 By przyjąć przeklęctwo na głowę.“

IV.

— „Straszno mi z tobą, żeglarzu stary,
 „Ognia twych źrenic nie mogę znosić:
 „Masz dziką postać grobowej mary,
 „Twojej powieści już mam za dosyć.
 „Puszczaj mię, starcze!“

— „Nie bój się, bracie!
 Nie jestem trupem ni widmem senném,
 Nie zatonałem w morzu bezdenném,
 Zostałem jeden w całej fregacie,
 Zostałem jeden na całe morze

Czekać na słuszny zgon zbrodniarzowi,
 Gdzie nikt mi oczu zamknąć nie może,
 Gdzie nikt pacierza po mnie nie zmówi.
 W około życie: spojrzę w głębinie —
 Tysiącem istot aż kipi fala;
 Spojrzę na pokład — tu śmierć jedynie,
 Wszędy stos trupów drogę zawala.
 Spojrzę ku górze, kędy maszt sterczy,
 Kędy bez wiatru żagle powisły.
 Chciałem się modlić, lecz duch bluźnierczy
 Zmroził mi piersi, odurzył zmysły.
 Znosić męczarni nie mogę dalej,
 Gdy zamknę oczy, wciąż mi się marzy
 Błękit niebieski, równina fali
 I stosy trupów biednych żeglarzy.
 A twarze trupów groźne, złowieszcze,
 To posiniałe, to z barwą bledszą;
 Straszne ich oczy, otwarte jeszcze,
 Z groźnym przeklęctwem na mnie się patrzą.
 Ciężki mieć musi kamień na duszy,
 Kogo sieroca przeklnie drużyna;
 Ale boleśniej wytrwać w katuszy,
 Kiedy spojrzenie trupie przeklina.
 Siedem dni trupy patrzyły we mnie,
 Siedem dni śmierci-m błagał daremnie.
 Lecz oto księżyc wschodzi z oddali,
 Przy nim rój nocnych gwiazdek połyska;
 Po modrém niebie, po modrej fali
 Zamigotały drobne ogniska;
 Po nad równiną jakby śnieg lata,
 Srebrzą się, gorą żwawą promyki.
 A tu, gdzie stoi martwa fregata,

Błysnie, to zgaśnie meteor dziki;
 Jakby się pastwiąc nad mą niedolą,
 Krwawym połyskiem źrenice muska;
 Dokoła węże morskie swawolą,
 Mieni się, złoci srebrna ich łuska.
 Szczęśliwe żmije! po tysiąc razy!
 Czulem, że zazdrość serce mi bodzie:
 Za cóż, mój Boże, te podłe płazy
 Mogą się pluskać w rodzinnej wodzie?
 I w duszy mojej znów się ocknęła
 Święta modlitwa i miłość boża;
 Wielbiłem Stwórcę, patrząc na dzieła,
 Kląkłem u tronu Jego podnoża.
 A gdy modlitwa, jak święta rosa,
 Skalaną grzechem duszę obmyje,
 Upadł do morza trup Albatrosa,
 Co uczepiono na moją szyję.“

V.

„I sen posilny ożywił w porę
 Duszę znękaną i ciało chore,
 Przecię poczułem, że żyję.
 Modlitwą rzewną i lżą rześistą
 Począłem wielbić Pannę przeczystą,
 Matkę boleści, Maryję.

Spałem, a piersi tchnęły swobodą;
 Śniłem, że widać brzeg ziemi:
 Sterniki okręt bezpiecznie wiodą,
 I stoją stągwie ze słodką wodą,
 Ja piję pierśmi pełnemi.

Wtém się ocykam, patrzę: deszcz leje,
 Poglądam w koło ciekawie;
 Do serca weszły słodsze nadzieje,
 I piłem wodę na jawie.

Śmieję się, płaczę, sobie nie wierzę,
 Czy jeszcze żyję... czy płynę...
 Czy może dusza w nadziemskiej sferze
 Ku swemu Stwórcy kierunek bierze
 I leci w duchów krainę.

Zaszumiał wietrzyk, morze oddycha,
 Skończył się spokój ponury...
 Zdaje się wieje z daleka, z cicha,
 Jednak fregatą waha, kołycha,
 Zadrgały liny i sznury.

Żagle powoli wzdymać się poczną,
 Wieją z szelestem, ze świstem;
 Księżyc się ukrył w chmurę obłoczną.
 A chmura w stronę okrętu boczną
 Lunęła deszczem rześistym.

I błyskawica jak wąż z oddali
 Mignęła z głębi przestworza,
 Zdaje się niebo i woda pali,
 Piorun przeleciał nad garbem fali
 I z gromem buchnął do morza.

Piorun po chmurze zygzaki pisze.
 Grzmoty łoskoczą w przestrzeni,
 Fregata leci, — cóż to ja słyszę?
 Stękają trupy!.. czyż towarzysze
 Byliby ze snu zbudzeni?

Jakby poranna biła godzina,
 Powstali ze snu ocknięci,
 Każdy robotę swą przypomina,
 Jeden na maszcie żagle rozpina,
 Drugi powrozy rozkręci.

Snują się cicho, jak widma w bieli,
 Lecz cóż się dzieje z ich duszą?
 Wszyscy w milczeniu usta zacięli,
 Żaden na stronę okiem nie strzeli:
 Snadź to upiory być muszą!

Tu było jedno drogie oblicze,
 Syn mego brata jedyny:
 Próżno doń mówię, daremnie krzyczę, —
 On, milcząc, jakby widmo zwodnicze,
 Naciąga sznury i liny...“

— „Straszno mi, starczel! nie mów mi więcej,
 „Puszczaj mię, duchu z otchłani!“
 — „Nie bój się, bracie! słuchaj goręcej:
 Bo to nie widma, nie potępieńcy,
 Lecz byli Pańscy wybrani.

Jutrznianym blaskiem opromienieni,
 W około masztu stanęli.
 Słucham... z pośrodka skupionych cieni
 Niebiańskie hymny płyną w przestrzeni,
 Jakby śpiewali anieli.

Hymn, który wtedy z ich ust słyszałem,
 Wiecznie do Niebios przywabli.
 Pomimo burzy kipiącój szalem,
 Pieśń królowała nad morzem całém,
 Płynęła głośniej, to słabięj.

To jakby z chmury na rozświt dzionka
 Sto ptasząt wiedzie swe trele,
 To jakby strumień w kamykach brząka,
 To jakby rzeźwy szczebiot skowronka
 Po nad falami się ściele.

To się rozplywa, to chórem splecie
 Coraz donośniej i słodziej,
 Jakby niewinne szczebioce dziecię,
 Jakby na harfie albo na flecie
 Ktoś dźwięcznej nóty dochodzi.

Ucichły śpiewy, pobiegły tony
 K'dalekiej niebios krawędzi.
 Lecz siłą duchów okręt popchniony
 Płynie pod wiatrem w dalekie strony,
 Dalej a dalej wciąż pędzi.

Ale duch morski strony polarniej
 Znowu za rudel pochwytą:
 Pęd się zatrzymał wpośród mgły czarnej —
 Chwytam się rudla... wysiłek marny...
 Fregata stoi, jak wryta!

A ręka silna duchów — mocarzy
 Wstecz ją zawraca, popycha;
 Płyniem pod równik, gdzie zgon żeglarzy,
 Gdzie krwawe słońce ogniem się żarzy,
 A niebo skwarem oddycha.

Znów stanął okręt — pali spiekota,
 Znowuśmy w ciszy zagrzęźli;
 Słońce, jak gdyby żywa istota,
 Skacze po niebie, targa się, miota,
 Jak gdyby rumak na trzęzli.

Krew mi gorąca zalała skronie,
 A pulsa biją, jak fale,
 A biedna głowa pali się, płonie;
 Czulem, że mdleję, że się posłonię,
 Że się na pomost powalę.

VI.

„Nie wiem, czy długo tak bezprzytomnie
 Leżałem, jakby umarły...
 Wtém dziwne głosy słyszę koło mnie,
 Co się do ucha przedarły.

Jeden głos mówił, dobrze słyszałem:
 — „Przypatrz się, bracie, tój twarzy!
 „Czy to pod jego zabity strzałem
 „Albatros, ptaszek żeglarzy?

„Silny duch morski polarnój strony
 „Tak lubił drobnego ptaszka!
 „Srogi morderca będzie zemszczony:
 „Bo straszna z duchem igraszka.“

— „Duch jeszcze zemstę ku niemu chowa,“
 Drugi głos na to odrzecze:
 „Kara straszliwa, kara surowa
 „Cięży na tobie, człowiecze!“

— „Powiedz mi, bracie, czemu śpi morze?
 „Kiedy dni ciszy się skończą?
 „Czemu fregata po fal przestworze
 „Śpieszy na północ tak rączo?“

— „Jako niewolnik, co pana słucha,
 „Pełni w milczeniu swe straże,

„Tak fala morską, nim się rozrucha,
 „Czeka skinienia Wiecznego Ducha,
 „Dokąd popłynąć jój każe.“

— „Ale dla czegoż, gdy fala cicha,
 „Tak szybko płynie fregata?“

— „Bo siła duchów rudel popycha,
 „I jój żaglami pomiata.“

— „Lecz dajmy pokój błędnej fregacie,
 „Nie budźmy ze snu tych ludzi.
 „Lećmy ku gwiazdom, lećmy, mój bracie!
 „Wkrótce się jutrznia obudzi.“

*

*

*

I jam się ocknął—my wciąż płyniemy,
 Żeglarze znowu strupieli.
 Przy masztach orszak głuchy i niemy
 Legł na śmiertelnej pościeli...

Jedni u masztów, drudzy u rudli,
 Każdy zakostniał, jak skutny,
 Wszyscy zsiniali, bladzi, wychudli,
 W ich oczach ciężkie wyrzuty.

W pośrodku trupów, jak duch sierocy,
 Snuję się jeden i trwożę,
 Jako wędrownik, kiedy wśród nocy
 Zabłądzi w leśne bezdroże,

Pędzi, gdzie wie dzie przecucie wieszce,
 A zbójcy lecą tuż za nim...
 Straszno iść naprzód, lecz straszniej jeszcze,
 Kiedy się cofniem lub staniam.

Lecz oto słońce nietyle skwarzy,
 Wietrzyk zadmuchał dokoła;
 Czułem, jak gdyby po mojej twarzy
 Musnęło skrzydło anioła.

A bieg nasz równy i jednakowy
 Po nad ciemnymi odmęty;
 Jakby po gładkiej szybie lodowej
 Ślizgał się okręt popchnięty.

A tu sny piękne, a tu sny świeże
 Igrają z memi oczyma:
 Widzę z daleka ziemne wybrzeże,
 Latarnia morska przystani strzeże—
 To moja ziemia rodzima!

Oto kościółka dzwonnica stara,
 Tam moja chatka na smudze...
 Boże mój, Boże! jeśli to mara,
 Niechaj się nigdy nie zbudzę!

To nasza przystań—o jak tu pięknie!
 Na brzegu bawią się dzieci.
 Oto się zaraz chmurka rozpęknie,
 A księżyc widniej zaświeci.

Zaświecił księżyc—o góry mojej!
 Jak rozjaśnacie swe czoła!
 Jak cudnie biją światłek roje
 W wieże naszego kościoła!

W rodzinnym porcie, u krańca głębi
 Sama stanęła fregata,
 A z ciał nieżywych, jak rój gołębi
 Duch ku niebiosom ulata.

A każda dusza jasna, gwiazdzista,
 Przy każdój Pańscy anieli,
 Ręce na piersiach, twarz uroczysta,
 Znaczno, że w Panu posnęli.

O! nie wypowiem, jak było błogol
 Już mi sen powiek nie klei,
 Piersi uczuły, że wytchnąć mogą,
 Dusza, zabójczą miotana trwogą,
 Znowu odżyła w nadziei.

Jenom się lękał, że mara słodka
 Znowu w kraj senny uciecze...
 Lecz oto widzę: podpływa łódka,
 Na niój postaci człowiecze.

Gdy dusza świętą radością pała,
 Drżąc, że się ze snu obudzi,
 Podpływa łódka—pędzi jak strzała,
 A na niój siedzi trzech ludzi.

Młody parobczak wiosłem zajęty,
 Przy nim dwaj siedzą starcowie:
 Rybak... a drugi pustelnik święty,
 Bo naród świętym go zowie.

Znam jego postać, znają sąsiedzi:
 Mieszka w dolinie pod wioską,
 Naucza wiary, słucha spowiedzi,
 Wlewa pociechę ojcowską.

O! szczęście, szczęście Bóg mi nadarzał!
 Starzec odpuści me winy,
 On zdoła obmyć ręce zbrodniarza
 Ze krwi niewinnój ptaszyny.

VII.

„Klecona z chróstu, samotna i dzika,
Do skał przyparta chata pustelnika.
On w dzień, pracując, Najwyższego chwali,
W nocy mu dosyć kamyka pod głowę.

Lecz oto wiosła pluchocą w oddali,
I słyhać cichą rybaków rozmowę:
— „Gdzie się podziały te świetlane smugi,
„Którymi była zatoka okryta?“
— „To dziwne rzeczy! — odpowie głos drugi—
„Że z téj fregaty nikt nas nie powita!“
— „Patrzaj, jak żagiel na masztach opada,
„A liny głucho skrzypią na żelazie;
„Czyżby to cała wymarła osada,
„A okręt samych nieboszczyków wiezie?
— „Strach mi! aż włosy jeżą się na głowie!
„Drżącemi dłońmi nie utrzymam wiosła!“
— „Bóg z tobą, starcze! — pustelnik odpowie—
„Opatrzność Pańska tutaj nas przyniosła.“

*

*

*

Łódka podpływa... wtém—słyszę... o biada!
Rozległ się łoskot i huk tak ponury,
Jakby się piekiel zatrzęsła posada,
Jakby sto gromów uderzyło z chmury,
I... na dno morskie fregata się spuści,
Pożarta wirem bezdennéj czeluści.

VIII.

„Zgłuszon łoskotem, nic nie wiem, nie pomnę,
Jakem się ocknął na rybackiej łodzi;

W koło spojrzenie rzucam nieprzytomne:
 Łódka wiruje po szumnej powodzi,
 Nad którą jeszcze świeża piana lata,
 Gdzie zatoneła nieszczęsna fregata!

Chwyciłem wiosło i całemi siły
 Grzmocę po fali—łódź żwawiej umyka.
 Oczy rybaków na mnie się zwróciły,
 Widziałem przestрах w twarzy pustelnika.

— „Kto to? mój ojczel! — spyta rybak młody—
 „Czy trup? czy szatan, co w piekło zabierze?“
 Nawet pustelnik struchlał siwobrody,
 Ruszał ustami, snadź mówił pacierze.
 A łódka żwawo płynie po zatoce,
 Ja silném wiosłem po odmętach grzmocę.

Łódź przyplęnęła, pierś wolniej oddycha
 Powietrzem lądu, gdzie rzeźwo i chłodno.
 — „Poczekaj, ojczel! — jęknąłem do mnicha,—
 „Wysłuchaj spowiedź grzesznika niegodną.
 „Niechaj cię moja pokuta poruszy:
 „Daj rozgrzeszenie, daj spokój méj duszy!“

— „Powiedz, kto jesteś, o synu pokuty?“
 Spytał mię starzec, pobłogosławiwszy.
 Jam zbrodni mojej dał obraz najżywszy,
 Skreśliłem wszystkie sumienia wyrzuty,
 I otworzyłem duszę aż do głębi,
 Wyznałem rozpacz, co mi serce gnębi.

A głos mój drżący, a mowa się miesza,
 Coś tłoczy piersi z niepojętą siłą;
 Gdym skończył mówić, kiedy mnich rozgrzesza,
 Tchnąłem swobodniej, i lepiej mi było.

Odtąd mię krzepi modlitwa i praca,
Lecz znów do serca tęsknota powraca.

Gdy boleść serce naciśnie ołowiem,
Idę, zaczepiam przechodniów na drodze,
Wyrzuty serca po trochu łagodzę,
Gdy komukolwiek me dzieje opowiem.
Zgaduję z twarzy litościwych ludzi,
W kim moja spowiedź współzucie obudzi.

Czy słyszysz, gościu, weselne rozgwary?
Ogród się pieśnią i tańcem ożywi,
I piją zdrowie zaślubionój pary,—
Jakże tam ludzie muszą być szczęśliwi!
Słyszysz jęk dzwonu? on mi przypomina,
Że już wieczornój modlitwy godzina.

Niechaj ucztują weseli i zdrowi,
Dla mnie rzewniejsze i słodsze wesele,
Gdy się spowiadam dobremu człękowi,
Lub gdy się z ludźmi pomodłę w kościele.
Tu widzę Boga w litosnej postaci,
Tu jestem bratem chrześcijański braci.

Rzewniej się modłę, goręcój zapłaczę,
Współ z drugimi gdy w kościele klęczę,
Gdzie przy nędzarzach modlą się bogacze,
Gdzie orszak starców i roje młodzieńcze,
A wszyscy równi: bo równe ich prawa,
Gdy dziatwa ojca wspólnego wyznawa.“—

Wstał, bo modlitwy nadeszła już chwila,
A w oczach jego świtał spokój ducha.
Gość się zadumał i głowę pochyła,
Tak go zajęła przygoda, co słucha.

Rozważył w duszy każde starca słowo
I już nie poszedł na ucztę godową.

Dziwna mu w myślach toczyła się wojna,
Jakby na głowę wziął ciężar nad siły.
Cała noc jego była niespokojna,
Bo się sny dziwne i straszne roily;
Lecz gdy się głowa uspokaja chora,
Ocknął się lepszym i mędrszym niż wczora.

1855. *Borejkwoszczyzna.*

PTAKI WĘDROWNE.

(Myśl ze Stagnelius'a).

Widzisz ten ptaków rój niezliczony,
Który porzuca północne strony,
Leci, gdzie wzywa nieznana sfera,
I smutnym krzykiem wiatry rozdziera:
„Gdzie nas posyłasz, o dobry Boże!
„Na jakie brzegi, za jakie morze?

„Kraj skandynawski rzucamy w dali,
„Tuśmy zrodzeni, tu byli mali,
„Mieliśmy guiazdka w kwitnącej lipie,
„Wiatr nas bywało kwieciami osypie,
„Huśta w gałązkach, — dzisiaj od zimy
„W strony nieznane lecieć musimy.

„W lasach północnych noc tak wspaniała,
„Że do snu nawet chętką nie brała,
„Że od zamierzchu aż do jutrzeńki
„Drżały w powietrzu nasze piosenki,

„Drżały piosenki naszych rozkoszy,
„Póki ich ostre słońce nie spłoszy.

„Bywało z bujnych konarów drzewa
„Hojnie na trawę rosa się zlewa;
„Dziś dąb bez liści, rosy zakrzepły,
„Uciekł przed wiatrem nasz wietrzyk ciepły,
„Złocisty kwiatek już nie wykwita,
„Trawka zielona śniegiem pokryta.

„Dziś nas północne lęka powietrze,
„Niebo chmurniejsze, słońce tu bledsze;
„Co mamy śpiewać? co tu wygwarzym,
„Kiedy kraj cały został cmentarzem?
„Bóg nam dał skrzydła, ulećmy w stronę...
„Witajcie, morskie fale wzburzone!“

Tak pożegnawszy północ zamarłą,
Ptactwo do lepszych brzegów dotarło,
Kędy po wiązach bujna a młoda
Wije łodygę winna jagoda,
Gdzie w kwiatkach strumyk brzęczy z kolei
Piosnkę radości, piosnkę nadziei.

Gdy radość ziemską w smutek się zmieni,
Gdy poczną jęczeć wichry jesieni,
Nie bolój, duszo! Tam za morzami
Piękniejsza strona ciebie przymami,
Tam, po za grobem, wiośniana krasa,
Poranne słońce nigdy nie zgasa.

1855. Załucze.

PIEŚŃ RYCERZA NORWEZKIEGO HAROLDA

do Elżbiety, córki Jarosława, ks. kijowskiego.

Na lekkich łodziach, zakuci w zbroi,
 Wzięli Sycylię bojacy moi.
 Piękne wspomnienia dni pięknej chwały!
 Czarny mój okręt biegł po topieli,
 Silnie po falach wiosła grzmotały,
 A mężni ludzie na nim siedzieli.
 Gdzie kipią boje, gdzie szczęk oręża,
 Tam szukam szczęścia, tam je znachodzę;
 Ale niezawsze chrobry zwycięża:
 Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Zwracałem niegdyś mój zapal młody
 Na Drottenheimu bitne narody;
 A liczni byli nieprzyjaciele,
 A krew potokiem biegła po drodze, —
 Młodego króla już trupem ściele...
 Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Raz my w szesnastu płyniem na łodzi, —
 Kiedy straszliwa burza nadchodzi —
 Łódź nam zalała fala topieli,
 Lecz służy szczęście naszój załodze:
 Wodę wyleli i ocaleli...
 Piękna Rusinka gardzi mną srodze!

Czegoż potrzeba do mojej chwały?
 Jam w bitwie chrobry, jeździec wytrwały,
 Ślizgawka w łyżwach moje rzemiosło,
 Oszczepem trafnie do celu godzę,

Ja pływam lekko, znam jak brać wiosło...
Piękna Rusinka gardzi mną srodzel

Czy moje czyny nieznane od niej,
Jakem bojował w stronie zachodniej,
Jakiem tam bitwy wygrał niezłomnie,
Z jakimi plony ztamtąd odchodzę,
Jakie pamiątki zostały po mnie? —
Piękna Rusinka gardzi mną srodze.

Zrodzony w górnej norweskiej ziemi,
Gdzie słyń z łuków strzały celnemi,
Chciałem spróbować morskiej żeglugi,
Strasznej dla synów skalnych wybrzeży,—
Ocean wszystek szeroki, długi,
Oto mój okręt krokami mierzy.
Byłem, gdzie żaden dotrzeć nie może,
Świat niemieszkalny przebiegłem w drodze;
Lecz cóż mi chwała moja pomoże?
Piękna Rusinka gardzi mną srodzel

1855. Wilno.

BABUNIA.

Z Andersen'a.

URYWEK.

Nasza babunia stara, pomarszczona, siwa,
Ale oczy jój blaskiem migocą się jeszcze,
I piękne historyjki z pamięci dobywa.
Jój suknia w duże kwiaty jak nowa szeleszcze.
Babunia wiele umie i wiele pamięta,
Bo gdzie starsza od ojca i od naszej matki!
U babuni jest książka do modlitwy świętej,
A w téj książce dębowe z kłamrami okładki.

Między kartami książki, zerwana za młodu,
 Spłaszczona, zeschnęła róża troskliwie się chowa,
 Nie tak piękna, nie świeża, jak róże z ogrodu,
 Lecz, widząc ją, babunia zapłakać gotowa.
 Po cóż nasza babunia tak starannie strzeże
 W książce od nabożeństwa kwiat żółkły nieładnie?
 Czemu, gdy na tej książce odmawia pacierze,
 A na zawiedły kwiatek jój łezka upadnie,
 Kwiat odzyskuje barwę, nabiera swój woni,
 Twarz babuni młodnieje, rumieni się, bieli,
 Słońce ją opromienia, uśmiecha się do niej,
 W domku poweselało i w sercu weselój?
 Ot... młodnieje, młodnieje, rzekłbyś dziewczę hoże,
 Ze światłemi włoskami, krasnemi jagody,
 I kwiatek z sianożęci być świeższym nie może.
 Mniema, że przy niej siedzi narzeczony młody,
 On jój darował różę, ona się uśmiecha,
 Z tym niewinnym uśmiechem, jak dziecku, jój ładnie.
 Odjechał — tysiąc dumań przedumała z cicha.
 W książkę do nabożeństwa znów swą różę kładnie,
 Zasiada w staroświeckie krzesło na ostatek,
 Twarz jój się znów pomarszcza, oko już nie pała,
 Jeszcze raz popatrzała na zawiedły kwiatek,
 Książka jój z rąk wypadła — babunia skonała.

1860. Wilno.

GWARINOS.

Stara hiszpańska ballada.

I.

Ej, Francuzi! czyż nie boli
 Roncewalska was przegrana?

Padli trupem lub w niewoli
 Bohatery Karlomana...

I Gwarinos stracił wieńce
 Dawnych zwycięstw skroni mężkich,
 Dzień potyczki dał go w ręce
 Siedmiu królów saraceńskich.

Kość rzucili siedem razy,
 A los jedno wciąż stanowi:
 I Gwarinos siedem razy
 Przysądzony Marlotowi.

Król z radością jeńca bierze,
 Bo on droższy mu od złota.
 — „Słuchaj — mówi — słów Marlota,
 „Chrześcijański bohaterze!

„Zrzuć z twych piersi krzyż ten słaby,
 „Przyjmij świętą cześć proroka,
 „Będziesz wodzem nad Araby
 „I żrenicą mego oka.

„Dam ci skarby niezliczone,
 „Odziedziczysz tron mój w spadku,
 „Jedną córkę bierz za żonę,
 „Drugą oddam ci w dodatku.“

— „Cześć ci, królu, za twe słowa,
 „Za twe łaski, za twe dary;
 „Lecz niech Chrystus mię uchowa
 „Od przyjęcia twojej wiary!

„Nie chcę żony, łask, nadziei,
 „Nie chcę Maurów wieść na boje;

„Z tamtéj strony Pirenei
 „Król, kochanka, wszystko moje...”

Złość okrutna wstrzęsła Maura...
 — „Gardzisz złotem, szczęściem, władzą!
 „Niech mi zaraz tego giaura
 „Do więzienia zaprowadzą!

„W najstraszniejszy loch pokuty
 „Niech zawiedzie go odźwierny!
 „W sześć łańcuchów mocno skuty,
 „Niechaj gnije pies niewierny.

„A gdy święte dni nadbiegą,
 „Zwołać trąbą naród mnogi,
 „I gdzie ulic cztery drogi,
 „Smagać do krwi niegodnego!...”

II.

Płyną lata!... on w ciemnicy.
 Przyszedł dzień świętego Jana,
 Dzień to święty bez różnicy
 Dla Araba i Hiszpana.

Składa modły tłum narodu
 I w meczecie, i w kościele,
 Syn Zachodu i syn Wschodu
 Po ulicach kwiaty ściele.

Król Marlotes siadł w purpurze
 I przygląda się weselu;
 Kazał tarczę przybić w górze,
 Rzucać kopię do celu...

Kilka godzin już igrzyska,
Nikt nie trafił w celu oko;
Każdy Arab włócznię ciska,
Ale meta za wysoko.

Gniew na króla osiadł czole,
Ogień w oku, groźba w mowie,
I straszliwą jego wolę
Ogłaszają heroldowie:

— „Ssać nie mogą niemowlęta,
„Jeść ni pić usta niczyje,
„Póki meta nie jest tknięta,
„Póki tarczy kto nie zbije!“

Powstał w mieście okrzyk dziki,
Aż pod ziemię jęki płyną.

— „Achl co znaczą te okrzyki?“ —
Sam do siebie rzekł Gwarino:

„Czy to radość jakaś żywa?
„Czy się żeni kto z królewną?
„Albo trąba lud przyzywa
„I mnie smagać będą pewno!“

Maur, podziemnych stróż sklepieni,
Rzekł mu na to:— „Jesteś w błędzie,
„Nikt z królewną się nie żeni,
„Ciebie smagać nikt nie będzie.

„Dzisiaj wielkie Janą święto,
„Ciska włócznie młodzież nasza;
„Dotąd celu nie draśnięto,
„A król gniewny tak ogłasza:

„Niech nikt nie je, ani pije,
 „Ani starzy, ani mali,
 „Półki mety kto nie zbije,
 „Półki tarczy nie powali!“

Więc Gwarinos drży tajemno:

— „Ej, strażniku, gdyby zbroja!
 „Gdyby śnieżny koń mój ze mną
 „I stalowa włócznia moja!

„Włócznia, co służyła godnie
 „W Karlomana świętej sprawie!...
 „W zakład głowę moją stawię —
 „Zbilbym tarczę niezawodnie!“

— „Jak to? ufasz twojej ręce?
 „Twojej sile? twemu oku?
 „W tej katuszy inni jeńce
 „Nie przeżyli ani roku...

„Twoją szyję w ciężkiej sforze
 „Siedem lat już łańcuch mula...
 „Chcesz? pobiegnę wraz do króla
 „I żądanie tve przełożę.“

Stróż zatrzasnął stalne wrota,
 Aż zawyła podziem głucha,
 I pośpiesza do Marlota,
 I tak szeptem mu do ucha:

— „Ten Gwarinos, co w sklepisku
 „Siódmy rok w kajdany dzwoni,
 „Chce zbić tarczę na igrzysku,
 „Prosi swego konia, broni.“

Król zakrzyknął:— „On? w téj chwili?

„Jeszcze w lochu nie zgnił marnie?

„Chyba żeście mu szczędzili

„Głodu, więzów i męczarnie?

„Niech tu przyjdzie! hola strażę!

„Dać mu jego strój orężny!

„Gdy go dźwignie, cud pokaże

„Jeden więzień niedołączny!“

Zbroję więźnia rdza przejadła,
 Koń lat siedem piasek woził;
 On, podobny do widziadła,
 Szedł przed króla... okiem groził...

I uzbroił się z pośpiechem,
 Dosiadł konia... przejrzał broni...
 A Marlotes parskał śmiechem:
 — „No! obaczym cud twój dłoni...“

Twarz wybladła i znędzniała
 Wnet się płoni i rozchmurza,
 Więzień ożył... męztwem pała...
 Ruszył w harce, jako burza...

Rumak zadrzał... bo widocznie
 Wspomniał bitwy, poznał pana;
 Więzień silnie cisnął włócznię, —
 Spadła tarcza potrzaskana..

Powstał gwar zazdrosnej wrzawy,
 W górę mieczów błysło wiele;
 Ale miecz Gwarina rdzawy
 Naokoło trupy ściele.

Silnie konia spał ostrogą...
 Stary koń w podkowę dzwoni,
 Maury w pogoń lecą drogą...
 Więzień umknął od pogoni.

Dobiegł Francyi, — tam go szczerze
 Spotkał wiernych tłum wassali,
 Tam go damy i rycerze
 Z uwielbieniem powitali.

1848. Załucze.

GRACZE.

FORMA I MYŚL Z PUSZKINA.

Zasiedli stołem:
 Każdy nad stołem
 Wsparty,
 A każdy w wiście
 Bił zamasyście
 Karty.

I tylko czasem
 Przerwą z hałasem
 Ciszę:
 Każdy na desce,
 Kredą po kresce
 Pisze.

I wiodą spory:
 „Lewy! honory!“
 Krzyczą;
 I znowu w szyki

Trefy i piki
 Liczą.
 Po każdym robrze
 Stuknęli dobrze
 Starki;
 I znów nad stołem
 Zwiesili społem
 Karki.

1846. Załucze.

ORZEŁ.

Z Puszkina.

Za kratą, za lochu grubemi murami,
 Ja orzeł zamknięty, strzeżony, —
 Mój smutny towarzysz, trzepocąc skrzydłami,
 Pod oknem łup krwawy chciwemi rwie szpony.

Rozdziera, pożera i patrzy w loch dziki,
 Jedną myśl, jedną chęć w naszych duszach niecim,
 Przyzywa mnie głosem, przyzywa mnie krzyki,
 I zdaje się mówić: Ulecim! ulecim!

„My ptaki swobodne, już pora, jedyny!
 „Gdzie góry za chmury wierzchołkiem sięgają,
 „Gdzie obce za morzem sinieją krainy,
 „Gdzie wiatr tylko igra i orły bujają!“

1847. Załucze.

LAIK KLASZTORNY.

Z Lermontowa.

Kosztując, skosztowałem.. trochę miodu,
a oto ja umieram.

Księgi Król, I, r. XIV, w. 43.

I.

Kędy Aragwa i Kura, dwie rzeki,
Jakby dwie siostry, na gruzińskiej niwie
Łączą się z sobą i płyną burzliwie,
Był stary klasztor niedawnemi wieki.
I dotąd jeszcze wędrownik postrzeże
Jakieś zwaliska czerniejące z dala,
Cerkiewne ściany, i wysokie wieże,
I szkielet bramy, co w gruz się obala.
Lecz pod sklepieniem cerkiewnej zaciszy
Pieśni na jutrznię już nikt nie posłyszcy,
Już dym kadzidła wśród Pańskiej ofiary
Nie bucha wonnym kłębem z trybularzy;
Jeno pustelnik, dziad siwy i stary,
W pustém zwalisku pozostał na straży.
Starzec już dawno zapomnian od świata,
Śmierć zapomniała wziąć go do mogiły;
A ów z nagrobków staroświeckie pyły
I mech odwieczny otrząsa i zmiata.
A na grobowcach przedstawia się oku
Pamięć i napis chwały ominionej:
Że jakiś mocarz, któregoś tam roku,
Znużon ciężarem swój pańskiej korony,
Oddał ją Rusi...

A Bóg od téj chwili

Błogosławieństwo na Gruzińców spuszcza,
 W cieniu rozkosznych ogrodów odżyli,
 Niestraszna dla nich nieprzyjaciół tłuszcza,
 Bo żyją pewni, że ich zabezpieczy
 Niezlomna ściana przyjacielskich mieczy.

II.

Tędy na Tyflis jednego coś razu
 Jechał wódz ruski od gór Kaukazu,
 Z nim było dziecię zabranę w niewolę.
 W długiej podróży zasłabło pacholę.
 Chłopczyna mały i wątłej natury
 Liczył sześć latek, gdy zapadł w niezdrowie.
 A był lękliwy, jako sarna z góry,
 Cienki i giętki, jak wodne sitowie.
 Lecz w piersiach dziecka w bolesnej chorobie
 Duch jego ojców rozwinął się pięknie:
 Nie budził skargą litości ku sobie,
 Ani się skrzywi, nie płacze, nie jęknie;
 Przeczącym znakiem pokarmy odpycha,
 I kona hardo, dogorywa z cicha.
 Przez litość jeden z monasterynych braci
 Przyjął chorego do zakonnej celi,
 Leczył, doglądał, dni i noce traci;
 Powstało dziecko z śmiertelnej pościeli.
 Lecz w niém do zabaw chętko się nie budzi:
 Z początku stroni, ucieka od ludzi,
 Błąka się jeden, słowa nie przemówi,
 I na wysokie pagórki się wspina,
 Tęskni do kraju, gdzie jego rodzina;

Potém do swojej niewoli przywyka,
 Uczy się dźwięków cudzego języka,
 Chrzczi się, powolny zakonniczym radom,
 I tak się wgłębia w klasztorne zacisze,
 Że w kwiecie wieku, burz ziemskich nieświadom,
 Chciał już wykonać poświęcenie mnisze;
 Gdy jednej nocy w jesiennym tumanie
 Z murów klasztornych zniknął niespodzianie.
 W około były pagórki i skały,
 Na górach puszcza ciągnęła się ciemna;
 Trzy dni, trzy noce mnichy go szukały,
 Ale ślad zginął i praca daremna.
 Nareszcie w stepie, na bezludnej głuszy,
 Znaleźli zbiega prawie już bez duszy.
 Znów pod sklepienie ciemnych korytarzy
 Wnieśli młodzieńca miłosierni ludzie.
 Trupią miał bladość na znędzniałej twarzy,
 A tak był słaby, jak po ciężkim trudzie,
 Jakby po głodzie lub długiej chorobie.
 Codziem pierś słabsza i twarz bardziej blada,
 Na zapytania nic nie odpowiada;
 Snadź mu już rychło zasklepić się w grobie.
 Wtedy mnich przyszedł nad boleści łoże
 Spełnić nad chorym tajemnice boże.
 Chory wysłuchał modły i namowę,
 A choć bezsilny, zaledwie oddycha,
 Podniósł z posłania swoją hardą głowę
 I słabym głosem tak mówił do mnicha:

III.

— „Mojój spowiedzi, posłanniku boży,
 Przyszedłeś słuchać—dobra twoja rada:

Jakoś lżej sercu, kiedy się otworzy,
 Gdy przed kimkolwiek swą boleść wygada.
 Dziękuję... słuchaj... lecz żyjąc na świecie,
 Chodziłem z ludźmi drogą nieobłudną,
 Z życia niewiele czego się dowiecie,
 A całej duszy wygadać za trudno.
 Ja krótko żyłem, w niewoli, w klasztorze,
 A takie życie to pożal się Boże!
 Dwa takie życia spokojne, za kratą,
 Dałbym za jedno życie pełne wrażeń.
 Nie miałem uczuć—oprócz sennych marzeń,—
 Jedną namiętność—lecz ognistą za to:
 Zawładła sercem—jój zabójcza siła
 Wgryzła się w piersi—i duszę spaliła.
 Ona, gdy w celi modłę się do Boga,
 W oczach i myślach stawi i promieni
 Zamglone góry, kędy rzeź i trwoga,
 Gdzie ludzie wolni, jak orły w przestrzeni.
 Jam tę namiętność, co dziś w sercu noszę,
 Karmił tęsknotą i łzami gorzkiemi;
 Mówię to w obec i niebios, i ziemi,
 I przebaczenia za mój grzech nie proszę.

IV.

„Starcze! słyszałem, żeś mi zbawił życie;
 Po coś to czynił?—by trzymać w uwięzi?
 Liść z macierzystej oderwan gałęzi
 Dla czego jeszcze do ziemi szczepicie?
 Co miało uschnąć, niech marnie usycha
 Raczej, niż z wolna ma zawiędnąć w głuszy!
 Ocalić dziecię i skazać na mnicha,
 Czyż to nie znaczy zabić je na duszy?

Nikogo tutaj nie mogłem, nikogo
 Nazywać ojcem albo matką drogą,
 Sądziłeś, starcze, że wśród obcej strony
 I niedostępnej celi pustelnika
 Człowiek od świętych wyrazów odwyka,
 Zapomni uczuć, z którymi zrodzony...
 Próżno! bom widział, jako drudzy mieli
 Krewnych, ojczyznę, domowy zakątek;
 Jam nie miał nawet—grobowych pamiątek,
 Z którymi serce bliżej się podzielił
 Więc zaniechawszy płakać bezkorzystnie,
 Przysiągłem sobie w głębi mego łona,
 Że pierś samotna, tęskna, rozogniona,
 Do bratniej piersi kiedyś się przyciśnie...
 Choćby do piersi nieznanego człeka,
 Byleby rodem z daleka... z daleka,
 Gdzie moja ziemia, rodzice i bliźnie...
 Biada mi! biada!—urojenie znika,
 Umrę, jak żyłem na cudzej ojczyźnie,
 Jako sierota—w pętach niewolnika.

V.

„Myślisz, że może przez bojaźń niegodną
 Lękam się trumny—ej, baśnie to, baśnie!
 Tam uroczyście, spokojnie i chłodno,
 Tam—ludzie mówią, że cierpienie zaśnie.
 Lecz moje serce... lecz krew moja młoda—
 Nie chcę umierać—bo mi życia szkoda!
 Wir młodych marzeń szalony, skrzydlaty,
 Którymi dusza tak żywo przejęta...
 Możesz ich nie znać? lub zapomniał z laty,
 Co jest nienawiść? co jest miłość święta?

Możesz z wysokości monasterskiej wieży
 Zadrzał, patrząc na słońca oblicze,
 Na widok pola, kędy wietrzyk świeży
 Orzeźwił twoje piersi zakonnicze?
 Widziałeś może w potrzaskanym murze,
 Jak młody gołąb, cudzy i nieznany,
 Z dalekiej strony zapędzon przez burze,
 Trzepiąc w skrzydełka tuli się do ściany?
 To cóż, że świata rozkoszne powaby
 Dziś twego serca skrępełego nie wruszą?
 Ty dzisiaj siwy, zgrzybiały i słaby
 Odwykłeś pragnąć i pożądać duszą.
 To cóż, żeś martwy?—lecz żyłeś na świecie,
 Masz coś pamiętać, coś zapomnieć przecię...
 I ja żyć mogłem—a umieram w kwiecie.

VI.

„Ty chciałbyś wiedzieć me wrażenia młode,
 Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę:
 Widziałem niwę szeroką, wesołą,
 Widziałem góry, a na górach drzewa,
 Co się zebrawszy w przyjacielskie koło,
 Szumią pieśń bratnią, kiedy wiatr powiewa.
 Widziałem czarną, chropowatą skałę,
 Co wrzący potok rozerwał na dwoje—
 Czy wierzysz, starcze, że marzenia moje
 Odgadły smutki i myśli jej całe?
 Bóg mi objawił ich tajemię z wysoka,
 Całą ich żądzę i modlitwę biedną:
 Oto rozdarta na dwoje opoka
 Złaćby się chciała i zespolić w jedno.
 Tęskne kamienie na każdym urwisku

Podają sobie ręce do uścisku.
 Płyną dni, lata,—lecz z dwojga wybrzeży
 Skala ze skałą nigdy się nie zbieży.
 Widziałem głazy i pieczary górne,
 Dymiące nakształt ofiarnych ołtarzy,
 A pogarbione w kształy tak potworne,
 Jak myśl człowieka, kiedy się rozmarzy.
 A nad ich głową, w rozigranym biegu
 Białe obłoki ciągną się uroczo,
 Z tajemniczego powstawszy noclegu,
 W długich się kłębach ku wschodowi toczą,
 Na siném niebie jakby biała ściana,
 Jakby wędrownych ptasząt karawana.
 Dalej widziałem przez zasłony mgliste
 Gór kaukazkich osiwiłe czoło.
 Tam wpajam oczy... i czuję zaiste,
 Że sercu jakoś lekko i wesoło!...
 Głos tajemniczy wciąż mi przypomina,
 Że to znajoma... znajoma kraina,
 Że ja tam żyłem w ominionój dobie.
 Jak senne widmo, jako mglista baśnia,
 Przeszłość się żywiéj a żywiéj wyjaśnia...
 I tak począłem przypominać sobie.

VII.

„I przypomniałem mego ojca chatę,
 Rodzinny aul, rozrzucony w jarze.
 Zdaje się, słyszę: wąwozy garbate
 Zawrzały życiem w wieczornym rozgwarze;
 W wiosce gromada psów znajomych szczeka,
 Tabun powraca i tętni z daleka,
 A pasterz stado do pośpiechu nagli.

Zdaje się, widzę naszej chaty wniście,
Kędy na dworze staruszkowie smagli
W noc księżycową gwarzą uroczyście;
Czytać odwagę na zgrzybiałym licu,
Pochwy kindżałów błyszczą przy księżycu.
Wszystko to, wszystko, jakby senne dziwy,
Snuje się w mojej wyobraźni świeżej...
I widzę ojca, bohater, jak żywy,
Zbliża się do mnie w bojowej odzieży;
Błyszczy wspaniale jego strzelba długa,
Brzęczy na piersiach dróciana koleczuga,
A harde oko iskrami się żarzy.
Widzę drużynę, memu sercu blizką:
Siostry ze słodkim uśmiechem na twarzy
Śpiewają pieśni nad moją kołyską.
A tam się kręcił i spadał z opoki
Strumień gwałtowny, ale niegłęboki.
Tam z piaskiem żółtym i czystym, jak złoto,
Chodzę bywało bawić się w południe;
Śledzę, jak czarne jaskółki przed słotą
Po nad strumykiem przelatują cudnie;
Jak się ptaszyna nad wodą kołysza,
Szybkuje lotem—że aż piersi zmoczy...
I znowu widzę, nasza chatka cicha,
A w chacie ogień pali się uroczy.
A przy ognisku o wieczornej chwili
Słyszę rozhovor i piosenki wieszczę:
Co to bywało? jak to ludzie żyli?
Kiedy świat stary dzielniejszy był jeszcze.

VIII.

„Ty chciałbyś wiedzieć, jako czas mój wiode,
 Gdym się nareszcie wyrwał na swobodę:
 Ja trzy dni—żyłem... i trzech dni to dzieło,
 Żem poznał świata pięknego powaby;
 Bez nichby życie smutniej upłynęło,
 Niż twoja starość, samotniku słaby!
 Dawno już, dawno mój zamiar się tworzy
 Wybiedz, obaczyć, czy piękny świat boży?
 W czas grzmiącej burzy zręczność się nadarza:
 Kiedy noc czarna zdawała się piekłem,
 Gdyście leżeli w cerkwi u ołtarza,
 Modląc się trwożnie, ja wtedy uciekłem.
 Czułem, że żyję--na braterskie łono
 Chciałbym przytulić chmurę rozognioną:
 Śledziłem drogi tajemniczej chmury,
 By złowić piorun, wyciągałem pięście...
 Powiedz mi, starcze: wasz klasztor ponury
 Czémby mi takie wynagrodził szczęście,
 Gdy się zespoli przyjaznym łańcuchem
 Szalona burza z niespokojnym duchem?

IX.

„I biegłem... biegłem... lecz dokąd, sam nie wiem;
 Ani mi gwiazdka życzliwém żarzewiem
 Dróg nie oświeca, nieba nie ozłoci.
 Byłem czémś lekkim, wesolém, skrzydlatém,
 Gdy pierś, schorzała w klasztornej wilgoci,
 Mogła się poić leśnym aromatem.
 Biegłem... czy długo? i dokąd? nie zgadnę.
 Ustałem—bieg mój obezsilniał rychły.

Słucham,—i w trawę wysoką się kładnę,
 Nikt mnie nie goni—grzmoty już ucichły;
 Tylko jutrzienka szeroko i długo
 Błądą na wschodzie rozciąga się smugą,
 Tylko przy brzasku świeżego poranka,
 Z pomiędzy ziemi i nieba sklepiska,
 Jak czarne zęby, jak wzorzysta tkanka,
 Widnieją góry z daleka i z bliska.
 Ja w trawie leżę—a rozkosz jedyna
 Słuchać, jak szakal odzywa się dziki,
 Patrząc, jak z zielska błyszcząca gadzina,
 Sycząc, przepelza pomiędzy kamyki.
 Patrzę i słucham—lecz strach mię nie bierze,
 Bo wiodę z niemi wspólne obyczaje:
 Sam jak gadzina, sam jak dzikie zwierzę,
 Obcy dla świata, czolgam się i czaję.

X.

„Pode mną potok, wezbrany w ulewie,
 Szumiał, warkotał i bił się o skały,
 Jakby sto głosów w nieprzyjaznym gniewie
 Słowa złorzeczeń i groźby miotały.
 Ja zrozumiałem te potoku świsty
 I jego walkę ze stosem kamieni,—
 Bój niedołączny, a jednak wieczysty,
 To srogo ryknie, to się w jęk zamieni;
 Choć się rozpryska i ginie w swój pianie,
 Tłuc i podmywać skały nie przestanie.
 A już we mglistej nad mą głową chmurze
 Chór rannych ptasząt szczebioce i śpiewa,
 Błysnęła jutrznia w złocie i purpurze,
 I wiatr w przemokłe zaszeleścił drzewa,

Jam witał dzionek wśród wysokiej trawy,
 Podniosłem głowę, spojrzalem do koła...
 I po co taić?—zadrzałem z obawy.
 Jam był nad brzegiem straszliwej czeluści,
 W niej czarne fale szumiały okropnie,
 Po skałach wejście; lecz któż się tam spuści?
 Jeden snadź szatan przechodził te stopnie,
 Gdy walczył z Bogiem, gdy go boża siła
 Z niebios w podziemne przepaści strąciła.

XI.

„W koło zapuszczam wzrok cichy, młodzieńczy:
 Kwitnie las, piękny jakby ogród boży,
 Liście migocą kolorami tęczy,
 Którą na rosie blask słoneczny tworzy.
 Owdzie latorośl kędzierzawa wina
 Po blizkich drzewach wije się i wspina.
 Gałąź, w zielone ustrojona liście
 I winogronem soczystém bogata,
 Ku samej ziemi zwisa uroczyście
 I nęci ptactwo, co na żer przylata.
 Czułem, że w raju, że w niebiosach jestem;
 Padłem na ziemię—słuch natężam cały
 Ku drzewom, krzakom, co z cichym szelestem
 Coś tajemniczo szeptać się zdawały,
 Jak gdyby gwarząc wyrazy dziwnemi
 O tajemnicach niebiosów i ziemi.
 Wszystko się Panu na modlitwę sili,
 Gdzie jeno oko, gdzie ucho otworzę.
 Tylko, niestety! w uroczystej chwili
 Głosu człowieka nie stawało w chorze.
 Com jeno marzył, co czułem w téj dobie,

Zbiegło z pamięci, jak woda ze strugi;
 A chciałbym wszystko wypowiedzieć tobie,
 Aby choć myślą odżyć po raz drugi.
 Niebiosa były tak czyste do koła,
 Że mógłbyś na nich śledzić lot anioła.
 Któż tę pogodę lazuru okréśli?
 Ten blask, po ziemi roztoczony cudnie?
 Pasłem urokiem i oczy, i myśli,
 Aż nim nadeszło gorące południe.
 Wtedy, strącony z mych dumań obłoku,
 Czując pragnienie, biegłem do potoku.

XII.

„Ze stroméj góry, jako dziecię małe,
 Czepiąc się krzaków, choć praca mozolna,
 Albo stąpając ze skały na skałę,
 Począłem w przepaść zapuszczać się z wolna.
 I czułem więcéj rozkoszy, niż trwogi,
 Kiedy mi kamień wymknie się z pod nogi,
 I ryje ziemię, i kurzawę nieci,
 I warczy, skacze, nim się na dół spuści;
 Patrzę ciekawie, kiedy już doleci,
 Buchnie z łoskotem do wodnéj czeluści.
 I ja swawolnie wisiałem nad wodą,
 Gdy giętkich krzewów czepiała się ręka;
 Lecz męztwo grzało moją duszę młodą,
 A młoda dusza śmierci się nie lęka.
 Ledwem się spuścił po urwistéj ścianie,
 Świeżość wód górnych orzeźwia mię żywo,
 Wiatr chłodny wionął na moje spotkanie,
 I piłem wodę piersią pożądliwą.
 Wtém głos... i szelest—w pustéj rozpadlinie...

Ja w mgnieniu oka skryłem się w gęstwinie.
 Dreszcz mię przebiegnął od stop aż do głowy,
 Podniosłem w górę bojaźliwe oczy,
 I słucham pilno—to głos ludzkiej mowy...
 Zbliża się... zbliża... dźwięczny i uroczy.
 To głos Gruzinki, żywy, nieuczony,
 Co jeno w słodkie rozlewa się tony,
 Co jakby insze nieznane mu dźwięki,
 Oprócz wyrazów miłości, przyjaźni.
 Był to głos prostej gruzińskiej piosenki,—
 Lecz tak się wpoił do méj wyobraźni,
 Że go aż dotąd, gdy szara godzina,
 Duch niewidomy wciąż mi przypomina.

XIII.

„Z konwią na głowie, po wązkiej drożynie
 Gruzinka z góry szła nad brzeg potoku;
 Zbiegając na dół, gdy się krok powinie,
 Pustą wesołość czytałem w jój oku.
 Sute wyloty swój biednej czamary
 W tył odrzuciwszy, szła lekko i śmiało.
 Jój twarz, jój piersi barwą ogorzałą
 Powlokły słońca upalnego skwary,
 A ogień życia promieni się w twarzy,
 Z jój ust oddycha, na oczach się żarzy;
 A w czarnych oczach taka głąb i siła,
 Tak wznieca miłość gorącą, tajemną,
 Że moje dumki dziecinne spłoszyła.
 Jam zadrzał, zdrętwiał—i co było ze mną,
 Nie wiem... nie pomnę... tylko słuch pamięta,
 Jak brzękła woda konwią zaczerpnięta,
 I szelest kroków... Gdym ochłonął z szału,

Gdy krew ostygła, co mi serce pali,
 Już jój nie było... widziałem z oddali,
 Jak wraca w góry lekko, choć po mału,
 I choć pod konwią schylona jój głowa,
 Wzniosła jak topól, tych lasów królowa.
 Widzę za mgłami dwie chatnie mieściny,
 Jakby przyrosłe do skalistój bryły,
 Jednym się dachem bratersko pokryły;
 Z pod płaskiej strzechy dym sący się siny,
 I w jednej chacie po nad skałą krętą
 Drzwi się otwarły... znowu je zamknięto...
 Lecz czego tęsknię i o czém ja roję,
 Przed tobą, starcze, i mówić daremno;
 Ty nie zrozumiesz... O, wspomnienia moje!
 Niech one raczój umierają ze mną!

XIV.

„Po nocnych trudach sen zamknął mi oczy,
 I Bóg mi cudne marzenia przysyła:
 Widziałem obraz Gruzinki uroczy;
 Znowu pierś moja słodko zatęskniła.
 Chciałem westchnieniem zwalić kamień z siebie,
 Ale się ocknął, wyteżając płuca.
 Noc była jasna, a gwiazdy na niebie,
 Księżyc jużienne łożysko porzuca;
 Za nim widziałem chmurkę tajemniczą,
 Pędzi się, skrada... jakby za zdobyczą.
 Ciemność i cisza władają na ziemi,
 Tylko śnieg błyszczał, co na górach leży,
 I tylko potok takty mierzonymi
 Uderzał silnie o skałę wybrzeży;
 Tylko w znajomój chacie ogień pała,

Iskrzy się... bucha... gaśnie przytajony...
 Chciałbym wejść do niej—lecz dusza nieśmiała,
 Mój cel—uciekać na rodzinne strony.
 Cierpienia głodu przemagam, jak mogę,
 I biegnę prosto, gdzie noga poniesie;
 Ale, po górach miarkując mą drogę,
 Gdym stracił góry, zabłądziłem w lesie.

XV.

„Napróžno moja ręka rozpaczliwa
 Rwie krzaki cierniów i splątanych bluszczy—
 Nic się nie przedrze, nic się nie odkrywa,
 Oprócz głębokiej, wiekuistej puszczy.
 Za każdym krokiem ścieżka mi się wężi;
 Ze strachu nogi chwieją się pode mną,
 Milionem oczu z za każdej gałęzi
 Pogląda na mnie nieprzedarte ciemno.
 Chcę zbadać drogę, czepiam się na drzewa,
 Patrzę daleko... aż do krańców świata:
 Za mną, przede mną, na prawo, na lewo,
 Leśnych wierzchołków powierzchnia zębata.
 Więc krzycząc wściekle, zrozpaczoném czołem
 Padłem na ziemię i gryźć ją począłem.
 Lecz z moich oczu—nawet łzy się leją,
 Spadają bujną i gorącą rosą.
 Możem się krzepił tajemną nadzieją,
 Że ludzie przyjdą, pomoc mi przyniosą?
 O! nie... nie, starcze... ja nie chciałem ludzi,
 Ja, obcy dla nich, jak stepowe zwierzę...
 A gdybym wiedział, że to litość wzbudzi,
 Anibym jęknął,—przysięgam ci szczerze;

A gdybym jęknął, to w téj saméj dobie
Pieszczony język wyrwałbym sam sobie.

XVI.

„Kiedym był dzieckiem, to mnie nie nie
[wzruszy, —

Wszak nie pamiętasz mych łez ni rozpaczy;
A teraz mogłem pofolgować duszy:
Plakałem rzewnie, bo któż mię obaczy?
Las ciemny świadkiem moim był jedynie,
I jasny księżyc, co po niebie płynie.
Przedemną była polanka wśród dziczy,
Drzew niebotycznych ogrodzona ścianą;
Nieco oświecił księżyc tajemniczy
Jój ziemię, piaskiem i mchem zasypaną.
Cień po niej mignął... z daleka coś błyska,
Jakby dwie iskry, jakby dwa ogniska:
Straszny rosomak wyskoczył z gęstwini,
Tarza się w piasku... niegłodzien już pono,
Bo wesół mruczy i zabawkę czyni,
Trzymając w paszczy kość niedogryzioną;
To włos najeży, to znowu podskoczy,
To wlepią w księżyc swoje krwawe oczy.
Ja, kij sękaty ujawszy jak włócznię,
Czekam, by mężném postawić się czołem;
Krew moich przodków zadrgała widocznie...
Gorącej bitwy i krwi zapragnąłem!
Choć życie moje niedołącznie płynie,
Lecz się pasując ze zwierzęciem dzikiém,
Poczułem, starcze, żem w ojców krainie
Mógł nieostatnim zostać bojownikiem.

XVII.

„Czekam... rosomak zawietrzył po niwie,
 I odkrył wroga, i zawył płacziwie,
 I ryje piasek gniewnemi pazury,
 I krwawém okiem iskrzy nieprzytomnie;
 Przyległ do ziemi, podniósł się do góry,
 I znowu przyległ, i poskoczył do mnie.
 I jużbym zginął, lecz przytomność skora
 Uprzedza wroga: zwawe ręce moje,
 Mój kij sękaty, jak ostrze topora,
 Łeb napastniczy roztrzaskał na dwoje...
 Jęknął jak człowiek... i padł—lecz za chwilę,
 Choć zakrwawiony i z rozbitą głową,
 Zwierz powstał, skoczył, i wznosił się na sile,
 I bój śmiertelny zakipiał na nowo.

XVIII.

„Padł mi na piersi, ale mu do pyska
 Wpycham mój oszczep i przebijam gardło.
 Rzucił się, zawył... i nigdy w uścisku
 Dwóch się przyjaciół tak szczerze nie zwarło,
 Jakaśmy z wrogiem, obadwaj zajadli,
 Walcząc w ciemności, na ziemię upadli,
 Ja straszny byłem w morderczym zapasie,
 Jakby rosomak dziki i zawzięty,
 Gryzłem, piszczalem, jakby wilczę zda się,
 Wyhodowane z wilczemi szczeniętą.
 I głos zwierzęcy na puszczy jałowój
 Wstąpił w me piersi—tak straszliwie wrzeszczę,
 Zda się, że ludzkiej nie umiałem mowy,
 Żem jój nie słyszał od kolebki jeszcze.

Lecz wróg mój słabnie, choć rzuca się do mnie...
 Oddycha wolniej... walczy nieprzytomnie...
 Zdławił mię jeszcze... przytłoczył ogromem
 I raz się zachwiał — i na nowo ożył...
 Groźnie zabłysnął okiem nieruchomém...
 Potém je zamknął i już nie otworzył...
 Lecz chobrze walczył i mężnie umiera,
 Jako przystało na zgon bohatera.

XIX.

„Czy widzisz ślady? patrz na piersi mojej!
 Ta rana świadczy o zwierzęcej sile:
 Szarpnięcie krwawe — ale to w mogile,
 W surowej ziemi, łącno się zagoi.
 Śmierć ranę sklepi, jak lekarz, jak matka, —
 O nią pamiętać nie było mi czasu;
 Ja wątlęj siły dobywszy ostatka,
 Wlokłem się w gęstwie niedostępne lasu.
 Daremnie z dolą walczyłem, daremnie!
 Zła moja dola urąga się ze mnie.

XX.

„Wyszedłem z lasu — już dzionek zabłyska,
 Gwiazdy pogasły, wiatr jęknął po ziemi,
 Góralskie chaty i noclegowiska
 Już wybuchnęły dymy porannemi,
 Puszczą szumiała swój rozhovor stary.
 Usiadłem słuchać — i ścichły jój gwary.
 Ciekawém okiem spojrziałem do koła...
 Strona znajoma, czy mi się wydaje?
 Tutaj monaster... nie pojmuję zgoła,
 Jakim sposobem wróciłem w te kraje?

Jakbym chciał uleż przed méj doli władzą,
Wrócić, gdzie znowu w ciemnicy osadzą.
Tylem dni sterał w pustyni i borze,
Tylem przecierpiał, przemarzył radośnie!
Po co to wszystko? aby w życia wiośnie
Wrócić w niewolę, gdzie głowę położyć?
Piersz rozognioną złożyć w grób ponury,
Kiedy ku światu ledwie oczy wznoszę,
Kiedy na łonie swobodnej natury
Zdołałem poznać swobody rozkosze?
Czyż to na zawsze nadzieja mi zginie
I moja tęskna dumka po rodzinie...
Jeszcze nie wierzył, roilem z pociechą,
Że to nieprawda, że to sen mnie straszy,
Że się obudzę, — gdy śpizowe echo,
Jak grom, z dzwonnicy ozwało się waszój.
Obrazy śmierci już mi w oczach stoją,
Ten dzwon już nieraz był torturą moją,
Ten dźwięk bywało moje szczęście płoszy:
Oczy dziecinne gdy do snu zasklepię,
Marzę o braciach i w błogiej rozkoszy
Hasam w swobodnym macierzystym stepie,
Lub widzę piękne wśród skał bojowiska,
Gdziem ja zwyciężcą, gdzie mój miecz połyska
Nad wszystkie miecze... Do innego świata
Ten dzwon mię strącał, — i teraz w pomroce
Zda się z méj piersi to echo wylata,
Zda się żelazem ktoś mi w piersi grzmoce,
I jasno prawda stanęła złowroga,
Że do rodziny — zamknięta już droga!

XXI.

„Tak! jam zasłużył na cios, co mię boli:
 Bo weź rumaka ze stepu, z daleka,
 Zdaj go na ręce cudzego człowieka,
 A zwierz potarga trzęzę swój niewoli,
 I zrzuci jeźdźca, otrząśnie się z siodła,
 Puści się cwałem przez błonia, zagony,
 I nie pytając, gdzie droga powiodła,
 Trafi do swoich — na swój step rodzony.
 Ja, niedołączny, cóż ja przed nim znaczę? •
 W mém sercu żądze i tęskne rozpacze,
 Ogień bezsilny, zapal chorowity,
 Igraszka marzeń i upadek duszy,
 Stempel niewoli, na czole wybity,
 Co myśli chrobre smutnemi zagłuszy.
 Jak kwiat, co w murach, od światła z daleka,
 Między kamieñmi i cegły wyrośnie,
 Nie puszcza liści, poblednie żałośnie,
 I ciągle słońca, jak zbawienia, czeka;
 Tymczasem długie, długie dni ubiegły,
 A kwiatek więdnął od ciemna i chłodu,
 Nim ktoś go wyjął z rumowiska cegły
 I między róże zaniósł do ogrodu;
 Zewsząd go życie owionęło nowe,
 Ale na słońca południowym skwarze
 Wkrótce opuścił i liście, i głowę,—
 Spalił się kwiatek, chowany w pieczarze...

XXII.

„I ja... gdym wybiegł za klasztorne wrota,
 I mnie spaliła słoneczna piekota.

Napróżno czoło tuliłem do trawy,
 By mnie przytulić chciała miłosiernie,
 Bo trawa zwiędła — liść szorstki, chropawy
 Wpijał mi w głowę swe kolce i ciernie.
 Nawet od ziemi, gdy do niej przypadnę,
 Czuję gorąco i płomienie zdradne.
 Skała wyziewy zabójczemi bucha,
 Świat snem rozpaczy zasnął nieudolny;
 Choćby dla ulgi, dla pociechy ducha,
 Ozwał się chróściciel albo konik polny,
 Choć gdyby rybka plusnęła w zatoce!
 O, gdzie tam! straszno pośród skał urwiska,
 Po suchym łomie żmija się szamoce,
 Żółtemi pręgi zdradziecko połyska,
 Jak gdyby na nich był napis złowrogi;
 Pełźnie ukradkiem i straszy sykaniem,
 I żółty piasek rozsypując z drogi,
 Wiję się w skrety, przewala się na nim.
 Pieści się, igra... ale jednym razem,
 Gdym ją chciał witać mową przyjacielską,
 Jakby dotknięta gorącym żelazem,
 Rzuca się ukryć w niedostępne zielsko.

XXIII.

„Jasny i cichy był widnokrąg cały:
 Z za mgły... daleko... dwie góry czerniały.
 Jedna z nich dobrze znajoma mi góra:
 Na niej nasz klasztor z basztami i wieże,
 U dołu rzeki Aragwa i Kura,
 Srebrzystém pasmem obwiwszy wybrzeże
 I na swych wyspach podmywając krzaki,
 Biegły wesolo ku mecie jednakięj.

Daleko od nich! — powstać nie masz mocy!
 Wszystko się kręci przed memi oczyma.
 Chciałem zakrzyczeć, zawołać pomocy,
 Lecz w piersiach zaschło, i głosu już niéma,
 Język oniemiał, głowa mi opadła,
 Czulem przedśmiertnej gorączki widziadła.

Zdaje się, leżę próżen opieki
 Na dnie wilgotném głębokiej rzeki,
 A mgła tajemna krąży w oddali,
 Me piersi wieczne pragnienie pali,
 A jak lód zimna i czysta woda
 Leje się z piersi, szeleści, syczy.
 Nie chciałem zasnąć, bo była szkoda
 Takięj rozkoszy, takięj słodczy.
 A nad mém czołem wśród błogięj ciszy
 Fala po fali wciąż się kołysz;
 Przez kryształ wody, przez fali drganie
 Widziałem słońca lubę świtanie.
 Z jego promieńmi rybkom zabawa,
 W świetle igraszkę mają przyjemną;
 A jedna rybka, nad inne żwawa,
 Jakże uprzejmie pieści się ze mną!
 Na nięj się błyszczy złocista łuska,
 Ona me czoło z pieszczotą muska;
 W zielonych oczkach widziałem pewno
 Głęboki smutek i czulość rzewną.
 A miała głosik słodki, człowieczy;
 Dźwięcznięj od srebra, dźwięcznięj od złota,
 Szeptala dziwne, dziwne mi rzeczy!
 To się uciszy, to znów szczebiota:

„Tu, dziecińo, zostań, młoda,
 „A zamieszkaj głębię wodną,
 „Tutaj szczęście, tu swoboda,
 „Tak spokojnie, tak tu chłodno!

„Zbiorę rybek wiele, wiele,
 „Płasać będziem na przemiany,
 „Ja twe oczy rozweselę,
 „Uspokoję duch znękany.

„Zasnij! — miękkie twoje łoże,
 „Przezroczyste twe przykrycie,
 „W pośród marzeń śpij, niebożę,
 „Lata, wieki, całe życie.

„Ty, mój luby, nie wiesz wcale,
 „Że o tobie tylko roję:
 „Kocham, jak swobodną falę,
 „Jako własne życie moje.“

Ja słucham, słucham, wciąż mi się marzy,
 Że do mnie mówi przyroda cała,
 Że dźwięczna fala to samo gwarzy,
 Co mi złocista rybka szeptała.
 Alem odrętwiał: jak pustka głucha,
 Świat boży ściemniał, urwał rozmowę,
 I już w bezsilném znużeniu ducha
 Zamarły moje sny gorączkowe.

XXIV.

„Jakeście zbiega z klasztoru szukali?
 Jak mię znaleźli? i co było dalej?

Ty sam wiesz, starcze. Skończyłem me dzieje;
 Wierz mi lub powiedz, że zmyślam widocznie,
 Mało się troszczę. Nad jedném boleję,
 Że trup mój w ziemi rodzinnej nie spocznie,
 Że smutna powieść męczarni mój duszy
 Tu od kamiennój odbija się ściany,
 Żadnego serca współczuciem nie wzruszy,
 Zginie nieznana — jak i ja nieznanym.

XXV.

„A teraz żegnaj! daj mi rękę, stary!
 Czujesz, jak ogniem moja ręka pała?
 Wiedz, że ten ogień, te straszne pożary
 Ja w mojej piersi tailem od mała.
 Teraz, gdy iskrze żywiołu nie dano,
 Przepała swoją ciemnicę kościaną,
 A wybuchnąwszy w ostatnim pożarze,
 Kiedy śmiertelna pokrzepia go siła,
 Wraca do Boga, co w słusznym wymiarze
 Ludziom cierpienia i spokój przysyła.

XXVI.

„Kiedy ja będę umierał zboląły,
 (Niedlugo, starcze, doczekasz téj chwili),
 Niechby mię wtedy w ogrodzie złożyli,
 Kędy dwa krzewy akacyi białej.
 Jeszcze na gęstą popatrzalbym trawę,
 Gdzie świeży wietrzyk, gdzie liście złotawe
 Igra ze słońcem... Raz ostatni jeszcze
 Niech mię tam niosą z twojego rozkazu,
 Niechaj się dzionkiem słonecznym popieszczę,
 A ztamtąd widzę góry Kaukazu!

A może kraj mój z gór swoich wyżyni
 Znak pożegnalny sierocie uczyni,
 I ze swym wiatrem w tutejsze zacisze
 Przyśle ostatnie pożegnalne słowo;
 Rodzinne słowo przed śmiercią usłyszę,
 I pełnem życiem odetchnę na nowo.
 Pomyślę sobie, że to ludzie moi,
 Że tu przyjaciel, że tu brat mój stoi,
 Liczy ostatnie mego serca bicie,
 Ściera pot zimny, co mi z czoła płynie,
 I głosem cichym, że nie posłyszycie,
 Śpiewa piosenkę o mojej rodzinie...
 Wtedy ja umrę... ja usnę tak błogo,
 Nie przeklinając nikogo... nikogo!..“

Październik, 1852. Załucze.

PRZYJACIEL LUDZKOŚCI.

Myśl z Nekrasowa.

Świat coraz nowój nabiera zalety:
 Naprzykład dzisiaj — już są komitety,
 Gdzie starzec, wdowa, sierota, kaleki
 Liczą na wsparcie, doznają opieki.
 Nawet magnaci już w dzisiejszej chwili
 Dobrą z Paryża modę sprowadzili,
 Bo nie przez druki, radą lub przestrogą,
 Lecz samym czynem wspierają, jak mogą.
 Czy wiesz, mospanie? to pocziwa moda!
 Ale co dawniej — to i mówić szkoda!
 Słuchajcie tylko, bo Pan Bóg mi świadek,
 Że dziwny w życiu raz miałem przypadek.

Niech mię Najwyższy od tego zachowa,
 Abym miał gadać samochwalcze słowa;
 Ale co prawda, to wyznać potrzeba!
 Byłem pocziwym... i nie miałem chleba.
 Mówili wszyscy, że jestem bogaty;
 Intratny urząd... ale bez intraty.
 Dać się przekupić, coś nie spełnić ściśle,
 Aż strach bywało, gdy o tém pomyślę.
 Była drożyzna — żyj tu groszem z miasta!
 Płaca niewielka, a dziatwa podrasta;
 Więc się bez chleba obchodzimy, jak możemy,
 Mając pod strażą magazyn ze zbożem.

Hardy z méj nędzy, prawilem z wysoka,
 Że własność kraju — to źrenica oka,
 Że zbrodniarz tylko z urzędu korzysta,
 Słowem: bluźniłem, jak liberalista.
 Teraz, jak slysze, szczerze czy nieszczerze,
 Taka zasada już cześć nawet bierze;
 Wtedy przekupstwo było wszystkich hasłem —
 Połknąć kubana, to jak chleba z masłem.
 Ludzie mówili: — „Masz rodzinę przecię!
 „Ej, będzie kręto! z torbami pójdziecie!
 „Rzuć, panie bracie, te fochy złowieszczel!“
 A jam nie słuchał, urągał się jeszcze!

Ludzie, zwyczajnie, mściwi i zawzięci,
 Z politowania przyszli do niechęci.
 Poczęto śledzić, a w moim wydziale
 Już się... to, owo, znalazło niedbale.
 Przyszła mi bura, potem druga taka,
 Nareszcie z kwitkiem puszczonego biedaka.
 Tak tedy w jednej ziściło się chwili
 Wszystko, co ludzie pocziwi wróżyli:

Za jednym razem, jakby z deszczem spada
 I głód, i zimno, i przyjaciół zdrada.
 Myśmy zostali, jak żebracy szczerzy,
 Ja sam w rozpacz, dziatwa bez wieczerzy,
 A żona, z nędzą dać nie mogąc rady,
 Klnie moją pychę i brzydkie zasady.
 A ja, bywało, wstaję... gdzie przededniem!
 Troskam się pilno o życiu powszedniem,
 Jak wół pracuję, — wciąż nędza i nędza,
 Grosz, co zarobię, grosza nie dopędza,
 Zdaje się, pękne pod nieszczęścia siłą;
 Bóg mię strzegł tylko, że się nie rozpiło.

Alem na trzeźwo, a wiernie méj cześci,
 Do dna wychylam mój kielich boleści...
 Jak tam bez miejsca, bez chleba, w rozpacz
 Dziesięć lat przeszło? Bóg to wiedzieć raczył!

Kiedy z dnia na dzień nasz byt taki samy,
 Niespodziewanie pismo odbieramy:
 Że naszych nieszczęść skończyła się proba,
 Że jest w stolicy szlachetna osoba,
 Mąż znakomity, jakby anioł nowy,
 Pięknego serca i potężnej głowy,
 Co swoje pióro i umysł bogaty,
 Oddał na korzyść krajowej oświaty,
 Wydał pięć tomów prześlicznych powieści,
 Gdzie wykład nauk fizycznych się mieści,
 Dziełko dostępne, popularne, tanie,
 By elektryczność pojęli włóścianie.

Więc ja to dzieło sprowadzam w zaciszę:
 Jak tam moralnie, jak tam pięknie pisze!

Samego siebie widzę jak na dłoni,
 Moje ubóstwo wstydem mię nie płoni,
 Moje łachmany—to obraz jaskrawy,
 Żem nieprzedajny, że byłem człek prawy;
 Więc chlubna radość w oczach mi jaśnieje:
 Wolnoż mi przecię mieć dobrą nadzieję,
 Gdy ta osoba zacna, znakomita,
 W sercu biedaka tak wyraźnie czyta.

Mówię do żony z radosnemi łzami:
 — „Pan Bóg się wreszcie zlitował nad nami,
 „Zesłał ochrońcę, człeka dobrej woli,
 „Co nasze dzieci od nędzy wyzwoli.
 „Pójdę do niego—tam nasza osłoda:
 „On mię zrozumie, on mi rękę poda!“

Słowom otuchy uwierzyła żona;
 Już nasza dola jakby polepszona,
 A człowiek, w przyszłość wierząc całą siłą,
 Zapomniał biedy, jakby jéj nie było.
 Więc rada w radę... marzenia i plany—
 Ostatni zapas na drogę zebrany,
 Ze trzysta złotych—i otwarta ścieżka.
 Więc rozpytawszy: kto? gdzie i jak mieszka?
 Marsz do stolicy!

Tam mieliśmy krewną,—
 Ta w swoim domu przyjmie nas zapewno;
 Ale z krewnymi sam czart piwo warzy:
 Przyjęła zimno, wstydząc się nędzarzy.
 Więc myślę w duchu: A Bógże tam z tobą!
 Nie chcę się z moją nabijać chudobą;
 A choć nam w serce boleśnie coś bodzie,
 Nająłem numer w zajezdnej gospodzie.

Całą noc bożą, nim słońce zaświeci,
 Modlą się za mnie i żona, i dzieci,
 A ja raniutko do zbawcy wychodzę,
 A serce bije niespokojnie srodze.
 Idę ulicą, i drżący jak listek,
 Myślę, co powiem? jak żywot mój wszystek
 Pokróćce skreślę?

Powiem mu najprościej:

— „Paniel ja ginę z głodu i starości!
 „Mogłem coś zebrać; ale cnotę cenię,
 „Bo wiem, co znaczy i Bóg, i sumienie.
 „Gdy tysiąc potrzeb na głowę się kupi,
 „Myślałem sobie: O głupi ja głupi!
 „Inaczéj myśląc, dziś zebrałbym krocie,
 „I złorzeczyłem mojej własnej cnotcie!
 „Lecz twoje dzieło! twoje złote dzieło!
 „Czystą mi prawdę w oczach rozwinęło:
 „Jam chlubny z siebie... ale żyć niełatwo,
 „Alem ja nędzarz i z żoną, i z dziatwą!
 „Ty, co pojmujesz, jak to serce boli,
 „Szlachetny mężu, ratuj mię w niedoli!“

Rzecz ułożyłem i wchodzę do sali:
 Uprzejmi słudzy już znać o mnie dali.
 Wyszedł mąż zacny, — spojrzalem i drgnąłem,
 Pot mi kroplami wystąpił nad czołem,
 A mowa moja tak rzewna, tak czuła,
 Całkiem się z biednej pamięci wysnuła.
 Jąłem bełkotać ogólniki, frazy,
 Trę głupie czoło i raz, i dwa razy,
 Nic nie przypomnę, Pan Bóg wie, co prawie,
 A wszyscy na mnie patrzą ciekawie.

— „Czego pan żadasz?“ — spytano uprzejmie.
 Lecz znowu przestrach mowę mi odejmie:
 — „Ja żądam... żądam!“... Tutaj myśli nawał,
 Co człowiek marzył, co w życiu doznawał,
 Wszystko, co cierpiał, co ma cierpieć jeszcze,
 Stań się widmem i szpony złowieszcze
 Wpiło do serca... a nogi się słonia...
 Ja, stary głupiec, czoło cisnąc dłonią,
 Ryknąłem płaczem, nie pomnąc, co robię,
 Przy znakomitój a ważnej osobie.

Ten płacz był śmieszny,—na moim mundurze
 Barwa spłowiała i dwie plamy duże;
 Więc dobroczyńca, opiekun ludzkości,
 Że jestem pijak wnioskował najprościej,
 A pokojowiec wziął burę od pana,
 Że tutaj weszła postać podejrzana.
 Chciałem coś mówić, lecz pan tupnął nogą;
 Czulem, że skargi, że łzy nie pomogą!
 Gdybyż przynajmniej użył ręki swojej,
 I raczył wypchnąć sam ze swych podwoi!
 Lecz nawet takićj nie udzielił cześci:
 Gdym się posłonił z wstydu i boleści,
 Przyszli hajducy, a szarpiąc mię srodze,
 Wzięli pod ręce, wlekli po podłodze;
 Gdy się szamocę, gdy wyrrywam ramię,
 Pchnęli ze schodów, żem upadł przy bramie.

Zlany jak wrzątkiem, zhańbion tak dalece,
 Biegłem ulicą, nie pomnąc, gdzie lecę,
 I nóg nie czując... W końcu wiatr zimowy
 Jakoś przytomność wrócił mi do głowy.

Rzucam oczyma na około siebie:
 Tu niosą jakieś mary po pogrzebie,
 Tu na tablicy czytam piwowarnię,
 Tam lwa zobaczyć tłum ludu się garnie,
 Tam cerkiew, cmentarz, rajtszula i szkoła,
 Szpital, wekslarnia i mury kościoła,
 Magazyn mody, drukarnia, a za nią:
 „Tu różne trunki sprzedają się taniol“

Zajdę... czy raczój wstrzymam się na wodzy?..
 Wszedłem... Cóż dalej?... Bracia moi drodzy!
 Już od gawędy zachrypło mi gardło...
 Od lat trzydziestu uczucie zamarło...
 Na co uczucie? dla kogo w tej chwili?...
 Dzieci pijaka ojca opuścili,
 Żona wróciła w swe rodzinne strony,
 Na jej mogile tkwi krzyżyk omszony;
 Choć całe życie nie było w niej złości,
 Klęła przed zgonem świeczniki ludzkości.

Dziwniż to ludzie! o sto mil do koła
 Za dobroczyńców ludzkość ich obwoła,
 Piszą, drukują, o postępie gwarzą;
 Lecz zbliż się do nich, twarz zetknij z ich twarzą,
 Och! jakże na nich zawiedziesz się srogo!
 Pijaka z głodnym rozróżnić nie mogą!

1855. Borejkowszczyzna.

Na Woldze.

(DZIECINNE LATA WALEŻNIKOWA).

Z Nekrasowa.

I.

Psie mój! co ciebie do pośpiechu skłania?
 Skaczesz na piersi, a sierść ci się jeży;
 Dość jeszcze będzie czasu do strzelania...
 Dziwno-ć, zem przyrósł do Wołgi wybrzeży.
 Już od godziny spoglądam na wodę,
 Chmurny, bezwładny, jako głaz na grobie:
 Przyszły mi na myśl moje lata młode,
 Niechże tu w ciszy przypomnę je sobie.

Jestem jak żebrak, który, idąc drogą,
 Jeszcze się waha i sam siebie pyta:
 Tu dom ubogi, tutaj grosz dać mogą,
 Tu dom bogaty, jałmużna sowita.
 Ale stróż domu bogatego człeka
 Nie dał jałmużny, a więc poszedł dalej.
 Jeszcze bogatszy dom widzi z daleka,—
 Ztamtąd go ledwie kijmi nie wygnali.
 Gdy tak przechodził od chaty do chaty,
 W całej go wiosce chybiła jałmużna;
 Co miała przyjąć zasiłek bogaty,
 Wisi u boku jego sakwa prózna.
 Wtedy do chaty ubogiej powraca,
 Co pogardliwie minął w pierwszej chwili.
 Tutaj przynajmniej nie zawiodła praca:
 Skórkę mu chleba suchego rzucili.

Jak pies go schwycił lękliwą paszczką,
I poszedł gryźć go daleko od drogi.

Tak ja, wzgardziwszy, co było pod ręką,
Z młodu rzuciłem rodzicielskie progi,
I nadaremnie byłem wstrzymywany:
Za nic głos braci, lzy matki rześiste,
Daremnie szumiął mój las ukochany,
Że nie masz niebios nad niebo ojczyste,
Nigdzie nie gości taki spokój błogi,
Jak na rodzinnym zagonie lub łące!
Też same słowa przyjaznej przestrogi
Mówiły fale tutejsze, szumiące;
Lecz nie wierzyłem głosom tajemniczym,
Bo mię znudziła rodzicielska strzecha,
Tutejszy spokój, niekupiony niczém,
Wcale się sercu memu nie uśmiecha.

Czy niepotrzebny, z mą chęcią uslužną,
Steralem siły w daremnej fatydze?
Lecz wiem, że życie zabiłem napróżno,
Sam dawnych marzeń przed sobą się wstydzę.
Gorące serce poraniłem srodze,
Straciłem siły w rozprawie najżywszej;
Dziś z pola życia zawstydzony schodzę,
Sobie i bliźnim nic nie uczyniwszy.
Powracam nazad i kołacę z trwogą
Do drzwi, gdzie młodość przepędził ubogą.
Nie wspominajcie nitki marzeń złotój,
Co duch zuchwały wysnuł pokryjomu;
Nie wspominajcie łez głupiej tęsknoty,
Które wylałem, że mi nudno w domu.
Może znajdziecie jakie szczęście stare,
Niechaj wspomnienia czémkolwiek umilę;

W samego siebie gdym utracił wiarę,
Tylko dziecinne nie przykre mi chwile.

II.

Żyłem, jak wielu, w pośród głuchój dziczy,
A wielka rzeka była od nas blisko,
Gdzie czasem kulik na błocie zakrzyczy,
Lub oczeretem zaszumi bagnisko.
Sznurem, łańcuchem, jakieś ptactwo białe
Poważnie sobie siedziało nad rzeką,
Po za wodami spojrzenie wytrwałe
Dostrzegło góry, co gdzieś tam daleko...
Las nieskończony, ciągnął się las siny,
Zasłaniał zachód, gdzie jutrzienka blada,
Gdzie słońce, ziemskie obiegłszy krainy,
Na wypoczynek do snu się układa.

Bojaźń mi była od dziecka nieznana,
Bom wszystkich ludzi uważał za braci,
I nie wierzyłem w obecność szatana,
Który się snuje w widomój postaci.
Raz mi troskliwa piastunka powiada:

— „Nie biegaj w nocy... bo wilków bez liku;
„Nie chodź do sadu, tam czartów gromada
„Po całych nocach hula przy strumyku!“

Tego mi trzeba: ledwie noc nastanie,
Już ja do sadu pobiegłem ochoczy,
Nie iżbym wielce smakował w szatanie,
Ale mi pilno oglądać go w oczy.
Idę odważnie... lecz noc coś się sroży,
Coś mi z pomroki groziło widocznie,
Coś mi się zdało, że cały świat boży
Patrzy, co dziecię bezrozumne pocznie?

Ale też była wyprawa nieskora,
I stygła w sercu żarliwa ochota.
Wróćę do domu, póki jeszcze pora,
Bo szatan może zaciągnąć do błota,
I każe mieszkać na głębinach wody.
Lecz nie zraziły strachy tajemnicze:
Po nad strumieniem igra księżyc młody
I w jego nurtach przegląda oblicze;
W odbiciu wody powisłe nad darnią
Czernieją drzewa w posępnej pomroce;
Ale szatanów, choć szukaj z latarnią,
Żaden nie piśnie, ani zachychoce.
Obszedłem strumień raz, drugi i trzeci,
Ale szatana jak niéma, tak niéma;
Patrzę, w gałęziach może okiem świeci,
Albo się w zielsku wybujałem trzyma?
Gdyby się ukrył z jakiegokolwiek strony,
Czyżbym po rogach nie poznał go właśnie?
Nie masz nikogo... odszedłem zgryziony,
Słuchając jeszcze, że może gdzie szasnie.
Gdym się tak pilnie przypatrywał czartu,
Cała noc boża przeszła nadaremnie.
Lecz gdyby wtedy dla płóchego żartu
Wróg, czy przyjaciół, zakrzyknął nade mną,
Lub gdyby puszczyk, czy sowa obrzydła,
Którą spłoszyłem krokami mojemu,
Nad moją głową zaszumiała w skrzydła; —
Trupaby mego znaleźli na ziemi.
Tak przez gorącą ciekawość dziecinną
Próżne obawy we mnie się tłumili.
Takich walk serce staczać niepowinno,
Bo nazbyt wiele wydzierają siły.

Tak zmarnowawszy cały wiek mój młody,
 Czulem, jak we mnie natura się zmienia:
 Już nie szukając zawad i przeszkody,
 Szedłem spokojnie drogą nawyknienia.
 Ta mię na wszystkie prowadziła strony,
 I nieraz szedłem po bezdrożu dzikiem,
 Aż niewolnikiem człowiek urodzony,
 Znowu na starość został niewolnikiem.

III.

O matko Wołgo! teraz mi wypadło
 Po tylu leciech powitać twe fale.
 Jam się odmienił, a ty jak zwierciadło
 Po dawniejszemu wyglądasz wspaniale,
 Po dawniejszemu długa i szeroka.
 Klasztor na wyspie przechował się jeszcze...
 Łzy młodociane płyną mi do oka,
 I w sercu czuję młodociane dreszcze...
 Po dawniejszemu stary dzwon kołata,
 Wszystko tak samo... a gdzież tamte lata?
 Blizko południe... a słońce tak pała,
 Że stopą w piasku wytrwać niepodobna.
 Zdjęła rybitwów drzemka ociężała,
 Na brzeg się skupia ich drużyna drobna.
 Polne koniki strzekocą na trawie,
 Przepiórka czasem wyszczebioce słowo,
 Ale tak cicho, jak gdyby w obawie,
 Że przerwą Wołgi dumkę południową.
 Bajdak z towarem pomalutku płynie,
 Tam młody flisak szczerze a po prostu
 Stroi zaloty ku pięknej dziewczynie,
 Uciekającą goni wzdłuż pomostu,

I z całej siły pędzi za dziewczicą,
 I głośno krzyczy, poklaskując w dłonie:
 — „Poczekaj tytko!... czekaj, swawolnico!
 „Otoż dogonię... dogonię... dogonię!“
 Ot i dogonił... ujął postać drogą,
 Dźwięknął ognisty całusek nad wodą.
 Nie całowałem tak w życiu nikogo,
 Choć i ja miałem swoją przeszłość młodą.
 Miejskich piękności całunki pieszczono
 Nigdy tak duszy nie upoją błogo.
 Usta rumieńcem krasnym namaszczone
 I dźwięków takich wydobyć nie mogął
 Wśród takich marzeń, czując życie nowe,
 Jam się zapomniał, uniesiony szalem,
 Sen i znużenie obciążęły głowę,
 Wtém koło siebie jęki usłyszałem:
 Orszak bajdacznój czeladzi ponury
 Ciągnie, ku ziemi pochyliwszy głowę;
 Nogi ich grube opasują sznury,
 Zamiast obuwia sandały lipowe.
 Ponuro w uszach jęczały ich słowa,
 Gdy się do pracy naglili wzajemnie;
 Była to, zda się, pieśnia pogrzebowa...
 Młode wspomnienia znów zagrały we mnie.

O Wołgo moja! moja ty kołysko!
 Jak ja cię kocham, jak myślami pieszczę!
 Zaledwo jutrzni zapłonie ognisko,
 Ja się ocykam, gdy wszyscy śpią jeszcze.
 Ledwie bywało na błękitnej fali
 Złotem i różą światelko zaświeci,
 Już mię nad rzeką rodzinną zastali.

Pomagam ciągnąć rybakom ich sieci,
 Lub z rybakami hulam na czółenku,
 Lub na ostrowach z karabina palę.
 Pnąc się po krzakach, sił nie mając w rękę,
 Nieraz na żółty piasek się powalę,
 A podzrucając kamyki po wodzie,
 Śpiewałem piosnkę całą piersi siłą.
 Rzucac téj strony ani mi się śniło:
 Tutaj sądziłem że wiek mój ubieży
 Na żółtym piasku, albo na czółenku.
 Ale uciekłem od Wołgi wybrzeży,
 Od biednych flisów nędzarskiego jęku.
 Dawno go moje nie słyszały uszy,
 Jakby wołania przeszłości dalekiej...
 Och! raz, pamiętam! tak straszy, tak głuszy,
 Żem chciał go zbadać i szedłem wzdłuż rzeki.
 Znużeni flisi w południowej chwili
 Przynieśli kociel, by zgotować strawę;
 Na stosie łomu ogień naniečili
 I taką z sobą prowadzą rozprawę.
 Jeden z nich mówi:--„Ej, doloż ty nasza!
 „Prędkoż my w Niższym staniem Nowogrodzie?
 „Daj Boże dobrnąć na dzień Eliasza,
 „A może zresztą i dopchniemy łodzie.“
 Drugi odpowie:--„Och, jak to niemiło,
 „Gdy w drodze rany rozjątrzać się zaczęł!
 „Gdyby mi tylko ramię się zgoiło,
 „Jak niedźwiedz szlejkę ciągnąłbym bajdaczną!
 „A gdyby jutro umrzeć sobie ładnie,
 „To jeszcze lepiej byłoby dla człeka...“
 Tak mówiąc, na wznak na ziemi się kładnie.
 A jam nie pojął, na co on narzeka.

Ale ów nędzarz, co jęczał daremnie,
 Znekany pracą, złamany chorobą,
 Już nie odstąpił swém widmem ode mnie:
 Oto i teraz widzę go przed sobą.
 Na nim świeciły ubogie łachmany,
 Od wszystkich ludzi wyglądał inaczej,
 Na twarzy widać ból niepokonany,
 A w oczach skarga spokojnej rozpaczy.

Późnym wieczorem do domu przychodzę,
 Czapkę gdzieś w piasku zostawiwszy z głowy,
 A kogom spotkał w domu, czy na drodze,
 Pytam, co znaczą te flisów rozmowy?
 Przez sen bredziłem ranniejsze widziadła...
 „Niechaj cię Pan Bóg trzyma w swój opiece,
 „Zostań!“ — mówiła piastunka wybladła,
 Lecz ja nazajutrz już byłem na rzece.
 I Bóg wie wtedy, co się ze mną stało:
 Rodzinną rzeki nie poznałem zgoła,
 Szedłem po piasku stopą ocieżałą,
 I moja wyspa nie była wesola.
 Nadbrzeżne śpiewy znajomego ptaszka
 Brzmia, jakby nota ostra i fałszywa,
 A ulubiona fal cichych igraszka
 Muzyką wdzięczną już się nie odzywa.
 I ciężki kamień zawalił mi łono,
 I łzy do oczu lunęły nawałem,
 I po raz pierwszy mą rzekę rodzoną
 Rzeką boleści i smutku nazwałem.

Co ja marzyłem wpośród nocnej głuszy,
 Com ja przysięgał w tajemniczój chwili,

Niechaj na wieki zamiera w méj duszy,
 Bo jeszcze ludzie śmiechemby okryli.
 Myśli dziecinne!... gdyście próżna mara,
 Czemu was ludzie zapomnieć nie mogą?
 Czemu wasz wyrzut, jakby zbrodnia stara,
 Nad sercem naszym pastwi się tak srogo?

IV.

Pochmurny flisie, z pochyloną głową!
 Jak niegdyś dzieckiem marzyłem cię we śnie,
 Tak samo teraz widzę cię na nowo:
 Zawsze mi śpiewasz jednostajną pieśnię,
 Zawsześ zaprzężon do swéj ciężkiéj szlei,
 Zawsze na twarzy jakaś bladość chora,
 Zawsze ten samy uśmiech bez nadziei,
 Zawsze... bez końca ta sama pokora.

Przez lat czterdzieści w pocie swego czoła
 Snuł się nad Wołgą po piasków obszarze,
 A umierając, sam nie wiedział zgoła,
 Co swojej dźiatwie w spuściznie przekaże...
 Ani twój ojciec, ni ty, nie myślicie,
 Bajdacznój szlei gdy naciska pęto,
 Czémby na świecie gorsze było życie,
 Gdyby twych cierpień trochę ci ujęto?
 Jako twój ojciec, tą samą koleją
 Bez żadnej wieści ty zejdziesz ze świata,
 I pamięć twoją złe wiatry zawieją,
 Jako na piasku twój ślad się zamiata.
 Dokąd ty dążysz, nieszczęsny człowieku,
 Zakuty w jarzmo, jak więzień w kajdany?

Też same słowa powtarzając z wieku:
 „Raz!... dwa!...“ — posuwasz krok niezmordowany,
 Jęcząc boleśnie: — „Ej biada mi, biada!“
 A głowa twoja w smutny takt opada.

1860. Wilno.

CMENTARZ.

Z Nikitina.

Zgasły promienie jasnego dzionka,
 Po siném niebie księżyc się błąka,
 Wiejski kościółek widać z pomroki,
 A na cmentarzu spokój głęboki.
 Żadnego gwaru nie słyhać z dali,
 Żaden się ogień we wsi nie pali,
 A matka ziemia do siebie garnie
 Wszystkie tęsknoty, wszystkie męczarnie.
 Snem wiekuistym śpią w ziemi starzy,
 Dawna gromada wiejskich nędzarzy;
 Śpi wasza dola, dziady, naddziady!
 Pokój wam, kości sielskiej gromady!
 Wiatr śmierci zawiał nad waszą głową
 Ciszéj, niż gasi świeczkę woskową;
 A krzyż swój krwawy dzielnemi siły
 Wyście donieśli aż do mogiły.
 Pokój wam, pokój, stare niezgody!
 Wieczna łzom pamięć! — wiek idzie młody,
 Nową swobodą, nową nadzieją
 Pola i lasy niech nam zawieją!
 Płonie iskrami jutrzienka błada,
 Już się w dziczyznę głuchą przekrada,

Wesoło pieją na polnym łanie,
Słychać na stepie jój powitanie.

1860. Borejkowszczyzna.

PRZEKŁADY Z MAŁORUSKIEGO.

(Z SZEWWCZENKI).

PEREBENDA.

Perebenda stary, ślepy,
Jego dobrze znają stopy,
Bo się dziad ten wszędzie włóczy
I przy kobzie pieśni mruczy.
Naród boży słucha dziada
I za pieśni dzięki składa;
On im pieśnią wzmacnia siły,
Choć samemu świat niemiły.
Pod czeremchą lub kaliną
Dni i noce jego płyną,
Bo zła dola tak go trzyma,
Że i własnej chaty niéma.
Choć nad starą dziada głową
Pozartował los surowo,
On nie zważa, siedzi, śpiewa:
„Ej, nie szumcie w lesie, drzewa!”
Gdy mu piosuka sercem miota,
Kiedy wspomni, że sierota,
To potęskni i znów śpiewa
Pod cienistym dachem drzewa.

Tak na świecie żył nasz stary,
A piosenek miał bez miary,

To o *Czałym* dumkę grzmoce,
 To *Turkawkę* zaturkoce,
 Wśród dziewczęcej pohulanki—
 Śpiewa *Hrycia* lub *Wiośnianki*,
 A młodzieży przy kwaterce
Szynkareczką zrywa serce,
 A mężatkom śpiewać woli
 O złej teści i topoli,
 A na rynek kiedy zbacza,
Gra Łazarza i bogacza,
 Lub z westchnieniem i goryczą
 Nad kozacką płacze *Siczą*,
 By wiedzieli ludzie młodzi,
 Zkąd upadek jój pochodzi.
 Taki duch był w *Perebendzie*,
 Pieśń i kobzę włóczył wszędzie,
 A jak pieśnię przysposobi,
 To co zechce z sercem zrobi,
 Pożartuje, jak umyślnie,
 Potém krwawą łzę wyciśnie.

Przez szerokie polne łąny
 Wieje wicher rozhulany,
 Kobzarz siedzi na kurhanie
 I gra piosnkę nieprzerwanie.
 Step, jak dojrzy ludzkie oko,
 Legł błękitno a szeroko,
 A mogiła przy mogile,
 A w mogiłach zmarłych tyle!
 Wicher głaska starowinę
 W siwe wasy i czuprynę,

To do ziemi aż przypada,
By posłuchać pieśni dziada:

Jak nóta grzmi radością, lub czarną rozpaczą,
Jak mu się serce śmieje, ślepe oczy płaczą...
Posłuchał i poleciał...

Bo z pieśnią proroka

Dziad ukrył się na stepie od ludzkiego oka,
Aby wiatr dumkę rozwiął na przestrzeń stepową,
Aby nikt jój nie słyszał, bo to boże słowo.
Już to mówi modlitwę Bogu i naturze,
Już to dumka w kraj świata żegluję na chmurze,
Albo, jak orzeł, piersią uderza w pierś słońca
I silnemi skrzydłami w błękit niebios trąca.
I zapyta się słońca: jakie zbiegło kraje?
Gdzie swoją noc przepędza, a gdzie ze snu wstaje?
Zapyta fali morskiej, o czém ona gwarzy?
Zapyta cichój góry, o czém dumki marzy?
Pogada i znów leci w nadobłoczne kraje,
Bo ziemia, choć szeroka, przytułku nie daje.
Och! bo ten, co przeczuje, ten, co wszystko zbada,
Gdzie się słońce niebieskie na nocleg układa,
Co gwarzy fala morska z towarzyszki swemi,—
Ten już nigdzie przytułku nie znajdzie na ziemi.
On, jak słońce, sam jeden krąży na swój osi;
Ludzie niby go znają, bo go ziemia nosi,
Lecz gdyby się dowiedział sąsiad od sąsiada,
Że on śpi na mogile, że z falami gada,
Wyśmianoby dar boży, co mu zaległ łono,
Głupcemby go nazwano i precz odpędzono.

Dobrze czynisz, ojeze siwy,
Że od świata skrywasz dziwy,

Że natchnione twoje chwile
 Odprawujesz na mogile.
 Ej, gołąbku! czyn swe dzieło,
 Póki-ć serce nie zasnęło,
 Czyn swe dzieło w mogił ciszy,
 Niech go człowiek nie posłysz; 1848
 By nie śmiała się gromada,
 Potakiwać jój wypada:
 Skacz, jak każą, pan zapłaci,
 Wszak panowie są bogaci...
 Tak na świecie żył nasz stary,
 A piosenek miał bez miary;
 Pożartuje, jak umyślnie,
 Potém krwawą łzę wyciśnie.

D U M K A.

Rzeka ciągle, choć powoli,
 Wpada w sine morze;
 Szuka Kozak swojej doli,
 A znaleźć nie może.
 Szedł, gdzie wicher go powionie,
 Gdzie poniosą oczy,
 Rozgrało się serce w łonie,
 Szeptał duch proroczy:

— „Po co gonisz się za marą,
 „Gdzie cię oczy wiodą?
 „Rzucasz ojca, matkę starą
 „I dziewczynę młodą.

„W cudzej stronie — cudzy wszędzie.

„Wiarą i językiem;

„Tam zapłakać z kim nie będzie

„I pogwarzyć z nikim.“ —

Fale morskie! płyńcie w pole

I brzegami trzęście:

Kozak marzył spotkać dołę,

A spotkał nieszczęście.

Już żórawie powracały,

W domu wytchnąć mogą;

Kozak, płacząc, poszedł dalej

Swą ciernistą drogą.

DUMKA.

Po co u mnie czarne brewki?

Po co oczy gdyby żar?

Po co w sercu grają śpiewki?

Po co w głowie tyle mar?

Moje lata, moje młode

Giną marnie z dnia do dnia;

A oczyma gdzie powiodę,

Zawsze z oczu lunie łza.

Dusza boli, nudzę światem,

Jak zamknięty w klatce ptak.

Po co ludzie zwą mnie kwiatem,

Dobrój doli gdy mi brak?

Świat obmierzłe w oczach stoi,

Nie ma nawet pięknych snów;

Ludzie swoi, jak nie swoi,

By przemówić kilka słów.

Nikt nie spyta w całym domu,
 Czemu oko w ciągłej łzie?
 Rozповідzieć nie ma komu,
 Czego biedne serce chce.
 Jak gołąbek ciągle grucha,
 Ciągle grucha w noc i w dzień;
 Ale jęku nikt nie słucha,
 Nie uważa serca drgnięń.
 Nieciekawe obcych grono,
 Bo i na cóż obcym znać?
 Cierp, sieroto! bo-ć sądzono,
 Młode lata marnie trać.
 Płaczże, serce—płaczcie, oczy,
 Nim zamkniecie się do snu.
 Niech się w stepie jęk roztoczy,
 Niech przyleci wiher tu,
 Niech zanieśie te napiewy,
 Aż gdzie morze brzegi rwie,
 Niech zdradliwy czarnobrewy
 Ma *pohybel* w mojej łzie.

K A T A R Z Y N A.

I.

Ej! kochajcie, czarnobrewki,
 Ale nie Moskala:
 Moskal tylko serca zrani,
 Dusze porozżala.
 Swém kochaniem, czy udaniem,
 Pożartuje srogo,

Pójdzie w swoją Moskiewszczyznę,
A ty giń, niebogo!
Nicby jeszcze, gdyby sama
Skamieniała głazem,
A to nieraz stara matka
Musi ginąć razem.
Nieraz, nieraz serce pęka,
Choć się pieśni nócą;
Ludzie serca nie spytają,
A kamieniem rzucają.
Więc kochajcie, czarnobrewki,
Tylko nie Moskala:
Moskal tylko serce zrani,
Potém się przechwala.

Katarzyna ojca, matki
Głosu nie rozumie,
A Moskala pokochała,
Jak tam serce umie.
I do sadu z młodym chodzi,
I na pierś się garnie,
Póki swojej biednej doli
Nie zgubiła marnie.
Ot, bywało, matka woła:
— „Córko! na wieczerzę!“
Ona syta ze swym lubym,
Ani sen jój bierze.
I ta miłość jawna była
W oczach całej wioski,
I poczeli już źli ludzie
Puszczać złe pogłoski.
A niech sobie źli tam ludzie
Co ich wola plotą:

Ona kocha—serce pełne,
 To i mniejsza o to!
 Zabębnili, zatrąbili
 W wojskowej komendzie:
 Moskał poszedł w Turecczyznę,—
 Cóż z dziewczyną będzie?
 A choć serce się pokryło
 Jakby kirem grubym,
 Miło czasem i zaśpiewać,
 I tęsknić po lubym.
 On się zaklął, zaprzysięgał
 Swojej Katarzynie,
 Że powróci, jeśli w bitwie
 Kula go ominie.
 — „On tak kocha! onby nie chciał
 „Zwodzić mię w obludzie;
 „A tymczasem, co ich wola,
 „Niech gadają ludzie.“
 Katarzyna lzy ociera,
 W sercu jej swobodniej,
 Choć dziewczęta na ulicy
 Coś tam stronią od niej.
 Katarzyna myśli sobie:
 — „Bóg wie, co im chce się?“
 O północy wiadra bierze
 I wody przyniesie.
 Niech wrogowie nie zobaczą,
 Wszak blisko krynica.
 Stanie sobie pod kaliną,
 I zaśpiewa *Hryca*.
 Aż kalina się rozplacze,
 Kiedy ją wysłucha.

Ona wraca, niewidziana
 Od żywego ducha.
 Katarzyna błogo marzy,
 Do snu się układwszy,
 Lub ubrana w białą odzież
 Przez okienko patrzy.
 Minął miesiąc, minął drugi,
 Minęło półrocze,
 I krwią czarną okipiało
 Jój serce ochocze.
 Przyszła boleść... ciężka boleść,
 I po krótkiej chwili
 Takie piękne, jak aniołek,
 Już dzieciątko kwili.
 Już sąsiadka jedna, druga,
 I matce docina:
 — „Wy za piecem hodujecie
 „Moskiewskiego syna.“

.

Katarzyno! Katarzyno!
 Nieba cię skarały:
 Co ty biedna poczniesz w świecie
 I sierotka mały!
 Ty bez męża... on bez ojca,
 Co wy uczynicie?
 Ojciec... matka... cudzy ludzie,
 Ej! niedobre życie!

Wyzdrowiała Katarzyna,
 Przejrzała po świecie;

Patrzy w okno na ulicę,
I kołysze dziecię.
Wyjdzie w ogród, by popłakać,
Do ziemi przypadłszy;
A zły człowiek przez częstokół
Z urąganiem patrzy.

Tam w ogródku zielenieją
Czereśnie i wiśnie;
Wyszła biedna i niemowlę
Do swych piersi ciśnie.
A w ogródku już nie śpiewa
Piosenek swobody,
Jako wtenczas, gdy przychodził
Jój kochanek młody.

Już nie śpiewa w cieniu wiśni
I ciemnej kaliny,
A tymczasem źli wrogowie
Szarpiać cześć dziewczyny.
Co ma począć nieszczęśliwa,
Że jój serce ranią?
Gdyby miły wrócił z drogi,
Ująłby się za nią.

On daleko za górami
Gdzieś się w boju trudzi,
Ani też jój nie zobaczy,
Ni śmiechu złych ludzi.
Może leży za Dunajem
Między zabitemi,
Albo może kocha inną
Na moskiewskiej ziemi.

Nie... jój luby nie zabity
 Na żadnej wojence...
 Gdzie on znajdzie takie oczy,
 Takie brwi dziewczęce?
 Choćby schodził na kraj świata,
 Opłynął kraj morza,
 Jedna tylko jest na świecie
 Katarzyna hoża.

Dała matka czarne brewki
 I czarne oczęta;
 Lecz przy brewkach—jasnej doli
 Dać jój nie pamięta.
 A bez doli, piękne lice,
 Jak piękny kwiat bywa:
 Przyjdzie słońce i zapali,
 Wicher poobrywa.

Myjże łzami białe lice
 I jęcz pokryjomu,
 Bo Moskale inną drogą
 Wrócili do domu!

II.

Siedzi ojciec w końcu stołu,
 Na rękach pochyły,
 Ciężko дума, bo staremu
 Boży świat niemiły.
 A opodal siedzi matka
 Na dębowej skrzyni,

Cichym głosem gromi córkę
I wyrzuty czyni:

- „Kiedyż przyjdzie, moja córko,
„Wesele do chaty?
„Gdzie są družki, starostowie?
„Gdzie weselne swaty?
„Idź na Moskwę, tam cię czeka
„Godowa gromadka;
„Ale nie mów dobrym ludziom,
„Żem ja twoja matka.
„O! przekłeta ta godzina,
„Co cię na świat zsyła!
„Czemum ciebie z jasnym wschodem
„W rzece nie topiła?
„Nie przysłoby na niesławę
„I na hańbę w świecie...
„Moja córko! moja córko!
„Mój różany kwiecie!
„Hodowałam, jak ptaszynę,
„Jak krasną jagodę;
„Na cóż teraz, na cóż przyszły
„Twoje lata młode?
„Idź na Moskwę szukać teści,
„Idź sobie za morzel
„Nie słuchałaś mojej rady,
„Jój posłuchasz może.
„Idź, przywitaj,—oni ciebie
„Przyjmą najgoręcej;
„Idź na Moskwę, bądź szczęśliwa,
„Lecz nie wracaj więcej.

„Ruszaj sobie w cudzą stronę,
 „Na kraj świata boży...
 „Lecz któż tutaj moją głowę
 „Do trumny położy?
 „Kto zapłacze łzami dziecka
 „Nad matką rodzoną?
 „Kto posadzi na mogile
 „Kalinę czerwoną?
 „Kto choć jeden pacierz zmówi
 „Za mą grzeszną duszę?...
 „Och!... idź, córko nieszczęśliwa;
 „Ja wyrzec się muszę!“
 Kończy mówić, łzy ociera,
 Coraz bardziej błada,
 Błogosławi... i na skrzynię
 Bezprzytomnie pada.
 — „No — powiada ojciec stary, —
 „Gotuj się do drogi!“
 Katarzyna, rycząc, padła
 Pod ojcowskie nogi:
 — „Och, przebaczcie nierozumnój
 „Młode jój swawole!
 „Przebacz, ojcze, mój gołąbku,
 „Mój jasny sokole!“
 — „Niech twa dola dobrych ludzi
 „Do litości wzruszy!
 „Módl się, córko, i idź z Bogiem,
 „Będzie lżej na duszy!“
 Córka wstała, pokłon dała,
 Wyszła milcząc z chaty;
 Już sierotą stara matka
 I ojciec brodaty.

Wyszła z chaty i do Boga
 Modlitwę posyła,
 I rodzinnej szczyptę ziemi
 W szkaplerzu zaszyła.
 — „Och, nie wrócę... och, nie wrócę
 „Ani tutaj blisko!
 „W cudzej stronie cudzy ludzie
 „Dadzą przytulisko.
 „Swojej ziemi choć garsteczkę
 „Ja zabiorę rada:
 „Niech o mojej gorzkiej doli
 „Ludziom rozpowiada.
 „Nie mów, synu, gdzie się zwrócę,
 „Szanuj me ukrycie...
 „Ot kto powie! — sad wiśniowy,
 „Żem ci dała życie.
 „Ja ucieknę, wpadnę w rzekę
 „Zalać piersi strute;
 „Ty sieroctwem za me grzechy
 „Odbędziesz pokutę!“
 Idzie wioską nieszczęśliwa
 Szukać doli w świecie;
 Na jej głowie biała chusta,
 A na rękę dziecię.
 Wyszła z wioski—iść potrzeba
 O chlebie żebraczym...
 Obróciła nazad oczy
 I ryknęła płaczem.
 Wyszła w pole—i stanęła,
 Jak samotne drzewa,
 I jak rosa przed jutrzeńką,
 Łzami się zalewa.

A dziecina jak aniołek,
 Nie zna swój niedoli,
 Jedną rączką piersi szuka,
 A drugą swawoli;
 Słońce zaszło za dąbrowę,
 Niebo pokraśniało, —
 Ona z łez otarła oczy
 I wędruje śmiało.
 A na wiosce, jak na świecie,
 Bajali co chcieli:
 Ale ojciec, ale matka
 Tych słów nie słyszeli.
 Tak na świecie, na tym świecie
 Bywa zawsze prawie:
 Ludzie ludzi rzną, i topią,
 I gubią na sławie.
 Za co? za co, miły Boże,
 Te brzydkie obmowy?
 Świat szeroki—ale nie ma
 Gdzie przytulić głowy.
 Jeden w świecie ma obszary
 Szerokie i szumne;
 Drugi miejsca tylko tyle,
 Gdzie zakopać trumnę.
 Gdzież ci ludzie, co to serce
 Dla nich się odsłania,
 Żyćby chciało, bić ogniście
 I topnieć z kochania?
 Jest na świecie wola,
 Ale któż ją zbada?
 Jest na świecie wola,
 Lecz któż ją posiada?

Są na świecie ludzie,
 Którym świat się dziwi,
 Syci srebra, złota,
 Ale nieszczęśliwi.
 Żupan ich podszyty
 Ciernistemi igły,
 Szarpie ból ukryty,
 Ale łzy zastygły,
 Bierzcie srebro, złoto,
 I bądźcie bogacze;
 Dla mnie żal z tęsknotą,
 Ja tylko zapłacę.
 Zatopię niedolę
 Moją łzą niebogą,
 Zadepcę niewolę
 Moją bosą nogą!
 Bogatszym od króla,
 Próżność mię nie lechce,
 Kiedy serce hula,
 Jako samo zechce.

III.

Krzyczy sowa nad lasami,
 Iskrzy niebo gwiazdeczkami,
 A gdzie droga, a gdzie niwa,
 Konik polny pobrząkiwa,
 A po chatach dobrzy ludzie
 Spoczywają po swym trudzie.
 Czy kto płaczem piersi znużył,
 Czy kto szczęścia swego użył,
 Dla każdego jednakowa
 Ciemna nocka wszystko schowa.

Gdzież ukryła Katarzynę?
 Czy w lesistą gdzie gęstwinę?
 Czy ją w chatę ludzie zową?
 Czy pod kopą śpi zbożową?
 Czy na kłodę gdzieś przypadłszy,
 Wilczych oczu pilnie patrzy?
 Oczki czarne z ognia siłą!
 Bogdaj nigdy was nie było,
 Jeśli przez was — dobre Nieba!
 Tyle klęski zażyć trzeba.
 A co potem jeszcze czeka?
 Będzie bieda niedaleka.
 Trzeba przebyć żółte piaski,
 Ludzkie łaski i niełaski,
 Trzeba przebyć białe śniegi,
 Na pustyni mieć noclegi,
 I to jeszcze zgadnąć sztuka,
 Czy się znajdzie kogo szuka?
 Czy on biedną pozna przecię?
 Czy przygarnie swoje dziecię?
 Przy nimby się zapomniały
 Piaski, śniegi i trud cały:
 Niech matczyném sercem wita,
 Po bratersku zdrowia spyta!
 Zobaczymy... daj to, Boże!
 Ja tymczasem kobzę złożę
 I rozpytam się po przedzie,
 Gdzie na Moskwę droga wiedzie?

.

Tam za Dnieprem, za Kijowem,
 Tam za borem, za sosnowym,

Tam drużyna szła czumacza,
 Wyśpiewując pieśń *Puhacza*.
 Tamże młoda szła niewiasta,
 Z kijowskiego pewnie miasta,
 Gdzie do cerkwi i Pieczary
 Szła odprawiać swe ofiary.
 Lecz ma postać niewesołą,
 Pochyliła smutnie czoło,
 A jój odzież to łachmana,
 A przez plecy torba lniana,
 W jednej ręce kij pielgrzyma,
 A na drugiej dziecicę trzyma,
 Gdy się zeszła z karawaną,
 Kryje dziecicę w szmatkę lnianą!
 — „Dobrzy ludzie, ej dla Boga!
 „W Moskiewszczyznę gdzie tu droga?“
 — „W Moskiewszczyznę?... tam do kata
 „Ej, to jeszcze kawał świata!“
 — „W samą Moskwę... wskażcie drogę
 „I obdarzcie czém niebogę!“
 Miedzianego dali *szaha*.
 Brać, czy nie brać? dłoń się waha;
 Snadź żebraczka jeszcze dzika
 Do jałmużny nie przywyka.
 Bo i na cóż grosz niebodze?
 Ale dziecicę karmić w drodze,
 Trzeba kupić mu kołaczy,
 Trzeba przenieść wstyd żebraczy.
 Więc dziękuje za ich dary,
 Śpieszy na noc na Browary,
 A w Browarach, broniąc głodu,
 Kupi dziecku kołacz z miodu.

Tak wędrując dni, tygodni,
 Pyta drogi u przechodni;
 A powolny chód jój pieszy, —
 Gdy do wioski nie dośpieszy,
 Często, gęsto pod jedliną
 W polu nocleg ma z dzieciną.

Ot do czego czarne oczy!
 Aby płakać na uboczy.
 Ej! dziewczęta niebożęta,
 Niechaj każda to pamięta,
 A za przykład złój podróży
 Katarzyna niech wam służy.
 Nie pytajcie, czemu tłuszcza
 I do chaty jój nie wpuszcza,
 A nie skarżcie wyrzutami,
 Bo nie wiedzą ludzie sami:
 Oni tylko są szafarze,
 Kiedy Pan Bóg kogo karze.
 Bo to człowiek, jak wierzbina,
 Gdzie wiatr wieje, tam się zgina;
 A sieroce złe koleje,
 Słońce świeci, lecz nie grzeje.
 Gdyby mogli ludzie mili,
 Toby słońce zasłonili,
 Żeby promień jego złoty
 Nie osuszał łez sieroty.
 Jakaż wina téj niebogi?
 Za co dla niej świat tak srogi?
 Nienawiścią jakąś pała,
 Chce koniecznie, by płakała.
 Nie płacz... nie płacz, Katarzyno!
 Niech przy ludziach łzy nie płyną;

A kiedy się płakać zdarzy,
 Niech nie widzą twojej twarzy.
 By ci lice nie zmarniało,
 Zmywaj łzami twarz twą białą;
 Ale idź, gdzie puszcza skryta,
 Póki słońce nie wyświta:
 To i ludzie nie zobaczą,
 Nie poszydzą nad rozpaczą;
 A nim oczko się wyszłocha,
 To odpocznie serce trocha.

Przenocuje przy jedlinie,
 Trochę piersi da dziecinie,
 I jak tylko siły wzmogą,
 W kraj Moskiewski idzie drogą.
 Idzie smutna — a wtém baczy,
 Że z daleka coś majaczy.
 Boże! wojska idą roty!...
 Zamarł w piersiach duch sieroty...
 Serce kipi... rwie się z łona!
 Bieży naprzód, jak szalona,
 I żołnierzom prawi dziwy:
 — „Gdzie mój Janko czarnobréwy?
 „Czy on tutaj służy z wami?
 „Czy nie zginął pod Turkami?“
 Powiadają jój Moskale:
 — „My nie znamy Janka wcale.“
 I zwyczajną drogą swoją
 Gorzkie żarty z biednej stroją.
 „Zuchy nasze!... oto sztuka!
 „Kogoż żołnierz nie oszuka?

„Któręj dziewczki, w jakim siole,
„Nie wywiedzie żołnierz w pole?“

Katarzyna z bolem rzecze:

— „U was serca nie człowiecze!..

„Cyt, mój synu! pójdziem dalej,

„Będziem jeszcze go pytali,

„Aż w morskiewskie pójdziem bramy,

„Może jeszcze go spotkamy.

„Oddam ciebie, dziecko lube,

„Sama pójdę na zagubę.“

Zamieć w polu kręci, miecie,

Nic nie widać w bożym świecie.

Katarzyna, stojąc w polu,

Nie folguje serca bolu.

Wzmógł się wicher tajemniczy,

I gdzie niegdzie tylko ryczy.

Katarzynie dusza pała,

Lecz już wszystkie łzy wylała;

I na łzami złane dziecię,

Jak na złane rosą kwiecie,

Obróciła smutne oczy,

A gadzina serce toczy.

Na około cisz cmentarna,

A dokoła puszcza czarna,

A przy drodze wedle boru

Majaczeje dach futuro.

— „Chodźmy, synu, zmierzch na dworze,

„Do téj chaty wpuszczą może,

„A nie wpuszczą, Pan Bóg z niemi,

„Na wilgotnej zaśniem ziemi.

„Gdzież ty będziesz spał, Iwanie,

„Gdy na świecie mię nie stanie?

„Po igraszkach, po zabawie,
 „Z psem przyleżesz gdzieś na trawie!
 „Z psami jednak lepsza rada:
 „Choć pokąsa, nie ogada,
 „Nie narazi na obmowę
 „Nieszczęśliwą twoją głowę.“

.

IV.

.

 Wicher jęczy w różne tony,
 Łamie drzewa w lesie,
 Jak po morzu sine fale,
 Śnieg po polu niesie.
 Karbowniczcy wyszedł z chaty,
 Obejść swoje knieje:
 — „Ale gdzie tam!... ani rady,
 „Wicher gdzieś zawieje.
 „Niechaj puszcze licho bierze,
 „Wróćę do komina.
 „Ale cóż tam? ćma żołnierzy
 „Zbliżyć się poczyna.
 „Co za chmara!... co za chmara!
 „A jak broń ich błyska!
 „Niby pilno im doprawdy
 „Przysiąść do ogniska.
 „Niczyporze! rzekł do syna —
 „Patrz, Moskale jada,
 „A jak śnieg ich poubielał...
 „Jak łabędzi stado!...“

U nich w chacie Katarzyna
 Nie śpi nieszczęśliwa,
 Słyszy całą ich rozmowę
 I szybko się zrywa.
 — „Co! Moskale? gdzie Moskale?“
 Przy okienku stanie,
 Jak szalona, bezprzytomna,
 Leci na spotkanie.
 — „Snadź Moskale jój we znaki
 „Dali się nielada,
 „Bo i przez sen tylko wzdycha,
 „Tylko o nich gada.“
 I przez chwasty, przez zasypy
 Zadyszana leci,
 I stanęła na gościńcu
 Wśród wichrów zamieci.
 A żołnierze konno, rzędem,
 Jadą według hasła:
 Katarzyna ich ujrzała
 I w ręce zaklasła.
 A po przedzie starszy jedzie,
 Okryty szarugą:
 — „Iwan!... Iwan!... och, mój luby!
 „Gdzieś bawił tak długo!?“

 I do strzemion mu przypada
 Szalona dziewczyna.
 Iwan spojrzął—i konika
 Ostrogami spina.
 — „Czy uciekasz?... cóż to znaczy,
 „Iwanie jedyny!

„Czyż ci z głowy pamięć wyszła

„Swojej Katarzyny!“

„Spójrz tylko... to ja... to ja,

„Twoja ulubiona;

„Po co gniewne marszczysz czoło

„I targasz strzemiona?“

On udaje, że nie zważa,

I chce pędzić dalej, —

I „*Marsz naprzód!*“ groźnym głosem

Mówi do Moskali.

— „Ej, Iwanie! ej, sokole!

„Nie opuszczę ciebie!

„Jestem twoja Katarzyna,

„Tak jak Bóg na niebie!“

— „*Daj mi pokój, szalenico,*

Hej, weźcie ją z drogi!“

Jeszcze gniewniej zmarszczył czoło

I szarpnął ostrogi.

— „Co Iwanie!... ty się rzucasz?

„Węzeł się rozprzęga?

„A gdziez twoje dobre słowo?

„Gdzie twoja przysięga?“

— „*Precz mi z drogi! Hej, żołnierze,*

Zwleczcie ją do rowu!“

Katarzyna, za strzemiona

Chwyciła go znowu;

— „Ze mną czyń, jak twoja łaska,

„Ja zniosę męczarnie;

„Ale dziecię!... nasze dziecię...

„Czyż zaginie marnie?

„Nie gub, Janku, nas oboje,

„Tak być niepowinno!

„Ja ci będę najemnicą,
 „Kochaj sobie inną.
 „Kochaj sobie choć świat cały,
 „Niech się co chce stanie,
 „Ja zapomnę dawne lata
 „I nasze kochanie.

„Tylko przykryj moją sławę
 „Imieniem twój żony:
 „Bo syn będzie nieszczęśliwy,
 „Świat boży zgorzony.
 „Nie porzucisz syna, luby,
 „Nie porzucisz przecię...
 „Pozwól... ja ci go przyniosę...
 „Co za piękne dziecię!“

I od kolan się odczepia,
 I do chaty bieży,
 Niesie dziecię, otulone
 W podartój odzieży.

— „Patrz, Iwaniu!... patrz na syna!..“
 Iwan już z daleka!..

— „Czyż doprawdy swój dziecinę
 „Ojciec się wyrzeka?
 „Poczekajcie... poczekajcie,
 „Sokoły-żołnierze!

„Niech z was który mego syna
 „Do siebie zabierze!

„Czy oddajcie go starszyźnie
 „Waszego szeregu,

„Bo jak ojciec bezlitośny,
 „Rzucę go na śniegu!“

I z rozpaczny wściekłym krzykiem
 Przeklina Iwana:

„Grzechem, synu, twa godzina,
 „Grzechem była dana.
 „Rośnij, rośnij na śmiech ludzki,
 „Sierocino mała!
 „Zostań tutaj szukać ojca:
 „Jam długo szukała!“

I przy drodze dziecię kładzie,
 Sama w las ucieka,
 A Moskali już za górą
 Nie widać z daleka.
 A niemowlę dogorywa,
 W niebogłosy krzyczy...
 Szczęściem, krzyki ze swój chaty
 Posłyszał leśniczy.

Katarzyna biega, wyje,
 Klnie swego sokoła,
 I wybiegłszy na pagórek,
 Po imieniu woła:
 — „Wróć się, wróć się, drogi Janku,
 „Tak powinność każe!“
 Ale tylko leśne echo
 Odzywa się w jarze.
 Obląkana bieży jarem,
 Łapać echo może,
 I stanęła bez pamięci
 Przy wielkiem jeziorze:
 — „Przyjmij, Boże, moją duszę, --
 „Ty, wodo, me ciało!“
 I na wodzie pod krą lodu
 Coś zapluchotało.

Ot i kara, że nie słucha
 Matczynój porady...
 A wiatr dmuchnął po jeziorze
 I zagładził ślady.

Mały wicher, co rwie dęby
 I sośniny chyli;
 Lżejsza boleść chować matkę,
 W jēj starości chwili;
 Nie sieroty małe dzieci,
 Co pogrzebły nianię:
 Na mogiłach dobra pamięć,
 Jeszcze pozostanie.
 Lecz cóż temu pozostało
 Do życia ostatka,
 Kogo ojciec ani widział,
 Wyrzekła się matka?
 Ani chaty, ani rodu,
 Ani dobrój sławy;
 Nikt do niego nie zagada,
 Nie dzieli zabawy.
 Szlochy, płacze całe życie,
 Żal się Panie Boże!
 Na co jemu twarz udatna
 I spojrzenia hoże?
 Aby ludzie powiedzieli,
 Patrząc w jęgo lice:
 — „Lepiejby go od kolebki
 Pogrzebli rodzice!“

V.

Do Kijowa szedł ubogi,
Na spoczynek siadł u drogi;
A prowodyr z drugiejsz strony,
Torebkami oczepiony,
Na słoneczku małe chłopię
W żółtym piasku dołki kopie.
Stary kobzarz pieśnię pieje
O Jezusie z Galileje;
A kto idzie, ten nie zbacza,
Ten da grosza, ten kołacza,
A niewiasty kromkę séra
Dla młodego prowodyra.
Rozważają chłopca losy:
Chłopak piękny, nagi, bosy,
Wziął po matce wzrok sokoli,
Ale nie wziął dobrej doli.
Z szumem pańska grzmi kolaska,
A woźnica z bicza trzaska,
A w kolasce pan i pani,
A na drodze pył tumani.
Przy żebraku niespodzianie
Pozłocisty powóz stanie.
Dziecię bieży do kolaski,
Grosz dostało z pańskiej łaski.
Pan popatrzał na Iwanka...
Jakby jakaś niespodzianka,
Jakby coś mu myśli mroczy,
I odwraca w stronę oczy.
Piękna pani wzrok wytęży
Na Iwanka, to na męża.

Ochl zły ojciec poznał syna,
 Z oczu matkę przypomina;
 Ale milczy, rusza głową.
 Pani spyta: — „Jak cię zowią?“
 — „Zwą mię Jankiem“ — „*Eadnyś mały!*“
 I rumaki poleciały,
 Piękny powóz w żwir się kopie
 I kurzawą przykrył chłopię.
 I włóczęgi torby biorą,
 Przeżegnali się z pokorą,
 I kijowskim bitym szlakiem
 Kobzarz powłókł się z chłopakiem.

NAJEMNICA.

PROLOG.

Chmurny ranek był w niedzielę:
 Po nad polem mgła się ściele;
 Na mogile w pośród pola
 Coś się chysta, jak topola.
 To niewiasty postać blada
 Coś do łona ciśnie rada,
 Coś z rannemi mgłami gada.

— „Mgły wy gęste, mgły jutrzniane,
 „W srebrnych iskrach rozsypań!
 „Czemużeście mię życzliwie
 „Nie pogrzebły na téj niwie?

„Czemu, widząc los nieczuły,
 „Biednych piersi nie zatruli?
 „O! pogrzebicie mię w mogile!
 „O nie!... jeszcze... jeszcze chwilę...
 „Tylko skryjcie mię głęboko,
 „Gdzie nie dojrzy ludzkie oko.
 „Jam niejedna na tym świecie,
 „Ojca, matkę mamże przecię,
 „Mam i braci... jest rodzina,
 „Mam pieśczołkę... och! mam syna;
 „Ale jego główkę młodą
 „Nie polano chrzestną wodą.
 „O mój synu!... o nadziejo!
 „Niech ci główki nie poleją:
 „Ja bez chrztu zostawić wolę,
 „Niż cię ochrzcić na niedolę.
 „Cudzy ochrzczą cię kumowie,
 „Ale żaden się nie dowie,
 „Kto ty jesteś... jak ci miano?
 „Mnie bogatą nazywano...
 „Nie przeklinaj mię, dziecino!
 „Moje modły w niebo płyną,
 „Wysłuchają modłów w niebie
 „I otoczą szczęściem ciebie.“

I rwąc piersi w takie słowa,
 Za najgęstszą mgłę się chowa,
 I zachodzi się boleśnie,
 I o wdowie śpiewa pieśnię:
 Jak tam wdowa nad Dunajem,
 Staroświeckim obyczajem,
 Żwir na oczy synów sypie
 I zawodzi pieśń na stypie:

„Och! tam w polu mogiła,
 Och! tam wdowa chodziła!
 Zamiast pełną rwać rutę,
 Rwała zielska zatrute.
 Nie skutkowały ziela,
 Bóg dwóch synów udziela.
 W kitajkę je obwiła
 I za Dunaj posyła.
 — „Och, Dunaju! ty rzeko!
 „Nieś me dzieci daleko.
 „Niech pobawią się mali
 „Piękném cackiem twój fali.
 „A ty, piasku i trawko,
 „Bądźcie dla nich zabawką.
 „Piasek bawi... pobawi...
 „I kołyskę im sprawi;
 „Nad kołyską — opona
 „Będzie trawa zielona.“

I.

Przy jeziorze, na futorze,
 Mieszkał sobie dziad z babulą:
 W każdym miejscu w każdej porze,
 Jakby dziatki, tak się czulą;
 Jednym śladem i przykładem,
 Dziadek z babką, babka z dziadem.

Od dziecinnéj razem chwili
 Paśli owce na ugorze,
 A potem się poženili,
 Futor, stawek, młyn nabyli;

A w futorze, przy jeziorze,
Zasadzili ogród różą
I pasiekę mieli dużą.

Wszystko dobrze... tylko dziątek
Na pociechę im nie dano.
Któż przytuli na ostatek
Głowę, wiekiem skołataną?
Kto zapłacze? kto pochowa?
Kto rodziców spełni słowa?
Nie masz, nie masz na tym świecie,
Jak rodzone własne dziecię!
Ale gorzej w gmachu świętym,
Jak sierota żyć bezdzietnym,
I zebrane mienie w trudzie
Między obce oddać ludzie,
Co za życia gonią za niem
I zmarnują z urąganiem.

II.

Dziadek i babka jednej niedzieli
Na nizkiej przyzbie sobie siedzieli,
Ubrani biało, aż patrzeć miło;
A na niebiosach słońko świeciło,
Ani chmureczki, ani wietrzyka,
Rajska pogoda duszę przenika.
Bolesne dumki i smutek chory
Gdzieś się ukryły, jak zwierz do nory.
W tak pięknym życiu, w tak cudnym czasie,
Czegoby starzy tęsknili, zda się?
Czy dawne лихо, czy myśl o śmierci
Jak gdyby robak po piersiach wierci?

Myśl jakaś tęskna, jakaś niemiła,
 Jakaś wczorajsza rana odżyła.
 Bóg raczy wiedzieć, co im nie płuży?
 Może o wiecznej marzą podróży;
 A do podróży na ten szlak boży
 Któż im w karawan konie założy?
 — „Nastko-gołąbko! — powiada stary —
 „Kto nas po śmierci włoży na mary?“
 — „Ojczy serdeczny — babcia odpowie —
 „To mi się dawno snuło po głowie,
 „I dawno sobie daję pytanie:
 „Komu chudoba nasza zostanie?

„Cyt! ale słuchaj... słyszę w tój chwili,
 „Coś za wrotami, jak dziecko, kwili.
 „Pójdziem zobaczyć, co to za sztuka?
 „Bo coś niedarmo serce mi puka.“

Więc kiedy starców ciekawość miota,
 Wsparci na kijkach śpieszą pod wrota,
 Śpieszą pod wrota, i pod przelazem,
 Milcząc, oboje stanęli razem,
 Bo w lichą płachtę i w starą świętę
 Leży pod płotem dziecicę spowite;—
 Snadź tylko matce szmaty dziurawe
 Starczyło dziecku dać na wyprawę.
 Uradowani starcowie szczerze,
 Kiwali głową, mówiąc pacierze.
 Drobną dziecicą, lekko ściśniętą,
 Jeszcze wyciąga ku nim rączęta,
 A popłakawszy, po krótkiej chwili,
 Już tylko niemém kwileniem kwili.

— „A widzisz Nasto! dusza mówiła,
 „Że Bóg nam z nieba pociechę zsyła.
 „Bierzże ją prędzój... zimno na dworze,
 „W miękkie pieluchy obwiń niebożę,
 „Obwiń w pieluchy, zanieś do chaty,
 „A ja... jak niegdyś dawnemi laty,
 „Skoczę na konia, aż wiatr zaświszcze,
 „Poprosić kumów na Horodyszcze.“

Och! dziwno jakoś na świecie bywa:
 Jeden na syna przekłętą przyzywa,
 Wypędza z chaty, zębami zgrzyta;
 Drugi, gdy w chatę syn mu zawita,
 To krwawym potem, w kośbę czy żniwa,
 Woskową świeczkę zapracowywa,
 By ją z modlitwą nieść do ołtarza,
 Że Bóg go drogim skarbem obdarza.
 Zapala świeczkę, łązy rzewne leje,
 Za swoje szczęście, za swe nadzieje.
 Cieszyć się, Bóg wie, czy było po co,
 Ale bez dziatwy—jakoś sieroco.

III.

W Horodyszcze leciał stary,
 Zebrał kumów aż trzy pary,
 I pod wieczór chrzestną wodą
 Ksiądz dziecinę polał młoda.
 Dano dziecku imię Marka,
 A serdeczna dziadów parka,
 Na wzrost jego patrząc krzepki,
 Złotój chciałaby kolebki.

Już dla Marka, dla pieśczoży,
 Już kolebki mało złotój;
 Stary dziadek z babką chorą
 Już mu cacek nie dobiorą.
 I po drugiej, trzeciej wiosnie,
 Wypieszczony Marko rośnie,
 I wyrasta na młodziana,
 Jak jagódka, jak rumiana ...
 Wtém jednego w polu żniwa
 Nowa gościa im przybywa:
 Czarnobrewka — dziewczę hoże,
 Przyszła w najmy żać im zboże.

— „A cóż, Nasto?“ — „Cóż, Trochimie?
 „Trzeba żniejki, niech się przyjmie.
 „Z starój ręki babki, dziada
 „Sierp żniwiarski już wypada,
 „A i dziecku będzie słodziej,
 „Bo mu niańka nie zaszkożi.“

— „Tak, tak, Nasto!“ — Trochim powie: —
 „Już nie służy wiek i zdrowie,
 „A pod starość wielka zmiana,
 „Zdarłem nogi po kolana,
 „Nam potrzebne ręce młode ...
 „Co chcesz, dziewczę, za nagrodę?“

— „Ja chcę służyć w waszej chacie,
 „A przyjmuję, co mi dacie,“ —
 Rzecz dziewczka kłopotliwa.
 A staruszek brodą kiwa:
 — „Krzywdzić ciebie? nam to na co?
 „Lecz ty waż się ze swą pracą,

„Bo mówili ludzie starzy,
 „Że ten nie ma, kto nie waży.
 „Ty nas nie znasz, a my ciebie,
 „Żyj na naszym teraz chlebie;
 „A jak dobrze pójdzie proba,
 „Jedno drugich upodoba,
 „Jak pobędziesz w naszej chacie,
 „Pomówimy o zapłacie.“

— „Och! już wy mnie nie skrzywdzicie,
 Ojczy-serce, matko-życiel!
 Mieszkać będę w waszej chacie,
 Wezmę płacę, jaką dacie.“

Weszli w chatę, i dziewczyna
 Nową służbę rozpoczyna,
 Tak szczęśliwa, taka rada,
 Na sto koni jakby wsiada,
 Jakby dola biednej dana
 Wyjść za pana, za hetmana.
 O poranku i wieczorze
 Ona w chacie, i na dworze,
 I w oborze, i w stodole,
 I na żniwo idzie w pole.
 Lecz najmiliej czas jej płynie
 Nad kołyską przy dziecinie,
 Że i matka i rodzona
 Tylu trudów nie dokona.
 W dzień powszedni, czy w niedzielę
 I pościółkę mu uściela,
 I koszulkę włoży białą,
 I rozczesze główkę małą,

I piosenki wyśpiewywa,
I wystruga wóz z łuczywa.
Cóż dopiero, gdy w dni święta
Inszą pracą niezajęta?
Przez dzień cały, przez dzień boży.
Z rąk chłopięcia nie połóży.
Aż się dziwią staruszkowie,
Nie pomieszczą tego w głowie,
Błogosławią jak rodzice
Swą pocziwą najemnicę.
Lecz gdy w nocy posną starzy,
I dziecina się rozmarzy,
Ona patrzy na pacholę
I przeklina swoją dolę.
A jój żalu i rozpaczy
Nikt na świecie nie zobaczy;
Jeden Marko — lecz, niebożę,
On zrozumieć jój nie może:
Czego płacze nieszczęśliwa?
Po co łzami go obmywa?
Czemu, zszedłszy gdzieś w oddali,
Całunkami aż go pali?
Nie dojada kęska chleba,
Byle Marko miał co trzeba?
Czasem ze snu coś wyszepce
Lub przewróci się w kolebce:
To już ona kłopotliwa
Z najtwardszego snu się zrywa,
I przeżegna w nocną ciszę,
I kolebkę zakolysze.
Ona czuje aż z za ściany
Oddech dziecka rozespany;

A gdy z rana oczki przetrze,
Rączką chwyta za powietrze
I rączkami opowije
Pochyloną niani szyję,
Czasem nie wie co wygada,
Imię matki niańce nada,
I jak dąbek rość poczyna,
I kraśnieje, jak kalina.

IV.

Ej! niemało, niemało
Wód się w rzece przelało,
I zła dola surowo
Puka w chatę dziadową.
Baba Nasta w mogile,
Dziadek upadł na sile,
Ani rady już niéma
Uratować Trochima.
Wreszcie uratowali,
I bieda poszła dalej,
I na cichym futorze
Szczęście zakwitło boże,
Z ciemnych gajów na nowo
Przyszło w chatę dziadową.

Już i Marko dziecina
Wyrósł bujno, jak trzcina,
Krzepki, nakształt jawora,
Że i żenić już pora.

Starzec w myślach się gubi,
 Kogo chłopak zaślubi?
 Słuchać ludzi nie wadzi,
 Najemnicy się radzi.
 Ta posłałaby swaty
 Do królowny bogatěj;
 Lecz królowna daleko,
 A tu lata ucieką.

— „Niech sam radzi w těj mierze,
 „Niech sam żonę wybierze.“

— „Dobrze, córko — rzekł stary, —
 „Niech wyszuka już pary,
 „A jak parę wyszuka,
 „Posłać swatów nie sztuka.“

Rozpytali, radzili,
 Panów swatów prosili.
 Przyszli swaty za wolą,
 Przyszli z chlebem i solą,
 I ubrani sowito,
 I z rusznicą nabitą.
 Dobrze poszło swatanie:
 Piękna panna w żupanie,
 Taka hoża i młoda,
 Że i starań nie szkoda,
 Kwiatek krasny i wonny, —
 Sam pan hetman koronny
 Takie dziecko pieszczone
 Chętnie wziąłby za żonę.

— „Dzięki, dzięki, swatowie! —
 Rozczulony dziad powie —

„Lecz rozbierzmy w gawędzie,
 „Gdzie i kiedy ślub będzie?
 „Jak w weselu zaradzę,
 „Kogo *matką* posadzę?
 „Nastę wzięto na mary...“
 Ot i spłakał się stary.
 Rozrzewniona najmita
 Drzwi oburącz się chwyta,
 I mdlejąca się tarza,
 I coś mdlejąc powtarza,
 Mówi cicho a z rzadka:
 — „Matka!.. matka!.. gdzie matka?..“

V.

Minął tydzień, družki młode
 Korowaj miesiły;
 Stary ojciec, jeżąc brodę,
 Krzątał się co siły.
 To podwórko swe przykrasza
 Z pracą i zachodem,
 To podróżnych wciąż zaprasza
 Na gorzałkę z miodem.
 Na wesele sprasza gości
 W wesołym zapale;
 Naturbował stare kości,
 A nie czuje wcale.
 Na co biednej stać chudoby,
 Wskazał, jak na dłoni;
 Na dziedziniec wnieśli żłoby
 Dla gościnnych koni.

Obcy czyszczą ściany chaty;
 Gdzież się dziewczka chowa?
 Ona, wzięwszy kij sękaty,
 Poszła do Kijowa.
 Na modlitwę chęć ją bierze
 Z pielgrzymów gromadką,
 Choć jój starzec prosił szczerze
 Być na ślubie matką.
 Błaga Marko, aby przecię
 Powstrzymała drogę.
 — „Przebacz, Marko! drogie dziecię,
 „Ja tu być nie mogę.
 „Oni ludzie héj! bogacze,
 „A ja sługa licha,
 „Między nimi, cóż ja znaczę?
 „Śmieliby się z cicha.
 „By was Pan Bóg miał w opiece,
 „Pójdę do Kijowa,
 „Wszystkim świętym was polecę
 „I powrócę zdrowa.
 „Służyć będę choć bez płaty
 „Całe moje życie,
 „Nie porzucę waszój chaty,
 „Chyba wypędzicie.“
 I dziadkowi pokłon dała,
 I weselnój rzeszy,
 Przeżegnała, zapłakała,
 I w pielgrzymkę śpieszy.
 Rwą podkówki, grzmi muzyka
 W gwarze weseliska;
 Krążą czarki u stolika,
 Miód, gorzalka tryska.

Dziewka idzie w czarnej szacie
 Gdzie ją oczy wiodą,
 Aż w Kijowie, w miejskiej chacie,
 Stała gospoda.
 Najęła się wodę nosić
 Wiadrem sporój miary,
 Byle grosza stało dosyć
 Na mszę u Barbary.
 I chodziła do spowiedzi,
 Czcila świętych twarze,
 I dla Marka obraz z miedzi
 Kupiła w Pieczarze,
 I czapczkę poświęconą,
 Świętego Iwana;
 Biła pokłon przed ikoną,
 Zginała kolana;
 A dla młodój Marka żony,
 Jak obyczaj stary,
 Krzyż kupiła poświęcony
 I pierścień Barbary.
 Gdy w domowych stronach stanie,
 Dopełniwszy wota,
 Wybiegł Marko swoją nianię
 Spotkać aż za wrota.
 Wyszła żona Katarzyna,
 Wiodą w chatnie progi,
 Postawili miodu, wina,
 By ugościć z drogi.
 I pytają o Kijowie,
 Cieszą się, weselą,
 I troskliwi o jój zdrowie
 Miękką pościel ścielą.

— „Za co dla mnie to kochanie?
 „Tak mię czi to stadło?
 „Ot już może niespodzianie
 „Serce ich odgadło!
 „Ej! nie zgadli tajemnicy,
 „Ale dobre dzieci!“
 I w sierocój jój żrenicy
 Jasna łza zaświeci.

VI.

Już trzy razy lody krzepły,
 Topił lody wietrzyk ciepły;
 Najemnica już trzy razy
 Przed kijowskie szła obrazy.
 Jakby z matką Katarzyna
 Z nią pielgrzymkę rozpoczyna;
 Przeprowadza na szlak znany,
 Aż na pole za kurhany,
 I modlitwy swe zasyła,
 Aby prędzój powróciła,
 Bo tu bez niej dniem i nocą
 W chacie pusto i sieroco.

W dzień Najświętszój Panny Zielnej
 Przywdział Trochim strój niedzielny,
 Siadł na kłodzie wedle ula,
 Przy nim wnuczek z pieskiem hula.
 Wnuczka matki odzież wkłada,
 Niby w gości szła do dziada.
 Serce dziada się zaśmiało,
 I przywitał wnuczkę małą,

Pyta jakby u dojrzałej:

- „Gdzieś podziała kołacz biały?
- „Czyś nie wzięła, śpiesząc rano?
- „Czy ci w lesie odebrano?
- „Albo zjadłaś, idąc drogą?
- „Ejże wstyd ci, wstyd, niebogo!”

Gdy tak stary wnuki cacka,
 Hanna zjawia się znienacka;
 Dobra Hanna, żywa, zdrowa
 Powróciła od Kijowa.
 Starzec zerwał się na nogi,
 Najemnicę witać z drogi;
 Ale ona idzie drogą,
 Nie uważa na nikogo,
 Pyta, robiąc piersią szparką:

- „Gdzie jest Marko? gdzie jest Marko?..“
- „Gdzie jest Marko!? Ha! w podróży...“
- „A mnie siła ledwie służy.
- „Biegłam umrzeć w waszój chacie,
- „Wy mię szczerze pochowacie.
- „Tutaj umrzeć... by mię w dali
- „Cudzy ludzie nie chowali,
- „I nie poszła marnie praca...
- „Niechże Marko prędzój wraca!
- „Tak mi słabo do ostatka!...“

I w swój sakwie szuka szmatka,
 I dla wnuków różne dziwa
 Na gościniec wydobywa:
 I z mosiądzu krzyżyk gładki,
 I medalik Bożój Matki,

I obrazki, co na ścianę,
 Złotą folgą nabijane,
 Świec jarzęcych pęk wykłada
 Katarzynie i dla dziada.
 Lecz dla Marka nic nie chowa,
 Nie przyniosła nic z Kijowa,
 Bo jój groszy już nie stało,
 A zarobić sił za mało.

— „Ot pozostał u pazuchy,
 „Tylko jakiś kołacz suchy!“
 Więc go łamie po połowie:
 „Jedzcie, dzieci!... to na zdrowie...“

VII.

Dziadek, wnuki, Katarzyna,
 Wszystko krzątać się poczyna,
 I do chaty gościę wiodą,
 I omyli nogi wodą,
 I na końcu stołu sadzą,
 I połudeń wczesny dadzą;
 Lecz zmęczona i wybladła,
 Nic nie piła i nie jadła.

— „Katarzyno! Katarzyno!
 „Dwa, trzy dzionki gdy przeminą,
 „Wtedy cerkiew niech otworzą,
 „I zakupcie służbę bożą,
 „A przed Spasem i Mikołą
 „Ponastawiać świec w około,
 „Bo coś Marko bawi dłużój,
 „Zachorował gdzieś w podróży.“

Gdy to mówi—traci źmysły,
 Jak z krynicy łyzy jej trysły.
 A gdy pierwsze łyzy przeminą:
 „Katarzyno! Katarzyno!
 „Już ja nie ta, co przed chwilą,
 „Oczy mylą, nogi mylą.
 „Trzeba umrzeć—och! nie znacie,
 „Co to umrzeć w cudzej chacie!“

Zaniemogła nieszczęśliwa,
 I kapłana już przyzywa,
 I odprawia spowiedź szczerze,
 I olej święte bierze.
 Stary Trochim w łez powodzi
 Po dziedzińcu smutnie chodzi.
 Katarzyna ani w stronę,
 Oczy w chorą ma wlepione.
 A tymczasem gospodyni
 W dzień i w nocy czuwa przy niej,
 I zapala świeczkę dużą,
 Ale świeczki źle coś wróżą:
 Ciemne światło bije z knota,
 A schorzała wciąż się miota.
 —„Katarzyno! rzuć oczyma,
 „Czy z powrotem Marka niéma?
 „Gdybym pewna była tyle,
 „Że go ujrzę choć na chwilę,
 „Toby jeszcze przyszła siła,
 „Tobym śmierci przemodliła,
 „Tobym jeszcze miała wolę
 „Ucałować me pacholę...“

VIII.

A w czumackiej Marko rzeszy
 Powraca wesoły,
 Do swój chaty ani śpieszy,
 Bo popasa woły,
 Wiezie kubrak dla swój żony,
 Co oczy zachwyci,
 A dla starca pas czerwony,
 Wskroś z jedwabnych nici.
 Najemnicy—dar sowity,
 Żupan nad żupany,
 Żupan krasny, złotem szyty,
 Srebrem przetykany.
 Dzieciom trzewiczki z podróży
 Przywiózł w upominek,
 I orzechów zapas duży,
 I słodkich rozynek.
 A dla wszystkich sporą miarę
 Z Carogrodu wina.
 Mniema zastać szczęście stare
 W chacie u komina.
 Jego sercem nic nie miota,
 Nic nie trudzi głowy.
 I otworzył rzeźwo wrota
 W dziedziniec domowy.
 Zobaczyły go obiedwie
 W tejże samój porze:
 —„Och, nakoniec! — Och, zaledwie!
 „Dziękuję Tobie, Boże!“
 Stary poszedł wyprządz woły,
 I uprząże składa;

Jak przed rojem w ulu pszczoły,
 Krząta się gromada.
 Słysząc krzyki uroczyste,
 Radość nieustanną:
 Ach, *Ojcie nasz!*... Jezu Chryste!
 Ach, Najświętsza Panno!
 — „A gdzie Hanna, Katarzyno?
 „Gdzie się Hanna chowa?
 „Pokaż prędjéj mą jedyną,
 „A czy żywa? zdrowa?“
 — „Jeszcze żyje... duszę chroni,
 Ale bardzo chora;
 Chodźmy, Marko! chodźmy do niéj!
 Oto jéj komora!“
 Marko ledwie poznać zdoła,
 Gdy ją ujrział z progu.
 — „Chodźże prędjéj! — ona woła—
 „Dzięki-ż Panu Bogu!
 „Pochwalona Pani nieba,
 „Przenajświętsza Matka!...
 „Katarzyno! mnie potrzeba
 „Mówić z nim bez świadka.
 „Wyjdź z komory choć na chwilę!...“
 Wyszła Katarzyna.
 „Widzisz, Marko! ledwiem w sile
 „Przemówić... do syna.
 „Oto, synu, spowiedź skryta
 „Moich dni ostatka:
 „Jam nie prosta tu najmita,
 „Ale twoja... matka...“

I osłabła, i złamana
 Padła na wezłowie.
 Marko upadł na kolana,
 A ona znów powie:
 — „W cudzej chacie... tu, jak w grobie,
 „Zeszła młodość cała...
 „Byle tylko być przy tobie,
 „Jam pokutowała...“
 Marko zemdlał... zbladło lice,
 Zbiegli się doń chatni...
 Gdy się ocknął—pokutnicę
 Ujął sen ostatni.

IWAN PODKOWA.

I.

W Zaporozu grzmi armata,
 Przed panem Iwanem.
 Zaporozec w dawne lata
 Potrafił być panem.
 Panowali, zdobywali
 Swobodę i chwałę:
 Ledwie świadczą ich z oddali
 Kopce pozostałe.
 Oj! wysoko się wznosiły
 Na polu kurhany,
 Gdzie legł Kozak do mogiły
 W kitajkę przybrany.

A mogiła kształtem wzgórze
 Aż obłoki bodzie,
 Wiatrom żale swe wynurza,
 Szepce o swobodzie.
 Pradziadowskiej świadek sławy,
 Powiada ją młodzi;
 A wnuk słucha jęj ciekawy,
 I piosnkę wywodzi.
 Och! szalano w Ukrainie,
 Licho daj go czartu!
 A w gorzałce, w miodzie, w winie
 Nabywano hartu.
 Dobrze niegdyś było życie
 W ukraińskiej stronie.
 Może sercu coś ulżycie,
 Gdy je wam wydzwonię.

II.

Czarną chmurę wichur niesie
 Z Limanu wybrzeży,
 Sine morze, jak zwierz w lesie
 Ryczy, to się jeży.
 Gardziel Dniepru już rozlany, —
 Chłopczy! héj! do wiosła!
 Siądziem w czajki, pójdziem w tany,
 Byle woda niosła!
 Wypłynęło Zaporozie,
 Aż Liman czernieje.
 Grajże teraz, sine morze,
 Niechaj wiatr zawieje!
 Bije fala, płyncie zdrowi,
 Ni ziemi, ni nieba,

Aż drży serce... Kozakowi
Tego tylko trzeba!
Wiosło taktem gra wesołym,
Wykrzykują radzi,
Pan ataman płynie czołem,
On wie, gdzie prowadzi.
Chodzi z lulką po swój łodzi
I rozmyśla bacznie:
Gdzie uderzyć mu przychodzi?
Zkąd robotę zacznie?
Skreślił wąsy z gęstą miną,
Czajkom stanąć każe,
Podniósł kołpak, wstrząsł czupryną:
— „Zguba tobie, *wraże!*
„Héj, młodycy! droga znana,
„Ja Carogród minę;
„Lecz w Carogród do sultana
„Pójdziemy w gościnę.“
— „Dobrze, ojczy atamanie,
„Zagramy w Bosforze!“
— „Dzięki, chłopcy! niech się stanie!“
I znów kipi morze.
Pan ataman lulkę kurzy,
Na brzegu usiadłszy,
Na niebiosach bada burzy
I na falę patrzy.

DUMKA.

Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!
Bo nie weźmie nikt w opiekę,
Chyba z góry wskoczyć w rzekę.
Jużbym skończył dni te moje,
Lecz się kary bozkiej boję;
Jużbym dawno zgnił w topieli,
Jużby ludzie zapomnieli.
U jednego dobra dola,
Bujne kłosa zbiera z pola:
Moja dola tylko mam, i
Gdzieś się błąka za morzami.
Dobrze temu bogaczowi,
Co go wszyscy znać gotowi:
Gdy kto spotka mnie nędzarza,
To i na twarz nie uważa.
Bogatego, choć szkarada,
Otacza pochlebstw gromada:
Ja choć wzdycham do dziewoi,
Ze mnie tylko żarty stroi.
Czyż ja, dziewczę! niedość młody?
Czy mi pięknej brak urody?
Czy nie kocham cię z zapalem?
Czy ja z ciebie żartowałem?...
Kochaj sobie, kochaj śmiało,
Kogo serce twe wybrało;
Lecz poszanuj me kochanie,
Gdy ci kiedy w myślach stanie.

A ja pójdę w cudzą stronę
Jątrzyć serce rozżalone,
I tęsknotą serce spalę,
Jako listek na upale.

Smutny Kozak poszedł drogą,
Nie zostawił tu nikogo;
Szukał doli, co popieści,
I zaginął gdzieś bez wieści.
Umierając ludzi pyta,
Gdzie tam boże słońko świta?
Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!

1860—1861. Borejkowszczyzna.

KONIEC TOMU PIĄTEGO I OSTATNIEGO.



SPIS RZECZY W TOMIE V.

Przekłady poetów łacińsko-polskich.

	<i>Str.</i>
Ziemie Czerwonej Rusi (Roxolania)	3
Pienia liryczne Mikołaja Smoguleckiego	61
Satyra Joachima Bielskiego	73
Z poezyj Wojciecha Inesa	77
Poezye ks. Macieja Kazimierza Sarbińskiego	79
Z poezyj Szymona Szymonowicza Bendońskiego	232
Pieśń o Bolesławie Krzywoustym	239
Pieśń o Albercie, wójcie krakowskim	240
Nagrobek królowej Jadwidze	245
Z poezyj Jana Dantyszka	247
Z poezyj Jędrzeja Krzyckiego	250
Z poezyj Jana Derszniaka z Rokitnicy	259
Z poezyj Joachima Bielskiego	261

Przekłady z rozmaitych języków.

Fragmenta z Ksiąg Hioba	267
Urywki i parafrazy z Ekklezyastyka	291
Z Poezycji Tychona Brahego	293
Urywek z Adama Schröter'a	294
Piosenki J. P. Béranger'a	295
Poezye Goethe'go	324
Pieśń emigrantów irlandzkich	332
Stary żeglarz z Coleridge'a	333
Ptaki wędrownne ze Stagnelius'a	354
Pieśń Harolda	356
Babunia z Andersen'a	357
Gwarinos	358
Gracze z Puszkina	364
Orzeł z tegoż	365
Laik klasztorny z Lermontowa	366
Na Wółdze z Nekrasowa	397
Cmentarz z Nikitina	406
Przekłady z Tarasa Szewczenki	407